Zwrot



Kalendarz ZWROTU 1956

KALENDARZ »ZWROTU«

NA ROK

1956

ROCZNIK III

WYDAWCA

POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W CZECHOSŁOWACJI

Zarząd Główny PZKO - Czeski Cieszyn, ul. Gottwalda 18



Górnicy!

Nasza druga Pięciolatka,
Duma nasza, zwycięstwo nasze!

1956

Rok 1956 jest rokiem przestępnym o 366 dniach

CZTERY PORY ROKU

Wiosna astronomiczna rozpoczyna się w roku 1956 dnia 20 marca o godzinie 16 czasu środkowo-europejskiego, w momencie, gdy słońce przecina równik niebieski i wstępuje w znak Barana. — Wiosenne zrównanie dnia z nocą.

Lato astronomiczne rozpoczyna się dnia 21 czerwca o godzinie 11, w momencie, gdy słońce wstępuje w znak Raka. — Solsticjum letnie. — Najdłuższy dzień, najkrótsza noc.

Jesień astronomiczna rozpoczyna się dnia 23 września o godzinie 3, w momencie, gdy słońce przecina równik niebieski i wstępuje w znak Wagi. — Jesienne zrównanie dnia z nocą.

Zima astronomiczna rozpoczyna się dnia 21 grudnia o godzinie 22, w momencie, gdy słońce wstępuje w znak Koziorożca. — Solsticjum zimowe. — Najkrótszy dzień, najdłuższa noc.

ZAĆMIENIA SŁOŃCA I KSIĘŻYCA

W roku 1956 będą miały miejsce 4 zaćmienia: dwa zaćmienia słońca i dwa księżyca. Dwa z tych zaćmień będą widoczne na Śląsku.

I. 24 maja wypada częściowe zaćmienie księżyca na Śląsku niewidzialne. Będzie ono widoczne w Azji, na Oceanie Spokojnym, w Australii, na Oceanie Indyjskim, w Antarktydzie oraz częściowo w Afryce.

II. 8 czerwca będzie miało miejsce całkowite zaćmienie słońca widzialne jedynie na Południowym Pacyfiku.

III. 18 listopada wypada całkowite zaćmienie księżyca widoczne na Śląsku. Poza tym będzie ono widzialne w Europie, na Oceanie Atlantyckim, w Północnej i Południowej Ameryce oraz na Oceanie Spokojnym. Wejście księżyca do półcienia nastąpi 18 listopada o godz. 4, min. 59,9, a do cienia o godz. 6, min. 2,6. Całkowite zaćmienie rozpocznie się o godz. 7, min. 8,0, w momencie zachodu księżyca na Śląsku Cieszyńskim. Wielkość tego zaćmienia wyraża się liczbą 1,323, gdy za jednostkę przyjmiemy średnicę tarczy księżyca.

IV. 2 grudnia będzie miało miejsce częściowe zaćmienie słońca widzialne na Śląsku. Poza tym będzie ono widoczne w Europie, w Azji i w Afryce Północnej. Na Śląsku Cieszyńskim wzejdzie słońce o godz. 7, min. 23 już częściowo zaćmione. Koniec zaćmienia wypada tu na godz. 9, min. 13.

Wszystkie podane wyżej momenty liczone są w czasie środkowo-europejskim.

DWANAŚCIE ZNAKÓW NIEBIESKICH

Znaki wiosenne	Znaki letnie	Znaki jesienne	Znaki zimowe
Baran	Rak	Waga	Koziorożec
Byk	Lew	Niedźw.	Wodnik
Bliźnięta	Panna	Strzelec	Ryby

Podane w kalendarium dla każdego dnia znaki niebieskie oznaczają tę część Zwierzyńca Niebieskiego, w której znajduje się księżyc w południe greenwich'skie, tj. o godzinie 13 czasu środkowo-europejskiego danego dnia.

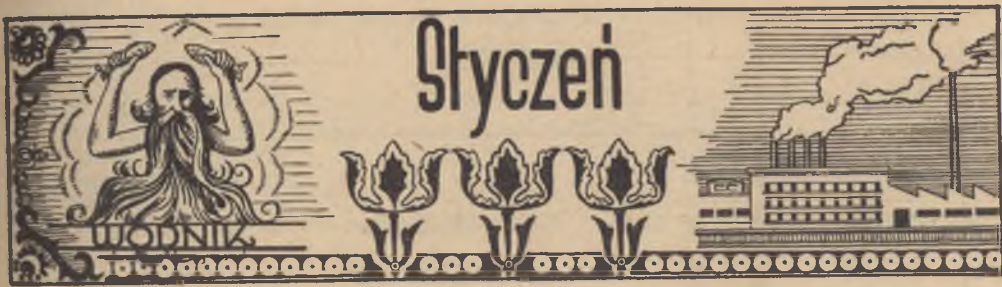
WSCHODY I ZACHODY SŁOŃCA I KSIĘŻYCA

W niniejszym Kalendarzu „Zwrotu" zostały momenty wschodów i zachodów słońca i księżyca obliczone ściśle z ważnością dla Śląska Cieszyńskiego. Momenty wschodów i zachodów słońca i księżyca podane są w czasie urzędowym, tj. w czasie środkowo-europejskim.

ROK MOHAMETAŃSKI 1376 rozpocznie się dnia 8 sierpnia 1956.

ROK ŻYDOWSKI 5717 rozpocznie się dnia 6 września 1956.

Danych astronomicznych dostarczył do Kalendarza prof. dr K. Kozieł.



Styczeń

Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca wsch.	Słońca zach.	Znaki nieb.	Księżyca wsch.	Księżyca zach.
1	N	**Nowy Rok**	**Nowy Rok**	7^{44}	15^{53}	♌	20^{41}	9^{26}
2	P	Makarego	Abla i Seta	7^{44}	15^{54}	♍	21^{58}	9^{49}
3	W	Genowefy	Enocha	7^{44}	15^{55}	♍	23^{12}	10^{11}
4	Ś	Tytusa b. ☾	Izabeli ☾	7^{44}	15^{56}	♎	—	10^{32}
5	Cz	Telesfora	Szymona	7^{43}	15^{57}	♎	0^{24}	10^{54}
6	P	*Trzech Króli*	*Epifanii*	7^{43}	15^{58}	♏	1^{33}	11^{19}
7	S	Juliana	Izydora	7^{43}	15^{59}	♏	2^{40}	11^{48}
8	N	**1 po 3 Kr. Sew.**	**1 po Ep. Bogd.**	7^{43}	16^{01}	♏	3^{44}	12^{22}
9	P	Antoniego m.	Marcjanny	7^{42}	16^{02}	♐	4^{43}	13^{02}
10	W	Jana Dobr.	Pawła ap.	7^{42}	16^{03}	♐	5^{36}	13^{50}
11	Ś	Aleksandra	Magdaleny	7^{41}	16^{04}	♑	6^{21}	14^{45}
12	Cz	Ernesta	Czesława	7^{41}	16^{06}	♑	6^{59}	15^{45}
13	P	Weroniki ●	Hilarego ●	7^{40}	16^{07}	♑	7^{30}	16^{48}
14	S	Hilarego	Feliksa	7^{40}	16^{09}	♒	7^{56}	17^{54}
15	N	**2 po 3 Kr. P. a.**	**2 po Ep. Dąbr.**	7^{39}	16^{10}	♒	8^{19}	19^{01}
16	P	Marcelego	Włodzimierza	7^{38}	16^{11}	♓	8^{40}	20^{08}
17	W	Antoniego op.	Antoniego	7^{37}	16^{13}	♓	8^{59}	21^{16}
18	Ś	Katedry św. Piotra	Pryski	7^{37}	16^{14}	♓	9^{19}	22^{25}
19	Cz	Henryka	Erwina	7^{36}	16^{16}	♈	9^{40}	23^{37}
20	P	Fabiana i Sebastiana ☽	Fabiana i Sebastiana ☽	7^{35}	16^{18}	♈	10^{03}	—
21	S	Zgon W. I. Lenina	Zgon W. I. Lenina	7^{34}	16^{19}	♉	10^{32}	0^{50}
22	N	**3 po 3 Kr. Winc.**	**3 po Ep. Winc.**	7^{33}	16^{21}	♉	11^{07}	2^{05}
23	P	Zaśl. N. M. P.	Janusza	7^{32}	16^{22}	♊	11^{53}	3^{19}
24	W	Tymoteusza	Tymoteusza	7^{31}	16^{24}	♊	12^{51}	4^{27}
25	Ś	Nawr. św. Pawła	Nawr. św. Pawła	7^{30}	16^{2}[illegible]	♋	14^{02}	5^{27}
26	Cz	Polikarpa	Polikarpa	7^{28}	16^{27}	♋	15^{22}	6^{15}
27	P	Jana Chr. ○	Jana Złotoustego ○	7^{27}	16^{29}	♌	16^{46}	6^{53}
28	S	Karola W.	Karola W.	7^{26}	16^{30}	♌	18^{10}	7^{24}
29	N	**Starozap. F. S.**	**Starozap. Wal.**	7^{25}	16^{32}	♍	19^{31}	7^{50}
30	P	Martyny	Martyny	7^{23}	16^{34}	♍	20^{49}	8^{13}
31	W	Piotra z N.	Ludwiki	7^{23}	16^{35}	♎	22^{04}	8^{35}



FAZY KSIĘŻYCA:

Ostatnia kwadra ☾ dnia 4-go o godz. 23, min. 41. — Nów ● dnia 13-go o godz. 4, min. 1. — Pierwsza kwadra ☽ dnia 20-go o godz. 23, min. 58. — Pełnia ○ 27-go o godz. 15, min. 40.

Dnia przybywa o 1 godzinę 4 minuty.



Najmłodsi obywatele składają życzenia Prezydentowi Republiki Antoniemu Zápotocký'emu na zamku hradczańskim w Pradze

3 stycznia 80 rocznica urodzin Wilhelma Piecka, prezydenta Niemieckiej Republiki Demokratycznej

15 stycznia Dzień Czechosłowackiej Artylerii
37 rocznica zamordowania Karola Liebknechta i Róży Luxemburg

21 stycznia 32 rocznica śmierci Włodzimierza Iljicza Lenina (1924)



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca wsch.	Słońca zach.	Znaki nieb.	Księżyca wsch.	Księżyca zach.
1	Ś	Ignacego	Wandy	7^{21}	16^{37}	♎	23^{17}	8^{58}
2	Cz	*N. M. P. Gromn.*	Oczyszcz. P. M.	7^{19}	16^{39}	♎	—	9^{23}
3	P	Błażeja b. m. ☾	Błażeja ☾	7^{18}	16^{41}	♏	0^{27}	9^{50}
4	S	Andrzeja Kors.	Weroniki	7^{17}	16^{42}	♏	1^{33}	10^{23}
5	N	**Mięsopust. Ag.**	**Mięsopust Ag.**	7^{15}	16^{44}	♐	2^{34}	11^{01}
6	P	Doroty	Doroty	7^{13}	16^{46}	♐	3^{30}	11^{46}
7	W	Romualda op.	Ryszarda	7^{12}	16^{47}	♐	4^{18}	12^{38}
8	Ś	Jana z M.	Salomona	7^{10}	16^{49}	♑	4^{58}	13^{36}
9	Cz	Apolonii p. m.	Apolonii	7^{09}	16^{51}	♑	5^{32}	14^{39}
10	P	Scholastyki	Renaty	7^{07}	16^{53}	♒	6^{30}	15^{44}
11	S	Eufrozyny ●	Eufrozyny ●	7^{05}	16^{54}	♒	6^{24}	16^{50}
12	N	**Zapustna Grz.**	**Zapustna Eu.**	7^{03}	16^{56}	♒	6^{46}	17^{58}
13	P	Katarzyny	Kastora	7^{02}	16^{58}	♓	7^{07}	19^{06}
14	W	Walentego	Walentego	7^{00}	16^{59}	♓	7^{26}	20^{16}
15	Ś	*Popielec*	Faustyna	6^{58}	17^{01}	♈	7^{47}	21^{27}
16	Cz	Julianny	Julianny	6^{56}	17^{03}	♈	8^{10}	22^{39}
17	P	Konstancji p.	Konstancji	6^{55}	17^{05}	♉	8^{36}	23^{53}
18	S	Symeona b. w.	Zuzanny	6^{54}	17^{06}	♉	9^{09}	—
19	N	**1 Postna Wstęp.** ☽	**1 Postna Wst.** ☽	6^{51}	17^{08}	♊	9^{49}	1^{05}
20	P	Leona	Euchariusza	6^{49}	17^{10}	♊	10^{41}	2^{14}
21	W	Feliksa	Eleonory	6^{47}	17^{11}	♊	11^{44}	3^{14}
22	Ś	Eleonory	Małgorzaty	6^{45}	17^{13}	♋	12^{57}	4^{05}
23	Cz	Macieja ap.	Seweryna	6^{43}	17^{15}	♋	14^{17}	4^{47}
24	P	Florentego	Macieja ap.	6^{41}	17^{17}	♌	15^{39}	5^{20}
25	S	*Zwycięstwo czechosłowackiego ludu pracującego — Pamiętny dzień ČSR*		6^{39}	17^{18}	♌	17^{01}	5^{48}
26	N	**2 Postna Sucha** ○	**2 Postna Sucha** ○	6^{37}	17^{20}	♍	18^{20}	6^{13}
27	P	Anastazji	Gabriela	6^{35}	17^{2}	♍	19^{38}	6^{36}
28	W	Bogusława	Bogusława	6^{33}	17^{23}	♎	20^{54}	7^{00}
29	Ś	Romana	Romana	6^{31}	17^{25}	♎	22^{06}	7^{24}

FAZY KSIĘŻYCA:

Ostatnia kwadra ☾ dnia 3-go o godz. 17, min. 8. — Nów ● dnia 11-go o godz. 22, min. 38. — Pierwsza kwadra ☽ dnia 19-go o godz. 10, min. 21. — Pełnia ○ dnia 2-go o godz. 2, min. 41.

Dnia przybywa o 1 godzinę 38 minut.



W lipcu 1955 roku została otwarta w Czeskim Cieszynie Wystawa Śląska Cieszyńskiego obrazująca dziesięcioletni dorobek w dziedzinie socjalizacji kraju. Prócz tego Wystawa ta stała się przeglądem osiągnięć kulturalnych i społecznych ludności Śląska czechosłowackiego. Na ilustracji stoisko eksponatów Huty im. Mołotowa w Trzyńcu

2 lutego 13 rocznica zwycięstwa wojsk radzieckich pod Stalingradem
23 lutego Dzień Armii Radzieckiej i radzieckich sił morskich
25 lutego rocznica zwycięstwa czechosłowackiego ludu pracującego. — Pamiętny dzień CzSR



Marzec

Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca wsch.	Słońca zach.	Znaki nieb.	Księżyca wsch.	Księżyca zach.
1	Cz	Antoniny m.	Albina	6^{29}	17^{25}	♏	23^{16}	7^{51}
2	P	Heleny	Ludwiki	6^{27}	17^{28}	♏	—	8^{22}
3	S	Kunegundy p.	Kunegundy	6^{25}	17^{29}	♐	0^{33}	8^{59}
4	N	**3 Postna Głucha** ☾	**3 Postna Głucha** ☾	6^{23}	17^{32}	♑	1^{20}	9^{42}
5	P	Euzebiusza	Fryderyka	6^{21}	17^{33}	♑	2^{11}	10^{33}
		Zgon Józefa Wissarionowicza Stalina 1953						
6	W	Mariana b.	Mariana	6^{19}	17^{35}	♒	2^{54}	11^{27}
7	Ś	Tomasza z Akw.	Felicji	6^{17}	17^{36}	♒	3^{34}	12^{28}
8	Cz	Międzynarodowy Dzień Kobiet		6^{15}	17^{38}	♓	4^{01}	13^{31}
9	P	Franciszki w.	Prudentego	6^{13}	17^{40}	♓	4^{27}	14^{37}
10	S	40 męczenników	Aleksandra	6^{10}	17^{41}	♓	4^{50}	15^{45}
11	N	**4 Post. Środopostna**	**4 Post. Środop.**	6^{08}	17^{43}	♈	5^{11}	16^{5}
12	P	Grzegorza W. ●	Grzegorza ●	6^{06}	17^{45}	♈	5^{32}	18^{0}
13	W	Krystyny p.	Ernesta	6^{04}	17^{46}	♉	5^{53}	19^{15}
14	Ś	Zgon Klementa Gottwalda 1953		6^{02}	17^{48}	♉	6^{15}	20^{30}
15	Cz	Długosza	Krzysztofa	6^{00}	17^{49}	♉	6^{41}	21^{43}
16	P	Cyriaka d.	Cyriaka	5^{57}	17^{51}	♉	7^{12}	22^{55}
17	S	Patrycego	Kornelii	5^{55}	17^{53}	♉	7^{51}	—
18	N	**5 Postna Czarna**	**5 Postna Czarna**	5^{53}	17^{54}	♊	8^{39}	0^{18}
19	P	Józefa Obl. ☽	Józefa ☽	5^{51}	17^{56}	♊	9^{37}	1^{07}
20	W	Eufemii	Teodozji	5^{49}	17^{57}	♋	10^{45}	2^{0}
21	Ś	Benedykta	Benedykta	5^{47}	17^{59}	♋	12^{00}	2^{44}
22	Cz	Oktawiana	Oktawiana	5^{44}	18^{01}	♌	13^{19}	3^{19}
23	P	Pelagii	Zygmunta	5^{42}	18^{02}	♌	14^{38}	3^{48}
24	S	Gabriela arch.	Gabriela	5^{40}	18^{04}	♍	15^{56}	4^{14}
25	N	**6 Post. Palmowa**	**6 Post. Palmowa**	5^{38}	18^{05}	♍	17^{14}	4^{38}
26	P	Emanuela ○	Emanuela ○	5^{36}	18^{07}	♎	18^{29}	5^{0}
27	W	Jana p.	Tadeusza	5^{33}	18^{08}	♎	19^{44}	5^{25}
28	Ś	Amalii	Amalii	5^{21}	18^{10}	♏	20^{55}	5^{51}
29	Cz	Zielony Czwartek	Eustachego	5^{29}	18^{12}	♏	22^{03}	6^{21}
30	P	Wielki Piątek	*Wielki Piątek*	5^{27}	18^{13}	♏	23^{06}	6^{55}
31	S	Wielka Sobota	Amosa pr.	5^{25}	18^{15}	♐	—	7^{26}



FAZY KSIĘŻYCA:

Ostatnia kwadra ☾ dnia 4-go o godz. 12, min. 53. — Nów ● dnia 12-go o godz. 14, min. 36. — Pierwsza kwadra ☽ dnia 19-go o godz. 18, min. 13. — Pełnia ○ dnia 26-go o godz. 14, min. 11.

Dnia przybywa o 1 godzinę 52 minuty.



Piękne i urocze są Beskidy cieszyńskie. Widok z Łomnej na puszczę Miąższ, która rozpościera się na samym wierzchołku góry i podlega ochronie jako rezerwat państwowy

....

....

....

....

....

---

5 marca 3 rocznica śmierci Józefa Wissarionowicza Stalina (1953)
8 marca Międzynarodowy Dzień Kobiet
14 marca 3 rocznica śmierci prezydenta CzSR Klementa Gottwalda, przewodniczącego Komunistycznej Partii Czechosłowacji (1953)
18 marca 85 rocznica Komuny Paryskiej

Kwiecień



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońce wsch.	Słońce zach.	Znaki nieb.	Księżyca wsch.	Księżyca zach.
1	N	**Wielkanoc**	**Wielkanoc**	5^{23}	18^{16}	♐	0^{01}	8^{24}
2	P	**Pon. Wielkanocny**	**Pon. Wielkanocny**	5^{21}	18^{18}	♑	0^{43}	9^{17}
3	W	Ryszarda ☾	Dar usza ☾	5^{18}	18^{19}	♑	1^{27}	10^{16}
4	Ś	Izydora b. w.	Ambrożego	5^{16}	18^{21}	♑	2^{00}	11^{18}
5	Cz	Wincentego	Hozeasza	5^{14}	18^{22}	♒	2^{28}	12^{23}
6	P	Celestyna pap.	Ireneusza	5^{12}	18^{24}	♒	2^{52}	13^{29}
7	S	Epifan usza	Apolonii	5^{10}	18^{26}	♓	3^{14}	14^{36}
8	N	**1 po W. Przew.**	**1 po W. Biala**	5^{08}	18^{27}	♓	3^{35}	15^{45}
9	P	Marii Kleof.	Dymitra	5^{05}	18^{29}	♓	3^{56}	16^{56}
10	W	Ezechiela pr.	Ezechiela pr.	5^{03}	18^{30}	♈	4^{18}	18^{10}
11	Ś	Leona pap. ●	Leona ●	5^{01}	18^{32}	♉	4^{43}	19^{25}
12	Cz	Juliusza	Juliusza	4^{59}	18^{33}	♉	5^{13}	20^{41}
13	P	Justyna	Justyna	4^{57}	18^{35}	♉	5^{50}	21^{54}
14	S	Waleriana	Waleriana	4^{55}	18^{36}	♊	6^{36}	23^{00}
15	N	**2 po W. An.**	**2 po W. Ol.**	4^{53}	18^{38}	♊	7^{32}	23^{57}
16	P	Lamberta m.	Aarona	4^{51}	18^{40}	♋	8^{38}	—
17	W	Rudolfa b. m.	Rudolfa	4^{49}	18^{41}	♋	9^{51}	0^{43}
18	Ś	Apoloniusza ☽	Apoloniusza ☽	4^{47}	18^{43}	♌	11^{08}	1^{20}
19	Cz	Tymona	Tymona	4^{45}	18^{44}	♌	12^{25}	1^{51}
20	P	Krzysztofa	Agnieszki	4^{43}	18^{46}	♍	13^{42}	2^{17}
21	S	Szymona b.	Szymona	4^{41}	18^{47}	♍	14^{57}	2^{41}
22	N	**3 po W., Urodziny**	**W. I. Lenina 1870**	4^{39}	18^{49}	♎	16^{12}	3^{04}
23	P	Wojciecha a.	Wojciecha	4^{37}	18^{51}	♎	17^{25}	3^{27}
24	W	Jerzego	Jerzego	4^{35}	18^{52}	♎	18^{37}	3^{52}
25	Ś	Marka	Marka ew. ○	4^{33}	18^{54}	♏	19^{46}	4^{20}
26	Cz	Kleta pr.	Zbign'ewa	4^{31}	18^{5}	♏	20^{51}	4^{52}
27	P	Teofila	Anastazego	4^{29}	18^{57}	♐	21^{49}	5^{31}
28	S	Karola	Karola	4^{27}	18^{58}	♐	22^{40}	6^{16}
29	N	**4 po W. P.**	**4 po W. Syb.**	4^{26}	19^{00}	♐	23^{23}	7^{08}
30	P	Katarzyny Sen.	Eutropiusza	4^{24}	19^{01}	♑	23^{58}	8^{05}



FAZY KSIĘŻYCA:

Ostatnia kwadra ☾ dnia 3-go o godz. 9, min. 6. — Nów ● dnia 11-go o godz. 3, min. 39. — Pierwsza kwadra ☽ dnia 18-go o godz. 0, min. 28. — Pełnia ○ dn a 25-go o godz. 2, min. 40.

Dnia przybywa o 1 godzinę 44 minuty.



W kwietniu 1955 roku odbył się w Czeskim Cieszynie ogólny IV Zjazd Delegatów ZG PZKO. Ogólne Zjazdy Delegatów ZG PZKO odbywają się co dwa lata

....

....

....

....

....

....

....

....

---

4 kwietnia Święto państwowe Węgierskiej Republiki Ludowej
5 kwietnia 11 rocznica ogłoszenia rządowego Programu Koszyckiego
15 kwietnia 44 rocznica urodzin Kim Ir Sena, prezesa Gabinetu Ministrów oraz prezesa Partii Robotniczej Koreańskiej Republiki Ludowej
18 kwietnia 64 rocznica urodzin Bolesława Bieruta, pierwszego sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej
22 kwietnia 86 rocznica urodzin Włodzimierza Iljicza Lenina (1870)



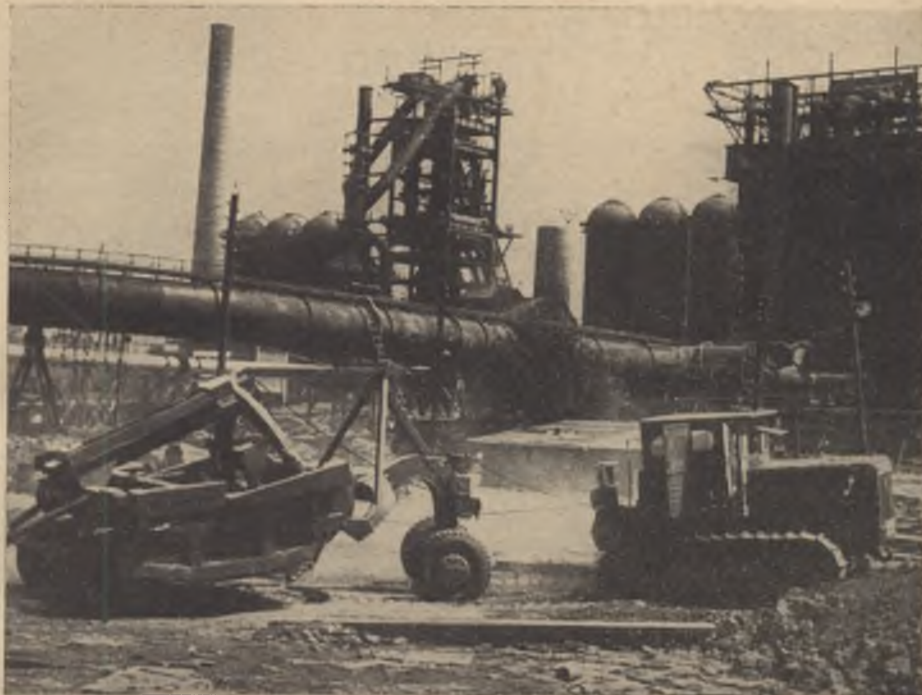
Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca wsch.	Słońca zach.	Znaki nieb.	Księżyca wsch.	Księżyca zach.
1	W	**Święto Pracy**	**Święto Pracy**	4^{22}	19^{03}	♑	—	9^{06}
2	Ś	Atanazego	Zygmunta	4^{20}	19^{04}	♒	0^{28}	10^{09}
3	Cz	Znal. św. Krzyża ☾	Moniki ☾	4^{19}	19^{06}	♒	0^{53}	11^{14}
4	P	Floriana	Floriana	4^{17}	19^{07}	♒	1^{16}	12^{19}
5	S	Powstanie ludu praskiego		4^{15}	19^{09}	♓	1^{37}	13^{27}
6	N	**5 po W. Rog. J.**	**5 po W. Rog. B.**	4^{13}	19^{10}	♓	1^{57}	14^{36}
7	P	Flawii	Flawii	4^{12}	19^{12}	♈	2^{19}	15^{47}
8	W	Stanisława	Stanisława	4^{10}	19^{13}	♉	2^{13}	17^{02}
9	Ś	**Święto państwowe Republiki Czechosłow.**		4^{08}	19^{15}	♉	3	18^{18}
10	Cz	*Wniebowst. P.* ●	*Wniebowst. P.* ●	4^{07}	19^{16}	♉	3^{45}	19^{34}
11	P	Mamerta b.	Wojciecha	4^{05}	19^{18}	♊	4^{27}	20^{45}
12	S	Pankracego	Pankracego	4^{04}	19^{19}	♊	5^{21}	21^{48}
13	N	**6 po W. Serw.**	**6 po W. Serw.**	4^{02}	19^{21}	♋	6^{26}	22^{4}
14	P	Bonifacego b.	Bonifacego	4^{01}	19^{22}	♋	7^{39}	23^{21}
15	W	Zofii	Zofii	3^{59}	19^{24}	♌	8^{57}	23^{54}
16	Ś	Jana Nepom.	Jana Nepom.	3^{58}	19^{25}	♌	10^{15}	
17	Cz	Paschalisa ☽	Brunona ☽	3^{57}	19^{26}	♍	11^{32}	0^{22}
18	P	Feliksa k.	Feliksa	3^{55}	19^{28}	♍	12^{48}	0^{46}
19	S	Celestyna	Potencjusza	3^{54}	19^{29}	♍	14^{01}	1^{09}
20	N	**Zielone Święta**	**Zesł. Ducha Św.**	3^{53}	19^{30}	♎	15^{13}	1^{31}
21	P	Heleny	Heleny	3^{52}	19^{32}	♎	16^{25}	1^{55}
22	W	Julii p.	Julii	3^{51}	19^{33}	♏	17^{34}	2^{22}
23	Ś	Dezyderiusza	Dezyderiusza	3^{49}	19^{34}	♏	18^{40}	[illegible]
24	Cz	Joanny wd. ☺	Zuzanny ☺	3^{48}	19^{36}	♐	[illegible]	3^{2}
25	P	Urbana	Urbana	3^{47}	19^{37}	♐	20^{34}	[illegible]
26	S	Filipa N.	Mieczysława	3^{46}	19^{38}	♐	21^{20}	[illegible]
27	N	**Trójcy Św. J. p.**	**Trójcy Św. Luc.**	3^{45}	19^{39}	♑	21^{58}	5
28	P	Magdaleny	Magdaleny	3^{44}	19^{40}	♑	[illegible]	6^{55}
29	W	Teodozji	Teodozji	3^{43}	19^{42}	♒	22^{56}	7^{57}
30	Ś	Feliksa pap.	Hilarego	3^{43}	19^{43}	♒	23^{19}	9^{0}
31	Cz	*Boże Ciało*	Petroneli	3^{42}	19^{44}	♒	23^{40}	10^{06}



FAZY KSIĘŻYCA:

Ostatnia kwadra ☾ dnia 3-go o godz. 3, min. 55. — Nów ● dnia 10-go o godz. 14, min. 4. — Pierwsza kwadra ☽ dnia 17-go o godz. 6, min. 15. — Pełnia ☺ dnia 24-go o godz. 16, min. 26.

Dnia przybywa o 1 godzinę 21 minut.



Partia i ludowo-demokratyczny rząd Republiki Czechosłowackiej w trosce o człowieka i podniesienie jego stopy życiowej, poświęciły wiele uwagi i niezmożonych wysiłków sprawie uprzemysłowienia kraju i budownictwu socjalistycznemu. W ostatnich latach powstał w Kończycach wielki kombinat hutniczy, sławna Huta im. Klementa Gottwalda. Na ilustracji fragment budowli hutniczych w Kończycach

....

....

....

---

1 maja Święto pracy. — Dzień wolny od pracy
5 maja 11 rocznica powstania ludu praskiego
138 rocznica urodzin Karola Marksa (1818)
7 maja Dzień czechosłowackiego radia
9 maja Święto państwowe Republiki Czechosłowackiej (11 rocznica wyzwolenia przez Armię Radziecką 1945). — Dzień wolny od pracy
14—17 maja 35 rocznica założenia KPCz (1921)
19 maja 66 rocznica urodzin Ho-Czi-Mina, prezydenta Republiki Demokratycznej Wietnamu
31 maja 54 rocznica urodzin Wiliama Široký'ego, premiera Rządu Republiki Czechosłowackiej i członka KC KPCz



Czerwiec

Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca wsch.	Słońca zach.	Znaki nieb.	Księżyca wsch.	Księżyca zach.
1	P	Gracjana ☾	Nikodema ☾	3^{41}	19^{45}	♓	—	11^{11}
		Międzynarodowy Dzień Dziecka						
2	S	Erazma	Efraima	3^{40}	19^{46}	♓	0^{00}	12^{16}
3	N	**2 po Z. Św. Kl.**	**1 po Fr. Św. Er.**	3^{40}	19^{47}	♈	0^{21}	13^{27}
4	P	Kwiryna	Karpazjusza	3^{39}	19^{48}	♈	0^{43}	14^{38}
5	W	Florencji p.	Florencji	3^{38}	19^{49}	♈	1^{08}	15^{53}
6	Ś	Norberta	Benigna	3^{38}	19^{49}	♉	1^{38}	17^{06}
7	Cz	Lukrecji	Lukrecji	3^{37}	19^{50}	♉	2^{16}	18^{22}
8	P	Medarda b. ●	Medarda ●	3^{37}	19^{51}	♊	3^{05}	19^{31}
9	S	Felicjana	Felicjana	3^{36}	19^{52}	♊	4^{05}	20^{29}
10	N	**3 po Z. Św. Z. Lidic**	**2 po Fr. Św. Z. Lid.**	3^{36}	19^{53}	♋	5^{17}	21^{16}
11	P	Barnaby ap.	Barnaby	3^{36}	19^{53}	♋	6^{36}	21^{54}
12	W	Onufrego	Bazylego	3^{35}	19^{54}	♌	7^{58}	22^{25}
13	Ś	Antoniego	Antoniego	3^{35}	19^{54}	♌	9^{18}	22^{51}
14	Cz	Bazylego	Tobiasza	3^{35}	19^{6}	♍	10^{36}	23^{14}
15	P	Wita ☽	Wita ☽	3^{35}	19^{56}	♍	11^{51}	23^{37}
16	S	Zenona	Justyny	3^{35}	19^{56}	♎	13^{04}	—
17	N	**4 po Z. Św. L.**	**3 po Fr. Św. L.**	3^{35}	19^{56}	♎	14^{16}	0^{01}
18	P	Marka	Marka	3^{35}	19^{57}	♏	15^{25}	0^{26}
19	W	Gerwazego	Protazego	3^{35}	19^{57}	♏	16^{32}	0^{55}
20	Ś	Reginy	Sylasa	3^{35}	19^{57}	♏	17^{33}	1^{28}
21	Cz	Alojzego G.	Albana	3^{35}	19^{58}	♐	18^{29}	2^{08}
22	P	Paulina b.	Achazego	3^{36}	19^{58}	♐	19^{17}	2^{54}
23	S	Wandy ○	Wandy ○	3^{36}	19^{58}	♑	19^{58}	3^{48}
24	N	**5 po Z. Św. J. Ch.**	**4 po Tr. Św. J. Ch.**	3^{36}	19^{58}	♑	20^{32}	4^{46}
25	P	Prospera b.	Prospera	3^{36}	19^{58}	♑	21^{00}	5^{47}
26	W	Jana i Pawła	Jeremiasza	3^{37}	19^{58}	♒	21^{24}	6^{51}
27	Ś	Władysława kr.	Władysława	3^{37}	19^{58}	♒	21^{46}	7^{55}
28	Cz	Leona pap.	Leona	3^{38}	19^{58}	♓	22^{06}	9^{00}
29	P	*Piotra i Pawła*	*Piotra i Pawła*	3^{38}	19^{58}	♓	22^{26}	10^{05}
30	S	Emilii	Lucyny	3^{39}	19^{58}	♓	22^{47}	11^{12}



FAZY KSIĘŻYCA:

Ostatnia kwadra ☾ dnia 1-go o godz. 20, min. 13. — Nów ● dnia 8-go o godz. 22, min. 29. — Pierwsza kwadra ☽ dnia 15-go o godz. 12, min. 56. — Pełnia ○ dnia 23-go o godz. 7, min. 13.

Do 21 czerwca przybywa dnia o 19 minut, następnie zaś do końca czerwca ubywa dnia o 4 minuty.



W 1955 roku upłynęło 800 lat od chwili założenia miasta Cieszyna. Zdjęcie przedstawia fragment ulicy Klementa Gottwalda w Czeskim Cieszynie

1 czerwca Międzynarodowy Dzień Dziecka
10 czerwca 14 rocznica zagłady Lidic
24 czerwca 14 rocznica zagłady Ležáků

Lipiec



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca wsch.	Słońca zach.	Znaki nieb.	Księżyca wsch.	Księżyca zach.
1	N	**6 po Z. Św. A.** ☾	**5 po Tr. Św. H.** ☾	3^{39}	19^{58}	♉	23^{10}	12^{20}
2	P	Nawiedz. N. M. P.	Marii	3^{40}	19^{57}	♉	23^{36}	13^{31}
3	W	Heliodora	Kornela	3^{41}	19^{57}	♉	—	14^{44}
4	Ś	Prokopa	Józefa K.	3^{42}	19^{56}	♉	0^{09}	15^{58}
5	Cz	Cyryla i Metodego — Pamiętny dzień CzSR		3^{43}	19^{56}	♊	0^{51}	17^{09}
6	P	Jana Husa — Pamiętny dzień CzSR		3^{43}	19^{55}	♊	1^{45}	18^{12}
7	S	Estery	Lecha	3^{44}	19^{55}	♋	2^{51}	19^{05}
8	N	**7 po Z. Św. K.** ●	**6 po Tr. Św. K.** ●	3^{45}	19^{54}	♋	4^{07}	19^{49}
9	P	Weroniki	Anatolii	3^{46}	19^{54}	♌	5^{30}	20^{23}
10	W	7 braci m.	Amalii	3^{47}	19^{53}	♌	6^{53}	20^{52}
11	Ś	Pelagii	Pelagii	3^{48}	19^{52}	♍	8^{15}	21^{58}
12	Cz	Jana Ew.	Henryka	3^{49}	19^{52}	♍	9^{34}	21^{42}
13	P	Małgorzaty p.	Małgorzaty	3^{50}	19^{51}	♎	10^{51}	22^{06}
14	S	Bonawentury ☽	Ziemowita ☽	3^{51}	19^{50}	♎	12^{04}	22^{31}
15	N	**8 po Z. Św. H.**	**7 po Tr. Św. R. A.**	3^{52}	19^{49}	♏	13^{15}	22^{58}
16	P	N. M. P. Szkapl.	Ruty	3^{53}	19^{48}	♏	14^{23}	23^{30}
17	W	Aleksego w.	Aleksego	3^{54}	19^{47}	♏	15^{27}	—
18	Ś	Szymona	Karoliny	3^{55}	19^{46}	♐	16^{24}	0^{08}
19	Cz	Wincentego a P.	Pawełki	3^{56}	19^{45}	♐	17^{15}	0^{52}
20	P	Eliasza pr.	Eliasza pr.	3^{58}	19^{44}	♑	17^{58}	1^{44}
21	S	Daniela pr.	Daniela pr.	3^{59}	19^{43}	♑	18^{34}	2^{39}
22	N	**9 po Z. Św. M. M.** ○	**8 po Tr. Św. M. M.** ○	4^{00}	19^{42}	♑	19^{04}	3^{39}
23	P	Apolinarego	Apolinarego	4^{01}	19^{01}	♒	19^{30}	4^{42}
24	W	Krystyny p.	Cyriaka	4^{03}	19^{39}	♒	19^{52}	5^{46}
25	Ś	Jakuba ap.	Jakuba ap.	4^{94}	19^{38}	♓	20^{13}	6^{51}
26	Cz	Anny	Anny	4^{05}	19^{37}	♓	20^{33}	7^{54}
27	P	Natalii	Marty	4^{07}	19^{35}	♓	20^{53}	9^{02}
28	S	Innocentego	Pantaleona	4^{08}	19^{34}	♉	21^{15}	10^{09}
29	N	**10 po Z. Św. M**	**9 po Tr. Św. O.**	4^{10}	19^{33}	♉	21^{39}	11^{17}
30	P	Heleny wd. ☾	Abdona ☾	4^{11}	19^{31}	♉	22^{09}	12^{28}
31	W	Ignacego L.	Bonawentury	4^{12}	19^{30}	♉	22^{45}	13^{39}



FAZY KSIĘŻYCA:
Ostatnia kwadra ☾ dnia 1-go o godz. 9, min. 40. — Now ● dnia 8-go o godz. 5, min. 37. — Pierwsza kwadra ☽ dnia 14-go o godz. 21, min. 46. — Pełnia ○ dnia 22-go o godz. 22, min. 29. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 30-go o godz. 20, min. 31.

Dnia ubywa o 1 godzinę i 1 minutę.



W lipcu 1955 odbył się w Czeskim Cieszynie Zjazd Polaków w Czechosłowacji. A oto widok pochodu . . .

2 lipca 7 rocznica śmierci Jerzego Dimitrowa (ur. 18. 6. 1882)
3 lipca Międzynarodowy Dzień Spółdzielczy
5 lipca Słowiańscy apostołowie Cyryl i Metody. — Pamiętny dzień CzSR
6 lipca 541 rocznica spalenia Mistrza Jana Husa. — Pamiętny dzień CzSR
11 lipca Święto państwowe Mongolskiej Republiki Ludowej
22 lipca Święto państwowe Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej

Sierpień



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca wsch.	Słońca zach.	Znaki nieb.	Księżyca wsch.	Księżyca zach.
1	Ś	Piotra w ok.	Piotra	4^{13}	19^{28}	♊	23^{32}	14^{49}
2	Cz	Porcjunkuli	Gustawa	4^{15}	19^{27}	♊	—	15^{54}
3	P	Znal. św. Szczep.	Augusta	4^{1}[illegible]	19^{25}	♊	0^{30}	16^{51}
4	S	Dominika w.	Dominika	4^{18}	19^{23}	♋	1^{39}	17^{39}
5	N	**11 po Z. Św. N. M. P. Śn.**	**10 po Tr. Św. Os.**	4^{19}	19[illegible]	♋	2^{58}	18^{16}
6	P	Przem. Pańskie ●	Sykstusa ●	4^{21}	19^{20}	♌	4^{22}	18^{50}
7	W	Kajetana w.	Donata	4^{22}	19^{18}	♌	5^{46}	19^{18}
8	Ś	Cyriaka	Krystyny	4^{23}	19^{17}	♍	7^{08}	19^{44}
9	Cz	Romana	Romana	4^{25}	19^{15}	♍	8^{28}	20^{08}
10	P	Wawrzyńca	Wawrzyńca	4^{27}	19^{13}	♎	9^{45}	20^{34}
11	S	Zuzanny p.	Zuzanny	4^{28}	19^{11}	♎	11^{00}	21^{01}
12	N	**12 po Z. Św. Kl.**	**11 po Tr. Św. Kl.**	4^{29}	19^{10}	♏	12^{11}	21^{32}
13	P	Hipolita ◗	Kasjana ◗	4^{31}	19^{08}	♏	13^{17}	22^{08}
14	W	Euzebiusza	Euzebiusza	4^{32}	19^{06}	♐	14^{17}	22^{51}
15	Ś	Wniebowz. N. M. P.	Marii	4^{34}	19^{04}	♐	15^{11}	23^{39}
16	Cz	Jacka i Rocha	Rocha	4^{3}[illegible]	19^{02}	♐	15^{58}	—
17	P	Mirona	Anastazego	4^{37}	19^{00}	♑	16^{34}	0^{33}
18	S	Heleny	Heleny	4^{38}	18^{58}	♑	17^{07}	1^{32}
19	N	**13 po Z. Św. Ben.**	**12 po Tr. Św. Em.**	4^{40}	18^{56}	♒	17^{34}	2^{34}
20	P	Bernarda op.	Bernarda	4^{41}	18^{54}	♒	17^{58}	3^{36}
21	W	Joanny wd. ○	Wiesława ○	4^{43}	18^{52}	♒	18^{19}	4^{42}
22	Ś	Tymoteusza	Tymoteusza	4^{44}	18^{51}	♓	18^{40}	5^{48}
23	Cz	Filipa B.	Zacheusza	4^{46}	18^{49}	♓	19^{00}	6^{53}
24	P	Bartłomieja	Bartłomieja	4^{47}	18^{46}	♈	19^{22}	8^{00}
25	S	Ludwika kr.	Ludwika	4^{49}	18^{44}	♈	19^{46}	9^{08}
26	N	**14 po Z. Św. Al.**	**13 po Tr. Św. Zef.**	4^{50}	18^{42}	♉	20^{13}	10^{17}
27	P	Róży p.	Mariana	4^{52}	18^{40}	♉	20^{46}	11^{27}
28	W	Augustyna b.	Augustyna	4^{53}	18^{38}	♉	21^{28}	12^{36}
29	Ś	**Słowackie Powstanie Narodowe — Pamiętny dzień Republiki Czechosłowackiej** ☾		4^{55}	18^{36}	♊	22^{19}	13^{41}
30	Cz	Ciesz. N. M. P.	Rebeki	4^{56}	18^{34}	♊	23^{22}	14^{40}
31	P	Rajmunda w.	Hilarii	4^{58}	18^{32}	♋	—	15^{30}



FAZY KSIĘŻYCA:

Nów ● dnia 6-go o godz. 12, min. 25. — Pierwsza kwadra ◗ dnia 13-go o godz. 9, min. 45. — Pełnia ○ dnia 21-go o godz. 13, min. 38. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 29-go o godz. 5, min. 13.

Dnia ubywa o 1 godzinę 41 minut.



W licznych ośrodkach przemysłowych Śląska czechosłowackiego z roku na rok powstają coraz to nowe bloki mieszkaniowe dla człowieka pracy. Powstają nowe miasta socjalistyczne i osiedla. Wiele takich osiedli powstaje także w okolicy Trzyńca — na zdjęciu jedno z nich — domy dla hutników pobudowane w dzielnicy Trzyńca na tak zwanej „Sośnie"

15 sierpnia Święto państwowe Koreańskiej Republiki Ludowej
23 sierpnia Święto państwowe Rumuńskiej Republiki Ludowej
29 sierpnia 12 rocznica Słowackiego Powstania Narodowego (1944). — Pamiętny dzień CzSR

Wrzesień



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca wsch.	Słońca zach.	Znaki nieb.	Księżyca wsch.	Księżyca zach.
1	S	Bronisławy p.	Idziego	4^{59}	18^{30}	♋	0^{31}	16^{12}
2	N	**15 po Z. Św. St.**	**14 po Tr. Św. St.**	5^{01}	18^{28}	♌	1^{53}	16^{46}
3	P	Eufrozyny p.	Bronisławy	5^{02}	18^{26}	♌	3^{15}	17^{16}
4	W	Rozalii ●	Rozalii ●	5^{04}	18^{23}	♍	4^{38}	17^{43}
5	Ś	Urbana pap.	Wawrzyńca	5^{05}	18^{21}	♍	5^{59}	18^{08}
6	Cz	Zachariasza	Bolesława	5^{07}	18^{19}	♎	7^{19}	18^{34}
7	P	Reginy	Reginy	5^{08}	18^{17}	♎	8^{36}	19^{01}
8	S	Narodz. N. M. P.	Marii	5^{10}	18^{15}	♏	9^{51}	19^{32}
9	N	**16 po Z. Św. Dz. Górn.**	**15 po Tr. Św. Dz. G.**	5^{11}	18^{13}	♏	11^{61}	20^{07}
10	P	Mikołaja z Tol.	Jodoka	5^{13}	18^{10}	♐	12^{05}	20^{47}
11	W	Prota i Jacka	Prota	5^{14}	18^{08}	♐	13^{02}	21^{34}
12	Ś	Tobiasza ☽	Gwidona ☽	5^{16}	18^{06}	♐	13^{51}	22^{27}
13	Cz	Aureliusza	Aureliusza	5^{17}	18^{04}	♑	14^{32}	23^{24}
14	P	Podw. św. Krzyża	Podw. św. Krzyża	5^{18}	18^{02}	♑	15^{07}	—
15	S	Nikodema	Nikodema	5^{20}	18^{00}	♒	15^{36}	0^{25}
16	N	**17 po Z. Św. Kor.**	**16 po Tr. Św. Lud.**	5^{22}	17^{57}	♒	16^{01}	1^{28}
17	P	Justyny p.	Kornela	5^{23}	17^{55}	♒	16^{24}	2^{32}
18	W	Tomasza z W.	Tytusa	5^{25}	17^{53}	♓	16^{45}	3^{37}
19	Ś	Januarego	Konstancji	5^{26}	17^{51}	♓	17^{06}	4^{43}
20	Cz	Eustachego ○	Eustachego ○	5^{28}	17^{49}	♈	17^{28}	5^{50}
21	P	Mateusza ap.	Mateusza ap.	5^{29}	17^{46}	♈	17^{51}	6^{58}
22	S	Maurycego	Maurycego	5^{31}	17^{44}	♈	18^{18}	8[illegible]
23	N	**18 po Z. Św. Tek.**	**17 po Tr. Św. Tek.**	5^{32}	17^{42}	♉	18^{50}	9^{18}
24	P	Mieczysława	Mieczysława	5^{34}	17^{40}	♉	19^{29}	10^{27}
25	W	Kleofasa	Kleofasa	5^{35}	17^{37}	♊	20^{17}	11^{33}
26	Ś	Jozafata b. m.	Cypriana	5^{37}	17^{35}	♊	21^{15}	12^{33}
27	Cz	Władysława ☾	Władysława ☾	5^{38}	17^{33}	♋	22^{22}	13^{25}
28	P	Wacława kr.	Wacława	5^{40}	17^{31}	♋	23^{36}	14^{08}
29	S	Michała arch.	Michała	5^{41}	17^{29}	♌	—	14^{44}
30	N	**19 po Z. Św. Hier.**	**18 po Tr. Św. Hier.**	5^{43}	17^{26}	♌	0^{54}	15^{15}



FAZY KSIĘŻYCA:

Nów ● dnia 4-go o godz. 19, min. 57. — Pierwsza kwadra ☽ dnia 12-go o godz. 1, min. 13. — Pełnia ○ dnia 20-go o godz. 4, min. 19. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 27-go o godz. 12, min. 25.

Dnia ubywa o 1 godzinę 48 minut.



Na ogólnopaństwowym Konkursie Twórczości Ludowej 1955 zespoły PZKO odniosły szereg wybitnych sukcesów. Był to chór „Przełęcz" z Mostów przy Jabłonkowie (na ilustracji), kwartet śpiewaczy „Misie" z Karwiny, zespół taneczny PZKO z Sibicy a także w dziale recytacji Anna Zamarska z Trzyńca. Na tym samym KTL znany kwartet smyczkowy pod kierownictwem trzynieckiego kompozytora Pawła Kalety został odznaczony za swą twórczość artystyczną złotym medalem

2 września Święto państwowe Wietnamskiej Republiki Ludowej
6 września 56 rocznica urodzin Walko Czerwenkowa, premiera Rządu Bułgarskiej Republiki Ludowej, gen. sekretarza KP Bułgarii (1900)
7 września Dzień lotnictwa czechosłowackiego
8 września 13 rocznica zamordowania bohatera narodowego Juliusza Fučika
9 września Dzień Górników
17 września Święto państwowe Bułgarskiej Republiki Ludowej
40 rocznica urodzin Jundzagijma Cedenbala, prezesa Rady Ministrów Mongolskiej Republiki Ludowej
23 września 64 rocznica urodzin G. Dajmanowa, przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego Bułgarskiej Republiki Ludowej (1892)
30 września 18 rocznica zdrady monachijskiej



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca wsch.	Słońca zach.	Znaki nieb.	Księżyca wsch.	Księżyca zach.
1	P	Remigiusza	Benigna	5^{45}	17^{24}	♍	2^{13}	15^{42}
2	W	*Święto Pokoju*	*Święto Pokoju*	5^{46}	17^{22}	♍	3^{33}	16^{08}
3	Ś	Teresy od Dz. J.	Łukrecji	5^{47}	17^{20}	♎	4^{52}	16^{33}
4	Cz	Franciszka S. ●	Franciszka S. ●	5^{49}	17^{18}	♎	6^{10}	17^{00}
5	P	Placyda	Flawii	5^{51}	17^{16}	♎	7^{26}	17^{29}
6	S	Dzień Armii Czsł.	Dzień Armii Czsł.	5^{52}	17^{13}	♏	8^{39}	18^{03}
7	N	**20 po Z. Św. Just.**	**19 po Tr. Św. Szcz.**	5^{54}	17^{11}	♏	9^{48}	18^{42}
8	P	Brygidy	Pelagii	5^{55}	17^{09}	♐	10^{49}	19^{27}
9	W	Dionizego	Dionizego	5^{57}	17^{07}	♐	11^{42}	20^{18}
10	Ś	Franciszka B.	Franciszka B.	5^{58}	17^{05}	♑	12^{27}	21^{14}
11	Cz	Wincentego K. ☽	Emiliana ☽	6^{00}	17^{03}	♑	13^{05}	22^{50}
12	P	Maksymiliana	Maksymiliana	6^{02}	17^{01}	♑	13^{36}	23^{16}
13	S	Edwarda kr.	Kaliksta	6^{03}	16^{59}	♒	14^{03}	—
14	N	**21 po Z. Św. Kal.**	**20 po Tr. Św. Edw.**	6^{05}	16^{97}	♒	14^{26}	0^{19}
15	P	Jadwigi	Jadwigi	6^{06}	16^{55}	♓	14^{48}	1^{23}
16	W	Gawła	Gawła	6^{08}	16^{53}	♓	15^{09}	2^{28}
17	Ś	Małgorzaty	Florentego	6^{09}	16^{51}	♓	15^{31}	3^{35}
18	Cz	Łukasza ew.	Łukasza ew.	6^{11}	16^{49}	♈	15^{54}	4^{43}
19	P	Urszuli p. ○	Piotra ○	6^{13}	16^{47}	♈	16^{20}	5^{53}
20	S	Ireny	Eunice	6^{14}	16^{45}	♉	16^{51}	7^{04}
21	N	**22 po Z. Św. Kord.**	**21 po Tr. Św. Ur.**	6^{16}	16^{43}	♉	17^{28}	8^{16}
22	P	Jana Kap.	Korduli	6^{18}	16^{41}	♊	18^{14}	9^{24}
23	W	Rafała	Seweryna	6^{19}	16^{39}	♊	19^{10}	10^{27}
24	Ś	Piotra z Al.	Salomei	6^{21}	16^{37}	♋	20^{15}	11^{22}
25	Cz	Jana Kant.	Ziemowita	6^{23}	16^{35}	♋	21^{26}	12^{08}
26	P	Ewarysta p. m. ☾	Ewarysta ☾	6^{24}	16^{33}	♋	22^{42}	12^{45}
27	S	Sabiny m.	Sabiny	6^{26}	16^{31}	♌	23^{59}	13^{17}
28	N	**Dzień unarodowienia**	**Dzień unarodowienia**	6^{27}	16^{30}	♌	—	13^{45}
29	P	Narcyza b.	Narcyza	6^{29}	16^{28}	♍	1^{16}	14^{10}
30	W	Klaudiusza	Klaudiusza	6^{31}	16^{26}	♍	2^{33}	14^{35}
31	Ś	Lucylli	*Pam. Reformacji*	6^{32}	16^{24}	♎	3^{49}	15^{00}



FAZY KSIĘŻYCA:

Nów ● dnia 4-go o godz. 5, min. 24. — Pierwsza kwadra ☽ dnia 11-go o godz. 19, min. 44. — Pełnia ○ dnia 19-go o godz. 18, min. 24. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 26-go o godz. 19, min. 2.

Dnia ubywa o 1 godzinę 48 minut.



Ciężkie było w burżuazyjnej Republice życie naszych beskidzkich górali. Dopiero nowy demokratyczny ustrój umożliwił góralom beskidzkim krzewienie ich swoistej kultury i kultywowania pięknego folkloru. Dorocznym pokazem tych wysiłków — to „Święto Góralskie" urządzane w Jabłonkowie

....

....

....

....

....

....

---

1 października Święto państwowe Chińskiej Republiki Ludowej (1949)
6 października Dzień Armii Czechosłowackiej
7 października Święto państwowe Niemieckiej Republiki Demokratycznej (1949)
16 października 48 rocznica urodzin generała Envera Hodży, premiera rządu Ludowej Republiki Albańskiej, gen. sekretarza Albańskiej Partii Robotniczej (1908)
28 października Dzień unarodowienia. — Dzień wolny od pracy



Listopad



MIESIĄC PRZYJAŹNI

Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca wsch.	Słońca zach.	Znaki nieb.	Księżyca wsch.	Księżyca zach.
1	Cz	*Wszystkich Świętych*	Wszystkich Świętych	6^{34}	16^{23}	♎	5^{05}	15^{28}
2	P	Dzień Zaduszny ●	Dzień Zaduszny ●	6^{36}	16^{21}	♏	6[illegible]	15^{59}
3	S	Huberta b.	Bogumiła	6^{37}	16^{19}	♏	7^{29}	16^{36}
4	**N**	**24 po Z. Św. Kar.**	**23 po Tr. Św. Mod.**	6^{39}	16^{18}	♐	8^{34}	17^{18}
5	P	Zachariasza	Elżbiety	6^{41}	16^{16}	♐	9^{31}	18^{07}
6	W	Lidii	Lidii	6^{42}	16^{14}	♐	10^{20}	19^{02}
7	Ś	**Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa — Pamiętny dzień RCzS**		6^{44}	16^{13}	♑	11^{01}	20^{01}
8	Cz	Maura	Maura	6^{46}	16^{11}	♑	11^{35}	21^{03}
9	P	Teodora	Teodora	6^{47}	16^{10}	♒	12^{03}	22^{06}
10	S	Andrzeja z A. ☽	Nimfy p. ☽	6^{49}	16^{08}	♒	12^{28}	23^{09}
11	**N**	**25 po Z. Św. Marc.**	**24 po Tr. Św. Marc.**	6^{51}	16^{07}	♒	12^{50}	—
12	P	5 Braci Polaków	Jonasza	6^{52}	16^{05}	♓	13^{12}	0^{13}
13	W	Dydaka w.	Homobona	6^{54}	16^{04}	♓	13^{33}	1^{18}
14	Ś	Hipacego	Serafiona	6^{56}	16^{03}	♈	13^{55}	2^{35}
15	Cz	Słanisława K.	Leopolda	6^{57}	16^{01}	♈	14^{19}	3^{33}
16	P	Edmunda	Edmunda	6^{59}	16^{00}	♉	14^{48}	4^{44}
17	S	Międz. Dzień Stud.	Międz. Dzień Stud.	7^{01}	15^{59}	♉	15^{23}	5^{56}
18	**N**	**26 po Z. Św. Rom.** ○	**25 po Tr. Św. Grz.** ○	7^{02}	15^{58}	♉	16^{06}	7^{08}
19	P	Elżbiety kr.	Elżbiety kr.	7^{04}	15^{57}	♊	16^{59}	8^{15}
20	W	Feliksa de V.	Feliksa	7^{05}	15^{56}	♊	18^{03}	9^{15}
21	Ś	Ofiar. N. P. M.	Marii	7^{07}	15^{55}	♋	19^{15}	10^{05}
22	Cz	Cecylii p.	Cecylii	7^{08}	15^{54}	♋	20^{31}	10^{46}
23	P	Urodz. Kl. Gottwalda	Urodz. Kl. Gottwalda	7^{10}	15^{53}	♌	21^{49}	11^{20}
24	S	Jana od Krz.	Emilii	7^{11}	15^{52}	♌	23^{06}	11^{49}
25	**N**	**27 po Z. Św. Kat.** ☾	**26 po Tr. Św. Kat.** ☾	7^{13}	15^{51}	♍	—	12^{15}
26	P	Konrada	Konrada	7^{14}	15^{50}	♍	0^{22}	12^{39}
27	W	Waleriana	Waleriana	7^{16}	15^{49}	♎	1^{37}	13^{04}
28	Ś	Zdzisława	Zdzisława	7^{17}	15^{48}	♎	2^{51}	13^{30}
29	Cz	Saturnina	Bogdana	7^{19}	15^{48}	♏	4^{04}	13^{59}
30	P	Andrzeja ap.	Andrzeja	7^{20}	15^{47}	♏	5^{14}	14^{33}



FAZY KSIĘŻYCA:

Nów ● dnia 2-go o godz. 17, min. 43. — Pierwsza kwadra ☽ dnia 10-go o godz. 16, min. 9. — Pełnia ○ dnia 18-go o godz. 7, min. 44. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 25-go o godz. 2, min. 12.
Dnia ubywa o 1 godzinę 22 minuty.



Koło PZKO w Karwinie-Solcy bezinteresownie i ofiarnie poprzez robocze brygady swych członków zbudowało swój własny Domek Kultury, aby posiadać lokal na urządzanie wieczorów świetlicowych i imprez kulturalnych. Ten Domek Kultury otwarto w drugiej połowie 1955 roku, wystawiając w nim na zagajenie działalności regionalną sztukę K. Bergera p. t. „Nawrócony". Na zdjęciu zespół, który odegrał „Nawróconego"

....

....

....

....

....

---

7 listopada	39 rocznica Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej (1917) — Pamiętny dzień CzSR
8 listopada	55 rocznica urodzin Gheorghe Gheorghiu Deja, prezesa Rady Ministrów Rumuńskiej Republiki Ludowej, sekretarza gen. Rumuńskiej Partii Robotniczej (1901)
10 listopada	12 rocznica śmierci bohatera narodowego Jana Švermy (1914)
17 listopada	Międzynarodowy Dzień Studentów
23 listopada	60 rocznica urodzin prezydenta Republiki Czechosłowackiej Klementa Gottwalda, przewodniczącego KPCz (1896)
28 listopada	136 rocznica urodzin Fryderyka Engelsa (1820)
29 listopada	Święto państwowe Albańskiej Republiki Ludowej

Grudzień



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca wsch.	Słońca zach.	Znaki nieb.	Księżyca wsch.	Księżyca zach.
1	S	Eligiusza	Długosza	7^{21}	15^{46}	♏	6^{20}	15^{12}
2	N	**1 Adw. Aur.** ●	**1 Adw. Aur.** ●	7^{23}	15^{46}	♐	7^{20}	15^{58}
3	P	Franciszka K.	Kasjana	7^{24}	15^{45}	♐	8^{13}	16^{51}
4	W	Barbary p. m.	Barbary	7^{25}	15^{45}	♑	8^{57}	17^{49}
5	Ś	Saby op.	Saby	7^{26}	15^{44}	♑	9^{34}	18^{50}
6	Cz	Mikołaja b.	Mikołaja	7^{28}	15^{44}	♒	10^{05}	19^{52}
7	P	Ambrożego	Agaty	7^{29}	15^{44}	♒	10^{31}	20^{55}
8	S	*Niep. P. N. M. P.*	*Dzień Pokutny*	7^{30}	15^{44}	♒	10^{54}	21^{59}
9	N	**2 Adw. Leok.**	**2 Adw. Joach.**	7^{31}	15^{43}	♓	11^{15}	23^{02}
10	P	N. M. P. Loret. ☽	Judyty ☽	7^{32}	15^{43}	♓	11^{36}	—
11	W	Damazego pap.	Danuty	7^{33}	15^{43}	♈	11^{57}	0^{07}
12	Ś	Zenona m.	Epimacha	7^{34}	15^{43}	♈	12^{19}	1^{13}
13	Cz	Łucji p.	Łucji	7^{35}	15^{43}	♈	12^{45}	2^{21}
14	P	Spiridiona	Nikazego	7^{36}	15^{43}	♉	13^{16}	3^{32}
15	S	Waleriana b.	Ignacego	7^{37}	15^{44}	♉	13^{56}	4^{44}
16	N	**3 Adw. Alb.**	**3 Adw. An.**	7^{38}	15^{44}	♊	14^{13}	5^{54}
17	P	Łazarza b. ○	Łazarza ○	7^{38}	15^{44}	♊	15^{43}	6^{58}
18	W	Gracjana	Olimpii	7^{39}	15^{44}	♋	16^{35}	7^{55}
19	Ś	Urodziny Prezydenta CzSR Ant. Zápotockiego		7^{40}	15^{45}	♋	18^{11}	8^{42}
20	Cz	Teofila m.	Teofila	7^{40}	15^{45}	♌	19^{31}	9^{20}
21	P	Urodziny J. W. Stalina	Urodziny J. W. Stalina	7^{41}	15^{45}	♌	20^{52}	9^{52}
22	S	Aleksego	Beaty	7^{41}	15^{46}	♍	22^{10}	10^{19}
23	N	**4 Adw. Wikt.**	**4 Adw. Wikt.**	7^{42}	15^{46}	♍	23^{27}	10^{45}
24	P	Adama i Ewy ☾	Adama i Ewy ☾	7^{42}	15^{47}	♎	—	11^{09}
25	W	**Boże Narodzenie**	**Narodz. Chr. P.**	7^{43}	15^{48}	♎	0^{42}	11^{35}
26	Ś	**Szczepana**	**Szczepana**	7^{43}	15^{48}	♏	1^{54}	12^{03}
27	Cz	Jana ew.	Jana ew.	7^{43}	15^{49}	♏	3^{04}	12^{34}
28	P	Młodzianków	Młodzianków	7^{43}	15^{50}	♏	4^{11}	13^{11}
29	S	Tomasza Kant.	Jonatana	7^{44}	15^{51}	♐	5^{13}	13^{54}
30	N	**N. po B. N. Daw.**	**N. po B. N. Daw.**	7^{44}	15^{52}	♐	6^{07}	14^{44}
31	P	Sylwestra pap.	Boguchwała	7^{44}	15^{53}	♑	6^{54}	15^{39}



FAZY KSIĘŻYCA:

Nów ● dnia 2-go o godz. 9, min. 12. — Pierwsza kwadra ☽ dnia 10-go o godz. 12, min. 51. — Pełnia ○ dnia 17-go o godz. 20, min. 6. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 24-go o godz. 11, min. 10.

Do 21 grudnia ubywa dnia o 21 minut, następnie zaś do końca grudnia przybywa dnia o 5 minut.



Dzisiaj praca w trzynieckiej koksowni jest pracą radosną . . .

5 grudnia 20 rocznica ogłoszenia Konstytucji Stalinowskiej ZSRR
12 grudnia 13 rocznica zawarcia umowy o sojuszu, przyjaźni i wzajemnej pomocy między Czechosłowacją i Związkiem Radzieckim (1943)
19 grudnia 72 rocznica urodzin Prezydenta republiki Antonina Zápotocký'ego (1884)
21 grudnia 77 rocznica urodzin Józefa Wissarionowicza Stalina (1879).
26 grudnia 63 rocznica urodzin Mao-Tse-Tunga, prezesa Centralnej Ludowej Rady Rządowej Chińskiej Republiki Ludowej i przewodniczącego KP Chin (1893)

JÓZEF KRZYWOŃ

Marsz zwycięski

Świat dzwoni roześmianym staccatem roboty
Mieszarek, łopat, młotów,
Dźwigów, lokomotyw,
Pchnięty potężnym, raźnym roboczych rąk obrotem.
Zwycięzcy kombajnierzy kruszą węgla czarne ściany,
By zgasić księżyc gwiazd czerwonych zniczem.
W ciszy ogrodów, wśród bzów, fontann rozigranych
Pałace świecą śmiechem wczasów robotniczych...
Ojczyzna zdobi się w kołyski i wieże,
Życia żar łukiem stali tryska jaśniej, prędzej.
Na polach urodzaju armia maszyn strzeże,
Zakwita zboże nowe bez kąkolu — nędzy...
Od łanów po łany,
Od hali do hali
Mocą słów zasianych
Rosną ludzie śmiali.
Rosną codzień —
Ci z ciemnic kopalni,
Ci od mieszarek, łopat, lokomotyw,
Od dźwigów, książek, starzy i młodzi.
Gigantyczne wodospady
Rozjarzą elektrycznością komunizmu dzień,
Bo ludzie — my — damy rady,
Aby śnić rzeczywisty, prosty sen bez śnień.
Wszyscy mieszkać będą w domach jasnych,
Koło szkół, teatrów, boisk zieleń zaszumi,
Góry błękit dadzą życiu a woń świeżą lasy,
Wszyscy pracować będą szczęśliwi i rozumni.
Miasta i wsie,
Gdzie rośniem w socjalizm, gdzie żyjem
Nie spłoną, próżny wrogów gniew,
Złej, upiornej żądzy czyjejś!
Choć tysiące bomb i szrapneli
Na wiwat wiecznych lat ustroju — trupa
Zbrodniarzy trupa
W robocze piersi chce wystrzelić — — —
Świat jest szeroki i daleki
A wszędzie słońca pełen...
Nie będziesz więcej drżał człowieku,
Posłusznym, ludzkim świat jest dziełem!
Ponad zastygłe ciała,
Ponad ziemię wczoraj skrwawioną,
Ponad ulice stumilionów
Wzleciała biała gołębica.
Nie krasnopióra wróżka bladych marzeń —
Lecz wola miliarda rąk, szerokich jak świat,
Gdzie skupione, śmiałe twarze
Patrzą w światło Związku Republik Rad.

JÓZEF KRZYWOŃ



JÓZEF MRÓZEK

Rok ubiegły w wydarzeniach światowych i pracy Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji

Rok, który został za nami, bogaty był w ważne i doniosłe wydarzenia i wypadki, które dokonały się na arenie polityki światowej, walka o pokój, kontynuowana z niesłabnącą energią przez Związek Radziecki, państwa demokracji ludowej oraz wszystkich postępowych ludzi na świecie, zanotowała nowe sukcesy, święciła nowe, nieprzeciętne triumfy. Nie dziwi nas podobne zjawisko. Nie dziwi nas dlatego, ponieważ wiemy, że idea pokoju i zgody między narodami zdobywa coraz to nowe pozycje, znajduje coraz żywszy oddźwięk w sercach ludzi, którzy coraz wyraźniej poczynają rozumieć w czym spoczywa szczęście i dobrobyt narodów, szczęście całej ludzkości.

W obliczu wydarzeń, które zanotował rok ubiegły coraz mocniej rysują się zręby spokojnej i szczęśliwej przyszłości, nie zagrożonej przez katastrofę nowej wojny, wzrasta pewność, że utrzymanie pokoju leży naprawdę w granicach ludzkich możliwości, że walka o pokój jest sprawą niezmiernie ważną, doniosłą i potrzebną. Istnieją wszelkie dane, że z walki tej wyjdziemy zwycięsko. Trzeba tylko, abyśmy w niej wytrwali, byśmy nie pozwolili na jej osłabienie, aby inicjatywa znajdowała się zawsze w naszych rękach. Nasze usiłowania powinny zmierzać w tym kierunku, by walka o pokój stała się sprawą wszystkich ludzi pracy na całym świecie, bez względu na ich przekonanie. Takie są zasady walki o wielką rzecz. Należy tak postępować, by bój zakończył się naszym zwycięstwem. Ten obraz wypadków przemawia do każdego człowieka miłującego życie i radość, dobitnym wyrazem mobilizuje do dalszej walki i tych, którzy dotąd obojętnie patrzyli na zmaganie milionów, nie uważając za stosowne przyłożyć ręki do dzieła. Z tym wszystkim, co przyniósł rok ubiegły, powinni się liczyć i ci, którzy jedynie w wojnie widzą rozwiązanie wszystkich spornych kwestii i problemów istniejących w stosunkach między poszczególnymi narodami. Ci ludzie powinni zrozumieć, że i oni muszą się liczyć z opinią publiczną, że nie można na długą metę karmić świata demagogicznymi hasłami, kłamstwem i intrygą, gdyż są to dawno już wyświechtane sposoby i dzisiaj nie potrafią zakryć prawdziwego celu takiej polityki, chcącej na zewnątrz znaleźć pokrycie w chytrym głoszeniu zwodniczych haseł o obronie zachodniej cywilizacji. Coraz mniej ludzi wierzy w te brednie, którymi chcą zbrodniarze wojenni uzasadnić swoją brudną politykę agresji, niewoli i uciemiężania.

Rok ubiegły był brzemienny w wypadki, które powinny otworzyć oczy imperialistom zachodnim, zmusić ich do zastanowienia się nad swym dotychczasowym postępowaniem, droga którego prowadzi do własnej katastrofy. Od tej katastrofy nie uchroni imperializm ani wojna światowa, która pod hasłem rzekomej obrony jest przygotowywana. Istnieje inna droga dla załatwienia wszystkich sporów i sprzeczności między narodami czy też ustrojami państw. Droga ta prowadzi do zgodnego współżycia narodów i istniejących ustrojów, prowadzi do pokoju, szczęścia i radości. Związek Radziecki tę właśnie wybrał drogę, wskazał na możliwości współżycia pokojowego istnienia obu światowych ustrojów. Owszem współżycie to jest uwarunkowane szczerością i otwartością postępowania obu stron, chęcią współżycia oraz wzajemnym zaufaniem. Naszemu obozowi pokoju nie będzie sprawiało żadnych trudności dotrzymywanie wymienionych warunków, ponieważ cała nasza dotych-



W roku 1955 odbyła się w Cz. Cieszynie Wystawa Śląska Cieszyńskiego. Na ilustracji stoisko wystawowe księgarni PZKO

czasowa polityka kieruje się tymi właśnie zasadami. Pójdzie teraz o to, czy druga strona potrafi zerwać z dotychczasową linią swej polityki, w której na próżno byśmy upatrywali wyżej wspomnianych cech, czy potrafi odwzajemnić się podobną szczerością i otwartością jaka cechuje wszystkie propozycje i wnioski światowego obozu pokoju.

Wszystko wskazuje na to, że rok ubiegły był jakby przełomem na tym właśnie odcinku i w tych sprawach. Nie należy jednak uważać, że cała dotychczasowa polityka Zachodu uległa gruntownej zmianie. Dalecy jesteśmy

od podobnego twierdzenia. Są jednakże pewne symptomy, które przemawiają za tym, że coś nowego w stosunkach międzynarodowych zaszło. Jakie okoliczności wpłynęły na tę bądź co bądź widoczną zmianę? Sądzić należy, że mimo wszystko nawet bezwzględni imperialiści liczyć się muszą z opinią publiczną. Presja tej opinii jest już dziś tak wielka, że nie może być ignorowana przez polityków Zachodu. Zresztą wszystkie wydarzenia, które miały miejsce w roku ubiegłym, dały chyba drugiej stronie dużo do myślenia i niewątpliwie mocno zaciążyły na umysłach tamtejszych prowodyrów. Przypomnijmy sobie po krótce wypadki roku ubiegłego. Sami się przekonamy, że ciężar gatunkowy wydarzeń politycznych był tego rodzaju, że musiał zaważyć na umysłach polityków imperialistycznych. Mogłoby się wprawdzie powiedzieć, że rozpoczęliśmy rok ubiegły sukcesem przeciwnego obozu — zatwierdzeniem umów paryskich przez parlamenty państw zachodnich. Czyż jednak był to sukces? Zważywszy wszystkie okoliczności, które towarzyszyły całej akcji stwierdzić musimy, że było to „zwycięstwo pyrrusowe''. Ratyfikacja umów paryskich nie usunęła przeciwieństw między poszczególnymi partnerami, nie przyczyniła się w niczym do skonsolidowania stosunków na Zachodzie. Dosadną odpowiedzią na ratyfikację umów paryskich była Konferencja Warszawska, w której wzięły udział wszystkie europejskie państwa demokracji ludowej oraz jako obserwator Chiny Ludowe. Wynik tej konferencji — to umowa wojskowa obejmująca wszystkie biorące udział w konferencji państwa, umowa o charakterze obronnym i otwarta dla każdego państwa, które by wyraziło ochotę przystąpienia do niej. Ten zaś wypadek przekreślił w zupełności reklamowaną ratyfikację umów paryskich.

Nie sposób opisywać szeroko wszystkiego co zaszło. W każdym razie, czy już to była konferencja w Bandungu, czy podróż premiera Indii p. Nehru do Związku Radzieckiego i państw demokracji ludowej lub wreszcie Zjazd Obrońców Pokoju w Helsinkach, konferencja ministrów spraw zagranicznych z udziałem Chin Ludowych oraz odwiedziny delegacji rządu radzieckiego w Belgradzie, wszystkie te wydarzenia miały charakter pokojowy, przemawiały za pokojem, domagały się pokoju. To jest niezmiernie ważna okoliczność, nad którą nie będą mogli przejść do porządku nawet ci, którzy chcą sobie uzurpować prawo panowania nad całym światem.

Wszystkie powyżej wymienione zdarzenia były jakby uwerturą do wielkiego wydarzenia, które miało miejsce w miesiącu lipcu 1955 w Genewie. Mamy na myśli spotkanie najwyższych przedstawicieli czterech mocarstw, które odbyło się w tym mieście. Było to od zakończenia drugiej wojny światowej pierwsze podobne spotkanie. Nic więc dziwnego, że cały świat z wielkim zainteresowaniem i ciekawością czekał na jej wyniki. I o dziwo! Cały świat śledząc przebieg obrad w Genewie, przekonał się, że można dojść do porozumienia na drodze dyplomacji i rozmów o ile jest szczera chęć po temu i nie trwa się uporczywie na stanowisku prestiżu. Wyniki rozmów w Genewie, które odbywały się w serdecznej atmosferze, napełniły serca uczciwych ludzi radosnym optymizmem. Dziś z przykrością konstatujemy, że optymizm ten był przedwczesny. Konferencja ministrów spraw zagranicznych, która odbyła się początkiem listopada w Genewie była przeciwieństwem pierwszej. Brakło szczerości i chęci do współpracy ze strony mocarstw zachodnich. Przebieg konferencji wskazuje na to, że była to z góry ukartowana gra, której celem było uniemożliwienie jakiegokolwiek porozumienia. Dla naszego obozu nie oznacza to rezygnacji z dalszej walki.

Każdy rozsądny człowiek wie, że zgodne współżycie narodów, niezależnie od ustroju w nich istniejącego, jest naprawdę realne i możliwe. Trze-



Zespół PZKO na Święcie Góralskim w Jabłonkowie

ba tylko odrzucić niechęć i uprzedzenie, trzeba podchodzić do sprawy z szczerym i otwartym sercem, bez ukrytego celu a wtedy dojdziemy do rozwiązania wszystkich zagadnień. Wspaniałym i przekonywującym dowodem możliwości zgodnego współżycia wszystkich ras i narodowości to V Festiwal Młodzieży Demokratycznej i Studentów w Warszawie. Tysiące młodych ludzi z wszystkich krańców świata zjechało się do Warszawy — do tej Warszawy, która zniszczona niemal doszczętnie przez hitlerowskich barbarzyńców powstała z ruin, by żyć, by stać się dumą każdego Polaka. Do tej Warszawy jeszcze piękniejszej i wspanialszej niż dawniej zjechali się młodzi z całego świata. Przybyli po to, by udowodnić całemu światu, że nie istnieje żadna żelazna kurtyna, rozdzielająca świat na dwa wrogie obozy. Przybyli, by ukazać całemu światu, jak trzeba postępować, by zapanowała zgoda między narodami. Różne były przekonania młodych ludzi — polityczne czy społeczne, różne reprezentowali poglądy. Ale w jednej rzeczy byli zwarci i jednolici. — Była to sprawa pokoju światowego — idea, która wszystkich zbratała i zatarła przynależność rasową czy narodową. Idea ta znalazła wyraz w przemówieniu, które na zagajeniu wygłosił przewodniczący ŚFMD — Bruno Bernini. Powiedział on między innymi . . . „Nasz Festiwal dowodzi, jak bardzo są do siebie podobni wszyscy ludzie zamieszkujący naszą planetę. Reprezentujemy różne ustroje społeczne, różne kultury i tradycje narodowe, wszystkich nas jednak ożywia powszechne dążenie do pokoju, przyjaźni i szczęścia. Tak więc w tej różnorodnej jedności jesteśmy wszyscy bliscy sobie sercem.

Naszą wielką ambicją jest objęcie spadku po tysiącletnich cywilizacjach

by wkroczyć z nim w nowy okres dziejów, w którym nie będzie wojny, w którym potężne środki jakimi rozporządza dziś człowiek dzięki odkryciu energii atomowej, byłyby przeznaczone na cele pokojowe, na zapewnienie dobrobytu narodów i służyły wspaniałemu rozkwitowi całej ludzkości.”

Wspaniałe to słowa i życzyć by sobie należało, by dotarły do wszystkich zakątków naszej planety, do serc wszystkich ludzi na ziemi i rozpaliły w nich płomień zapału do walki o pokój i przyjaźń między narodami.

W tym wszystkim co działo się na szerokim świecie i myśmy brali żywy udział. Cieszyła nas i radowała każda dobra wiadomość, mówiąca o sukcesach polityki obozu pokoju. Serca nasze biły wspólnym rytmem z sercami młodzieży na Festiwalu w Warszawie. Zaś radość naszą z pomyślnych wiadomości była podwójna. A to dlatego, że nasze narody i także nasza ojczyzna obchodziła w roku ubiegłym dziesięciolecie swego wyzwolenia. Jubileusz dziesięciolecia wyzwolenia był zarazem dziesięcioleciem pracy i budowania, dziesięcioleciem naszego marszu do lepszej przyszłości. Jakże się tu nie radować i nie cieszyć? Nic więc dziwnego, że uroczystości dziesięciolecia miały charakter naprawdę imponujący, radosny i wspaniały. Ale chyba najpiękniejszą imprezą była I Ogólnopaństwowa Spartakiada w Pradze, która była tak wspaniałym obrazem naszych dążeń, naszej nowej rzeczywistości, że brakło słów zachwytu. Z zazdrością spoglądali zagraniczni dziennikarze na tę symfonię młodości i radości, piękna i sprawności fizycznej, którą rozbrzmiewały błonia strahowskie. Z tym obrazem w sercu wracali do swych krajów, by powiedzieć swoim bliskim o tym wspaniałym wydarzeniu, które oczy ich podziwiały i które jest wiernym odbiciem życia w kraju za „żelazną kurtyną” — w kraju, w którym według słów „Wolnej Europy” panuje bieda, nędza, terror komunistyczny itd. Należy przypuszczać, że wszyscy goście z Zachodu, którzy mieli możność oglądania Spartakiady, obserwować mogli nasze życie, stali się nie tylko naszymi dobrymi przyjaciółmi, ale zarazem musieli w duchu wstydzić się za to, co wyprawiają instytucje w rodzaju „Wolnej Europy” czy „Głosu Ameryki”.

My tylko współczuć możemy redaktorom tych rozgłośni, ponieważ nie mało muszą się natrudzić by zmontować audycję o naszym życiu. Tymbardziej, że wynik ich pracy z góry skazany jest na niepowodzenie. Nam nie trzeba zmyślać. Nam życie samo, życie pełne i bogate daje tyle tematów, że wystarczy tylko czerpać pełnymi rękami... Tempo naszego budowania nie ustaje ani na chwilę. Z niesłabnącym zapałem nasz lud pracujący buduje i tworzy, nie ustępując ani krok z drogi do celu. Budujemy i tworzymy, ponieważ wiemy, że budujemy dla siebie, że pracujemy dla pokoju.

* * *

A cóż się działo u nas? Jak nasze polskie społeczeństwo wykonywało zadania w roku ubiegłym? Tak zapyta się czytelnik przeczytawszy początek niniejszego artykułu. Trzeba więc zaspokoić życzenia czytelnika i podsumować wyniki pracy PZKO.

Nie mało było tej pracy, nie mało wysiłku w kierunku uzyskania jak najlepszych wyników. Trud ten i wysiłek nie poszedł jednak na marne. Wrócił do nas w postaci świetnych wyników na odcinku kultury i oświaty. Namacalny zaś dowód to sukcesy zespołów na Festiwalu Twórczości Ludowej w Pradze. Drugie miejsce W. Zamarskiej w recytacji, trzecie miejsce zespołu tanecznego z Sibicy w silnej konkurencji przemawiają tak dobitnie, że nie trzeba dalszych komentarzy. Zaznaczyć trzeba, że i dalsze zespoły biorące udział w Centralnym Kole TL godnie zaprezentowały nasze społeczeństwo w Pradze. Nam jednak nie chodzi o takie czy inne miejsce w konkursie, chociaż cieszą nas te wyniki. Dla nas o wiele ważniejszym będzie jeszcze pełniejsze



Występ zespołów PZKO na Zjeździe Polaków w Cz. Cieszynie w roku 1955

wyżycie się kulturalne naszego społeczeństwa. Zadania, które PZKO powinien wykonać, będą zrealizowane na 100% wtedy, jeśli w każdym Kole PZKO bujniała będzie praca, jeśli świetlice nasze rozbrzmiewać będą radością, pieśnią i życiem. A trzeba przyznać, że mimo wielu dobrych wyników w naszej pracy, daleko nam jeszcze do osiągnięcia takiego stanu. A przyczyn nie należy szukać daleko... Przyczyn takiego stanu musimy szukać u siebie, tylko u siebie. Dobrze przynajmniej, że wielu spośród naszych członków zdaje sobie z tego sprawę. To jest zjawisko dodatnie, dla naszej dalszej pracy prognoza pomyślna.

Z powyższego widzimy, że wyrasta tu zadanie, wprawdzie nie nowe, ale zawsze aktualne — umasowienie naszej pracy, zaktywizowanie wszystkich naszych Kół PZKO w terenie.

Aby jednak dokonać tego, trzeba najpierw stworzyć odpowiednie warunki. Ponieważ zaś osią wszystkiego jest człowiek, więc uwaga nasza powinna być skierowana przede wszystkim na człowieka. Jaki musi być człowiek, który nam zapewni dobrze i rzetelne wykonanie zadań? Dziś nie wystarczy już, że będzie to człowiek narodowo uświadomiony, człowiek o mocnym kręgosłupie. Człowiek, który dziś stoi na czele, który ma prowadzić innych musi oprócz uświadomienia narodowego być uświadomiony ideologicznie i politycznie. Jaki stąd wniosek? Może być tylko jeden. A mianowicie taki, że powinniśmy baczniejszą uwagę zwrócić na pracę masowo-polityczną wśród naszych członków, że trzeba skończyć z frazesami o wychowaniu nowego człowieka a rozpocząć od czynu. To jest jedyna droga, którą musimy obrać, chcąc nadążyć życiu, które w szalonym tempie idzie naprzód. Może po-

wyższe rozważania nie będą w smak niektórym ludziom. Przypuszczam, że tak będzie. No, ale życie samo przekona tych sceptyków, że nie mieli racji, owszem ze szkodą dla nich samych.

Wracając jednak do pracy PZKO trzeba stwierdzić, że rozwijała się pomyślnie. Rośnie i zaufanie społeczeństwa do organizacji i jej władz. Wprawdzie nie tak jak byśmy sobie życzyli, ale mimo wszystko rośnie. Skromne uzasadnienie tego twierdzenia to III Festiwal Zarządu Głównego połączonego ze Zjazdem Polaków w CzSR, który wypadł w roku ubiegłym naprawdę wspaniale i imponująco. Szkoda tylko, że znaleźli się jeszcze ludzie, którzy zjadliwymi uwagami chcieli zbrukać nasze święto, którego celem było zamanifestowanie naszego przywiązania do partii i rządu. My wiemy wszakże, że ludzie ci, to wrogowie nie tylko nasi, ale i swego narodu, to wrogowie naszego ustroju. A ci już dawno przegrali swą sprawę i nie mogą zagrozić naszemu wspólnemu budowaniu. PZKO znajduje się na dobrej drodze. Trzeba tylko poszerzać stale zakres naszej pracy, by zbliżyć się bardziej do żywotnych problemów dzisiejszej rzeczywistości, które od nas wymagają jasnego stanowiska i stosunku. Nie chcę roztrząsać szerzej tego problemu, ponieważ został on wyczerpująco omówiony w referacie programowym na aktywie w dniu Festiwalu. Chciałbym tylko dodać, że nam nie wolno pomijać milczeniem spraw tak ważnych jaką jest socjalizacja wsi, czy też praca masowo-polityczna wśród naszego społeczeństwa. Bagatelizowanie tych spraw mogłoby doprowadzić do tego, że pewnego dnia znajdziemy się na bocznym torze odizolowani od życia i dzisiejszej rzeczywistości.

O ile chodzi o pracę kulturalno-oświatową, która niewątpliwie jest główną i zasadniczą częścią pracy PZKO w ogóle, to przyznać trzeba, że i tu zarysować się zaczyna — jeszcze nieśmiało i niepewnie — nowa linia. Głównie o ile chodzi o formy i metody naszej pracy. Ściślej mówiąc, trzeba szukać takich form i metod pracy, które by odpowiadały lepiej naszemu terenowi, które by lepiej połączyły kulturę z życiem i to z życiem dzisiejszym. Bardzo mało w naszej działalności oświatowo-kulturalnej było powiązania z aktualnymi potrzebami naszego życia. Nie chcę przez to zarzucać i potępiać dotychczasowych metod. Chcę tylko wskazać na fakt, że nie można ciągle upierać się przy tym co już zostało uświęcone tradycją i jest jakby jakimś „tabu", którego nie wolno tknąć, ale że trzeba szukać nowych form, które w oparciu o dobre i wypróbowane już metody mogą w znacznym stopniu ożywić naszą pracę. Owszem, chcąc zrealizować to w każdym razie trudne zadanie, trzeba odpowiednio wyszkolić ludzi, którzy na tym odcinku pracują. Zarazem wszakże trzeba, by ci, którzy stoją na czele poszczególnych odcinków pracy kulturalnej i oświatowej wykazali więcej inicjatywy w szukaniu nowych dróg, a nie trzymali się wygodnej i wydeptanej ścieżki, czyli drogi najmniejszego oporu.

Wspomniałem o szkoleniu. A ponieważ odbył się w roku ubiegłym centralny kurs pracy świetlicowej na Kozubowej, więc przynajmniej kilka słów o tej sprawie. Ocena kursu została już zamieszczona w „Zwrocie". Ja chciałbym zwrócić uwagę na jeden moment. A mianowicie na dobór kandydatów. Zarządy Kół PZKO mimo wszelkiego rodzaju uwag, perswazji i przypomnień ze strony ZG i ZP nie traktują tej sprawy poważnie. Nie wszystkie oczywiście. W każdym razie jednak poważna ilość. A przecież od doboru kandydatów zależy poziom pracy danego działu w Kole. Dlaczegóż więc to bagatelizowanie? Przecież tym sposobem sami sobie szkodzą. W roku bieżącym będzie trzeba i tu sprawy lepiej przystosować, lepiej i poważniej ją potraktować.

Pozwoliłem sobie na własny sąd o pewnych rzeczach, które czasem u-



Karwiński zespół PZKO „Górnik".
„Górnik" jest najmłodszym zespołem, który rozpoczął swą działalność

ważamy za nienaruszalne i tradycją uświęcone. Wskazałem również na pewne niedomagania w naszej pracy, które trzeba usunąć. Zwróciłem uwagę na potrzebę poszerzania zasięgu pracy PZKO. Wszystkie te sprawy wymagają szczegółowego rozpatrzenia, dokładniejszej analizy. Jedno wszakże jest pewne. Wszystkie uwagi wyrosły z obserwacji i nie są wyłącznie spostrzeżeniem jednej osoby. W podobny sposób zapatrują się na te sprawy i inni czołowi aktywiści PZKO. Ja zaś piszę o nich dlatego, by przyśpieszyć ich wprowadzenie w życie, by zmusić do dyskusji nad ni-

mi i tych, którzy mają przeciwne zdanie.

Jeszcze jedna uwaga na koniec. Wszyscy ci, którzy kurczowo trzymają się tego, co nam zostawiono w spuściźnie, obojętne co pod tym myślimy, popełniają gruby i zasadniczy błąd. Dzisiejsza rzeczywistość nie może tolerować takiego stanowiska. Nam trzeba iść naprzód, stale naprzód. Wszak tyle rzeczy niezbadanych jeszcze jest na świecie, które czekają na człowieka, jego rozum i wiedzę. Wygrywać będzie ten, kto pójdzie z duchem czasu. Ci, którzy machają ręką na wszystko, staną się zerem dla społeczeństwa i przyszłych pokoleń. A do tego żaden człowiek obdarzony rozsądkiem i trochą ambicji nie powinien dopuścić.

JÓZEF MRÓZEK

Najlepsza brygada betoniarzy w powiecie karwińskim



Betoniarska brygada towarzysza Kočí-go z budowli osiedla Karwina-Stalingrad. Brygada ta wykonała swój plan w 315%. Jest to najlepsza betoniarska brygada w powiecie Karwina na Śląsku

VLASTIMIL ČUDEK

Z szkicownika o dziesięcioleciu wolnego życia.

W kilkudziesięciu zaledwie wierszach nie można przedstawić tych zawrotnych przemian w życiu naszego kraju tak dotkniętego dawniej przez wyzysk kapitalistyczny. W swych krótkich szkicach chcę jedynie wskazać na to, że lud Śląska Cieszyńskiego, kraju ostrawskiego, dawniej wykorzystywany, skazany na nędzę bezrobocia i pomiatanie — jest dzisiaj ludem o pełni praw społecznych, ludem wiernym Republice ludowo-demokratycznej, dla której od dziesięciu lat wolnego życia stał się entuzjastycznym budowniczym socjalizmu, którego istotę poznania przejął od ludzi radzieckich, od tych ludzi, którzy przynieśli nam wolność.

I

Jolliot Phillippe już nie żyje. Gdyby jednak żył, musiałby się zarumienić ze wstydu. Był to właśnie on, najgłośniejszy geolog francuski, akcjonariusz „Banské a hutní společnosti" (Towarzystwo Górniczo-Hutnicze), który raz jeden w czasie swego życia odwiedził Śląsk Cieszyński, dokąd został zaproszony przez wspomniane i potężne Towarzystwo GH, a to celem geologicznego zbadania kraju. Wtedy też geolog francuski oświadczył, że pod cieszyńskim Beskidem znajduje się tylko kamień, nic więcej, tylko zwykły kamień.

W roku 1952 geologowie niezbyt jeszcze doświadczeni, zaczęli udawadniać, że Jolliot Phillippe się mylił. W doliny Beskidów zaczęły przyjeżdżać ciężarowe samochody, na maskach których dostrzec było można napis: „Čs. naftové doły, n. p." Na ciężarowych samochodach naładowane były części urządzeń wiertniczych, które w niedługim czasie postawiono w różnych miejscowościach wsi cieszyńskich. Stare wiertnicze urządzenia po pewnym czasie zostały zastąpione najnowocześniejszymi szybkowiertniczymi urządzeniami radzieckimi. Jedną z takich wieży wiertniczych postawili robotnicy, którzy w tym zakresie odnieśli już pełny sukcel w okolicy Kbel i Hodonina, także na polach przy Cieszynie, na takich polach, gdzie zimą śnieg zupełnie się rozpływał. Było to na tych spaleniskach, gdzie w czasie nocy pojawiały się niebieskie ogniki. Tam w tym miejscu rozpoczęto wiercenie.

Stale głębiej i głębiej wdrażały się do ziemi świdry wiertniczych narzędzi, wyrzucając na powierzchnię glinę, piasek, kamień. Na głębokości trzystu metrów było trzeba wymienić świder wiertniczy, aby dotrzeć jesz-



Fragment z Huty im. Kl. Gottwalda w Kończycach

cze głębiej do wnętrza ziemi, skąd dolatywało dudnienie i stukot — a wtedy robotnicy robót wiertniczych zrozumieli, że cel ich został osiągnięty. Załoga majstra Farlika natrafiła na bogate zdroje metanu — gazu ziemnego.

Obalona została legenda geologa Jolliota Phillippe, że ziemia cieszyńska, to ziemia zwykła i uboga. Niewykorzystany przez setki lat gaz ziemny to dziś bogate źródło energii cieplnej dla huty im. Mołotowa w Trzyńcu, dla miasta Cz. Cieszyna i Trzyńca.

Dziś w dolinach pod Beskidami huczą dniem i nocą motory wieży wiertniczych, stalowe świdry podchodzą daleko do wnętrza ziemi. Przeszło tysiąc metrów głęboko urządzenia niektórych wieży wiertniczych poruszyły spokój ziemi, uwalniając surowiec tak bardzo potrzebny dla budownictwa socjalistycznego.

II

Czym był dawniej górnik w naszym kraju? Niczym innym tylko kukiełką w rękach Larischa, Wilczka, Guttmana, — człowiekiem, który dzisiaj wydobywał węgiel w kopalni, aby jutro stać się tym, który powiększy armię bezrobotnych. Górnik dla kapitalistów nie był człowiekiem.

A dzisiaj? Stanie się, że powiesz choćby w Pradze: „Jestem górnikiem z kopalni Gottwald" — a już otoczy cię grupka ludzi, ciekawych twych opowiadań o kopalni — w uzdrowiskach cię podziwiają a na wypoczynku wczasowym każdy chce posłyszeć, jak to górnicy „mówią po naszemu"? Górnicy otrzymują odznaczenia, nowe mieszkania, przekazy na pobyt w uzdrowiskach, górnicy stali się pierwszymi budowniczymi Republiki. Górnicy, którzy dawniej znali tylko taczkę, łopatę i kilof — dziś nauczyli się pokonywać pracę przy pomocy maszyn, świetnie manewrują kombajnem. Trudno byłoby wyliczyć ich bohaterstwa osiągane na miejscach pracy za ostatnich dziesięć lat. Bo mówić o



Przodownik Wilhelm Kocur z kopalni-giganta imienia Czechosłowackiej Armii w Karwinie

Gawlasie, Misce, Jupie, Krejčím, Nowarze, Kocurze, Szafarczykowi, Pali, mówić o dalszych tysiącach takich ludzi, byłaby to rozmowa o bohaterach. Tacy są nasi górnicy.

Lecz wspomnijmy o górniku Bogoczu z kopalni Czsł. Armii w Karwinie. I na tej kopalni dowiedziano się o rekordzie kombajnowej brygady posła Wilhelma Krejčího, która wydobyła w przeciągu miesiąca 15.030 ton czarnego węgla. „Psiakrew, kiedy krawiec (cz. krejčí — krawiec) to potrafi, to dlaczego my „bogocze" nie moglibyśmy wydobyć również tyle węgla?

Wtedy w miesiącu maju 1955 roku tak się odezwał po szychcie przy piwie kombajnista Bogumský, jeden z 45 członków brygady Bogocza. Przystąpiono więc do czynu tak, aby kombajny i w naszej kopalni zarejestrowały rekord Krejčího. Trudno było-

by szczegółowo napisać, co się to stało w dziedzinie wydobycia węgla, w czerwcu 1955 roku. Przecie do ostatniego dnia w tym miesiącu brzmiała z fali eteru wiadomość o tym, że „kombajnowa brygada Alfreda Bogocza z kopalni im. Czsł. Armii w Karwinie jest zdobywcą nowego czechosłowackiego rekordu w wydobywaniu węgla kombajnem, gdyż jej urobek za miesiąc wynosi 17.004 tony węgla. Zapytać się górników jak się to stało? Każdy z nich wam odpowie — „pracowaliśmy". Lecz człowiek jest ciekawy zanim dowie się przynajmniej kilku szczegółów.

W kombajnowej brygadzie Bogocza pracuje dwadzieścia żołnierzy, którzy w prędkim czasie stali się dobrymi górnikami. Od nich a także od wszystkich członków zespołu wymagał Alfred Bogocz przede wszystkim wszechstronnej dyspozycji w pracy co jest naczelnym warunkiem kompleksyjnej metody cyklicznej. W czasie każdej zmiany musiał być do dyspozycji elektrotechnik i ślusarz, którzy dokonywali naprawy maszyn i urządzeń — zaś w wolnych chwilach od tych zajęć pracowali normalnie jako górnicy. Pieczołując dokładnie o kombajn podówczas w czerwcu, brygada zanotowała jedynie 40 godzin straty czasu. To zaś okazało się jednym z powodów wielkiego wyczynu. Wykorzystano maszynę na ile tylko było to możliwe, przy czym zastosowano w wydobywaniu węgla szereg ulepszeń. Opłaciło się to.

W ten sposób Republika otrzymała w miesiącu czerwcu 1955 roku 17.004 tony czarnego węgla. Zaś brygada Alfreda Bogocza stała się najpopularniejszym kombajnowym zespołem w Republice. Przez swój wspaniały sukces brygada ta znacznie doszlusowała do wyczynów sławnych radzieckich kombajnistów.

III

Jeszcze przed kilku laty nazwisko Holásek nic nie mówiło nikomu w hucie im. Klementa Gottwalda w Kończycach. Boć w tym czasie, kiedy Holásek przybył na miejsce wielkiej budowli socjalistycznej nawet nie chciano go przyjąć do pracy ciesielskiej.

„Jesteś już za zbyt stary, będziesz nam tylko przeszkadzał w robocie." Tak się do niego odzywali inni cieśle. Ale Holásek zadzierżyście uparty nie tak prędko dał się zbić z tropu. Przecie przybył tutaj do Kończyc, aby pomógł powstającej budowli, aby ją dobrze budować. Nie zraził się niczym i zorganizował swą własną brygadę ciesielską, jej członkowie składali się przeważnie z Cyganów. Posypały się znowu szyderstwa: „Czego wy też dokonacie, prędzej budowę rozgrabicie, niż ją zbudujecie!" I po tych słowach nie załamał rąk Holásek. Uczył Cyganów ciesielki, nabytych doświadczeń nie pozostawiał tylko dla siebie, rozdawał je szczodrze innym. Przecie za te dziesiątki lat praktyki na różnych budowlach doświadczeń nazbierał sporo. Z czasem i ci, którzy nie chcieli do niedawna przyjąć cieśli Holáska do swej brygady ze względu na jego wiek... teraz pojawiali się wokół niego, aby przypatrzeć się sposobowi jego pracy, jego nowemu sposobowi belkowania, dziwiło ich to wysokie przekraczanie normy. A ileż to tysięcy drzew zaoszczędziła brygada Holáska Republice? Ile setek ciesielskich brygad zaczęło pracować w Republice wzorując się na metodzie brygady Holáska? Za swą wspaniałą pracę, wykonaną z entuzjazmem zdobył on sobie pełne uznanie, został odznaczony Sztandarem Pracy (Řád práce) i nagrodzony Czechosłowacką Nagrodą Pokoju.

Holásek kochał budowlę, dzieło, które rodziło się i z jego rąk własnych przed jego oczyma. Do dziś pamiętam jego słowa wypowiedziane w rozmowie z literatem Janem Šternem. — „Jaki był u mnie w początkach kolektyw ciesielski? Od 30 do 40% absencja, łajdacy, wygodni ludzie. Ale potem kiedy wskazałem brygadzie jak należy pracować, kiedy brygadę „zapaliłem", to już maszerowa-



Hutnik trzyniecki Józef Adamus odznaczony „Sztandarem Pracy“ (Řád práce)

liśmy raźno, wybijając się na czołówkę.”

A takim cennym jak Holásek był i „żelazny dziadek” Masyra — jak nazywano popularnego robotnika wyspecjalizowanego w kładzeniu żelaznych konstrukcji na budowlach, który wychował setki dobrych robotników z zakresu swojego działu pracy na budowlach w Kończycach. Takim był technik Číhal czy kopacz Vendelin Hrebeň i Dominik Červený, setki i tysiące innych, którzy „wyrośli” w Kończycach. Z oddaniem budowali fabrykę, zbudowali huty, które w naszej drugiej pięciolatce jeszcze bardziej się rozrosną. Zmienił się zupełnie krajobraz Kończyc, tam gdzie jest dzisiaj Nowa Huta im. Klementa Gottwalda. Dymią nie tylko wielkie piece, ale w ruchu są i nowe piece martenowskie, walcownie, elektrownia, nowoczesna aglomeracja, mamucia prasowaczka w największej kuźni, nawet podziemne metro usprawnia pracę...

Brukowane drogi, dobrze zatroszczono się o lekarskie i szpitalne urządzenia dla pracujących w Nowej Hucie w Kończycach. Dla jej robotników zbudowano osiedle Stalingrad przy Ostrawie, osiedle Šidlovec, domy we Wratimowie.

To wszystko w dowód za wielkie osiągnięcia i sukcesy, których punkt kulminacyjny przypada na drugi kwartał 1955, kiedy Nowa Huta im. Klementa Gottwalda zostaje odznaczona „Czerwonym Sztandarem Rządu” (Rudý prapor vlady).

Holásek, Hrebeň, Černý, Číhal, Benko, Buchtil, Masyra, Remeňová, Maňásek — to nie wyjątki z wielkiej budowli socjalizmu. Są to nazwiska ludzi, których Nowa Huta Kl. Gottwalda liczyła i liczy na tysiące. Za każdym z tych nazwisk jest człowiek — a „człowiek — to brzmi dumnie!” — jak to powiedział wielki pisarz Maksym Gorki.

IV

Do roku 1945 ani jedna kopalnia w Czechosłowacji nie została zbudowana bez pomocy zagranicznych fachowców. Dlatego też nikogo nie dziwił fakt, że i w szeregach naszych techników po roku 1945 wyrażano się sceptycznie, czy o własnych siłach potrafimy dokonać takiego przedsięwzięcia. Wbrew wyrażonym wątpliwościom powierzono naszym technikom zadanie wybudowania nie tylko zwykłych kopalni, ale wprost kopalni-gigantów. Mimo braku tradycji w tym względzie, najlepsi z najlepszych techników podjęli się dokonania tego zadania i tak plany zaczęły się przeobrażać w czyny. Poczynaniom sprzyja szczęście, zaczynają powstawać nowe kopalnie-giganty, jak kopalnia im. Czsł. Armii w Karwinie, kopalnia Prezydent Gottwald w Suchej Górnej, kopalnia-gigant Stalin w Gruszowie, 1 Maj w



Tak wygląda typ najnowszego kombajnu górniczengo

Karwinie. Na specjalną uwagę zasługuje kopalnia-gigant im Czsł. Armii w Karwinie, która posiada najbardziej nowoczesne urządzenia tego typu kopalń w Europie Środkowej. Warto rzucić okiem wstecz i uświadomić sobie, że wszystko począwszy od zwykłego gwoździa do maszyn i dotąd niespotykanej konstrukcji wieży kopalni — to wszystko zostało wyprodukowane u nas w Czechosłowacji. Trzeba zapamiętać, że rękami przeważnie robotników i techników cieszyńskich (bez jakichkolwiek zatrzymywań procesu wydobycia węgla) została rozbudowana kopalnia-gigant, że w niej prócz wielu innych wybudowano także w zupełności ósme i dziewiąte piętro, gdzie węgiel będzie wydobywany po 20 latach. Nigdy przed tym nie potrafilibyśmy o własnych siłach zbudować kopalni-giganta — w pięciolatce Gottwalda i to zdołaliśmy zrobić. Prawie o 50% podniosło się wydobycie węgla na tej kopalni-gigancie w stosunku do czasów dawniejszych, nie inaczej sprawa przedstawia się także na sąsiedniej kopalni-gigancie Gottwald.

Naszych robotników i techników nie cechuje już bezradność. Dowodem ich umiejętności i zdolności jest właśnie budowanie kopalń gigantów. A budując już i takie kopalnie ludzie ci nabyli swej wprawy fachowej, stali się ludźmi epoki socjalistycznej.

V

Od stuleci niewykorzystane wody Łucyny i Morawki, przepływając przez kraj cieszyński, znajdowały swe ujście w rzece Ostrawicy. Dotąd jeszcze wody te płyną spokojnie swoim korytem — lecz długo już to nie będzie trwało. Wody obydwóch rzek zostaną spiętrzone przez wielką zaporę wodną. Jest to tak zwana zapora żermanicka (Żermanice), której budowa zostanie ukończona w niedługim czasie. Tam na obszarach wioski So-

biszowic, gdzie dawniej stał . stary młyn popędzany wodą, tam na tym terenie powstaje ta zapora. Tylko grunta wyznaczone pod jej budowę są bardzo niewdzięczne. Skład gleby ciężko połączyć z betonem. Mimo tych technicznych przeszkód, budowanie zapory wodnej mogło rozpocząć się tylko na tym wyznaczonym miejscu. Nie będziemy tutaj przedstawiali wszystkich procesów trudnego budowania zapory, użycia wielu nowoczesnych metod, posłużenia się nawet tak zwanym „mlekiem betonowym", aby kamienne podstawy zapory osadzić na miałkim gruncie.

Powtórzyła się tutaj ta sama historia, która odegrała doniosłą rolę na wielu budowlach naszego kraju w ostatnich dziesięciu latach. — I tutaj na żermanickiej zaporze należy zaliczyć Cyganów do najlepszych pracowników. Przede wszystkim jeśli wspomnieć takich kopaczy, jako Jan Čuri, Ondrej Červenák i Adam Guňa. Dawniej Cyganie prowadzili życie koczownicze, zamieszkiwali w lasach, lecz dopiero tutaj na żermanickiej zaporze odnaleźli swój dom. Tutaj, dzięki pieczołowitości zakładowej organizacji KPCz stali się z Cyganów wybitni robotnicy. Tutaj nauczyli się oni czytać i pisać w szkole wieczorowej.

Dzisiaj budowanie żermanickiej zapory dobiega końca. Niedługo ujarzmione wody Łucyny zaleją na przestrzeni wielu kilometrów dolinę wraz z wsią Sobiszowice, której ludność została przeniesiona na inny teren do pięknych, nowoczesnych domów. Równocześnie do wód spiętrzonych przez zaporę żermanicką wpływać będą wody z olbrzymiego jeziora, które powstaje w miejscowości Vyšní Lhoty (rzeka Morawka), pod samym



Cyganie przy nowych budowlach socjalizmu w Czechosłowacji.
(Zapora wodna w Żermanicach)

stokiem Beskidów. Czysta górska woda spływać będzie kanałem do samej zapory a stąd przez wodociągi i staje filtracyjne dostarczona będzie do nowych osiedli takich jak Błędowice i Stalingrad oraz dla potrzeb NHKG, gdzie stale odczuwany jest brak dobrej wody. W ten sposób wykorzystane zostaną wody, które od wieków bezużytecznie odbywały daleką wędrówkę do morza. Stanie się tak dla dobra i pożytku kraju i jego ludzi.

VI

Nigdy w historii Trzyniec wraz ze swymi hutami nie był tak sławny jak stał się sławny w okresie pierwszych dziesięciu lat wolnego życia w wyzwolonej Republice Czechosłowackiej.

Czy to były przetopy szybościowe, tania i doborowa stal czy żelazo, wspaniałe projekty różnych udoskonaleń, rekord szybkości w czasie budowania hutniczych agregatorów czy ogólnozakładowe zobowiązania o zaoszczędzeniu dziesiątek milionów koron — to wszystko sprawia, że trzynieccy hutnicy znani są dzisiaj wszędzie w Republice. Prezydent Republiki Antoni Zapotocký i premier rządu Viliam Široký przybyli popatrzeć się do Trzyńca na tutejszych hutników, aby pochwalić ich za piękny wysiłek rozbudowy.

Wtedy w roku 1954 Mołotowcy zgłosili ogólnozakładowe zobowiązanie, że w b. roku zaoszczędzą w procesach produkcyjnych 620,810.000 Kčs. „Spełnianie tego zobowiązania bez wątpienia śledzić będą pracujący w całej Republice. Bo wywiązanie się z tego obowiązku wybitnie przyczyni się do stworzenia warunków do dalszego pomyślnego rozwoju naszej gospodarki, do dalszego podniesienia materialnego i kulturalnego poziomu pracujących."

Te słowa zostały wygłoszone w Trzyńcu przez premiera rządu Viliama Široký'ego.

Wzorem dla hutników trzynieckich są hutnicy radzieccy, którzy potrafią oszczędnie gospodarować z każdym rublem, z każdą kopiejką a dawno już pracują według zasad chozraszczotu. Zaś chozraszczot pomagał, pomagał i wychowywać — gdyż dotąd nie wszyscy hutnicy byli najlepszymi gospodarzami... Na przykład w drugiej stalowni. Tam przetopowy Ostruszka, który pracuje już w stalowni 40 lat na jednej zmianie się nawet mocno zdenerwował. Zaczął krzyczeć na obsługującego dźwigar Křenka:

— Do jasnego pieróna powiadóm ci, że przy piecu musi być porządek a ty mi tu wapień mieszosz z bazyfrytem!

Křenek nie pozwolił nawet Ostruszce wypowiedzieć wszystkiego i sam odpalił: — Na mnie to ty zaraz hrrr, ale popatrz jak się wam domieszki sypią z konewek, mieszacie bazyfryt z rotafrytem. Nie stal lecz kasza będzie z tego!

Pozornie drobne zdarzenie, ale chozraszczot — jak widać — zaczął się wżywać. Robotnicy stalowni zaczęli inaczej patrzeć na gospodarowanie z każdą koroną. A za kilka godzin z gazetki ściennej, jaka pojawiła się w drugiej stalowni, można się było dowiedzieć: tona wapnia kosztuje 46 Kčs — tona rotafrytu 473 Kčs. Nie tylko Křenek ale także pomocnicy Ostruszki i dziesiątki innych garowych i ich pomocników rozpoczęło prowadzić właściwą gospodarkę.

Robotnicy hut trzynieckich spełnili swoje zobowiązania zgłoszone w roku 1954, spełnili je tak samo jak spełnili sławną przysięgę daną Klementowi Gottwaldowi. Zaoszczędzili miliony i setki tysięcy koron. Wytworzyli warunki obniżki cen, celem podniesienia stopy życiowej — co najlepiej sami stwierdzają jeśli rozglądną się po swoich mieszkaniach doskonale urządzonych, jeśli popatrzą na osiedle Stalingrad, Łyżbice — i na nowe domy budowane dla nich w Czeskim Cieszynie. Wystarczy tylko dzisiaj powiedzieć: — trzyniecki hut-

nik — a zaraz odezwie się echo — gospodarz! Jużci, tak dobrą opinię zyskali trzynieccy hutnicy a to dzięki swej radosnej pracy.

Otwarto drogi rozbudowy naszego państwa wraz z jego przemysłową produkcją, która dawniej po największej części bazowała na platformie produkcji pewnej ilości kramarskich wyrobów — aby po wyzwoleniu Republiki przeobrazić się w potężną symfonię ludzkich wynalazków, która czerpiąc z bogactw własnego kraju, przemienia je w wartość dóbr, które umożliwiają podnieść wysoko poziom życiowy pracującego człowieka.

Pod uderzeniem kilofów, pod działaniem kompresorów, posuwających się kół buldozerów i traktorów, przez pracę w kopalniach czy hutach, elektrowniach i walcowniach czy tętnem życia, które rozpoczyna się w nowopowstających fabrykach drugiej naszej pięciolatki, w okres której wchodzimy, będzie dudniał kraj naszego pracującego ludu, którego świadomość i pilne ręce przeobrażają swoją ojczyznę w kwitnący kawał świata.

VLASTIMIL ČUDEK



Ostrawski artysta-malarz W. Wünsche ozdabia fasady domów nowego socjalistycznego miasta w Błędowicach-Szumbarku

BOGUMIŁ GOJ

Śląsk czechosłowacki i jego problemy narodowościowe w odbiciu chwili współczesnej

I

Kosmopolityzm jako zjawisko społeczne

Najważniejszym problemem wychowania socjalistycznego, to sprawa wychowania nowego socjalistycznego człowieka, wyzwolenia go od wszelkich wpływów ideologii burżuazyjnych, m. in. nacjonalizmu i kosmopolityzmu. W okresie kapitalizmu burżuazja posługuje się nacjonalizmem zaś w okresie imperializmu drugą skrajnością ideologiczną — kosmopolityzmem. Wytłumaczmy sobie najpierw znaczenie kosmopolityzmu, przypatrzmy się bliżej tej schyłkowej ideologii, którą w całej pełni zaszeregował amerykański imperializm do arsenału swojej polityki, ażeby w ten sposób osiągnąć swe światoburcze cele.

Znaczenie ideologii kosmopolityzmu określa już sam grecki przekład tego terminu. Kosmopolityzm oznacza innymi słowy obywatelstwo światowe. My wiemy, że termin ten, którego treścią jest niwelacja uczuć do swojej ziemi rodzinnej, do własnego narodu i zastąpienie ich uczuciem posłuszeństwa do jakiejś beznarodowej gminy światowej, powstał jako ideologiczny produkt kapitalistycznego rozwoju.

Kierując się wytyczną nauki marksizmu-leninizmu scharakteryzujmy bliżej istotę przesłanek kosmopolityzmu, internacjonalizmu i zastanówmy się bliżej w czym właśnie spoczywają główne sprzeczności tych wszystkich zagadnień. Spoczywają one w tym, że w ustroju kapitalistycznym stosowana forma produkcji nie może być inną, jak tylko prywatną własnością środków produkcji. Jest to skąpa definicja, lecz marksizm-leninizm słowami tymi w całej pełni odkrywa zasadnicze sprzeczności ustroju kapitalistycznego. Dla ratowania swych pozycji klasowych burżuazja zaprzedaje swe poczucie świadomości narodowej.

Klasa robotnicza, jako świadoma swej przynależności narodowej, jest dumna ze swych postępowych tradycji, jest dumna z wkładu swego własnego narodu do ogólnoludzkiej skarbnicy kultury i postępu. Dlatego klasa robotnicza potępia ideologię kosmopolityzmu, która jest narzędziem hegemonii burżuazji anglosaskiej w dążeniu do panowania nad światem. Dzisiaj kosmopolityzm to główny nastrój ideologicznego programu amerykańskiego imperializmu. Kosmopolityzm należy więc pojmować jako odczynnik postępowej dumy i wyzwoleńczej tradycji klasy robotniczej, jako próbę jej „ideowej" przeciwwagi i próbę przeciwdziałania w sferze ideowo-kulturalnej i politycznej. Jest to środek w rękach burżuazji do zacierania jej zamaskowanych dążeń, mających na celu podporządkowanie sobie w szczególności w domenie polityczno-kulturalnej i społeczno-materialnej mas robotniczych, społeczeństw, narodów i państw.

Przypatrzmy się teraz jakie „treści społeczne" prezentuje światu kosmopolityzm angloamerykańskich imperialistów. Wytworzyli oni w swym politycznym pojęciu całą fantastyczną koncepcję. Twierdzą, że narody to pojęcie już dziś nieistotne jako produkt rozwoju i że „pono" należą one do przeszłości. Tworzy się jakoby nowy świat, w którym narody i państwa zanikają, zaś świat będzie przedstawiał nową kosmiczną całość. Amerykańscy prorocy posługują się również zamiast terminu kosmopolityzm terminem „kosmizm". Kosmos - świat,



Tak znika trzyniecka hałda piasku żużlowego, zwana w czasach republiki burżuazyjnej „Górą krzywdy".

bez narodów i państw, bez ojczyzn — to fata morgana snów amerykańskich propagatorów kosmizmu. W tym właśnie kosmiźmie bez narodu i bez ojczyzny są rzekomo powołani Amerykanie odegrać główną rolę jako ludzie o nadzwyczajnych zdolnościach, których żadny inny naród nie posiada. Oni jakoby zdołają zapewnić całemu światu dobrobyt i dlatego w interesie spowodowania tego dobrobytu powinne przestać istnieć jako narody — Francuzi, Włosi, Holendrzy, Belgijczycy, Norwegowie, Duńczycy, Szwedzi itd. Według tej kosmopolitycznej recepty powinni się wszyscy zamerykanizować i bezgranicznie zaufać i iść na pasku sterowanym przez amerykańskich biznesmenów. Taka koncepcja wszczepiana jest młodzieży w szkołach, a w szczególności w wojskowych szkołach amerykańskich.

Jest to teoria, która już tyle razy zbankrutowała podobnie jak Wilhelm II albo Hitler, Mussolini, Micado czy inni, kiedy przejawiła się u nich chęć panowania nad całym światem.

Potwierdza to prawda, że różne koncepcje „kosmopolityzmu" i „kosmizmu" propagowane przez amerykańskich „biznesmenów" mają ideologicznie uzasadnić gwałtowne poszerzanie mocy amerykańskiego imperializmu na ukór jego własnych partnerów.

Wiadomo, że narody burżuazyjne głosiły również teorię współżycia klas. Lecz zarazem prześladowały mniejszości narodowe.

Z upadkiem kapitalizmu następuje upadek narodów burżuazyjnych, zaś narody socjalistyczne w interesie równouprawnienia usuwają nieporozumienia narodowościowe, budują socjalizm, walcząc z klasą burżuazji. I tutaj jednym z najmocniej zakorzenionych przeżytków ideologii burżuazyjnej jest nacjonalizm. Przejawia się on w braku zaufania jednego narodu do drugiego. Burżuazja skwapliwie podsyca ten moment

chcąc w ten sposób utrzymać się choćby częściowo przy swych wpływach. Gdyby burżuazja miała jasno i otwarcie głosić o co jej chodzi, to zamiary jej spełzłyby na niczym. Z tej prostej przyczyny wróg klasowy się maskuje, kryje się pod szyldem interesów narodowych.

II

Dzisiejsza pozostałość burżuazyjnego nacjonalizmu

Burżuazyjny rząd podległych sobie narodów usiłuje odmawiać praw mniejszościom narodowym. U nas w Czechosłowacji np. Uhlíř systematycznie podżegał, aby ograniczać prawa mniejszości polskiej na naszym terenie.

III

Co stanowi korzenie nacjonalistycznej ideologii burżuazyjnej?

1. Stanowi je fałszywe zrozumienie, że burżuazyjny narodowiec-fanatyk jest wzorem prawdziwego patrioty.

2. Polega na niezrozumieniu, że internacjonalizm klasy robotniczej wcale nie stoi w żadnej sprzeczności z prawdziwym patriotyzmem, lecz przeciwnie, że jest jedyną gwarancją i warunkiem braterskiej współpracy pracujących ludów wszystkich narodów.

3. Polega na niezrozumieniu faktów, że nacjonalizm burżuazyjny jest zasadniczym przeciwieństwem leninowsko-stalinowskiego internacjonalizmu proletariackiego i że nie ma nic z nim wspólnego, jest więc szkodliwy dla całego społeczeństwa, przez które musi być ostro i konsekwentnie zwalczany. Towarzysz Stalin uczył nas, że właśnie takie pozostałości ideologii kapitalistycznej są w świadomości ludzi o wiele odporniejsze niż którekolwiek inne. To także wyraźnie obserwujemy u nas — w naszych stosunkach narodowościowych. Lud cieszyński przez długi czas przeżywał kilka ucisków narodowościowych i te właśnie wytworzyły owe przesądy nacjonalistyczne, obustronną nacjonalistyczną podejrzliwość, która w gruncie rzeczy jest najgorszym dziedzictwem reakcyjnego burżuazyjnego nacjonalizmu, biorącego swój rodowód z niesławnej epoki konkurencyjnych walk burżuazyjnych, w czasie których chodziło głównie o podział zysków wydobytych z potu i krwi ludu śląskiego.

IV

Gdzie posiada członek mniejszości narodowej swoją ojczyznę?

Na to pytanie nie każdy potrafi jasno odpowiedzieć. Powinno zaś to być jasne każdemu z nas. Ojczyzną Czechów, Słowaków, Polaków, Węgrów i innych narodowości, obywateli czechosłowackich — jest Czechosłowacja. Pojęcie ojczyzny nie jest wytworem wyobraźni, ale pewnikiem konkretnej rzeczywistości. Jeżeli mówimy, że budujemy ojczyznę, to znaczy budujemy ją własnymi rękami, budujemy ją tam, gdzie żyjemy, gdzie pracujemy; budujemy ją dla siebie, budujemy ojczyznę ludzi o równych prawach i wspólnym obowiązku. Widzieć ojczyznę poza granicami krajów, w których mieszkamy i żyjemy, oznacza stać poza rzeczywistością. To wcale nie wyklucza, żeby Polskę Ludową nie można uważać za duchową Ojczyznę wszystkich Polaków — Ojczyznę kultury i tradycji narodowej.

Ojczyzna! O słowie tym mówi się zawsze słodko, ponieważ słowo to jest połączone ze wszystkim co piękne, ciepłe, bliskie, co człowieka wiąże do tych miejsc, które nazywa swoją ojczyzną. Tak niestety o swojej ojczyźnie kiedyś nie mogła nigdy mówić klasa robotnicza i lud pracujący. Burżuazja, klasa kapitalistyczna posiadała swoją ojczyznę na całym świecie. Tam, gdzie mogła korzystać z dóbr przeznaczonych dla wszystkich i gdzie kwitł tylko jej własny dobrobyt.

Od dnia 6 listopada 1917 posiadał proletariat całego świata swoją

ojczyznę — Związek Radziecki, — gdzie po raz pierwszy w historii obalono ustrój kapitalistyczny i władza przeszła do rąk klasy robotniczej.

Dzisiejszy obraz świata jest inny. Przy pomocy Związku Radzieckiego pracujący Polski, Czechosłowacji, Węgier, Rumunii, Bułgarii, Albanii, Chin, Korei, Wietnamu posiadają swoje własne ojczyzny, w których stosowana jest właściwa polityka narodowościowa.

V

Wolność przyznania się do swojej narodowości

W okresie formowania się narodów socjalistycznych można się spotkać u mniejszości narodowych ze zjawiskiem pewnego rodzaju przeciwnatarcia, celem wydobycia dawniej „utraconych pozycji". W roku 1926 towarzysz Stalin dostrzega podobne zjawisko na Ukrainie. Kiedy Ukraińcy zdobyli swoje należne im prawa, uważali za stosowne przejść do ataku i zdobywać dawne utracone pozycje. Wtedy przeciwko ukrainizacji wystąpił towarzysz Stalin, który wskazał, że jakikolwiek proces nacisku i nakazu, czy dekretowania w sprawie przyznawania się do pewnej wspólnoty narodowej, sprzeczny jest z zasadami narodowościowej wolności o rozwoju narodu. Ze słów Stalina wynika jasno i niedwuznacznie: jesteś Czechem, pozostań Czechem, jesteś Polakiem — pozostań Polakiem! Nikomu nie można wypominać narodowości. Każdy sam dobrowolnie powinien zadecydować o swojej narodowości. Musimy wychodzić z założenia, że naród nie jest rasą, że naród to historycznie powstała wspólnota ludzi, języka, terytorium, życia ekonomicznego i wkładu duchowego, przejawiającego się w wspólnocie kultury. Naród nie jest zwykłą kategorią historyczną, lecz kategorią epoki historycznej — epoki rozwijającego się kapitalizmu. Kwestia narodowa nie jest czymś samoistym, dana raz na zawsze. Stanowiąc tylko część ogólnego zagadnienia przekształcenia istniejącego ustroju, kwestia narodowa określona jest całkiem przez warunki socjalne, charakter władzy i w ogóle przez cały bieg rozwoju społecznego. Jest zasadnicza różnica między narodem i narodowością. Człowiek rodzi się jako człowiek i jako jednostka biologiczna a nie może się rodzić jako Czech, Polak, Niemiec, Norweg itd. Ukształtowanie miłości, poczucia łączności narodowej jest rzeczą wychowania. Dziecko bez pomocy rodziców samo o sobie nie może ukształtować swojej narodowości. Przynależność do narodu jest czymś więcej niż oznaką biologiczną. Być uświadomionym Polakiem, czy też Czechem jest czymś więcej niż zwykłe posługiwanie się językiem czeskim czy polskim. O ile będziemy wszędzie mieli do czynienia z uświadomionymi ludźmi, to nie będzie tak zwanego „przeciągania" narodowościowego na tę lub ową stronę.

VI

Narodowość nie jest sprawą koniunktury

Przyznania się do tej lub innej narodowości nie można łączyć ze sprawą osobistego interesu. Należy ostro napiętnować i odizolować takie jednostki, które by chciały zmieniać narodowość jak koszulę, według tego kto za nią zapłaci więcej. Przyjmowanie innej narodowości w celach kariery jest rzeczą podłą. Obecnie, kiedy znikł nacisk pod względem deklarowania swej narodowości mogą nastąpić wypadki, że niejeden człowiek postanowi zmienić swoją narodowość i stać się członkiem tego narodu, do którego nie miał dotychczas odwagi się przyznać. Jest rzeczą jasną, że ma pełne prawo odważnie przyznawać się do swego narodu. Nikt go za to nie może agitować ani też prześladować. Trzeba wychodzić z założenia, że każdy ma prawo być tym, kim się czuje. Nie śmiemy bronić, ażeby Czech pozostał Czechem, Polak —

Polakiem, chociażby jego rodzina wywodziła się z innego kraju.

VII

Proletariacki internacjonalizm jako ideologia klasy pracującej

Przy wyjaśnianiu kwestii proletariackiego internacjonalizmu, przy określaniu jego znaczenia pomaga nam sam termin. Słowo internacjonalizm wyraźnie oznacza, że proletariacki internacjonalizm broni pełnego istnienia wszystkich narodów, których członkowie to społeczność złączonych proletariuszy. Proletariacki internacjonalizm jest ideą międzynarodowej solidarności robotników, nosicielem socjalistycznej produkcji. Pod sztandarem proletariackiego internacjonalizmu upamiętnionym nazwiskami Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina łączy się proletariat wszystkich narodów bez różnicy i poprzez granice państw, aby sobie nawzajem pomagał w walce klasowej przeciwko kapitalistom, aby wspólną siłą robotniczych szeregów wszystkich krajów walczył o usunięcie kapitalistycznej epoki panowania.

VIII

Jak przejawia się burżuazyjny nacjonalizm na naszych terenach?

Rzućmy bacznym okiem na naszą pracę kulturalno-społeczną na naszym Śląsku Cieszyńskim. Obok siebie żyje społeczeństwo dwóch narodowości — czeskiej i polskiej. Burżuazja czeska jak i polska, kierując się swymi interesami klasowymi, pomna swej władzy, która wymknęła się z jej rąk, stara się zawsze za każdą cenę utrzymać swe społeczeństwo w pewnej izolacji nacjonalistycznej, stara się skupiać dookoła siebie w odosobnionych grupach członków obu narodów, jakoby się obawiała, że przez zbratanie się obu narodów czeskiego i polskiego dojdzie do zmniejszenia jej silnych jeszcze wciąż wpływów. W praktyce wygląda to tak, że na przykład bojkotowane są przez członków czeskiej narodowości przedstawienia polskie, imprezy, albo też przeciwnie to samo dzieje się z drugiej strony. Widzimy z tego, że burżuazji naszej chodziło głównie o to, aby nie było między oboma narodami kulturalnej i gospodarczej współpracy, że chodzi jej o wytworzenie muru izolacyjnego, o uniemożliwienie prawdziwego zbratania się, bez którego wybudowanie socjalizmu jest niemożliwe. Decydujący wpływ na wytwarzanie się problemów narodowościowych na Śląsku czechosłowackim miał w przeszłości i ma jeszcze dotąd olbrzymi wzrost sił gospodarczych i politycznych. Olbrzymi wzrost przemysłu to wynik stałego przypływu obcych elementów. Daje to swego rodzaju odskocznię do ataku burżuazji tak czeskiej jak polskiej, nawet i niemieckiej na pozycje proletariatu. Burżuazja stosowała wszelkie formy, aby odwrócić proletariat cieszyński od walki klasowej i skierować go na tory nacjonalizmu. Pod maską interesów narodowych burżuazja podżega pracujących wszystkich narodowości — kryjąc w ten sposób swe właściwe zainteresowanie klasowe oraz walkę konkurencyjną.

IX

Jak wyglądała sytuacja w roku 1930, kiedy nacisk socjalny był najmocniejszy?

Powiat Czeski Cieszyn:

	obywateli
w przemyśle pracowało	21.015
w rolnicwie pracowało	24.631
urzędników oraz inteligencji	8.157
bezrobotnych oraz półzatrudnionych	31.531
Razem:	85.334

z tego Czechów 43.730 tj. 51,36%, Polaków 34.420, tj. 40,22%, Niemców 6298, tj. 7,38%, innych 886, tj. 1,04%.

Powiat Karwina: z 91.054 obywateli-Polaków pracowało 32.333, zaś w powiecie bogumińskim z 51.011 osób pracowało 5411 Polaków. Razem we wszystkich trzech powiatach było

według urzędowej statystyki 72.224 obywateli czechosłowackich narodowości polskiej, nie wliczając w to obywateli Polski. Od r. 1930 do r. 1938 liczba ta znacznie się zmniejszyła przez stale powiększający się ucisk socjalny dokonywany przez burżuazję czeską. Panująca burżuazja czeska po utrwaleniu swojej władzy prowadziła przeciw Polakom politykę wielkopańskiego gestu, jej motem było tylko formalne uznanie praw obywateli narodowości polskiej na przykład sprawa dwujęzyczności, lecz ucisk socjalny był tutaj stosowany nawet w brutalny sposób. Pracę otrzymywali tylko ci, którzy zaprzedali swoją narodowość i wstępowali w szeregi organizacji faszystowskich. Z drugiej strony trzeba podkreślić, że burżuazja czeska wyróżniała elementy burżuazyjne narodowości polskiej, ponieważ razem z nimi broniła swoich interesów przeciwko proletariuszom narodowości czeskiej i polskiej. Jedynie właściwą politykę prowadziła Komunistyczna Partia Czechosłowacji, która walczyła wszystkimi sposobami przeciwko socjalnemu uciskowi wszystkich narodowości. Stąd wynika taktyka burżuazji, która umyślnie przypisywała i to jak polska czeskiej, tak czeska polskiej, jako całości narodowej, właściwości samolubstwa i egoizmu i to zawsze w najgorszej formie. Stwarzały się plotki i ploteczki, których zamiarem było szkodzić pod każdym względem ludziom drugiej narodowości. Widzimy z tego, że burżuazji chodziło głównie o to, by nie było między oboma społeczeństwami współpracy kulturalnej i gospodarczej, która byłaby w stanie wyeliminować ostatecznie jej wpływy. Na tym miejscu należy podkreślić, że współpraca kulturalna i gospodarcza nie może prowadzić i w żadnym wypadku nie prowadzi do zlania się kulturalnego, tak jak to twierdzą kosmopolici, lecz wręcz przeciwnie w epoce socjalizmu dochodzi wtedy do niebywałego rozkwitu kultur narodowych. Wrogowie jednak socjalizmu, resztki burżuazji czeskiej i polskiej starają się rozszerzać wśród mas fałszywy pogląd, jakoby kultura socjalistyczna, kultura o treści socjalistycznej oraz współpraca kulturalna odznaczały mechaniczne zlanie się językowe i kulturalne obu narodowości. Pod względem treści obie kultury, jak czeska tak i polska będą socjalistyczne, pod względem jednak formy języka, zachowują one swój odrębny charakter. Tylko taka współpraca przy takim zrozumieniu charakteru formy i treści kulturalnej może być zdrowa i budująca, niekosmopolityczna.

X

Jak przedstawia się sytuacja narodowościowa na naszym terenie w obecnej chwili?

Rok 1948 przyniósł zasadnicze zmiany w kwestii narodowościowej na Śląsku czechosłowackim. Usunięte zostały resztki burżuazji i władza przeszła w zupełności do rąk klasy robotniczej. Partia rozpoczęła w całej pełni realizować politykę równouprawnienia obywateli narodowości polskiej. Wzorując się na doświadczeniach Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, walczyła i walczy od samego wyzwolenia naszego kraju o realizację zasad stalinowskiej polityki narodowościowej. Jesteśmy świadkami tego, że zasady te zostają wprowadzone w życie stopniowo, ale konsekwentnie, równolegle do sukcesów osiąganych w naszym budownictwie socjalistycznym. Spostrzeżenie to jest bardzo ważne, bo kwestii narodowościowej nie można nigdy traktować jako kwestii odosobnionej, lecz trzeba ją rozpatrywać stale w nierozerwalnym związku z zagadnieniami zwycięstwa rewolucji. Partia nasza usunęła zasadnicze krzywdy wyrządzone społeczeństwu polskiemu przez okres dwudziestu lat trwania burżuazyjnej Republiki Czechosłowackiej. Usunięto przede wszystkim ucisk socjalny. Dziś bez róż-

nicy narodowości otrzyma w naszej ojczyźnie pracę każdy według swoich zdolności i wykształcenia. Sojusz robotniczo-chłopski nie tylko że się umacnia, ale zostają wytworzone tak samo mocne fundamenty przyjaźni i współpracy pomiędzy narodem czeskim i ludnością polską na terenie Śląska czechosłowackiego. To wszystko co się przejawia jeszcze tu i ówdzie nie można już nazwać problemem — są to tylko miejscowe zagadnienia, które powinne być załatwiane przez miejscowe czynniki partyjne i społeczne. Społeczeństwo polskie odrzuciwszy błędną teorię Pawła Cieślara, stanęło mocno i niezachwianie po stronie prawdy, zwalczając tym samym nacjonalizm we własnych szeregach. Nacjonalistom tej czy owej narodowości wytrącone zostały z rąk nawet drobne argumenty, przez które starali się siać zamęt i niezgodę pomiędzy ludnością naszego terenu. Kwestia dwujęzyczności jest systematycznie wprowadzana w czyn. Są jeszcze tu i ówdzie towarzysze, którzy tego słusznego postulatu nie chcą właściwie zrozumieć i te słuszne dezyderaty uważają jako ustępstwa na rzecz obywateli narodowości polskiej. I z tym mocno i zdecydowanie walczy nasza Partia. Z tego też wynika, że dla zupełnego wprowadzenia tej właśnie jedynie słusznej polityki narodowościowej potrzeba pewnego czasu i cierpliwości. Wszystkie prawa i wolności uzyskane w ciągu ostatnich ośmiu lat przez ludzi pracy narodowości czeskiej i polskiej w różnym stopniu zagwarantowały w praktyce wolność przyznawania się do swej narodowości. Najważniejsze i zasadnicze znaczenie ma dla polskiej ludności pracującej oczywiście prawo do pracy. Gdy obecnie masy pracujące pomyślą o tym, jak w czasach demokracji burżuazyjnej nękane były bezrobociem, głodem, nędzą, widzą w realizacji prawa do pracy w naszym państwie ludowo-demokratycznym jeden z najważniejszych dowodów wyższości naszego ustroju nad ustrojem kapitalistycznym.

Oceniając współczesny stan realizowania polityki narodowościowej, możemy powiedzieć, że zostało osiągnięte wiele. To jednak nie upoważnia nas do tego, by stanąć w miejscu. Musimy otwarcie również powiedzieć co jest jeszcze do zrealizowania i na co masy pracujące czekają. W tym punkcie zaznaczyć wypada, że łatwiej dokonać jest oceny tego, co już wykonano, aniżeli wskazać na to co trzeba jeszcze zdziałać. Trudności tego zadania spoczywają w tym, że u nas nie korzystamy dotychczas dostatecznie z tych wszystkich cennych wytycznych Związku Radzieckiego, które winne być nam przykładem w realizowaniu wszystkich postulatów narodowości w kraju. To zadanie w obecnej chwili, oprócz zasadniczych zadań, jest jednym z aktualnych do załatwienia.

Na skutek braków systematycznego opracowania tego programu w naszym państwie, wiele punktów wysuwanych przez jednych, jako całkiem oczywiste i słuszne mogą być przez wszystkich stawiane pod znakiem zapytania. Załatwiania poszczególnych kwestii miały często charakter burżuazyjnych targów narodowościowych. Słuszne prawa narodowościowe rozumiane są częstokroć przez wielu Czechów jako ustępstwa na rzecz Polaków a nie jako wynik wprowadzonego i realizowanego na naszym terenie internacjonalizmu proletariackiego. Towarzysze narodowości polskiej zapominają o tym, że ich obowiązkiem jest podkreślać więzy wspólnoty łączące ich z proletariuszami narodowości czeskiej we wspólnym wysiłku budowania socjalizmu zaś proletariusze i towarzysze narodowości czeskiej zapominają o tym, iż ich zadaniem na terenie narodowościowo mieszanym, a więc w naszym wypadku u nas, jest bronić praw mniejszości polskiej i domagać się pełnego realizowania jej słusznych żądań. Sytuacja ta wymaga

przede wszystkim od nas funkcjonariuszy wielkiego wysiłku. Jako przodownicy ludu pracującego narodowości polskiej powinniśmy stale studiować wszystkie problemy dotyczące właściwej polityki narodowościowej, ażeby w naszym życiu decydować we wszystkich kwestiach wysuwających się z tego czy owego zagadnienia.

Jest jeszcze cały szereg niezałatwionych kwestii, które nam czasami w naszej pracy sprawiają poważne trudności. Musimy jednak jako ludzie postępowi o wszystkich problemach tych informować nasze władze nadrzędne, być z nimi w nieustannym kontaktcie, a przede wszystkim pomagać partii w przeorientowaniu obywateli narodowości polskiej na nowych ludzi — ludzi socjalistycznych. Jedynie przez stałe dokształcanie samego siebie możemy śmiało i dobrze prowadzić całe społeczeństwo polskie, zamieszkałe na terenach Republiki Czechosłowackiej. Wielkie to zadanie spoczywa również na barkach funkcjonariuszy PZKO. Związek ten powinien stać się prawdziwą szkołą socjalizmu, która wychowa społeczeństwu nowe kadry, zahartowane w walce klasowej, kadry o mocnych charakterach, które zawsze potrafią stanąć po stronie prawdy — zwalczając kosmopolityzm i nacjonalizm przede wszystkim we własnych szeregach.

BOGUMIŁ GOJ



Łyżbice, nowe osiedle hutników trzynieckich

HENRYK JASICZEK

Chłopska pieśń



Pieśni tych nie słuchano w pałacach,
Pieśni tych nie śpiewali gazdowie,
Bosy chłopak, co owieczki nawracał,
Podsłuchiwał, jak śpiewają bacowie.

Kiedy rządził bat ekonoma,
W kurnych chatach doskwierała bie-
da,
Pieśń syciła głodnych na groniach,
Jako kromka razowego chleba.

Pieśni te uczyły buntu,
Chłopów zawziętych w odwadze,
Panów wypędzać z gruntów,
Wolność zdobywać i władzę.



Nie zdradzę

Górskie łąki pachnące
macierzanką i słońcem,
poziomkami jak starym winem —
Z namiętnością tułacza
zawsze do was powracam,
zawsze mi do was tęskno
Beskidy! —
W chleb, stal, węgiel i kwiaty
kraj ojczysty bogaty
i w pieśni, co krzepią człowieka.
Tylko chwiejny i słaby
ojczyznę swoją zdradzi,
wśród obcych szczęścia czeka.
Pod obcym, dalekim niebem
nie witają go chlebem,
lecz wzgardliwym współczuciem.
Wśród tęsknot, smutku i potu
na drogach bez powrotu
rozumie, co porzucił.
Bo człowiek, jak krzak jałowca,
jeśli go ręka obca
z gór przesadzi w doliny —
Więdnie, żółknie, marnieje,
jeśli rośnie, karleje
nim zginie.

HENRYK JASICZEK

FRANCISZEK POPIOŁEK

Walka klasowa górali cieszyńskich przeciwko habsburskim magnatom

I

Obrona Dr Kluckiego praw górali z Wisły cieszyńskiej

W połowie wieku XVI Księstwo Cieszyńskie miało dwóch zwierzchników; jeden od r. 1526 — Habsburg, panujący austriacki, drugim był książę cieszyński, też Habsburg. Jemu pod względm administracyjnym podlegał cały kraj, wszystka ziemia i lasy i wszyscy jego mieszkańcy jako jego poddani. Część Księstwa jednak należała do księcia jako jego własność prywatna. Jako posiadacz Księstwa był książę cieszyński lennikiem, jako prywatny właściciel był niejako wielkim obszarnikiem i miał własny zarząd złożony z urzędników, zwany Komorą, z siedzibą w Cieszynie.

Obszar, którym książę bezpośrednio zarządzał jako swoją własnością doszedł z czasem do 28% całego Księstwa Cieszyńskiego. Jakimi drogami i sposobami obszar ten doszedł do takich rozmiarów, o tym niech świadczy jeden przykład zaczerpnięty z archiwum państwowego w Cieszynie, opisany w piśmie Czecha dra Ludwika Kluckiego, adwokata cieszyńskiego, znanego jako założyciela (z namowy P. Stalmacha) „Tygodnika Cieszyńskiego" czyli pierwszego czasopisma polskiego na Śląsku Cieszyńskim. Tego sobie wybrali mieszkańcy części Wisły z nad potoku Kopydło, dopływu Wisły, na zastępcę prawnego w swoim sporze z Komorą o las Przybor czyli Grapa oraz częściowo pola orne zwane Łączyska ku Łąkom, stąd zwanych kopydlanami.

Wprawdzie starosta cieszyński chciał im narzucić zastępcę z urzędu urzędnika skarbowego, zależnego oczywiście od Komory, ale kopydlanie odrzucili tę propozycję. „My nie chcemy tego zastępcy", oświadczyli, „chociaż by nas to nic nie kosztowało, lecz chcemy by nas zastępował dr Klucki".

Pismo dra Kluckiego skierowane do sądu ziemskiego w Bernie morawskim (gdzie po połączeniu Śląska z Morawą była siedziba rządu), jako najwyższej instancji, brzmiało: „Do posiadłości skarżących się należy kawał lasu i pastwiska. Własności ich dowodzą kontrakty kupna tych posiadłości z r. 1822, 1825, 1838 i 1769, w których są podane granice. Jeżeliby pomimo tych kontraktów były jeszcze wątpliwości, to jednak skarżący powołują się na to, że ponad 40 lat są w posiadaniu tych terenów, że oni i ich przodkowie uważali je za swoją własność i pasali na nich bydło bez przeszkody oraz brali drzewo i korzystali z ich, przedtem wyłącznie, aż przed kilku laty napadło Urbanka i Martinka (też górali wiślańskich) żeby żądać tam pastwiska dla siebie, a także Komorę, że wysunęła pretensje do tego terytorium i naruszyła spokojne posiadanie skarżących. Jeszcze są widoczne kopce graniczne, które wykazują przynależność terenu do skarżących. Dopiero przed 3 laty Komora przeprowadziła nowe granice pomimo protestu skarżących, co mogą potwierdzić świadkowie. Posiadanie skarżących tym mniej może być kwestionowane, że Komora nie ma żadnych dowodów na uzasadnienie swoich pretensyj. Nadto w kontrakcie kupna Troszoka są wyraźnie podane granice, lecz Komora zażądała wydania go i drogą egzekucji zmusiła do wydania. Klucki prosi sąd o wyrok uznający prawo oskarżycieli, żeby mogli korzystać ze swego terenu bez przeszkód (1843).

Spór o pastwiska i las na tym terenie toczył się już od szeregu lat. Kopydlanie uważający go za swoją własność, bronili innym góralom paść na nich bydło. Jednemu z nich przy-



W puszczy Miąższ w Łomnej

znała nawet Komora prawo do paszenia, czego kopydlanie nie chcieli uznać i spędzali mu bydło tak jak wszystkim innym. W obronie swego prawa wyłącznego odwołali się do urzędu okręgowego, tj. do władzy politycznej. Chcieli poprzeć swoje prawo zeznaniami świadków. Zwrócili się z prośbą o przesłuchanie ich do magistratu frysztackiego, jako niezależnego wówczas od Komory, a gdy ich zeznań strona przeciwna nie uznała, potem do magistratu bielskiego. Orzeczenie urzędu okręgowego (dzisiejszej PRN) wypadło niepomyślnie dla kopydlan. Jak mogło być inaczej, skoro ten urzędnik był opłacany przez Komorę.

Zajmowała się tą sprawą osobna komisja złożona z urzędników Komory. Tu nie tylko nie uzyskali nic, ale przewodniczący tejże obarczył kopydlan wyrzutami: „W rozstrzygnięciu pierwszej instancji zakazano wam paść powyżej waszych budynków a innych górali zostawić w spokoju. Przeciwko temu załatwieniu nie wnieśliście rekursu i nie weszliście na drogę prawną, tylko swoim zwyczajem, ze złośliwym uporem i lekceważeniem traktujecie zarządzenia Komory i wyższych władz, jeżeli te nie idą po waszej woli. Także rozstrzygnięcie urzędu okręgowego pominęliście, a musicie się do niego stosować, pod karą podyktowaną w patencie o poddanych. Możecie wnieść przeciw niemu rekurs. Przyznajecie sami, że Komora przed 40 laty brała drzewo z tego terenu. Pastwisko Przybor leży poza granicami waszych pól. Zakazuje się wam powtórnie paść bydło rogate na pastwisku kameralnym Przybor i górali innych niepokoić w ich paszeniu" (1836).

Kopydlanie wobec tego odwołali się do wyższego sądu ziemskiego w Bernie. Oskarżenie wniósł w ich imieniu dr Klucki. W Bernie referować miał tę sprawę dr Ott. Ten był w wielkim kłopocie. Chciał przedstawić ją korzystnie dla Komory a nie miał do tego dostatecznych dowodów. Zbierał więc z różnych stron informacje, zwłaszcza starał się o informacje brzmiące po myśli Komory, studiował gorliwie sprawę, lecz nie wyrobił sobie o niej jasnego obrazu tylko chaos, jak sam pisze do Komory (1845).

Wobec tego zarząd dóbr habsburskich, nie mogąc stamtąd uzyskać korzystnego wyroku, a chcąc swoje przeprowadzić, uciekł się do siły. Kazał urzędnikom lasowym donosić o kopydlanach pasących bydło na spornym terenie, ci wymierzali kary za przestępstwa i donosili o nich urzędowi policyjnemu w Skoczowie, który je egzekował. Te kary były u niektórych górali dosyć wysokie. Zgnębieni nimi kopydlanie zaniechali oporu i las Przybor, o który się głównie spór toczył, stał się własnością Komory czyli majątkiem prywatnym habsburskich książąt cieszyńskich, przez co zwiększył się o ten teren sporny, ze szkodą górali, których był własnością.

II

Jak chłop Figuła bronił swych praw do zapłaconego pastwiska

Jak wyglądała „sprawiedliwość" w b. arcyksiążęcej Komorze w Cieszynie, niech świadczy o tym jeden przykład zaczerpnięty z archiwum tej Komory, obecnie państwowego w Cieszynie: W r. 1775 hr. Bees, właściciel Leśnej Dolnej, sprzedał Janowi Figule, chałupnikowi z Leśnej Dolnej i jego żonie Marynie, rodzonej Jasiównej, „którzy u niego przez dłuższy czas służyli, a podczas służby zachowali się tak, jak dobrzy, poczciwi, wierni służebnicy" na ich prośbę cząstkę wsi swojej zwaną Koziniec, „wse opsane pola z chrastinami, z Kozinczem okrom czerneho lesa", oraz trzy pola za Kozincem w dziedziczne posiadanie, za 100 ryńskich. Od tego czasu używali Figułowie Kozińca, paśli na nim swoje bydło bez przeszkody z którejkolwiek strony.

Lecz w r. 1836 postanowili Habsburgowie założyć w sąsiednim Trzyńcu trzecią hutę żelazną — oprócz hut

w Ustroniu, Baśce. Na budowę potrzebowali materiałów. Drzewo mieli łatwo. Kazali ściąć dęby rosnące na Kozińcu. Przeciw temu Figuła nie protestował, gdyż było zwyczajem, że Komora uważała wszystkie dęby rosnące na chłopskich gruntach za swoją własność, a jeżeli je chłop sciął, to musiał za nie zapłacić (jak Białoń w Harbutowicach). Aby mieć materiał na budowę wielkiego pieca hutniczego, zaczęto na Kozińcu bez zapytania właściciela, łamać kamienie wapienne i z nich na miejscu wypalać wapno. Na to skarżył się Adam Figuła przed leśniczym kameralnym, a gdy to nie skutkowało, wniósł zażalenie do dyrekcji Komory, z żądaniem odszkodowania (1842). Urząd hutniczy w Trzyńcu uznał jego pretensje i proponował nawet odszkodowanie w kwocie 10 fl, natomiast przedstawiciel Komory (Polack) oświadczył Figule, że według umowy kupnej i mapy katastralnej Koziniec czyli czarny las (?) mu się nie należy, gdyż od dawna do dziś jest własnością Komory, że na Kozińcu czyli czarnym lesie nigdy nie miał prawa paszenia bydła, że jego prawo paszenia ogranicza się do krzaków rosnących naokoło trzech pól kupionych, że o prawie paszenia na „Pańskim" Kozińcu czyli czarnym lesie nie ma wzmianki żadnej w umowie kupnej, że ten Koziniec jest wolną, żadnym serwitutem pastwiskowym nie obciążoną własnością Komory. Powinien się zatem zadowolić pozwoleniem Komory na paszenie dopóty, dopóki to będzie możliwe. Figuła zgodził się na te wywody i cofnął swoją prośbę. Ze zwierzchnością walczyć było trudno. Z tego oświadczenia już widać, że Komora przedstawiając stan rzeczy w świetle wręcz przeciwnym brzmieniu umowy kupnej, identyfikując czarny las, który był w niej wyjęty, dąży do oderwania Kozińca i przywłaszczenia go sobie.

Lecz syn Adama Figuły, Paweł poszedł na drogę sądową. Wystąpił (1865) przed sądem okręgowym ze skargą na naruszenie jego własności, na łamanie kamieni i wypalanie wapna na jego gruncie. Było to w okresie powikłań dyplomatycznych między Austrią a Prusami o wpływy w Niemczech, po których nastąpiła wojna z Prusami, zakończona klęską Austrii pod Sadową i Figuła czuł się mniej skrępowany w swym stosunku do zwierzchności i do arcyksięcia. Adwokat Komory Dr Schuster we wszystkich swoich wywodach, a było ich dużo, akceptował to, że Figuła i jego adwokat Dr Heinz z Opawy (cieszyński adwokat z wyjątkiem późniejszego Dr Kluckiego nie byłby się odważył bronić sprawy przeciw Komorze) wystąpili przeciw arcyksięciu. Sąd okręgowy przyznał słuszność Figule na podstawie umowy kupnej i zeznań świadków, chłopów z Leśnej Dolnej, którzy stwierdzili, że na Kozińcu Figuła i jego przodkowie paśli bydło bez przeszkody do czasu, gdy zaczęto budować hutę w Trzyńcu, na łamanie kamieni i wypalanie wapna skarżyli się Figułowie w gminie i w zarządzie dóbr arcyksiążęcych, że jednak tam nie uzyskali nic. Przeciw wyrokowi sądu okręgowego korzystnemu dla Figuły i przeciw dwom następnym uzyskanym w wyższych instancjach, odwołał się Dr Schuster, żądając zniesienia ich, zwrócił się także do ministra spraw wewnętrznych z prośbą o poparcie jego sprawy. Sąd okręgowy zarządził nawet sekwestrację kamieniołomu, którą miał wykonać wójt miejscowy, Jan Stonawski, ale ta nie doszła do skutku. Przeciw wyrokom nieprzychylnym protestował też dyrektor Komory Scheidlin.

Schuster w swoim wywodzie z 3. VI. 1869 — tak długo ciągnął się proces — napisał, że „przyznane Figule na podstawie kontraktu kupna prawa nie oznaczają pełnej własności Kozińca, tylko prawo użytkowania serwitut, tak że z tego dokumentu nie można z pewnością wnioskować, czy Bees przodkowi oskarżyciela przyznał zupełną własność na Kozińcu czy tylko prawo użytkowania, z zeznań świadków wynika, że nie ojciec

Figuły tylko Komora przez łamanie kamieni wykonywała prawo własności na Kozińcu, a zeznania świadków są niewiarogodne, dalej Schuster twierdził, że Figuła nie był nigdy w posiadaniu terenu spornego zwanego Kozińcem. Łamanie kamieni nie jest zatem serwitutem tylko użytkowaniem własności.

I rzeczywiście Koziniec przeszedł na własność Komory. Ponieważ Figuła przegrał proces, wskutek tego stracił posiadłość, którą przodek jego kupił przed kilkudziesięciu laty.

Takimi i podobnymi sposobami Komora arcyksiążęca zdobywała nowe tereny i zaokrąglała prywatne posiadłości arcyksiążąt, które też doszły w ciągu XIX wieku do 28% obszaru Księstwa Cieszyńskiego. Dr Schuster za swoją nadzwyczajną gorliwość wykazaną w tej akcji przeistaczania prawdy, otrzymał po 12 latach honorarium w kwocie 1700 fl.

Uwaga: Właściwa nazwa wsi była Leśna — dzisiaj Leszna — osada leśna założona przez robotników lasowych, pracujących dla dworu książęcego.

FRANCISZEK POPIOŁEK



JÓZEF CHLEBOWCZYK

Z życia pańszczyźnianej wsi cieszyńskiej w XVIII wieku

Wiek XVIII przynosi z sobą zasadniczy zwrot w formach i metodach gospodarki wielkiej własności ziemskiej na Śląsku Cieszyńskim a to w kierunku zwiększenia rentowności i uwielokrotnienia jej dochodów pieniężnych. Dzieje się to przede wszystkim, rzecz jasna, w drodze wzmagania się wyzysku mas chłopskich, głównych wytwórców dóbr materialnych, położenie których systematycznie się podówczas pogarsza. W jakich to warunkach żyli i pracowali w tamtych, odległych czasach nasi pra-pradziadowie — pańszczyźniani chłopi ziemi cieszyńskiej, mieszkańcy Stonawy, Nieborów, Pruchnej i dziesiątek innych jej miejscowości i osiedli wiejskich?

Głównym kierunkiem wysiłków, zmierzających do zwiększenia dochodowości gospodarki ziemiaństwa w nizinnej i środkowej części Śląska Cieszyńskiego staje się w XVIII w. intensyfikacja gospodarki pańszczyźniano-poddańczej. W mnożących się w tym czasie, jak grzyby po deszczu, folwarkach szlacheckich, wysuwa się wobec braku własnej czeladzi dworskiej oraz inwentarza rolniczego, na plan pierwszy renta odrobkowa — darmowa robocizna na rzecz feudalnej zwierzchności, jako najbardziej wydajna i efektywna forma wyzysku. Dawniej pracowaliśmy trzy dni na wiosnę, trzy dni latem i jesienią, skarżą się w jednej z suplik z 1766 r. zagrodnicy ropiccy, obecnie jesteśmy zmuszeni do odrabiania pańszczyzny „od niedzieli do niedzieli". Przed mało co więcej niż 30 laty, oświadczają w tym samym roku chłopi Stanisłowic, wyjeżdżaliśmy na pańskie parą koni, podczas kiedy obecnie pracujemy z sprzężajem poczwórnym. Kiedyś wracaliśmy z pracy na pańskim jeszcze przed zachodem słońca, czytamy w skardze mieszkańców Nieborów, pochodzącej z tego samego okresu czasu. Obecnie jednakże musimy stawać do pracy zarówno z wschodem słońca a kończymy ją dopiero po jego zachodzie. Niektórzy z nas, kontynuują nieborowianie, muszą z uwagi na znaczną odległość od miejsca pracy, opuszczać swe chaty nocą, jeszcze przed świtem, nie prędzej jak późną nocą wracają do domu, by następnego dnia na długo przed brzaskiem udać się ponownie na pańskie.[1])

Przytoczone powyżej relacje świadczące o systematycznej pregrawacji ciężarów pańszczyźnianych odnoszą się w pełni do prawie całego obszaru ziemi cieszyńskiej, świadczą o tym wymownie skargi prawie że wszystkich gmin, skierowane do urzędującej na terenie Śląska komisji urbarialnej, czy też wprost do kancelarii dworskiej w Wiedniu. Syntetyczny obraz rozmiarów darmowej robocizny, wykonywanej na rzecz zwierzchności podaje w swym sprawozdaniu Blanc, jeden z członków owej komisji urbarialnej, powołanej przez kancelarię dworską do zbadania ówczesnego położenia cieszyńskiego chłopstwa. „Siedlak odrabia pańszczyznę z poczwórnym sprzężajem bydlęcym najczęściej przez 6 półdni w tygodniu. Wielki zagrodnik pracuje z podwójnym zaprzęgiem przez ten sam okres czasu, względnie przez 3—4 półdnie z sprzężajem poczwórnym. Pieszą robociznę wykonują zagrodnicy omłockowi w ciągu całego roku lub w dwie osoby od lipca do końca listopada. Chałupnicy wygonowi pracują zazwyczaj od 3—6 półdni przez cały rok, komornicy od 2—4 a nawet gdzieniegdzie do 6 półdni tygodniowo względnie od maja do końca listopada." [2])

Ciężary te, jakkolwiek nie należały bynajmniej do najwięcej dających się we znaki powinności poddańczych, odbijały się destruktywnie na sytuacji gospodarstw sprzężajnych, zmuszonych do trzymania i żywienia nadmiernej, z punktu widzenia własnych potrzeb, ilości bydła pociągowego, niezbędnej dla uprawy gruntów folwarcznych. Powodowało to, prócz niesłychanie niskiej wydajności wynędzniałego żywego inwentarza, skrzywienie proporcji struktury gospodarki zamożnego chłopstwa, unicestwiając wszelkie możliwości jej zdrowego rozwoju. Sytuację gospodarstw sprzężajnych pogarsza zachodzący równolegle proces ich rozdrabniania, nie wpływający bynajmniej na odpowiednie skorygowanie rodzaju i rozmiarów odrabianej przez nie pańszczyzny, opartych pierwotnie na powierzchni użytkowanej przez chłopów ziemi. Forsowany właśnie w tych celach przez zwierzchność podział gruntów siedlaków i zagrodników prowadzi do zwiększenia renty odrobkowej na rzecz wielkiej własności ziemskiej kosztem osłabienia żywotności, powstających po podziale, mniejszych gospodarstw pańszczyźnianych. Specyficznym zjawiskiem dla wsi cieszyńskiej jest stosowanie półdni, jako jednostek obrachunkowych. Pozwala to na dowolne przedłużanie w miarę potrzeby zwyczajowego 5-godzinnego dnia roboczego, do granic możliwości korzystania z światła dziennego.

Przedłużanie czasu pracy, tak charakterystyczne dla wzmagającego się w XVIII w. wyzysku feudalnego, następuje dalej coraz częściej pośrednio, nie rzadko z inicjatywy samego wyzyskiwanego, zmuszonego do tego wprowadzeniem systemu pańszczyzny wydziałowej, czy też niską wydajnością lub koniecznością oszczędzania sił bydła pociągowego. Pregrawację ciężarów pańszczyźnianych powoduje oprócz wspomnianego już powiększania gruntów folwarcznych kosztem ziemi chłopskiej, również intensyfikacja gospodarki folwarcznej, systematyczne podnoszenie wydajności i jakości upraw oraz wprowadzanie kultur bardziej pracochłonnych (ziemniaki). W tym samym kierunku działają wreszcie wynikające głównie z doraźnych potrzeb finasowych zwierzchności i jej oficjalistów, wcale częste wypadki oczynszawiania, niekiedy nawet przymusowego, części gospodarstw chłopskich. „Skrzywdzono nas, oświadczają chłopi z Nieborów, ponieważ zmuszani jesteśmy do odrabiania pańszczyzny również i za tych poddanych, którzy zostali oczynszowani.” [3]) Rosnące w ten sposób ciężary pańszczyźniane spadają na barki coraz to mniejszej ilości gospodarstw chłopskich, zobowiązanych do bezpłatnej pracy na pańskim.

Wzrost zapotrzebowania na ręce robocze powoduje, że zwierzchność zaczyna zmuszać do renty odrobkowej nawet ludzi wsi położonych z dala od gruntów folwarcznych. Bardzo częste są skargi poddanych, stwierdza znana nam już komisja urbarialna, na znaczną odległość od miejsca pracy.[4]) Dochodzi ona do 2 i nawet więcej godzin w jedną stronę. I tak np. mieszkańcy Mostów przy Cieszynie odrabiali pańszczyznę na folwarku w Ogrodzonej, górale wiślańscy pracowail w Górkach oraz w gorzelni cieszyńskiej. Wzrost oddalenia od miejsca pracy, bez zaliczania do pańszczyzny czasu na drogę, powstawał również nieraz stąd, że jedna zwierzchność odstępowała, pomimo formalnego zakazu stosowania tego rodzaju praktyk, przypadającą jej robociznę zwierzchności drugiej.

Punkt ciężkości pańszczyzny, jako elementu wyzysku feudalnego oraz degradacji ekonomicznej chłopskich gospodarstw, spoczywał jednakże gdzie indziej — w bezterminowej i nieograniczonej w praktyce, pracy przymusowej w okresach szczytowego nasilenia robót polnych. W czasie siewu, sianokosów i żniw, skarżą się chłopi cieszyńscy, zmusza się ich do odrabiania podwójnych ciężarów pańszczyźnianych.[5]) Dla pracy we włas-

nym gospodarstwie pozostawała im w tym decydującym o wynikach całorocznej gospodarki czasie, jedynie noc, i to nie cała. Pregrawacja ciężarów pańszczyźnianych osiąga tu swój szczyt, prowadząc nierzadko do zmarnowania całorocznego efektu pracy chłopa i jego rodziny, z góry przekreślając wszelkie możliwości wygospodarowania przez niego ze swej ziemi nadwyżek towarowych ponad ilości niezbędne do prostej reprodukcji swego gospodarstwa.

Jeszcze gorzej przedstawiało się położenie małorolnych i bezrolnych, odrabiających pańszczyznę na rzecz dworu. Intensyfikacja powinności pańszczyźniano-poddańczych grozi im podcięciem źródeł utrzymania i perspektywą śmierci głodowej ich samych oraz rodzin. W Kalembicach koło Cieszyna, stwierdza komisja urbarialna, sześciu na ogólną liczbę 7 osiadłych tam zagrodników, dysponujących ziemią o łącznej powierchni 7,25 szefli wysiewu (około 1,7 ha), pracuje przez cały rok od ósmej a w okresie żniw od siódmej rano do wieczora w dwie osoby."[6]) „Skąd czerpie tego rodzaju rodzina małych zagrodników i chałupników", zapytuje Blanc w jednym z swych sprawozdań, „obarczona często kilkorgiem dzieci, środki do życia?, z 1, 2 czy 3 szefli powierzchni wysiewu (23 do 69 arów), który sieje się niekiedy na najbardziej niewdzięczną ziemię, gdzie mało co się udaje? Z pracy rąk, nie dysponując żadnym wolnym dniem? A gdzie ubranie? Gdzie podatki? Gdzież jest prawo natury, kiedy mężczyzna i kobieta wychodzą przez 4, 8 i więcej tygodni, jak tu i tam się zdarza, wspólnie na pańszczyznę, zmuszeni zamknąć małe, nieletnie dzieci same w domu, narażając je na tysiące nieszczęśliwych wypadków... A wreszcie komornicy, którzy zazwyczaj nie mają nic więcej od zwierzchności, jak tylko gołe prawo do życia, a za to odrabiają 2, 3, 4 i 6 półdni pańszczyzny, będąc ponad to zobowiązani do wykonywania swemu gospodarzowi określonych czynności za to, że toleruje ich w swej chacie? Z czego ma żyć taka rodzina? Z ziemi? Nie posiada jej ani odrobiny. Kosztem zwierzchności? Musi dla niej darmo pracować. Z zarobku? Kiedy ma zarabiać skoro zimą pozostają jej do dyspozycji tylko półdnie a w okresie sianokosów i żniw (kiedy, dodajmy, zdarzały się okazje pracy na korzystniejszych warunkach Ch. J.) nie dysponuje najmniejszą chwilą. Można by na to odpowiedzieć, że musi z czegoś żyć skoro żyje. Zaiste, ale nie można nazwać tego życiem... Z oblicza takiego nieszczęśnika wyziera nędza i rozpacz, widać ją w łachmanach na jego ciele, widoczna jest z jego żałosnego dopraszania się o pomoc." [7])

Trudno o bardziej plastyczne i i przekonywające świadectwo chłopskiej niedoli z tamtych czasów. Konsekwencje jej można sprowadzić do jednej jedynej cyfry. Ten sam Blanc określa procent śmiertelności w księstwach cieszyńskim i bielskim w tym czasie na 4,17% mieszkańców rocznie.[8])

II

Drugą z kolei obok pregrawacji ciężarów pańszczyźnianych konsekwencją intensyfikacji gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej stają się rugi chłopskie. Nasilenie ich w połowie XVIII w., jak to wynika z licznych suplik oraz sprawozdań komisji urbarialnej, jest szczególnie duże. „Istnieje mało dóbr ziemskich", stwierdza Blanc, „których ziemi dworskiej nie powiększono od czasu wprowadzenia katastru krajowego o 1/6 do 1/7 gruntów chłopskich." [9]) Poddani skarżą się, czytamy w jednym z sprawozdań komisji urbarialnej, że „dominia wcielają bardzo dużo ziemi chłopskiej do gruntów folwarcznych, względnie z zabieranej ziemi tworzą nowe folwarki, co zmniejsza liczbę chłopów pańszczyźnianych i prowadzi do większego obciążania pozostałych robocizną i innymi powinnościami w rodzaju kwa-

terunku, stróży, zwózki itp.".[10]) I tak np. w Dol. Błędowicach żalą się miejscowi chłopi, że zwierzchność zabrała 4 grunty i przekształciła je na dwa folwarki, obrabiane przez użytkowników pozostałych błędowickich gruntów chłopskich. W Olbrachcicach, dominium hr. Larischa, przekształcono trzy role chłopskie na owczarnię, w Kocobędzu i Ligotce Alodialnej wcielono do miejscowego folwarku 5 chłopskich gruntów. Nie było wsi cieszyńskiej, mieszkańcy której nie skarżyliby się na bezprawne, samowolne zabieranie przez zwierzchność gruntów chłopskich, stawów, lasów czy pastwisk. Podobnie przedstawiała się sytuacja z własnością ziemską poszczególnych gmin, użytkowaną przez ogół jej obywateli. „Przed nieiakymi czasy miely smy przy nasey gromadzie albo dziedzinie dwoie pastwich dla dobytka nasego, donoszą chłopi z Dziedzic koło Bielska. „Są nam odebrane iedny za pana Jego Moscy grofa Suneka, drugie odebrał Jeho Mosc graf Solm, a tak nie mamy bysmy śie sklonily z nasem dobytkiem, tylko co sobie ziednamy u panstwa nasego a to wsytko trzeba tuplowanie oplacic. Chalupki, ktore smy miely na nowśiu, których iest sumy 15-ie... iest nam odebrana za Jego Mośćy pana grofa Chaukwicza." [11]) Podobnych przykładów mnożyć można by dziesiątki.

Konsekwencje rugowania chłopów z ziemi szły zresztą znacznie dalej, uderzając nie tylko bezpośrednio poszkodowanych. One to w największym chyba stopniu przyczyniają się do utrzymania tak specyficznej dla owych czasów atmosfery tymczasowości i całkowitej zależności gospodarki chłopa pańszczyźnianego od niczym i przez nikogo nie krępowanej samowoli pana feudalnego, atmosfery, paraliżującej wśród cieszyńskiego chłopstwa w zarodku jakąkolwiek myśl szerszego zainteresowania się wynikami własnej gospodarki rolnej, uświadomienia sobie przez niego korzyści, wypływających stąd dla niego i jego najbliższych, poczucia pewności korzystania z płodów własnej pracy — przesłanek warunkujących nie tylko dalszy rozwój gospodarki chłopskiej, ale w ogóle sił wytwórczych wsi cieszyńskiej.

Dodatkowym czynnikiem, pogarszającym sytuację gospodarki chłopskiej, była mało na ogół urodzajna gleba oraz liczne klęski żywiołowe, jak np. regularne wylewy Wisły, Olzy, Stonawki i innych mniejszych miejscowych rzek, często zmieniających swe nieregulowane koryta.[12]) Klęski te nierzadko powodują zmarnowanie się na wielkich połaciach plonów, co w połączeniu z ogólnym prymitywnym stanem gospodarki, brakiem zapasów ziarna i paszy, niskim poziomem kultury rolnej, trudnościami transportowymi oraz niezaradnością i niezdecydowaniem władz prowadzi do okresowych katastrof głodowych, dziesiątkujących ludność, wyludniających całe wsie. Największe rozmiary przyjmuje klęska głodowa w pierwszej połowie lat 70 XVIII w. obejmująca swym zasięgiem nie tylko zresztą ziemię cieszyńską, ale również i kraje czeskie, gdzie powoduje również powszechną radykalizację nastrojów i przyczynia się do wybuchu szeregu buntów chłopskich. Wspomnijmy jeszcze o jednym, drobnym na pozór, nie mniej bardzo charakterystycznym dla ówczesnych stosunków, fakcie — całkowitej bezsilności chłopa wobec zwierzyny leśnej, pustoszącej i tratującej jego pola. „Ktorzi mamy grunta koło lassa... do tego zwierz lesny skody robi ieszcze pierweg dawał pan na płoty a teraz ani przedac nie chce a zwierza zabyac nie dadzą by y kurynda sła o to ze by sie zaden niewazył a my bronimy a ubronic nie mogemy", piszą w swym „lutunku" mieszkańcy Zabrzega koło Dziedzic.[13]) Wilk, kuna czy zając mogły tedy całkiem swobodnie i bezkarnie hasać po roli chłopa, zabicie szkodnika, będącego przecież własnością zwierzchności ściągało na „winowajcę" wysoką karę pieniężną, nierzadko połączoną z aresztem.

III

Położenie głównego nacisku na rentę odrobkową nie oznaczało bynajmniej rezygnacji zwierzchności z wyciskania pod różnymi pozorami z miejscowej ludności chłopskiej różnego rodzaju czynszów i innych opłat pieniężnych. W odręcznym liście do kanclerza hr. Chotka z lipca 1768 roku pisze cesarzowa Maria Teresa: „Na Śląsku w niektórych dominiach mają miejsce wypadki wydzierżawiania owczarzom krów folwarcznych za tak wygórowany czynsz, że ci w konsekwencji rezygnują z dzierżawy. Wtedy dominia przemocą zmuszają najzamożniejszych poddanych do podjęcia zawodu owczarzy, narzucając im nadmierny czynsz. O ile ci nie wyrównują swych powinności, to zabiera im się wszystko, co posiadają a conto zaległości, a kiedy opierają się, wtedy więzi się ich i szykanuje na inne sposoby do tego stopnia, że z zamożnych chłopów stają się żebracy, zmuszeni z konieczności do emigrowania z żonami i dziećmi." [14]) Nie zawsze, rzecz jasna, dochodziło do tak drastycznych form wyciskania z ludności ostatniego grosza, o tym jednakże, jak bardzo usilnie starała się zwierzchność powiększać swe pieniężne dochody w drodze nakładania na poddanych różnych rodzajów czynszów, kar i opłat świadczą liczne supliki chłopów cieszyńskich z tego okresu. „Za dawneysych czasow nie dawali smy tak wysokich miesioncnych dawek iak teras dawamy i prasamy gdyby mozno uprosic u nasey jasney czysarzowej o iakie zelzenie" zwracają się do komisji urbarialnej chłopi z Dziedzic.[15]) Obfitym źródłem dochodów pieniężnych zwierzchności była instytucja laudemium, wypływająca z emfiteutycznego charakteru ziemi chłopskiej. Każdorazowy mianowicie nabywca gospodarstwa chłopskiego na Śląsku Cieszyńskim płacił na rzecz dworu jednorazową opłatę w wysokości średnio 10% szacunkowej wartości gruntu i inwentarza.[16]) Laudemium nie obowiązuje jedynie w dobrach w Hażlachu, Kostkowicach, Drogomyślu, Jaworzu, Grodźcu, Szonowie, Szumbarku oraz Dolnych Trzanowicach. Nie trzeba się rozwodzić, jak fatalnie odbijała się konieczność uiszczenia w gotówce tak wysokiej opłaty na sytuacji materialnej nowego gospodarza, nierzadko równocześnie spłacającego jeszcze swe rodzeństwo.

Rozwój po wsiach cieszyńskich domowego przemysłu lniarskiego umożliwia zwierzchności obciążenie wysokim czynszem pieniężnym wiejskich rzemieślników — przędzarzy i tkaczy, rekrutujących się najczęściej spośród warstwy chałupników czynszowych. Nie poprzestawano tylko zresztą na tym. Przenikanie stosunków pieniężnych w ówczesnej ekonomice wsi cieszyńskiej wypierających świadczenia w naturze a nawet i częściowo już i w robociźnie — wyraźny symptom rozkładu feudalnego i rozwoju elementów gospodarki kapitalistycznej,[17]) zaczyna zataczać coraz to szersze kręgi. Nie ma kategorii ludności wiejskiej ziemi cieszyńskiej, która by w tym czasie nie była obciążona świadczeniami pieniężnymi. W Wielopolu, Trzycieżu roczny czynsz w wysokości 3 fl uiszczają nawet niewidomi.

IV

Potężnym bodźcem rozwoju gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej staje się zaostrzanie przymusu pozaekonomicznego. Pogłębianie zależności poddańczej rozwiązuje problem rosnącego zapotrzebowania na ręce robocze oraz w poważnym stopniu zagadnienie zbytu artykułów, produkowanych przez folwark, pozwala wreszcie na zwiększenie wpływów pieniężnych z różnych opłat, pobieranych przez pana z racji wykonywania przez niego funkcji publicznoprawnych i tytułu zwierzchnictwa nad poddanymi.

Problem pierwszy nie nastręcza poważniejszych trudności. Zwierzchność, wykonująca czynności admini-

stracyjno-policyjno-sądowe pierwszej instancji z powodzeniem reguluje migrację ludności wiejskiej, wstrzymując czy ograniczając w miarę potrzeby wydawanie zezwoleń na opuszczenie wsi, na podjęcie pracy w rzemiośle itp. Gdy to za mało, wtedy mobilizuje się do pracy na pańskim całą bez wyjątku ludność wsi. Mieszkańcy Pietwałdu skarżą się w r. 1766, że do odrabiania pańszczyzny zmusza się pod różnymi pozorami nawet stare kobiety.[19]) W Trzycieżu do pracy na folwarku zobowiązani są przez dwa dni w tygodniu żebracy. W suplice skierowanej do kancelarii dworskiej do Wiednia, skarży się inwalida Tompa z Goleszowa na zwierzchność, zmuszającą jego syna, który wrócił kaleką z służby wojskowej, do odrabiania pańszczyzny, nie zezwalającej mu na zajęcie się szewstwem.[20]) Istniejąca teoretycznie możliwość wykupienia się z poddaństwa zostaje w praktyce na skutek wyśrubowania sumy wykupu, ograniczona do minimum. W r. 1738 burmistrz Łazów wykupuje swego najstarszego syna i jego potomków z poddaństwa płacąc w gotówce sumę 110 fl., równowartość około 18 krów względnie około 80 owiec górskich lub niespełna 220 owiec nizinnych.[21]) Z przywileju zwolnienia z poddaństwa, przysługującego absolwentom kolegium jezuickiego w Cieszynie, ograniczonego zresztą koniecznością uzyskania zezwolenia na oddanie syna do szkół, korzystać mogły również nieliczne jednostki, rekrutujące się z najzamożniejszych i najbardziej wpływowych rodzin chłopskich.

Obowiązek robocizny, spoczywający w zasadzie jedynie na osobie gospodarującej, ciążył w praktyce na całej jego rodzinie. Oprócz bowiem pańszczyzny na gruntach folwarcznych zwierzchność nakładała na poddanych cały szereg robocizn i świadczeń pomocniczych, wykonywanych już nie tylko przez samego gospodarza i jego czeladź, lecz również przez pozostałych członków rodziny gospodarza. Należały do nich takie czynności jak w pierwszym rzędzie przędzenie z dostarczonego, nierzadko najgorszego gatunku lnu, określonej ilości i jakości przędzy, rzadziej już tkania płótna, stróża, zwózka, drzewa, zboża, podróże piesze i sprzężajne, praca w ogrodzie, nagonka przy polowaniu, darcie pierza, praca w ogrodzie, strzyżenie owiec, konsekwencja stawów etc., etc. Tutaj należy wymienić również pracę pańszczyźnianą w licznych rozsianych w okolicy Cieszyna, odkrywkowych kopalniach sferosyderytów oraz w założonej w latach 70-ych XVIII w. hucie ustrońskiej. Zwierzchności przysługiwało dalej prawo pierwszeństwa najmu do pracy wszystkich robotników, żyjących w granicach dóbr. Dla potrzeb własnych i pracy na folwarku dwór korzystał z kilkuletniej, trwającej w zależności od potrzeby i miejscowego zwyczaju od 3 do 7 lat, służby nieletnich poddanych, „asenterowanych" co roku pod koniec listopada w pierwszą niedzielę adwentu. Ta ostatnia powinność szczególnie dotkliwie daje się we znaki gospodarstwom chłopskim, pozbawiając ich rąk do pracy, zmusza gospodarzy do kosztownego najmu obcej czeladzi wzgl. też spycha cały ciężar pracy w gospodarstwie na niego tylko i żonę. „A co najgorsze", skarżą się chłopi stonawscy, „ledwo co niejeden ojciec z wielką trudnością dziatki swe odchowa zaraz mu je do służby (we dworze) zabiorą, wtedy właśnie gdy mogłyby one mu pomóc w pracy." [22]) Korzystanie ze służby we dworze nieletnich poddanych zabieranych gospodarstwom wiejskim podyktowane było nie tylko dążeniem zwierzchności do zapewnienia sobie potrzebnej ilości tanich, najczęściej bezpłatnych rąk roboczych, lecz również i innymi motywami. Poddani dominium Szumbark żalą się w jednej z suplik, że tamtejsza zwierzchność „sieroty i czeladź dworską wynajmuje za wysoką opłatą posiadaczom obcych gruntów, sama zaś zabiera do pracy w folwarku dzieci miejscowych gos-

podarzy, nie bacząc na to, że ci potrzebują je we własnym gospodarstwie.[23])

V

Wyzysk cieszyńskiego chłopstwa nie ograniczał się jedynie do jego roli producenta dóbr materialnych, ale również uderzał w masy chłopskie jako konsumentów. Wobec braku rozwiniętego rynku wewnętrznego stosowanie przymusu pozaekonomicznego przynosiło tu szczególne owoce. O ile monopol skupu artykułów chłopskich po cenach dowolnie wyznaczanych przez przymus korzystania z młyna dworskiego służył zwierzchności w praktyce do zagarnięcia wszelkich nadwyżek, stanowiących dla dworu jakąkolwiek wartość artykułów rolnych, jakie pozostały w ręku chłopa po uiszczeniu danin w naturze o tyle monopol zbytu zabierał chłopu resztki mizernych ilości gotówki, pozostałej po uiszczeniu podatków państwowych, dziesięcin na rzecz proboszcza oraz różnego rodzaju czynszów i opłat pieniężnych na rzecz dworu i jego oficjalistów.

W warunkach panujących w tym czasie na wsi cieszyńskiej gospodarki naturalnej monopol zbytu zwierzchności sprowadzał się przede wszystkim do przedrażania, i tak już obarczonej nadmierną akcyzą państwową, soli oraz do przymusowego kupna piwa, a szczególnie wódki. Intensyfikacja gorzelnictwa jest przecież w tym czasie jednym z najbardziej wydajnych źródeł wzrostu rentowności majątków wielkiej własności ziemskiej. Wystarczy zaznaczyć, że w przeciągu pierwszej połowy XVIII w. udział wpływów z gorzelnictwa w łącznej sumie dochodów z gospodarstwa wiejskiego i użytków rolnych Komory Cieszyńskiej, największego feudalnego latyfundium Śląska Cieszyńskiego, obejmującego podówczas niespełna 40% jego obszaru, podnosi się z 1/10 w latach 90-ych XVII w. do 1/5 w połowie XVIII w.[24]) Tutaj należy doszukiwać się przyczyny szczególnego zainteresowania zwierzchności w tym czasie sprawą zapewnienia zbytu produkowanej wódki. Obowiązek zakupu określonych ilości okowitej, jako powinność poddańcza, zostaje wprowadzony do urbarzy Komory w r. 1755, chociaż obowiązywał już na ogół przed tym. Kontyngent wódki nałożony w tym ostatnim urbarzu na wioski Komory wynosił 32 wiadra o wartości 615 fl.[25]) Na protesty 29 wiosek kameralnych, skierowane wprost do Wiednia przeciwko zmuszaniu do konsumcji alkoholu, wskazujące między innymi na fakt, że chodzi często o wódkę zepsutą względnie o uboczny produkt destylacji, którego nie zdołano wyszynkować w karczmach, odpowiada kancelaria dworska, że nie można Komorze odbierać praw, przysługujących jej na mocy zwyczaju, chyba że sama z nich zrezygnuje i poleca jedynie zarządowi Komory poczynić starania, by wódka dostarczana wsiom była zdatna do konsumpcji i nie droższa niż w karczmach.[26]) Przymus kupna napojów alkoholowych nie ograniczał się zresztą tylko do posiadłości Komory, obowiązywał on na całym obszarze ziemi cieszyńskiej. I tak np. w dominium polsko-ostrawskim prócz określonych kontyngentów wódki i piwa, wyznaczanych na poszczególne wsie, obowiązywał przymus zakupu 1 beczki piwa i 10 kwart wódki na uroczystości weselne.[27]) Podobnie, chociaż w mniejszym zakresie forsowała zwierzchność zbyt piwa. W wioskach Komory, pisze Popiołek, wyznaczano poddanym określone ilości piwa z browarów w Cieszynie i Ustroniu tytułem kar za niektóre przewinienia.[28]) W taki to sposób intensyfikacja gospodarki wielkiej własności prowadzi między innymi do rozpowszechnienia się wśród cieszyńskiego chłopstwa plagi alkoholizmu, podłamującej resztki jego energii i siły życiowej. Konsekwencje tego systematycznego forsownego, wzmagającego się z dziesięciolecia na dziesięciolecie rozpijania odbić się

miały fatalnie zarówno na tężyznie fizycznej szerokich mas chłopskich, jak i na ich strukturze psychicznej.

VI

Interesy zwierzchności, dworu, reprezentowali na codzień oficjaliści dworscy, sprawnie działające w swej masie główne narzędzie panującego wyzysku i ucisku. Sami pogardliwie traktowani przez wyniosłych, arystokratycznych chlebodawców, mogący w każdej chwili zostać pozbawieni swej pozycji i stanowiska, nie szczędzili starań ni zabiegów, by zaskarbić sobie łaskę pańską, zapewnić egzystencję, uchronić się przed grożącą im w razie utraty pracy, deklasacją społeczną i degradacją ekonomiczną. Nic więc dziwnego, że obowiązki swe spełniali nader gorliwie, przykręcając do reszty śrubę wyzysku. Marnie na ogół wynagradzani korzystają z każdej nadarzającej się okazji wyduszenia z chłopa ostatniego grosza w postaci nakładania kar pieniężnych, pobierania różnych opłat za wykonywanie czynności urzędowych, udzielanie zezwoleń etc. Prócz pieniędzy nie gardzą również daninami w naturze czy odrobkiem we własnym gospodarstwie. Wykazują przy tym wiele inicjatywy i zaradności, zbijając w krótkim czasie niemałe fortuny. „Do nas przychodzi strzelec w podartym ubraniu, nie mając nic jak gołe ciało, po czterech czy pięciu latach tyje i dochodzi do majątku, który wycisnął na biednych poddanych",[29]) skarżą się górale cieszyńscy w jednym z memoriałów, skierowanych wprost do Wiednia. W wielkich latyfundiach i innych majątkach ziemskich pozycja ich jest szczególnie mocna; wraz z wzrostem odległości od głównego ośrodka dyspozycyjnego rośnie ich samowola i wszechwładza. Bezkarność swego postępowania okupują tym gorliwszym strzeżeniem interesów zwierzchności, nie zaniedbując przy tym wcale własnej, kieszeni, kradnąc i oszukując gdzie i co się tylko da. W kwietniu 1767 r. skarżą się gminy Brenna, Wisła, Wiślica, Kaczyce, D. Ustroń, Kowal i Zarzecze, że nie otrzymały należnych bonifikat za dostawy w czasie ostatniej wojny. Po zbadaniu sprawy okazało się, że pieniądze przeznaczone na wypłatę dla tych gmin przywłaszczył sobie jeden z urzędników Komory.[30])

Wzajemne stosunki między cieszyńskimi chłopami i oficjalistami dworskimi a szczególnie wyższymi urzędnikami zaognia jeszcze więcej ten fakt, że ci ostatni pochodzą w większości z krajów płd.-niemieckich i austriackich, nie znając często języka miejscowej ludności, jej życia i zwyczajów. Autorytet swój podtrzymują oficjaliści oprócz nakładania kar pieniężnych gorliwym stosowaniem kar cielesnych. Bicie poddanych jest na porządku dziennym. „Kary cielesne . . . wymierza się kijami o bliżej nieokreślonej grubości", stwierdza komisja urbarialna, proponując zastąpienie laski bykowcem (sic!).[31] „Ktokolwiek by coś zamieszkał lub nie był w stanie wykonać — zapłaci za to więzieniem i biciem" czytamy w „lutunku" mieszkańców Stanisłowic.[32])

VII

Dla uzyskania całokształtu obrazu życia wsi cieszyńskiej w interesującym nas czasokresie nie sposób pominąć ciężarów, nakładanych na miejscową ludność przez absolutystyczne państwo feudalne. Sprowadzały się one zasadniczo do płacenia podatków (t. zw. kontrybucji), świadczenia kwaterunków, szarwarków oraz służby wojskowej.

Do czasów zreformowania systemu podatkowego w r. 1748, zwyczajną kontrybucją na rzecz państwa były obciążone jedynie grunta rustykalne; chłop ponosił więc całość ciężarów nakładanych przez feudalny aparat ucisku na gospodarkę rolną. Terezjański system podatkowy wprowadza również opodatkowanie gruntów dworskich. Nie oznaczało to bynaj-

mniej polepszenia sytuacji finansowej chłopa choćby z tego tylko tytułu, że w rękach zwierzchności pozostało nadal prawo subrepartycji i egzekwowania łącznej kwoty podatkowej, przypadającej na całe dominium, co w praktyce pozwalało nie tylko na przerzucenie na chłopa całości ciężarów podatkowych, ale stwarzało możliwości nowego źródła dochodów. Nowy system podatkowy obciąża zresztą dodatkowo gospodarstwa chłopskie, wprowadzając m. in. opodatkowanie bydła chłopskiego. Dodajmy jeszcze, że obowiązująca od r. 1748 stawka podatkowa dla ziemi dominikalnej wynosiła tylko około ¾ wysokości stawki obowiązującej dla gruntów chłopskich.

Poważną rolę odgrywały również podatki pośrednie, szczególnie akcyzy na soli. Wpływy z tego tytułu wynosiły 5,5% łącznej sumy preliminowanych dochodów skarbowych z obszaru Śląska Austriackiego, stanowiąc po kontrybucji (83%) najwydatniejsze źródło dochodów skarbu.[33]) Przepisy podatkowe z r. 1748 przewidywały przymusową repartycję 12 funtów soli na każdego płatnika podatku. Mniejsze znaczenie w tym czasie z uwagi na nikły obrót ziemiopłodami posiadały liczne myta i opłaty celne. Na chłopa przerzucała również zwierzchność wszelkie należności płatnicze z tytułu podatków krajowych. Zwróćmy jeszcze uwagę na częste wypadki prostych oszustw i malwersacji, popełnianych przez urzędników państwowych, żerujących na braku orientacji w systemie świadczeń publicznych, łatwowierności, na trudnościach w kontakcie z urzędami państwowymi. W suplikach chłopskich z tego okresu spotykamy się często ze skargami na niewypłacanie należności na dostawy do magazynów wojskowych, różnych bonifikat z tego tytułu etc.

Do świadczeń pieniężnych dołączał się obowiązek dostarczania podwód dla przejazdu urzędników oraz szarwark, ważny z uwagi na rozpoczynającą się począwszy od lat 70-ych budowę i rozbudowę sieci drogowej, prowadzonej bez oglądania się na możliwości i straty ponoszone przy tym przez chłopów. I tak w r. 1781 z samych tylko względów prestiżowych (przejazd przez Śląsk Cieszyński wielkiego księcia rosyjskiego Pawła, późniejszego cara Pawła I, następcy Katarzyny II), wykończony zostaje w bardzo krótkim czasie kosztem oczywiście rąk i sprzężaju chłopów, zmobilowanych specjalnie w tym celu z większości (prawie ⅔) wsi Śląska Cieszyńskiego, odcinek drogi, prowadzący z Ostrawy do Cieszyna.[34])

Do najdotkliwszych ciężarów chłopskich w ogóle należał bezsprzecznie przymus kwaterunku i żywienia wojska na wypadek jego obecności we wsi. Środek ten stosowany powszechnie dla celów pacyfikacji wzburzonych wsi, nie chybiał nigdy celu, prowadził do kompletnego wyczerpania posiadanych przez chłopów ostatnich zapasów pożywienia i karmy dla bydła, a tym samym do zrujnowania najzamożniejszych gospodarzy, nie wspominając już o gwałtach, popełnianych przez żołnierzy na bezbronnej ludności.

O ile omówione wyżej dotychczas ciężary, nakładane przez feudalny aparat ucisku na wieś cieszyńską, uderzały swym ostrzem przede wszystkim w zamożniejsze warstwy chłopstwa o tyle obowiązek kilkunasto-kilkudziesięcioletniej w praktyce, służby wojskowej dawał się we znaki głównie uboższym warstwom ludności wiejskiej oraz ludziom luźnym. Gminy wiejskie i miejskie, decydując w zasadzie o wyborze rekruta, przeznaczały do służby wojskowej szczególnie parobków, terminatorów rzemieślniczych oraz element obcy, przybyły z zewnątrz. Kontyngent rekrutów bielskiego państwa stawowego w r. 1736 wynoszący 25 osób (kontyngent Komory Cieszyńskiej wahał się w tym czasie od 34 do 35 osób), składał się z 5 rzemieślników, 2 rzekomych polskich szlachciców osiadłych w bielskim oraz 1 studenta,

resztę stanowili parobcy. Z ziem Rzeczypospolitej pochodziło 20 osób, z Szwajcarii i Bawarii po jednym a z obszaru Śląska tylko trzej.[35]) Synowie siedlaków rzadziej popadali w „cesarskie kamasze". Jeden z nich, mający po ojcu przejąć gospodarstwo, był w ogóle zwolniony od służby wojskowej. Jest rzeczą jasną, że dla zwierzchności pobór rekruta był witaną i często wykorzystywaną okazją do pozbycia się ze wsi elementów najbardziej radykalnych i niewygodnych, słowem wszelkiego rodzaju „wichrzycieli". I tak w styczniu 1738 regent Komory otrzymuje naganę za represje stosowane względem miejscowej ludności ewangelickiej, a między innymi za wysyłanie opornych „akatolików" do wojska.[36]) Z drugiej strony, służba wojskowa posiadała również wielkie pozytywne znaczenie dla wzrostu uświadomienia klasowego mas chłopskich. Wracający do rodzinnej wioski żołnierz, który w czasie długoletniej służby wojskowej niejedno widział, niejedno przeżył, stawał się jednostką wnoszącą do konserwatywnego i izolowanego od reszty świata życia na wsi, elementy fermentu, poglądy i punkt widzenia, przekraczający znacznie ciasne horyzonty jej mieszkańców.

Tak oto przedstawia się w grubych zarysach obraz życia wsi cieszyńskiej w w. XVIII. Reasumując, można bez przesady powiedzieć, że cechował je stopniowany do granic fizycznej wytrzymałości, przekreślający wszelkie możliwości jak najskromniejszego rozwoju gospodarstw chłopskich, wyzysk mas cieszyńskiego chłopstwa, potęgujący się w miarę następującej w tym czasie intensyfikacji gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej i pozostałych źródeł dochodów wielkiej własności ziemskiej. W obliczu zupełnie namacalnej ostatecznej ruiny swego gospodarstwa sięga zdesperowany chłop cieszyński instynktownie po ostatnią broń, jaka mu pozostała, — do aktywnego oporu przeciwko uświęconej przez wieki, tradycję i wierzenia, feudalnej władzy zwierzchności, do oporu przekształcającego się w prawdziwą walkę, włączającą się do ogólnej w tym czasie fali antyfeudalnych wystąpień mas chłopskich krajów korony św. Wacława, w wyniku których feudalny aparat ucisku zmuszony zostaje do przeprowadzenia najbardziej niezbędnych reform agrarno-społecznych, likwidujących najjaskrawsze i najbrutalniejsze formy i przejawy panującego feudalnego wyzysku.

JÓZEF CHLEBOWCZYK

---

[1]) Suplika mieszkańców Ropicy z dn. 2. V. 1766, Stanisłowic z dnia 30. IV. 1766 oraz Nieborów, bez daty — Archiwum Krajowe w Opawie. Cyt. za niewydanym dotychczas drukiem przez Śląski Instytut Naukowy w Opawie zbiorem suplik chłopów śląskich z w. XVIII, w opracowaniu dr A. Grobelnego i dr B. Sobotika.

[2]) Relacja Blanca, członka komisji urbarialnej na temat stosunków panujących w księstwach cieszyńskim i bielskim z roku 1769. Cyt. za K. Grünberg: Die Bauernbefreiung und die Auflösung des gutsherrlichbauerlichen Verhaltnisses in Böhmen, Mähren und Schlesien." Leipzig 1894, B. II, s. 106.

[3]) Suplika mieszkańców Nieborów, l. c.

[4]) Sprawozdanie komisji urbarialnej z czerwca 1768. Grünberg: Die Bauernbefreiung..., l. c., B. II, s. 82.
Popiołek F.: Powstanie klasy robotniczej na Śląsku Cieszyńskim. Zwrot nr 12 (25), r. III, 24. XII. 1951 r., s. 5.

[5]) W dobrach hr. Larischa np. pracowali siedlacy w okresie żniw i sianokosów od świtu do nocy w dwie osoby, od południa również z wozem. Sprawozdanie komisji urbarialnej z grudnia 1768 r. Grünberg: Die Bauernbefreiung . . ., l. c. B. II, s. 98. Por. również sprawozdanie komisji urbarialnej z czerwca 1768 r. Grünberg, l. c. B. II, s. 83-4.

[6]) Sprawozdanie komisji urbarialnej z grudnia 1768 r. Por. Grünberg, l. c. B. II, s. 99—100.

[7]) Relacja Blanca. Grünberg, l. c. B. II, s. 107—8.

[8]) Ibidem.

[9]) Relacja Blanca. Grünberg, l. c. B. II, s. 104.

[10]) Sprawozdanie komisji urbarialnej z czerwca 1768 r., Grünberg, l. c. B. II, s. 87.

[11]) Supliki mieszkańców gmin Dol. Błędowic z dnia 30. IV. 1766, Olbrachcic z 29. IV. 1766, Kocobędza i Ligotki z dn. 1. V. 1766 oraz Dziedzic z 6. V. 1766 r., l. c.

[12]) Sprawozdanie komisji urbarialnej z czerwca 1768 r., Grünberg, l. c. B. II, s. 88.
Por. również Kneifel R.: Topographie des kaiserl.-königl. Antheils v. Schlesien, II. Theil, I. Band, Brünn 1804.

[13]) Suplika mieszkańców gminy Zabrzeg z dn. 7. V. 1766, l. c.

[14]) Grünberg: Die Bauernbefreiung, l. c. B. II, s. 93.

[15]) Suplika mieszkańców gminy Dziedzice z dnia 6. V. 1766, l. c.
Por. również Pospíšil J.: Selské nepokoje ve Slezsku. Věstník Matice Opavské 1908, nr 16, s. 4—6.

[16]) W państwie stanowym bogumińskim tylko wolni chłopi płacili 10%, pozostali 5%. W Stanisłowicach płacono 5%. Raport gubernium morawsko-śląskiego z lipca 1783 r. Grünberg, l. c. B. II, s. 409.

[17]) Engels F.: O upadku feudalizmu i początkach rozwoju burżuazji. Warszawa 1949, s. 7.

[18]) Suplika mieszkańców gmin Trzycieża i Wielopola z dn. 2. V. 1766, l. c.

[19]) Karkoška: Vlastivědná, Topografie Petřvaldu.

[20]) Pospíšil J.: Slezské nepokoje, l. c. VMO 1908, nr 16, s. 3—6.

[21]) Selský archiv. Olomouc, r. IV, 1905, nr 2 (14), s. 116.

[22]) Suplika mieszkańców gminy Stonawy z dn. 30. IV. 1766, l. c.
Suplika mieszkańców Solcy (koło Karwiny) z dnia 29. IV. 1766, l. c.

[23]) Suplika gminy Szumbark, l. c.

[24]) Według szacunku na podstawie danych zaczerpniętych z Typografii Kneifla, l. c. Urbarze Komory Cieszyńskiej z lat 1692 oraz 1755. Davídek V.: Osídlení Těšínska Valachy. Praha 1940, s. 65, 69.

[25]) Popiołek Fr.: Historia osadnictwa w Beskidzie Śląskim. Katowice 1939, s. 92.

[26]) Ibidem, s. 91—2.
Popiołek F.: Studia z dziejów Śląska Cieszyńskiego. T. II, s. 118-9, maszynopis w posiadaniu Muzeum Państwowego w Cieszynie.
Grünberg: Die Bauernbefreiung, l. c. B. I, s. 108-9.

[27]) Adamus A.: Přehled dějin Těšínska za vlády Marie Terezie. Otisk „Těšínského kalendáře" 1926 r., s. 2—3.

[28]) Popiołek F.: Historia osadnictwa, l. c., s. 92.

[29]) Ibidem, s. 66.

[30]) Pospíšil J.: Slezské nepokoje, VMO, nr 16 — 1908, s. 9—10.

[31]) Sprawozdanie komisji urbarialnej z czerwca 1768 r. Grünberg, l. c. B. II, s. 88, 91.
Por. również Adamus Al.: Dějiny městyse Michálkovic. M. Ostrava 1927, s. 13.

[32]) Suplika mieszkańców gminy Stanisłowice z dn. 30. IV. 1766, l. c.

[33]) D'Elvert Ch.: Zur Oesterreichischen Finanz-Geschichte mit besonderer Rücksicht auf die böhmischen Länder. Brünn 1881, s. 535—546.

[34]) D'Elvert Ch.: Geschichte der Verkehrsanstalten in Mähren und Oesterreichisch-Schlesien. Brünn 1855, s. 44-5.
Mieszkańcy Mostów przy Jabłonkowie obowiązani byli np. wyłożyć dylami 2346 sążni traktu, prowadzącego na Węgry. Popiołek F.: Mosty. Zwrot r. III, nr 1 z dn. 21. I. 1951, s. 7.

[35]) Kuhn W.: Der Bauerntumult auf den Teschner Kammergütern im J. 1736. Unsere Heimat. Beilage zur Neuen Evang. Kirchenzeitung, Bielitz, nr 7, 1926, s. 33.

[36]) Ibidem, nr 11, s. 59—60.

ALINA KIETLIŃSKA

Zagadkowa pieczęć wczesnośredniowieczna z Góry Zamkowej w Cieszynie

Prowadzone od kilku lat prace badawczę na Górze Zamkowej dostarczyły wielu ciekawych materiałów do poznania dziejów osadnictwa w Cieszynie. Dzięki tym pracom mogliśmy stwierdzić, że Góra Zamkowa była zamieszkała już na parę wieków przed n. e., t. zn. w czasach, gdy nie możemy mówić jeszcze nie tylko o Polakach, ale nawet o Słowianach. Mieszkały wtedy tutaj, jak i na całym obszarze na północ od Karpat plemiona, które nauka określa mianem prasłowiańskich, tj. przodków Słowian. Oni to zbudowali pierwsze osiedle na Górze Zamkowej. O tym, że byli to przodkowie Słowian, a nie zupełnie obcy lud, najlepiej chyba świadczy nazwa Wisły, znanej pod tym imieniem już na początku n. e. O Słowianach w dzisiejszym tego słowa znaczeniu możemy mówić dopiero odtąd, kiedy pojawiają się nazwy plemion: Wiślanie, Polanie i inni, a na Śląsku Cieszyńskim — Golęszyce.

Badania ostatnich lat wykazały, że na Górze Zamkowej znajdował się również obronny gród słowiański. Gród ten od początku swego istnienia był ośrodkiem władzy. Od czasu zaś, gdy powstało samodzielne księstwo cieszyńskie (1290 r.), Góra Zamkowa stała się siedzibą księcia. Początkowo cała zabudowa zamkowa z wyjątkiem kaplicy byłą drewniana, dopiero w XIV wieku postawiono tu murowany zamek książęcy. Na terenie grodu odkryto resztki drewnianych domów i wałów obronnych, a przy nich dużą ilość przedmiotów używanych przez naszych przodków w życiu codziennym. Drewniane domy nie dadzą się odbudować, ale dzięki żmudnym zabiegom konserwatorskim odzyskuje swój dawny kształt kaplica, zbudowana w początkach XI w. Szczęśliwym trafem uniknęła ona losu wielu innych budowli, które widzimy dziś w stanie ruiny, albo tylko na dawnych rysunkach, ponieważ zniknęły już całkowicie z powierzchni ziemi.

Los taki spotkał i średniowieczny zamek książęcy cieszyński. Dopiero prace archeologiczne odsłoniły część fundamentów zabudowań zamkowych.

Powoli, krok za krokiem archeologowie poznawali przeszłość nawarstwiającą się na Górze Zamkowej w ciągu dwudziestu paru wieków od czasów, gdy ludzie nie znali jeszcze pisma. Ale archeologia, jako to się coraz jaśniej okazuje, jest pożyteczna, ze względu na specyficzny rodzaj badań, również i przy badaniu tych czasów, kiedy znano już pismo. Archeolog poznaje przeszłość z tego, co znajdzie w czasie swych prac w ziemi. Znalezione przedmioty mówią wielokroć o takich rzeczach i zdarzeniach, których pamięć dawno zaginęła, ponieważ nie zanotowano ich w księgach albo księgi uległy zniszczeniu. Czasem język przedmiotów jest zrozumiały tylko dla fachowca, czasem zaś, — jak w opisanym tu wypadku — sam przedmiot jest łatwy do odgadnięcia. Zagadka, wspomniana w tytule, tkwi w czym innym.

Spróbujemy teraz zapoznać czytelnika ze sposobem, w jaki dochodzi się do ostatecznych wniosków.

Przede wszystkim opiszemy warunki, w których został znaleziony przedmiot, będący tematem obecnych rozważań.

Kaplica, o której wspominaliśmy, była użytkowana bez większych zmian przez trzy wieki. Robiono przy niej parokrotnie konieczne drobniejsze remonty, ale do gruntownych zmian przystąpiono w drugiej połowie XIV wieku. Zasypano wtedy



Rotunda przed przebudową

dawną posadzkę tak wysoko, że zniknął pod ziemią i stary ołtarz i drzwi. Teren na zewnątrz kaplicy również podwyższono, zasypując go gruzem. Na tym nowym poziomie, wybito po raz wtóry drzwi i okna i dodano różne ozdoby, tak by kaplica miała „nowy" gotycki wygląd. O dalszych jej kolejach nie będziemy pisać szczegółowo, zaznaczymy tylko, że ostatnia przeróbka miała miejsce w XIX w.

W czasie prac wykopaliskowych w 1954 r. zdjęto z terenu dokoła kaplicy ziemię aż do poziomu XI wieku. W ziemi pod gruzem blisko ściany absydy znaleziono wtedy mały ołowiany krążek. Dokładna analiza różnych szczegółów wskazywała, że krążek ten znalazł się na podwórcu zamkowym w końcu XIII w. Krążek ten pokryty jest z obu stron ornamentem i napisem. Z jednej strony odciśnięta jest doskonale wykonana postać Chrystusa, wyprowadzającego z otchłani dwoje ludzi (Adam i Ewa). Chrystus odziany jest w fałdzistą szatę a w ręku trzyma krzyż o niezwykłym kształcie z trzema poprzeczkami. Z boku na dole dwa małe popiersia ludzkie w płaskich czapkach i w fałdzistych płaszczach. Po tej stronie umieszczony jest grecki napis, który oznacza: święte zmartwychwstanie. Po drugiej stronie jest tylko napis. Wykonano go pięknymi dużymi literami po łacinie. Tekst jego brzmi w tłumaczeniu: Monachus kościoła świętego zmartwychwstania patriarcha.

Badanie przedmiotu rozpoczniemy od próby określenia czasu jego wykonania. Nie jest to trudne. Wszystkie szczegóły rysunku, styl w jakim został wykonany, kształt liter — wskazują na wieki XI do XIII. Zakreślone tym sposobem granice czasowe — 300 lat — są jednak bardzo szerokie i trzeba szukać innych danych, by je możliwie jak najbardziej zwężyć.

Pomoże nam do tego stwierdzenie przeznaczenia przedmiotu. Wzdłuż niego biegnie otwór. Jest to więc pieczęć, którą zawieszono na sznurze przy ważnych dokumentach dla poświadczenia ich autentyczności. Rysunek na pieczęci, w ówczesnych warunkach był obrazkowym podpisem wystawcy dla odbiorców z reguły niepiśmiennych. Uprzytomnijmy sobie, że większość książąt we wczesnym średniowieczu umiała jedynie i to z niejakim trudem podpisać swoje imię.

W wypadku naszej pieczęci rysunek Chrystusa mówi, że wystawca pochodził ze sfer kościelnych.

Obróciwszy pieczęć na drugą stronę możemy odczytać imię wystawcy dokumentu. Jest nim Monachus patriarcha. Teraz wiemy, co znaczy kształt krzyża w ręku Chrystusa. Jest to t. zw. krzyż patriarchów. Patriarcha był to starożytny tytuł najwyższych dostojników kościelnych. Zawsze był bardziej rozpowszechniony na Wschodzie i do dziś zachował się w kościele prawosławnym. W średniowieczu znamy patriarchów w Konstantynopolu, Aleksandrii, Antiochii,

Jerozolimie, Akwilei. Zbierzmy teraz wszystkie dane, by zorientować się, w którym z tych miast musimy szukać Monachusa. Szczegóły rysunku mają zdecydowanie charakter bizantyjski. Również postacie ludzkie z prawej strony Chrystusa mają czapki i płaszcze dostojników bizantyjskich. Szczegóły te wskazują, że pieczęć wybito więc na terenie wpływów kulturalnych imperium bizantyjskiego. Tekst łaciński jednak wskazuje, że domieszały się tu wpływy zachodnio-europejskie. Terenem takiego mieszania się były ziemie leżące na wschód i południe od Morza Śródziemnego. Z wymienionych poprzednio miast w grę wchodzić może tylko Jerozolima, ponieważ tam znajduje się do dziś kościół pod wezwaniem, na które powołuje się napis na pieczęci. Miała tam również siedzibę kapituła zakonu rycerskiego Bożogrobców.

Istotnie w szeregu patriarchów jerozolimskich znajdujemy w latach 1194—1204 Monachusa z pochodzenia Włocha z Toskanii. Siedzibę miał już poza Jerozolimą, gdyż została ona w r. 1180 zdobyta przez Saracenów.

I oto jak niepozorny na oko przedmiot przerzucił nasze myśli w bardzo daleki świat.

Każdemu teraz narzuca się pytanie, co spowodowało, że w Cieszynie, o którym mamy tak mało wiadomości w polskich kronikach, znaleźliśmy pieczęć (bullę) kościelnego dostojnika z Palestyny? Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy przede wszystkim zorientować się, co działo się wówczas w Polsce i w Europie.

Był to czas III wyprawy krzyżowej, zorganizowanej przez cesarza niemieckiego Fryderyka Rudobrodego (Barbarossę) i otoczonego nimbem romantycznej legendy króla Anglii Ryszarda Lwie Serce. Cel tej i innych wypraw — Palestyna — była terenem ścierania się nie tylko orężnego chrześcijan z pogańskimi Saracenami, ale — pod pozorem spraw religijnych — interesów gospodarczych i politycznych cesarstwa bizantyjskiego i państw zachodnio-europejskich. Zbyt długie byłoby tu roztrząsanie, kto w tej gmatwaninie ludzkiej zdobywał majątek, a kto go tracił, kto wyżywał swe awanturnicze instynkty, a kto oddawał życie dla wybranej idei. Nasze rozważania ograniczają się bowiem do terenu Polski.

Nie przejawiano tu nigdy zbyt wielkiego zainteresowania dla wypraw krzyżowych. Książęta — z wyjątkiem Henryka sandomierskiego — nie kwapili się do opuszczania rodzinnych stron. Jeden wykręcał się koniecznością zwalczania „własnych" pogan Jadźwingów, Prusów czy Litwinów, inny rezygnował — jak głosi plotka — z wyprawy, dowiedziawszy się, że na południu nie dostanie ulubionego piwa. Nie działały tu widocznie przyczyny poruszające Europę, lecz odrębne interesy. Karty ówczesnych kronik polskich zapełnione są sporami piastowskich książąt



Rotunda po przebudowie

dzielnicowych i ich ustawicznymi walkami.

W tym czasie w Cieszynie panował książę raciborski, Mieszko Plątonogi (1175—1211). Nie posiadamy dowodów, aby interesował się wyprawą krzyżową. Tak jak inni książęta całe życie spędzał na utarczkach z krewnymi i powiększaniu swego księstwa (co mu się zresztą udawało), a udział w obronie grobu Chrystusa zaznaczał w bezpieczniejszy sposób.

W Małopolsce znajdował się kościół pod wezwaniem Grobu Pańskiego i klasztor bożogrobców, ufundowany przez rycerza Jaksę w rodzinnym Miechowie. Naczelną władzą kościelną dla tego zakonu był patriarcha kościoła Grobu Pańskiego w Jerozolimie. Do niego zwracali się mnisi w różnych sprawach. W klasztorze tym znajdowały się dwa dokumenty wystawione przez znanego nam już Monachusa. W jednym z nich patriarcha przyjmuje do bractwa przy kościele w Jerozolimie wszystkich, którzy złożyli ofiary na rzecz kościoła w Miechowie. Wśród książąt — ofiarodawców wymienionych jest również Mieszko raciborski.

Pieczęć cieszyńska, której rozszyfrowanie poszło tak gładko, postawiła nas przed właściwą zagadkę: co łączyło mieszkańców Góry Zamkowej. z zakonem bożogrobców. Dokument miechowski nie rozwiązuje jej zupełnie. Nasza zaś pieczęć nie umie powiedzieć, co zawierał dokument, do którego była przytwierdzona. Może książę raciborski zobowiązał się do wykonania jakichś specjalnych świadczeń na rzecz zakonu na terenie Cieszyńskiego i patriarcha przyznał mu za to specjalne przywileje. Ale jakiekolwiek wysuwaliśmy przypuszczenia, nie mamy w chwili obecnej żadnego dowodu na ich poparcie. Nie umiemy również powiedzieć, czy korespondencja z patriarchą odbywała się bezpośrednio, czy za pośrednictwem klasztoru w Miechowie, czy też jego filii na Śląsku (Wrocław, Nysa), ponieważ Cieszyn należał wówczas do diecezji wrocławskiej.

Jednakże — nawet nie znając treści dokumentu — twierdzić możemy, że dotyczy on jakiejś sprawy ważnej, dla świeckich czy kościelnych dostojników z Góry Zamkowej, ponieważ odwoływano się do aż tak dalekiego patriarchy. Cóż więc się stało pewnego dnia w XIII wieku z tak cennym dokumentem? Tego nie powie nam nasza pieczęć. Faktem znalezienia się na podwórcu zamkowym zawiadamia nas ona, że tego dnia na Górze Zamkowej rozegrały się nieznane nam wypadki o gwałtownym charakterze, powodujące, że pieczęć oderwano od dokumentu, bądź też razem z nim wyrzucono za okno kancelarii. Może stało się to podczas którego z kolejnych zdobywań grodu, a może było włamanie miejscowych rabusiów. Nie zanotowały tego faktu zachowane kroniki.

Miejmy jednak nadzieję, że ściślejsze badania historyczne potrafią uchwycić, jakie nici łączyły cieszyńską kaplicę św. Jerzego i Mikołaja z zakonem bożogrobców i rozwiązać zagadkę pieczęci.

LUDWIK BROŻEK

O Janie z Oldrzychowic Milikowskim i jego kontaktach z Lelewelem, Mickiewiczem i krajem

I

W pierwszej połowie XIX wieku cały szereg ludzi ze Śląska Cieszyńskiego obrało sobie za zawód księgarstwo. Ciekawe w tym zjawisku było to, że po naukę ludzie ci nie szli do jakże wielu miast niemieckich byłej, bardzo rozległej monarchii habsburskiej, stojących przed nimi otworem, lecz prawie wszyscy kierowali swe kroki do ówczesnej Galicji, do takich miast, jak Biała, Brody, Kraków, Lwów, Przemyśl, Stanisławów, Tarnów i inne. Było może w tym zjawisku coś z tak zwanego dziś „kumoterstwa", to znaczy, że poszedł najpierw jeden, a znalazłszy odpowiednie warunki sprowadzał następnego, później jeszcze kogoś innego itd., — faktem jednakże pozostanie, że w księgarstwie małopolskim przez cały wiek XIX Cieszyniacy odgrywali poważną rolę, zyskali w nim sobie pewne zasługi, a tradycje cieszyńskie przetrwały w tej dziedzinie aż do początków XX wieku. Z poważniejszych księgarzy i firm księgarskich (czy nawet drukarskich) wymienić możemy, nie wdając się w szczegóły, takie nazwiska jak Milikowscy, Jeleniowie, Pelar, Starzyk, Juszyński, Kubaczka, Buzkowie, Broda, Delong i inni.

Na Śląsku Cieszyńskim księgarstwa i drukarstwa w dawniejszych czasach nie było. Początków w tej dziedzinie handlu i wytwórczości doczekamy się dopiero w pierwszych latach XIX wieku. Możliwości rozwojowe istniały tylko po miastach, a więc przede wszystkim w Cieszynie, gdzie z inicjatywą tego rodzaju zjawili się w tych czasach ludzie obcy, mający za sobą poparcie władz austriackich. Pierwszym księgarzem w Cieszynie był Wäscher, a pierwszym drukarzem Beinhauer, który swą małą i krótko istniejącą drukarenkę (przemawia za tym fakt, że ani jeden z jego druków nie dochował się) sprzedał w r. 1806 Tomaszowi Prochasce. Następcy Tomasza, Karolowie kolejno po sobie następujący, drukarstwo i księgarstwo cieszyńskie postawili bardzo wysoko. Obok dużej firmy „Karol Prochaska, c. k. nadworny dostawca", istniejącej w Cieszynie przez blisko sto lat, zjawiają się tu później dalsi jeszcze Niemcy, tacy jak Feitzinger, Kutzer, Mayer & Raschka i inni, którzy przez długie lata żywiołu miejscowego nie dopuszczają do głosu, zagarniając wszystkie zyski, związane z produkcją i sprzedażą książek i drukiem czasopism, które, jeśli chodzi o potrzeby Śląska, były wtedy przeważnie polskie.

Monopol, jaki z cieszyńskiego drukarstwa i księgarstwa stworzyli sobie Niemcy, był zapewne głównym powodem tego dziwnego jakby się wydawało zjawiska, że miejscowi kandydaci zawodu księgarskiego emigrowali przez wiele lat poza Śląsk. Nazwiska Cieszyniaków, wymienione wyżej, nie wyczerpują wcale pełnej ich listy, wiele bowiem nazwisk, szczególnie takich, co nie zapisały się trwalej w dziejach handlu księgarskiego, poszło w zapomnienie i słuch o nich zaginął. Księgarstwa uczył się m. in. Andrzej Cinciała, późniejszy notariusz w Cieszynie, który w swym „Pamiętniku" przedstawił niewesołe czasy swej księgarskiej nauki i praktyki u Friedleina w Krakowie — a podobnie lub gorzej powodziło się wszystkim innym, którzy przed nim i po nim udawali się na naukę do miast małopolskich.

Pierwszym wśród tych wszystkich księgarzy, którzy ze Śląska Cieszyń-

skiego ruszyli za chlebem i książką w świat był Jan Milikowski. Urodził się w Oldrzychowicach, pod Jaworowym, w r. 1781 z rodziców niezamożnych, odrabiających pańszczyznę podobnie jak wszyscy inni ówcześni zagrodnicy i chałupnicy w tej kameralnej wsi. Ród Milikowskich wywodził się, jak to nietrudno odgadnąć, z Milikowa, gdzie nazwisko to występowało już w początkach XVII w., podczas kiedy w Oldrzychowicach, jak to wynika z urbarzy, pojawiło się dopiero później (zob.: **Franciszek Popiołek,** Historia osadnictwa w Beskidach Śląskich, str. 251 i 254). Mieszkańcy naszych górskich wiosek, a więc i „ludzie milikowscy" trudnili się nie tylko rolnictwem, ale i hodowlą bydła, głównie owiec, co zmuszało ich do poszukiwania pastwisk i przenoszenia się z jednego miejsca na drugie. Nazwisko „Milikowski" oznaczało kogoś z Milikowa, którego poza tą wsią nazywano milikowianinem, a najczęściej (człowiekiem) **milikowskim.** Pierwszy zatem Milikowski w Oldrzychowicach to nowy osadnik, co widocznie przybył tutaj z bardziej już wtedy zaludnionych okolic nadolziańskich.

Nasz Jan, przyszły potentat księgarstwa lwowskiego (jak nazywa Milikowskiego M. Opałek), uczęszczał początkowo do ewangelickiej szkółki ludowej w rodzinnej wsi, a później jak to było zwyczajem w niejednej chacie śląskiej, ruszył w świat, bo ziemi i chleba dla wszystkich dzieci nie starczyło. Po dalsze nauki udał się za radą pastora bystrzyckiego Pauliniego, Słowaka, na Spisz, do Podolińca, gdzie istniała sławna polska szkoła średnia od dawien dawna ściągająca do swych murów liczne zastępy młodzieży. Podoliniec w XVII i XVIII wieku znany był na całą Polskę z kolegium i tej właśnie średniej szkoły pijarskiej, która o lat kilkadziesiąt przetrwała rozbiory Polski, a zamknięta została dopiero w drugiej połowie XIX wieku. Paulini, wysyłając młodego Milikowskiego do



JOACHIM LELEWEL
Głośny historyk polski z wileńskich i paryskich czasów Mickiewicza

Podolińca, kierował się zapewne sławą owej znakomitej szkoły polskiej oraz faktem, że mogła się tam kształcić młodzież nie tylko szlachecka, ale i synowie chłopscy. Wprawdzie po rozbiorach rząd austriacki narzucił tej szkole język wykładowy niemiecki, ale młodzież polska z braku szkół innych dalej się do niej garnęła.

Nauka w Podolińcu, w czasach, kiedy szkoła tamtejsza z polskiej przeradzała się w niemiecką, uświadomiła i utrwaliła w Milikowskim polskość, budząc w nim uczucia, z których później zrodził się u niego ofiarny patriotyzm. Wyższe gimnazjum, tak zwaną „filozofię", ukończył w Bratysławie, a następnie wrócił na Śląsk i objął posadę nauczycielską w założonej wówczas szkole ewangelickiej w Końskiej przy Cieszynie. O takim zawodzie myślał zapewnie Paulini, kierując młodego Jana do szkół. Widocznie zawód ten nie odpowiadał jednak Milikowskiemu, bo po paru latach porzucił pracę w szkole i w r. 1803 po raz drugi ruszył w świat.

W poszukiwaniu innej pracy udał się obecnie do głównego miasta ówczesnej Galicji, do Lwowa.

II

Lwów był wtedy miastem, które zaborcy gwałtem germanizowali. Nie wiemy czym kierował się Milikowski, postanawiając w tym właśnie mieście zostać księgarzem, ale już może wtedy miał jakieś plany, by przy pomocy książki przeciwstawić się tej zakrojonej na dużą miarę germanizacji, z którą spotykał się wszędzie.

Najznakomitszą księgarnią we Lwowie w owych czasach była niemiecka oczywiście księgarnia Karola Gottlieba Pfaffa. W niej przyjął nasz Jan obowiązki najpierw ucznia a rychło potem pomocnika i pełnił je sumiennie przez lat kilkanaście, coraz więcej nabierając zamiłowania do obranego zawodu. Dla wydoskonalenia się w nim wyjechał w r. 1815 na praktykę do Berlina, gdzie w księgarni dra Augusta Kühna pracował przez dwa lata.

W r. 1817 powołał Pfaff Milikowskiego z powrotem do Lwowa, przekazując mu kierownictwo swojej księgarni. Objąwszy je, oddał się Jan z całą gorliwością powierzonym obowiązkom, ale nie zadawalając się kierownictwem cudzego interesu, zaczął przemyśliwać o założeniu własnego. Nie łatwą było sprawą w czasach szalejącej germanizacji uzyskać Polakowi, a za takiego uchodził Milikowski we Lwowie, koncesję na otwarcie własnej księgarni. Aby pozwolenie takie uzyskać, dobrał sobie wspólnika w osobie Niemca lwowskiego Ignacego Kühna i w spółce z nim otworzył w r. 1822 księgarnię.

Rozwijała się ona pomyślnie dzięki przedsiębiorczości i pracowitości Milikowskiego. Już w r. 1825 firma Kühn i Milikowski otworzyła swoją filię w Tarnowie, a w r. 1828 drugą filię w Stanisławowie. Kühn po pewnym czasie ze względów finansowych przelał swe prawa do obu filii wyłącznie tylko na Milikowskiego, a spółka została jedynie we Lwowie, stając się z czasem dla Milikowskiego nie bardzo dogodną, zwłaszcza po roku 1831, kiedy nasz Jan zaczął nawiązywać kontakty z emigracją, a przez księgarnię przepływały stosy nielegalnych książek i wydawnictw. Starania o rozwiązanie spółki spotkały się ze strony władz z odmową i dopiero śmierć wspólnika w r. 1835 pozwoliła mu na samodzielne prowadzenie wszystkich trzech księgarń, choć wtedy był już Milikowski, jak zobaczymy, człowiekiem wobec władz skompromitowanym i samodzielności nie mógł już tak wykorzystać, jak to zamierzał.

Z podwójną gorliwością wziął się teraz do pracy a zabiegi o rozszerzenie interesów nie pozostały bez skutku, bo został m. in. komisantem zagranicznym, czyli generalnym dostawcą książek dla uniwersytetów rosyjskich w Kijowie i Charkowie. Uniwersytet kijowski był jego klientem w latach 1837—1844, charkowski zaś w latach 1839—1856. Założenie własnej księgarni w Kijowie, o co zabiegał, nie doszło do skutku z powodu ujemnej opinii politycznej, jaką posiadał u władz krajowych, a opinią tą nie omieszkały się władze oczywiście podzielić z władzami carskiej Rosji. Czym Milikowski zasłużył sobie na taką renomę, o tym mówi cała jego działalność, już nawet w tych czasach, kiedy miał przy sobie niemieckiego wspólnika.

Przedsiębiorczy i odważny księgarz, jakim był Milikowski, nie zniechęcił się opinią władz. Podejmował dalej liczne i wartościowe nakłady, a w działalności swej księgarskiej i wydawniczej w wielu wypadkach kierował się nie tyle może względami dochodowymi, lecz raczej szczerym patriotyzmem i chęcią przysłużenia się krajowi. Utrzymywał rozległe stosunki z emigracją paryską, był w bliskich kontaktach z emisariuszami i nie tylko żywo odczuwał tętno narodowych pragnień i dążeń po roku 1831, ale czynnie współdziałał z tajnym ruchem wyzwoleńczym.

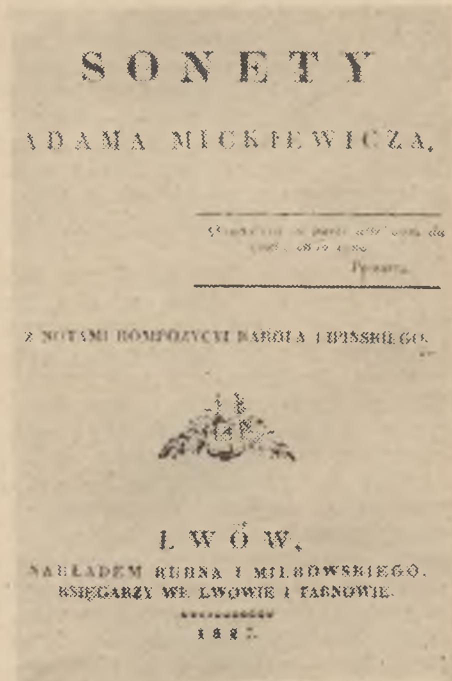
Przyjrzyjmy się bliżej pewnym dziedzinom pracy naszego Jana. Kiedy do Galicji dotarła wielka, natchniona poezja Mickiewicza i budzić tu zaczęła powszechny zachwyt, Milikowski wydał „Sonety” Mickiewicza już kilka miesięcy po ich ukazaniu się w Moskwie w r. 1826. Wydanie to, podobnie jak wielka antologia poejzi polskiej pt. „Polihymnia”, w której Mickiewiczowi poświęcono cały jeden tomik, przysporzyły Milikowskiemu dużo serdecznych kłopotów, o których będzie jeszcze mowa. W r. 1833 obok oryginalnych paryskich wydań „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego”, posiadają księgarnie Milikowskiego w skrytkach najtajniejszych również niemiecki przekład tego dzieła. Wydawnictwa te będą solą w oku cenzorów, a przekleństwo dwóch słów — „verbotene Bücher” — będzie głównym źródłem opinii, jaką miały władze zaborcze o Milikowskim.

Rolę księgarzy, a między nimi głównie Milikowskiego oraz ich stosunek do konspiracyjnych poczynań w kraju i nielegalnej literatury, ujawnił w całej pełni wielki proces polityczny, wytoczony pracownikom drukarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie w r. 1834. Tajne, niecenzuralne druki, jakie tłoczono w Ossolineum, z „Księgami narodu i pielgrzymstwa polskiego” na czele, wpadły w ręce policji, a aparat śledczy ustalił, że kolportażem całej tej rewolucyjnej literatury zajmowali się m. i. głównie księgarze, wśród których najbardziej był obciążony nie kto inny, jak właśnie Milikowski.

Skrupulatne rewizje, przeprowadzone trzykrotnie w filii tarnowskiej, dwukrotnie w filii stanisławowskiej oraz w centrali lwowskiej spowodowały, że Milikowskiego poddano śledztwu, a za śledztwem posypały się wyroki. Podczas rewizji w centrali lwowskiej znaleziono u Milikowskiego 200 egzemplarzy „Ksiąg narodu” z tajnego nakładu Ossolineum, a prócz tego całe stosy literatury emigracyjnej, stanowiącej towar równie ostro zakazany. Książki uległy oczywiście konfiskacie, a oprócz nich zabrano Milikowskiemu korespondencję, z której można się było dowiedzieć, jaką drogą „przeciekała” do jego składów i skrytek literatura emigracyjna.

Milikowski korespondował z Antonim Oleszczyńskim, Leonardem Chodźką i z wielu innymi wybitnymi przedstawicielami emigracji. W liście do Chodźki np. pisał: **„Czy Życie Xcia Józefa Poniatowskiego** wyszło już z druku; również 3-ci tom dzieła Pańskiego **Histoire de Legion Polonaise;** o 48 expl. takowego prosiłbym. Jeżeli Mickiewicz wydał coś o Włoszech, jak tu mówią, lub cokolwiek innego, prosiłbym także o 48 exemplarzy.” — Wszystko to oczywiście było literaturą „zakazaną”.

Korespondencja Milikowskiego z księgarzami zagranicznymi była dla policji lekturą zapewne najciekawszą,


SONETY

ADAMA MICKIEWICZA.

Z NOTAMI KOMPOZYCYI KAROLA LIPIŃSKIEGO.

LWÓW.

NAKŁADEM KUHNA I MILIKOWSKIEGO.

KSIĘGARZY WE LWOWIE I TARNOWIE.

Tomik Mickiewicza, wydany przez Milikowskiego we Lwowie

bo odsłaniała zakonspirowane ścieżki, którymi zamówione w Paryżu książki wędrowały nie tylko do zaboru austriackiego, lecz niejednokrotnie przez Lwów dalej. Odbywało się to w ten sposób, że księgarz paryski Hektor Bossange przesyłał „zakazane" książki księgarzowi Knoblochowi w Lipsku, a ten wtajemniczony w całą aferę, skierowywał przesyłkę np. do Tendlera w Wiedniu, z odpowiednią adnotacją, że to dla Milikowskiego. Zarówno w Lipsku czy Wiedniu cenzura policyjna nie była tak ostra jak we Lwowie, nie połapała się na fortelu, a z Wiednia, owej metropolii, panującej nad całą monarchią, nie było już wielką sztuką skierować przesyłkę do Lwowa. Szła razem z innymi, nie budzącymi podejrzeń przesyłkami firmy wiedeńskiej, której we śnie nie podejrzewano nawet o „kanty". Koledzy po fachu, choć Niemcy, szli koledze lwowskiemu na rękę, najczęściej nie zdając sobie sprawy z tego co robią. Obok Tendlera w Wiedniu, pośrednie ogniwo stanowili także księgarze prascy, zrazu Pleschner a później Calve. Ze Lwowa część książek i tak zwanej „bibuły" wędrowała dalej na wschód, znów jednak nie wprost, lecz najpierw do kolegi-księgarza w Jassach, a stamtąd dopiero na Podole, Wołyń czy Ukrainę.

Po wyrokach, jakie spadły na Milikowskiego w r. 1834, władze nie spuściły już oka z niebezpiecznego księgarza. Raz po raz nękały go rewizjami, konfiskując mu to poezje Heinego, to jakieś inne dzieła. Jedynie w okresie rewolucji 1848 roku odetchnął cokolwiek, a nawet zyskał uznanie, bo mieszczaństwo lwowskie wybrało go do Rady Narodowej, ale jak tylko słońce „Wiosny Ludów" zagasło, rozpoczęło się znów wyłapywanie wszystkiego, co „wolne prasy" w postaci broszur i ulotek wytłoczyły. Rewizja w tarnowskiej księgarni Milikowskiego w r. 1850 wykryła cały szereg takich druków „wolnościowych" z lat 1846-48 i szykanom znów nie było końca, choć Milikowski był już wówczas starcem.

W r. 1849 wycofał się z zawodu księgarskiego i powierzył prowadzenie interesów swym synom, Edmundowi i Janowi, władze jednak nadal o naszym Janie nie zapomniały i nadal uprzykrzały mu życie. Nazwisko jego nie schodziło z poufnych raportów policyjnych a choć czcigodna siwizna ośmiu krzyżyków udostojniła oblicze zasłużonego księgarza, dla władz był Milikowski dalej niebezpiecznym. Kiedy w r. 1860 wysłano do starostw galicyjskich poufny spis osób politycznie niebezpiecznych i niepewnych, podejrzanych i mających pozostawać pod dozorem policji, 80-letni Jan Milikowski miał w spisie tym swoją osobną rubrykę. Władze nie zapomniały mu tego, że jeździł do Paryża, że był wydawcą i kolporterem podburzających druków, że w r. 1848 wydał „Regulamin dla powstańców", że brał udział w wypadkach tego roku i uczestniczył jako gorliwy członek w pracach Rady Narodowej.

III

Milikowski, jak to wynika z jego przedsięwzięć wydawniczych, był wielkim miłośnikiem poezji. Jako wydawca „Marii" Antoniego Malczewskiego (wydał ją trzykrotnie: 1833, 1838, 1843) zasłużył się na trwałe w dziejach literatury polskiej, dążąc do tego, by poemat zaopatrzyć w możliwie pełny życiorys zapomnianego autora, o którym nic prawie wówczas nie wiedziano.

Stosunkowi swojemu do literatury polskiej dał również piękny wyraz, podejmując się wydania „Rozmaitych pism" Ludwika Kropińskiego, które w owym czasie były wybitniejszą pozycją literacką w zaborze austriackim a w dorobku wydawniczym Milikowskiego świadczyły pięknie o dużej staranności przy wyposażeniu książki i bibliofilskim smaku wydawcy. To, że umowę z autorem podpisał w r. 1832, a książkę wydał dopiero w r. 1844, nie świadczy o Mi-

likowskim źle, wiemy juz bowiem dlaczego tak było. Nękające go procesy, wysokie grzywny i złośliwa cenzura odbiły się na jego możliwościach wydawniczych, czego dowodem m. in. właśnie „Pisma” Kropińskiego.

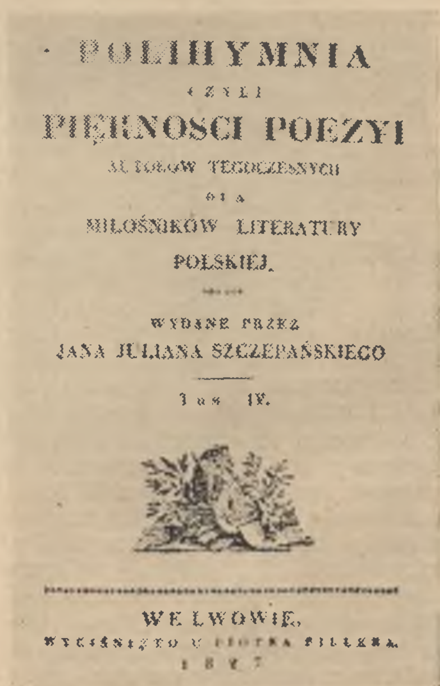
Uwielbienie dla wielkiej poezji Mickiewicza stało się dla Jana z Oldrzychowic źródłem licznych kłopotów, o których kilka ciekawych szczegółów opowiedział Aleksander Semkowicz, autor uroczej książki o wydaniach dzieł Mickiewicza (Lwów 1926). Oto garść szczegółów na ten temat.

Rozgłos „Sonetów” wydanych w Moskwie z końcem roku 1826 był tak wielki, a zapotrzebowanie na ich wydanie krajowe tak duże, że Milikowski postanowił wydać je własnym nakładem.

Przystępując do druku działał w dobrej wierze, bo oparł się na odpisie „Sonetów”, który na końcu zawierał zezwolenie samego Mickiewicza na druk, datowane w Kijowie w r. 1826. Odpisu tego dostarczył Milikowskiemu Ludwik Piątkiewicz, który wydanie zaopatrzył wstępem, powołując się zapewne na pełnomocnictwa, udzielone mu przez autora. Już po wydrukowaniu (1827) okazało się, że wydanie było nielegalne, Mickiewicz bowiem zezwolenia na ten przedruk nie dał, a „imprimatur” było fałszywe i wprowadzało księgarza lwowskiego w błąd. Poeta złościł się na ten „rabunek” i życzył drukarzowi lwowskiemu „oby mu paraliż naruszył wszystkie prasy”, robił też wymówki Odyńcowi, który będąc uprzedzony o druku, nie przeciwstawił się mu wcale. („Nietęgi z ciebie logik, choć słuchałeś księdza Anioła Dowgirda”.)

„Plagiatorów” lwowskich nie należy jednak zbytnio potępiać, bo nie dla wielkich zysków podjęli się wydania „Sonetów”, a w dodatku podejmowali się imprezy w pełnej świadomości, że dzieje się to za zgodą poety. Działali w dobrej intencji, chcąc się przysłużyć w pracy około krzewienia literatury narodowej w zaborze austriackim, winę zaś za „plagiatorstwo” ponosi najpewniej inicjator tego wydania, wspomniany już Piątkiewicz.

Jako miłośnik poezji, przyłożył również Milikowski swą rękę do wydania dużej antologii poezji polskiej, która pt. „Polihymnia czyli piękności poezji autorów tegoczesnych dla miłośników literatury polskiej” opracował Jan Julian Szczepański (1827). Wydawnictwo to obejmowało sześć tomików, wśród których dwa pierwsze i dwa ostatnie obejmowały utwory różnych poetów, tomik trzeci Brodzińskiego i Odyńca, a cały tom czwarty poświęcono Mickiewiczowi. Był to tom ciekawy, bo zawierał na czele „Odę do młodości” nigdzie jeszcze do tej pory nie drukowaną, przedruk pierwszych mickiewiczowskich tomików wileńskich bez „Grażyny” i kilku ballad, oraz „Sonety”, już po raz drugi w tym samym roku i w tym


POLIHYMNIA
CZYLI
PIĘKNOSCI POEZYI
AUTORÓW TEGOCZESNYCH
DLA
MIŁOŚNIKÓW LITERATURY
POLSKIEJ.
WYDANE PRZEZ
JANA JULIANA SZCZEPAŃSKIEGO
Tom IV.
WE LWOWIE,

Karta tytułowa poezji Mickiewicza wydana we Lwowie

samym mieście przedrukowane. Odpowiedzialność za ten tom nie obciążała Milikowskiego, lecz Szczepańskiego, który w wydawnictwie tym występował w roli redaktora-wydawcy.

Mickiewiczowski tomik „Polihymnii", podobnie jak „Sonety" był wydawnictwem plagiatowym, ale na to nie było już rady. Poezje Mickiewicza były tak samo potrzebne jak chleb albo jakiś inny artykuł codziennej potrzeby. Syciły, zagrzewały, podniecały, poszukiwano ich więc w księgarniach, a wiemy już z jakimi trudnościami walczyli księgarze, by pokonać kordony i zmylić policyjne macki. Mickiewicz zżymał się na plagiatorów galicyjskich i innych (było ich bowiem więcej), bo godziło to w jego kieszeń, ale nic zrobić nie mógł, przebywając poza krajem. W listach jego do przyjaciół często o tym jest mowa — ale może w głębi serca cieszył się z tego, że jest poczytny w kraju. Po latach znalazło to swój wyraz w słowach, wyrażających życzenie, „żeby te księgi zbłądziły pod strzechy".

Milikowski był uczciwym księgarzem i skoro tylko dowiedział się o krzywdzie, jaką wydawnictwami swymi wyrządził poecie, starał się krzywdę tę naprawić. W korespondencji Mickiewicza (np. w liście do A. E. Odyńca, pisanym z Moskwy w czerwcu 1827 r.) są ślady pertraktacji w tej sprawie, a są także inne pośrednie dowody na to, że krzywdę istotnie naprawił. Gdyby spraw swoich z Mickiewiczem nie uporządkował, nie miał by odwagi zwracać się do niego w r. 1828 z propozycją ponownego wydania jego pism. W liście do Lelewela pisze Mikołaj Malinowski pod datą 14 (26) marca 1828 z Petersburga: „... Adam w tych dniach na moje ręce otrzymał list od Milikowskiego ze Lwowa. Proponuje mu ten typograf (!) aby mu dał pozwolenie przedrukowania pism swoich, i tłumaczy się, dlaczego Sonety przedrukował; nie wiem, co Adam odpowie..." (Pamiętnik T-wa Liter. im. A. Mickiewicza, 1887, t. I, str. 156-7.)

Milikowski na list swój otrzymał odpowiedź, co wynika z listu Mickiewicza do Odyńca, pisanego z Moskwy 22 marca (13 kwietnia) tego roku. Pisze w nim Mickiewicz: „.. postanowiłem sam tu lub gdzie indziej przedrukować **Ballady** i z jakimkolwiek księgarzem skończyć od razu, bo mi wasze zwłoki dokuczyły. Proponowano mi ze Lwowa. Napiszę, aby **Wallenroda** przedrukowano, jeśli dadzą sto duktatów honorarium albo coś blisko tego. Powiedz panu Joachimowi (Lelewelowi) o tym. Jeślibyście myśleli, że lepiej w Warszawie przedrukować, donieście mi zaraz o tym, bo jeszcze nie odebrałem stanowczej ze Lwowa odpowiedzi..."

Odpowiedź ze Lwowa nadeszła. Milikowski, który zapytywał Mickiewicza o warunki przedruku jego pism m. in. **„Wallenroda"**, odpisał, że nie wyda poematu, bo... co dopiero przedrukowano go w Krakowie. Wydanie krakowskie z r. 1828 było oczywiście wydaniem plagiatowym, dokonanym bez zgody poety.

Wyjazd Mickiewicza z Rosji, powstanie listopadowe, a potem kontakty emigracyjne, z którymi trzeba się było Milikowskiemu kryć, wreszcie kontrabanda paryskich „Ksiąg narodu" oraz liczne kłopoty z tajnym wydawaniem tychże „Ksiąg" we Lwowie, wszystko to zdawało się nie sprzyjać w nawiązaniu ponownych stosunków Milikowskiego z Mickiewiczem.

Ale kontakty jakieś były, skoro Milikowski jeździł do Paryża. Po raz pierwszy był tam oficjalnie, za paszportem, w r. 1830. Podróż miała charakter zapewne handlowy i większego znaczenia politycznego czy literacko-wydawniczego przypisywać jej nie będziemy. Mickiewicza wówczas w Paryżu jeszcze nie było, a robota emigracyjna zaczęła się tam dopiero po r. 1831. Po raz drugi jedzie Milikowski do Paryża w r. 1833, tym razem nielegalnie, bez paszportu, co



Adam Mickiewicz

wyjdzie na jaw po powrocie, kiedy rewizja odsłoniła wszystkie jego „chody". Do różnych innych przestępstw dołączono mu przekroczenie przepisów paszportowych.

Druga podróż Milikowskiego do Paryża pozostaje w ścisłym związku z jego działalnością patriotyczną i spiskową. Chodziło o bezpośrednie nawiązanie stosunków, orientację w zamówieniach, ustalenie sposobów postępowania oraz wiele spraw innych, o których mało co wiemy, bo szczegółowej relacji o tej podróży brak. Kontakty nawiązał z całym szeregiem takich ludzi jak Lelewel, Ole-

szczyński, Chodźko, Januszkiewicz, Wodziński i inni.

Ciekawym przyczynkiem do pobytu Milikowskiego w Paryżu w r. 1833 jest list Lelewela do K. E. Wodzińskiego, pisany z Tours 24. IV. 1833. Treścią listu są warunki, na jakich Milikowski mógłby nabywać wydawnictwa emigracyjne, by je następnie rozpowszechniać w kraju. (Zob. Listy emigracyjne Joachima Lelewela, t. I, Kraków 1948, str. 146.) Lelewel wyraża się w tym liście o Milikowskim bardzo pochlebnie, nie szczędząc mu takich określeń jak zacny, gorliwy o rozszerzenie i ożywienie sprawy narodowej, światły („Nie wątpię o świetle i patriotyzmie ziomka Milikowskiego . . .") itp. Wyników tych pertraktacji, o jakich jest mowa w liście Lelewela, w szczegółach nie znamy, ale że do obopólnych umów doszło, o tym świadczy korespondencja, skonfiskowana Milikowskiemu i stosy literatury emigracyjnej, jakie mu we Lwowie w r. 1834 zajęto.

Nie mamy całkiem pewnych i potwierdzonych dowodów na to, że Milikowski podczas swej bytności w Paryżu w r. 1833 widział się również z Mickiewiczem, ale wszystko wskazuje na to, że do spotkania i rozmów między nimi doszło. Mickiewicz był w tym czasie zajęty pisaniem „Pana Tadeusza", którą to pracę skończył w połowie lutego roku następnego (1834). Semkowicz w swej książce o wydaniach dzieł Mickiewicza podaje bardzo dla nas ważną wiadomość.

Wydawca „Pana Tadeusza" „Jełowicki nie zwlekał z drukiem wcale. Wszak przed rokiem jeszcze wypłacił poecie honorarium za „Pana Tadeusza" w kwocie 4000 franków. I to nie w drodze targu, lecz na wiadomość, że księgarz lwowski ofiaruje 2000 fr. za poemat jeszcze nieskończony, „Skoro Ci, Panie Adamie, Milikowski daje za Twój poemat dwa tysiące franków, ja dam z przyjemnością i chlubą cztery tysiące.

Wynika z tego niezbicie, że Milikowski był pierwszym księgarzem, który zgłosił się u Poety z propozycją wydania jego nowego dzieła. Ofertę swą złożył już w r. 1833, kiedy był w Paryżu, a nasuwa się przypuszczenie, że w ogóle cała ta jego nielegalna podróż nad Sekwanę postanowiona została na wiadomość, że Mickiewicz pisze nowy wielki poemat. Miłośnik poezji i wielbiciel Mickiewicza, jakim był Milikowski, gdyby posiadał warunki po temu, próbowałby zapewne podbić ofertę Jełowickiego i starałby się dalej o to, by „Pan Tadeusz" wszedł do jego nakładów, finansowo bowiem dałby Jełowickiemu na pewno rady. Po powrocie do Lwowa, osaczony ze wszystkich stron policją, musiał zrezygnować z ambicji, przekraczających w nowych warunkach wszystkie jego możliwości. „Wsypa" lwowska w r. 1833 fatalnie pokrzyżowała jego plany. W kalkulacjach Milikowskiego jeden Mickiewicz, mianowicie **Pan Tadeusz** został utrącony przez drugiego Mickiewicza, autora „nakrytych" **Ksiąg narodu.**

Semkowicz pisząc o staraniach Milikowskiego w nawiązaniu stosunków wydawniczych z Mickiewiczem i o tym, że o mało a zostałby on wydawcą pierwszego wydania „Pana Tadeusza", dodaje: „Z jakimże czołem stawałby przed autorem, gdyby miał na sumieniu świadomy przedruk bezprawny jego utworów?" — Możemy już być o Milikowskiego spokojni. „Brzydką" sprawę **Sonetów** na pewno z Mickiewiczem załatwił.

Żal, jaki w sercu Milikowskiego zagościł na myśl, że nie było mu danym wydać arcydzieła poezji polskiej podzielamy całkowicie. I nam żal, że Jan z Oldrzychowic nie połączył swego nazwiska z tą księgą, co stała się pierwszą wśród pierwszych. Milikowski byłby sławnym księgarzem, a cząstka tej sławy przypadłaby i ziemi, która go wydała.

IV

Wypadałoby jeszcze powiedzieć parę słów o związkach, jakie łączyły Milikowskiego z jego rodzinnymi



Adam Mickiewicz w ostatnich latach życia

stronami, to znaczy ze Śląskiem Cieszyńskim. Nie wiele na ten temat możemy powiedzieć, jedno bowiem tylko na pewno wiemy, że książek Śląskowi nie skąpił.

Kiedy koło roku 1848 zaczęło się u nas budzić życie narodowe, kiedy w r. 1849 powstała w Cieszynie pierwsza polska biblioteka, nazwana „Biblioteką dla ludu kraju cieszyńskiego", Milikowski był jednym z pierwszych, co pośpieszyli z książkami, by księgozbiór tej biblioteki wzbogacić. Wśród kilkudziesięciu wartościowych książek, jakie przysłał do Cieszyna w kwietniu 1849 roku, przeważały dzieła wydane przez jego księgarnię, ale nie brakło również owej książeczki, która przysporzyła mu osobiście wiele przykrości, ale i wiele dumy, że dla niej był prześladowany i karany, nie brakło „Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego". Skąd w r. 1849 wziął jeszcze paryskie wydanie z r. 1832? Dobrze egzemplarze tej książki musiały być ukryte, skoro po kilkunastu latach znalazł się jeszcze egzemplarz dla Cieszyna. A może

był to egzemplarz ostatni, specjalnie dla stron rodzinnych przechowywany, albo osobisty, który posyłał ziemi rodzinnej jako pamiątkę po sobie.

Myśli takie cisną nam się pod pióro, kiedy oglądamy zapis ręką Stalmacha dokonany w ówczesnej księdze inwentarzowej, gdzie dary Milikowskiego zajęły numery od 38—91. Pod numerem 57 czytamy: **Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego. W Paryżu, w drukarni A. Pinard, R. 1832. — Jan Milikowski księgarz we Lwowie ofiarował w kwietniu 1849.** Kiedy poznaliśmy życie i trudy tego księgarza, zapis ów urasta do rozmiarów pewnego symbolu . . .

Milikowski, mając znajomości i stosunki z różnymi ludźmi, głównie z księgarzami, nakłonił ich również do darów na rzecz biblioteki cieszyńskiej i w ten sposób obok niego wśród pierwszych jej ofiarodawców znaleźli się tacy ludzie jak księgarz Kajetan Jabłoński, księgarnia Fr. Piller i sp., Tomasz Kulczycki, Stanisław Przyłęcki, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Galicyjskie T-wo Gospodarskie i in. Nadawcą wszystkich uzbieranych w ten sposób książek był Milikowski, o czym dowiadujemy się z zachowanego dowodu dostawy, potwierdzającego wypowiedziane co dopiero zdanie o tym, że głównym kwestorem ówczesnej biblioteki cieszyńskiej był Jan z Oldrzychowic.

„Biblioteka dla ludu kraju cieszyńskiego" została przez władze rozwiązana a książki 15. IV. 1855 wcielono do biblioteki Szersznika, gdzie utonęły jak ta przysłowiowa kropla w morzu książek niepolskich. Nowa polska biblioteka pod nazwą „Czytelni Ludowej" powstała w Cieszynie w r. 1861. Stalmach w nowej księdze inwentarzowej zaczyna ponownie spisywać dary, jakie Cieszyn w postaci książek otrzymuje z różnych stron. Na stronie pierwszej, jako pierwszy z ofiarodawców figuruje Józef Ignacy Kraszewski z kilkudziesięciu dziełami, ale już kilka kart dalej widzimy znów nazwisko Jana Milikowskiego ze Lwowa, którego dary zajęły tym razem w katalogu numery od 757 do 1078. Wśród bardzo wielu książek, „Ksiąg narodu polskiego" tym razem nie było, ale były inne dzieła Mickiewicza.

Te kilkaset tomów, jakie w r. 1849 i 1863 przysłał Milikowski do Cieszyna, stanowią tylko niewielką część tego, co Śląsk od niego otrzymał. Skądinąd dowiadujemy się, że cały szereg szkół po wioskach Śląska Cieszyńskiego obdarzył biblioteczkami, co w sumie dar jego dla Śląska określa nie w setki książek ale w ich tysiące.

Wdzięczność pod adresem Milikowskiego za dary dla szkół śląskich wyraził szczerym choć nie bardzo foremnym wierszem jeden z nauczycieli ludowych, Adam Wałach z Mistrzowic. Wierszyk jego przytaczamy za „Gwiazdką Cieszyńską", gdzie został on wydrukowany w r. 1858 (nr 2, str. 16) pt.: **Do Jana Milikowskiego Podziękowanie.**

Szlachetny mężu, zacny rodaku,
Który i w dali ojczyznę masz w pamięci,
Co radość wzbudza w każdym Ślązaku,
Że jawnie wyrazić wdzięczność swą ma chęci!

Ciągle a ciągle Twoja ojczyzna
Odbiera drogie piśmienne dary,
Z nich w szkołach czynność budzi się żyzna,
Bo płodne Twoje szczodre ofiary!
Gdy i ma szkółka Twej szlachetności doznała,
I z Twoją pomocą księgozbiór ufundowała,
Przyjmij w imieniu jej czułe podziękowanie,
Niech łaska niebios nagrodzi Twoje staranie.
Dostojny mężu, synu śląskiej matki,
Już z czynów Twoich śliczne wschodzą kwiatki,
Radośnie czoło k niebu wychylają,
I wieczny Tobie monument stawiają.

Paweł Stalmach, redaktor „Gwiazdki Cieszyńskiej" wspomina w swym „Pamiętniku" Milikowskiego i poda-

je, że był on jednym z tych, co poparli w r. 1848 założony wówczas w Cieszynie „Tygodnik Cieszyński", zamówił go do swej księgarni a hojnymi darami zasilał pierwsze polskie biblioteki na Śląsku. Stalmach znał z całą pewnością Milikowskiego osobiście i bardzo go cenił, co dobitny swój wyraz znalazło w serdecznym wspomnieniu pośmiertnym po zgonie Milikowskiego w r. 1866 (Gwiazdka Cieszyńska 1868, nr 16, str. 131-132). We wspomnieniu tym czytamy m. in:

„Uchyliwszy się w 68 roku swego życia od trudów, którym stargane siły jego nie podoływały, nie przestał starać się być rodakom swoim i bliźnim, w czym tylko mógł, pożytecznym. Żywość uczucia i świeżość umysłu zachował do ostatka. Charakteru łagodnego, szczery i otwarty w postępowaniu, ujmował sobie serca wszystkich, którzy z nim w bliższych stosunkach zostawali. Niepospolite wykształcenie czyniło go miłym w towarzystwie, a głębokie uczucie dla wszystkiego co jest ojczyste, znamionowało go jako godnego i jednego z najszlachetniejszych członków społeczności, do której należał.

O naszym Śląsku, jako kraju rodzinnym, nie zapomniał Milikowski aż do zgonu swego. Wspierał on bardzo czynnie budzącą się chęć czytania u ludu polskiego, i przyczynił się nie mało do powstania licznych księgozbiorów przy szkółkach ludowych śląskich, w których mu najśliczniejszy pomnik wzrasta."

Kiedy w roku 1872, już po śmierci Milikowskiego (16. VIII. 1866) firma jego, prowadzona dalej przez synów, obchodziła półwiecze swego istnienia, ukazał się w „Gwiazdce Cieszyńskiej" (1872, str. 295) zbiorowy list Ślązaków pt. **Do Jana Milikowskiego,** w którym jeszcze raz przypomniano prace i zasługi Jana z Oldrzychowic około krzewienia oświaty m. in. także na Śląsku. W liście — odezwie czytamy:

„Gdy z długiego i przymusowego letargu przebudzeni jutrzenką wolności zabraliśmy się do umysłowej i narodowej pracy, ubodzy, biedni, osamotnieni i prawie sieroty na staropolskiej ziemi, zgłosiłeś się do nas Mężu, jako ów bajeczny, nieznany a pożądany stryjaszek z dalekiego świata. Zgłosiłeś się, bo widziałeś, że twoja rodzina bierze się do uczciwej pracy. Bo i Ty, wyszedłszy ubogi z niej, pracowałeś i dorobiłeś się znaczenia, stworzyłeś znakomity zakład księgarski, który jak rozżarzona pochodnia rozszerzał światło na wiele miast, a promienie jego przyświecające i nam, były to hojne i liczne datki dla naszych zakładów ducha ożywiających, dla naszych czytelń i szkółek."

Księgarnia Milikowskiego, założona w r. 1822, przeżyła go o lat kilkadziesiąt. Nazwisko założyciela jaśniało na wywieszce sklepowej w rynku lwowskim pod numerem 34 jeszcze w latach 90-tych ubiegłego stulecia. Księgarnię prowadzili synowie Edmund a później Jan, który w latach 80-tych wszedł w spółkę z Pawłem Starzykiem, również Ślązakiem. Po śmierci Jana został Starzyk wyłącznym właścicielem starej i dobrze zasłużonej firmy. Czas i zmienne koleje wymazały w końcu to nazwisko ze szyldu a księgarnia Jana Milikowskiego, niezmordowanego kontrabandzisty druków zakazanych, wiernego przyjaciela i powiernika emigracji istnieć w ten sposób przestała. Odtąd już tylko w niektórych pracach historycznych spotka się czasem nazwisko naszego zasłużonego księgarza.

W związku z 90-leciem zgonu Jana z Oldrzychowic, przypadającym na rok 1956, przypominamy tę zasłużoną postać Ślązaka, jedynego człowieka z **naszych** stron, co obok innych zasług miał i tę, że za życia największego poety polskiego z narażeniem się i dużą ofiarnością rozszerzał jego pisma, wydawał je, a nawet jeździł za nim do Paryża, by go osobiście po-

znać i przyczynić się do tego, aby książki jego jak najobficiej zbłądziły pod strzechy.

Opowiadanie nasze o Milikowskim skończone. Powtórzmy jeszcze za M. Opałkiem piękną wizję z zakończenia jego książki o księgarzach lwowskich:

„Może na jubileuszowe gody Ossolineum, na kongres tych, co książkę miłują, przybędą duchy Pillerów, Wildów i Jabłońskich, by raz jeszcze pochylić się nad kwiatem dawnych, ziemskich umiłowań. Może Jan Milikowski gdzieś w cieniach filara przystanie, on budziciel ducha narodowego, powiernik Lelewelów i Oleszczyńskich, niepoprawny przemytnik zabronionych druków emigracyjnych i książeczek czcigodnych, wytłoczonych ongi na prasach Ossolineum . . .”

LUDWIK BROŻEK

Pisząc niniejszy artykuł korzystałem z następujących źródeł:

Wspomnienie pośmiertne o Janie Milikowskim, ogłoszone w **Gwiazdce Cieszyńskiej**, 1868, str. 131-132. — **Mieczysław Opałek**: Bibliopole lwowscy, Lwów 1928. — **Aleksander Semkowicz**: Wydania dzieł Adama Mickiewicza w ciągu stulecia, O wydaniach oryginalnych ogłoszonych za życia poety, 1822—1855, Lwów 1924, str. 24—33 i 151. — **Ludwik Bernacki**: Z korespondencji Jana Milikowskiego, **Tydzień**, 1902. nr 23. — **Bohdan Janusz**: Kłopoty pierwszego nakładcy lwowskiego (Rozprawa zamieszczona w wydawnictwie) **Exlibris**, zeszyt 2, Lwów—Kraków 1918, str. 31-41. — **Jan Wantuła**: Zasługi księgarzy polskich w dziejach odrodzenia narodowego na Śląsku (Rozprawa ogłoszona w czasopiśmie) **Silva Rerum**, zeszyt 7 z maja 1939, str. 167-172. — Inne pomniejsze źródła zostały wymienione w tekście artykułu. Mimo usilnych poszukiwań, portretu Milikowskiego nie udało się znaleźć.



W roku 1955 cały świat kulturalny uczcił setną rocznicę zgonu wielkiego poety. Na ilustracji Adam Mickiewicz na łożu śmierci.

KAROL HŁAWICZKA

Wielkie święto Chopina

W roku ubiegłym emocjonował cały świat muzyczny, a przede wszystkim szerokie rzesze miłośników muzyki fortepianowej i Chopina, piąty z rzędu Międzynarodowy Konkurs Chopinowski. Myśl takiego konkursu rzucił swego czasu ceniony pedagog warszawski Jerzy Żurawlew, a podjął zręcznie i energicznie dyrektor Szkoły Muzycznej imieniem Chopina — Józef Wieniawski. Próba urządzenia pierwszego konkursu w roku 1927 udała się w pełnej mierze i od tej pory Konkursy Chopinowskie w Warszawie stały się wydarzeniem o międzynarodowym znaczeniu. Konkurs ten, powtarzany co pięć lat, nie mógł się odbyć w okresie drugiej wojny światowej. Dopiero w r. 1949 odbyła się jego dalsza kadencja. Zeszłoroczny Konkurs Chopinowski dzięki swoim tradycjom i odpowiednim warunkom nabrał nienotowanego rozmachu. Nie tylko ilość zgłoszonych do konkursu młodocianych pianistów (około 140), obecność najwybitniejszych pedagogów fortepianu w w sądzie konkursowym, ale przede wszystkim niezwykłe zainteresowanie przez sfery muzyczne całego świata (liczne i obszerne sprawozdania w dziennikach, specjalne audycje radiowe) budziły żywy udział w tym emocjonującym starcie młodych pianistów po wieniec laurowy, co przyczyniło się do tego, że Konkurs ten był wydarzeniem niecodziennym. Może najwymowniejszym dowodem tego zainteresowania był przyjazd królowej belgijskiej do Warszawy, która chciała być świadkiem szlachetnej rywalizacji najbardziej utalentowanych młodych pianistów świata. Oczy, a powiedzmy także i uszy świata muzycznego, były w dniach od 20 lutego do 20 marca 1955 (dzień ogłoszenia wyników konkursu) skierowane na salę nowoodbudowanej Filharmonii Warszawskiej, w której odbywały się audycje konkursowe.

Forma konkursu jako środek oceniania talentów i poziomu produkcji od dawna nasuwała pewne zastrzeżenia, albowiem specyficzne warunki konkursowe nie zawsze stwarzają odpowiednią atmosferę do objektywnego wydania sądu o jakości artystycznego poziomu wykonawcy. Krótkość czasu dla oceny, możliwość pewnych nieszlachetnych pociągnięć u współzawodników, przychylne lub nieprzychylne nastroje wśród sędziów i publiczności a nie mniej pewne przypadkowe czynniki u współzawodników (np. chwilowa niedyspozycja fizyczna lub psychiczna) mogą przyczynić się do tego, że wynik konkursu nie odpowiada zupełnie rzeczywistości. Mimo tych niewątpliwie ujemnych stron konkursu, ta forma współzawodnictwa artystycznego posiada jednak znowu tyle dodatnich momentów, że te przeważają i wynagradzają strony ujemne tej formy aktywności muzycznej. Element współzawodnictwa, który pobudza u młodych pianistów ambicje osobiste, narodowe i państwowe, dopinguje współzawodników do takiego samozaparcia i takiego napięcia wszystkich sił, jakiego żadna inna impreza nie potrafi wywołać. Młodzi pianiści chcąc uzyskać w porównaniu z rówieśnikami innych narodowości, ras czy państw jak najlepszą ocenę, wkładają w pokaz swej pracy tyle wysiłku i koncentracji woli i talentu, że wznoszą się na nieprzeciętny poziom doskonałości technicznej i najwyższy wyraz muzycznego odczucia.

Aby te różne ujemne strony formy konkursowej zmniejszyć do minimum i zapewnić maksimum obiektywności i sprawiedliwości wynikom konkursu, obmyślili jego organizatorowie przede wszystkim bardzo precyzyjny i wszechstronny regulamin konkursowy, który by pozwolił współzawod-

nikom uniezależnić się od tych różnych przypadkowości i dał możliwość w kilkukrotnej produkcji odsłonić wszystkie strony talentu. Prócz tego zaproszono do sadu konkursowego takie autorytety w zakresie muzyki fortepianowej i w takiej ilości i z wielu państw, żeby wszelka stronniczość, albo jakakolwiek przypadkowość była wykluczona. O ile idzie o regulamin konkursu, to aby uzyskać wyróżnione miejsce było trzeba przebyć trzy eliminacje, w których sędziowie mogli pianiście dać najwyżej do 25 punktów, tak że maksimum osiągalne w teorii było w trzech eliminacjach 75 punktów. Każda eliminacja miała także pewien z góry wytyczony rodzaj utworów, tak żeby każdy pianista miał wszechstronną możliwość wykazania wszystkich walorów swego talentu. Np. w drugiej eliminacji było trzeba wykonać utwory dłuższe, a więc jedną z dwóch sonat, balladę lub scherzo, w trzeciej zaś każdy pianista musiał wykonać jeden z dwóch koncertów Chopina — e-moll lub f-moll z towarzyszeniem orkiestry.



Popiersie Fryderyka Chopina

Drugim czynnikiem, który wyłączał wszelką stronniczość była duża ilość członków jury, a mianowicie 32, z których większość, bo 17, pochodziła z krajów zachodnich. Do sądu konkursowego zaproszono najlepszych pianistów-pedagogów świata, których autorytet artystyczny zapewniał nie tylko fachowość oceny ale i zupełną obiektywność. Zasiadali więc w V Konkursie następujący artyści: Włosi — Arturo Benedetti, Michelangeli i Guido Agosti, z Anglików — Louis Kontner i Harold Graxton, z Francji — zasłużony Lazar Levy, z Belgii — Stefan Aszkenaze i Emilo Bosquet, z Niemiec Zachodnich — Erik Then-Bergh, z Austrii — Joseph Marx i Bruno Seidhofen, z Chile Flora Guerra itd. Z artystów radzieckich sędziami byli zdobywcy piewszego miejsca w poprzednich konkursach — Lew Oborin i Jakub Zak, z Węgier również laureat Konkursu Chopinowskiego, niewidomy a swego czasu podziwiany pianista Imre Ungar, z Czechosłowacji — Franciszek Maxian, z Polski 7 sędziów: Zbigniew Drzewicki (przewodniczący jury), Jan, Hoffman, Witold Lutosławski (jeden z najlepszych polskich kompozytorów ostatniej doby), dwaj uczniowie Paderewskiego — Stanisław Szpinalski i Henryk Sztomka (pierwszy z nich również zwycięzca jednego z poprzednich konkursów), Margerita Trombini-Kazuro i Jerzy Żurawlew (inicjator konkursów chopinowskich). Sędziowie konkursu, wybitni artyści, przebywający przez cały miesiąc w Polsce, zostali wykorzystani pod względem artystycznym w ten sposób, że koncentrowali oni w Warszawie oraz w wielu innych miastach Polski, dając w ten sposób możność w czasie tego wyjątkowego zjazdu wielkich pianistów poznać słucha-

czom całej Polski wielką sztukę pianistyczną. Każdy z tych artystów jest wielkością swego typu, czy Kentner, Oborin, Levy czy inni, ale wśród nich zabłysnął blaskiem niecodziennym genialny artysta włoski, pianista Benedetto Michelangeli, który wśród pianistów jest prawdziwym Michałem Aniołem. Polskim recenzentom zabrakło po prostu słów dla określenia wielkości tego artysty. Pomijając jego technikę, która nie zna trudności (Michelangeli gra 26 koncertów fortepianowych), zgodnie recenzenci podnoszą ten jego wyjątkowy stosunek do arcydzieł wykonywanych, gdzie piękno stoi na pierwszym miejscu a sugestywność jego wykonania jest czymś niesamowitym. „Chodzi tu o wydobycie piękna zaklętego w dźwięki i to wydobycie przejawia się w nieomal wyrafinowanej doskonałości."

Jak już wspomnieliśmy, do konkursu zgłosiło się około 140 młodych pianistów całego świata. Charakterystycznym rysem zeszłorocznego konkursu była stosunkowo dość pokaźna liczba młodych artystów ras kolorowych, Chińczyków, Japończyków a nawet przedstawicieli Cejlonu. Tych 80 pianistów, którzy stanęli do pierwszej eliminacji, był to kwiat uczniów najlepszych szkół muzycznych świata i najlepszych profesorów. Przeszli oni bardzo skrupulatną eliminację w kraju zanim dostali się do Warszawy do hotelu „Polonia", w którym umieszczono współzawodników konkursu. Sześć przedstawicieli radzieckich zostało wybranych spośród 300 najlepszych pianistów młodej generacji radzieckiej. Polska ekipa została również wybrana po kilkukrotnej selekcji i po przebyciu specjalnych obozów przygotowawczych, w których dano młodym pianistom możliwość w warunkach idealnych przygotować się pod najlepszym kierunkiem do sprostania niezwykle wysokim wymaganiom konkursu. Większość zgłoszonych pianistów miała za sobą już nie tylko obycie z podium, ale także pewne doświadczenia koncertowe odbyte zagranicą, lub też pewne sukcesy w formie nagród zdobytych na innych konkursach. Spośród polskich pianistów Lidia Grychtołówna miała za sobą sukcesy w Anglii, Chinach i innych krajach. Dla pianistów biorących udział w konkursie postawiona była tylko górna granica wiekowa, w dół była ona otwarta. To też prawdziwą rewelacją był najmłodszy zawodnik 15-letni pianista z Niemiec Zachodnich Manfred Reuthe, który śmiało wstąpił w szranki mając za sobą pięcioletnie już otrzaskanie z podium koncertowym. Miał on za sobą liczne występy w Niemczech Zachodnich, Anglii i Luksenburgu. Na konkursie w Langołłem (coroczne konkursy w Walii) w roku 1954 zdobył pierwszą nagrodę.

Z 79 pianistów, którzy stanęli do pierwszego koła konkursowego, dopuszczono do drugiego koła 40, a z tych do trzeciego przeszło dwudziestu. Codziennie o dziesiątej dopołudnia i czwartek po południu zapełniała się sala Filharmonii publiką, która niezależnie od jury oklaskami oceniała poszczególne produkcje młodocianych artystów. Trzeba powiedzieć, że publika warszawska zna się na muzyce fortepianowej, a przede wszystkim na muzyce Chopina.

Kiedy swego czasu bawiłem w Berlinie, miałem sposobność być także w domu prywatnym wielkiego pianisty niemieckiego Erwina Fischera. W czasie rozmowy powiedział mi o Warszawie, że jest ona miastem pianistów (inaczej nie można przetłumaczyć niemieckiego słowa „eine Klavierstadt") i że artyści z pewnym lękiem udają się na grunt warszawski, nie wiedząc jak zostanie przyjęta przede wszystkim ich interpretacja nieśmiertelnych a tak wysoko cenionych kompozycji Chopina. Taka była publika, która miała ten przywilej osobiście brać udział w konkursie w roli słuchaczy. Poza tym nieprzeliczone rzesze melomanów w całej Polsce siedziało każdego wieczora przy głośnikach radiowych, aby usłyszeć najlepsze produkcje dnia

wraz z komentarzem autora powieści o Chopinie pt. „Kształt miłości" — Jerzego Broszkiewicza. Ale nie tylko w Polsce, ale i we wszystkich krajach, których przedstawiciele brali udział w konkursie, wieczorami lub z rana pilnie i z ciekawością słuchano reportaży radiowych z Warszawy.

Największe napięcie naturalnie towarzyszyło eliminacji trzeciej, kiedy zbliżał się dzień niezwykle trudnego wyboru rozstrzygnięcia. Rozentuzjazmowana i podniecona publika, a można powiedzieć, że tej atmosferze napięcia uległa także częściowo i prasa, stawiała na poszczególnych pianistów. Odgrywały w tym także pewną rolę i ambicje narodowościowe. Polakom zależało na tym, aby ich szkoła, a wydała ona już tyle pianistów pierwszej klasy, jeżeli wspomnieć choćby Paderewskiego, Hofmana, Godowskiego, Artura Rubinsteina i innych — wykazała ponownie swe walory. Z polskich pianistów sześciu przeszło do trzeciego koła. Do nich doszlusować możnaby również Chińczyka Fu-Tsunga, który już pół roku przed konkursem zapoznawał się z polskim terenem i pod kierownictwem polskich pedagogów przygotowywał się do konkursu. W czasie konkursu krążył żart, że z „Polaków" pono najlepszy jest Chińczyk Fu-Tsung. Ale wszystkie te żarty, wersje, ambicje, życzenia musiały ustąpić miejsca zimnej matematyce, która ostatecznie rozstrzygnęła o wynikach konkursu. Zwycięzcą był ten, który uzyskał największą ilość punktów, na 75 możliwych. Kiedy prof. Drzewiecki w dniu 20 marca ogłosił wynik długich do nocy trwających narad grona sędziowskiego, wynik był następujący: Pierwsze miejsce i I nagrodę w wysokości 30.000 złotych otrzymał Polak, uczeń Konserwatorium Krakowskiego Adam Harasiewicz, który uzyskał 69,94 punktów. Drugie miejsce zdobył młodziutki, bo zaledwie 16-letni pianista radziecki Władimir Aszkenazi i nagrodę w wysokości 25.000 Zł (68.67 pkt). Trzecie miejsce zajął przedstawiciel żółtej rasy, Chińczyk Fu Tsung z ilością 67.10 punktów, otrzymując nagrodę 20.000 Zł. Czwarte miejsce uzyskał francuski pianista Bernard Ringesen, określany mianem genialnego pianisty (66,02 pkt.) Dalsze miejsca zajeli Naum Sztarkman (ZSRR 64.55), Dimitrij Papierno (ZSRR 64.29), Lidia Grychtołówna (Polska 63,54), Andrzej Czajkowski, najmłodszy członek polskiej ekipy (62.81), Dimitrij Sacharow (ZSRR 62,44), Kiyoko Tanaka, czarująca Japonka (62.29). To było dziesięć nagród. Prócz tego było dziesięć wyróżnień połączonych z nagrodami 5000 Zł w kolejności alfabetycznej: Emil Behar (Bułgaria), Monique Duphil (Francja), Peter Frankl (Węgry), Stanisław Knor (Czechosłowacja), Edwin Kowalik niewidomy pianista polski, N. Lelczuk (ZSRR), Miłosz Magin (Polska), Annerose Schmidt (NRD), Irena Sijałowa (ZSRR) oraz Tomasz Vasary (Węgry). Ponadto przyznano jeszcze szereg nagród za najlepsze wykonanie poszczególnych utworów, i tak za najlepsze wykonanie mazurków otrzymał Chińczyk Fu Tsung 10.000 Zł nagrody, zaś po 6000 Zł uzyskali w kolejności alfabetycznej: Oscar Gacitue (Chile) za Nokturn — Desdur, Tadeusz Kerner (Polska) za Polonez fis-moll, Melinee Peris (Cejlon) za Berceuse, Giuseppe Postiglione (Włochy) za Poloneza As-dur, Manfred Reuthe (Niemiecka Republika Federalna) za Etiudę Ges-dur oraz Imre Szenderi (Węgry) za Impromtu Fis-dur.

Taki był wynik konkursu, lecz mimo woli każdy z słuchaczy i czytelników, każdy radiosłuchacz stawiał sobie pytanie czy wynik konkursu był słuszny? Niektórzy byli zawiedzeni wynikiem konkursu w stosunku do Adama Harasiewicza, który w eliminacjach bezsprzecznie należał do najlepszych, ale który zawiódł na koncercie zwycięzców. Ale to co zaszło po ogłoszeniu wyników nie obowiązuje. Matematyka wykazała dla Harasiewicza najlepszą punktację, i opinia polska przyjęła z wielkim za-

dowoleniem fakt, że jury tak liczne i z tak różnorodnych sędziów złożone przyznało pierwsze miejsce bezsprzecznie Polakowi, dając tym samym wyraz uznania dla polskich tradycyj pianistycznych. Ale można różne snuć rozważania nad trafnością ostatecznego wyniku. Jednego w każdym razie wynik ten odzwierciedlić nie potrafił, a mianowicie nowych pierwiastków twórczych wniesionych do interpretacji Chopina. Oryginalność ujęcia jest odchyleniem od utartych a przez tradycje uświęconych form wykonawczych, dlatego u jednych spotyka się z entuzjazmem zaś u innych zastrzeżeniem. Wszelka sentymentalność w interpretacji Chopina nie wchodzi w ogóle w rachubę i jest ogólnie przez świat artystyczny a więc i opinię sędziowską potępiana. Doskonałość techniczna połączona z należytym i przeżytym ujęciem piękna jest tym, czego oczekuje się od każdego pianisty. Jeżeli więc ktoś wniesie w tym wykonaniu pewne nieznane dotąd elementy, to opinia sędziów będzie na pewno podzielona. To sprawiło, że dwaj pianiści, którzy wyróżnili się od reszty właśnie tą „swoistością" — w najwyższym znaczeniu artystycznym — wykonania, nie znaleźli w tabelce matematycznej należytego uznania dla tego nowego, jakie wnieśli w interpretację Chopina. Mam na myśli pianistę francuskiego Ringeisena i pianistkę japońską Kiyoko Tanaka. Pewna recenzentka tak o nich pisze (Wanda Leopold — „Nowa Kultura" — „Wśród zagadek konkursu"): „Na Ringeisena zżymałam się z początku wielokrotnie. Niewątpliwie Ringeisen „gubi" pewne treści Chopinowskiej muzyki, ale ile też nowych wydobywa. Podkreślił Broszkiewicz jego typ wyobraźni polifonicznej. Mnie uderzyła inna jeszcze cecha. Ringeisen bardziej niż ktokolwiek ukazał mi nie tylko bachowskie korzenie w sztuce Chopina, ale i prekursorstwo w jego harmonii. O tych sprawach się wie, ale w wykonaniu Ringeisena to się słyszy. Ringeisen jest chyba najbardziej wychowankiem „ravelowskiej szkoły". Jest przy tym w jego grze ogromna dyscyplina intelekturalna: to co mu mniej odpowiada, to przede wszystkim pewne cechy romantyczne i związane z nimi treści emocjalne. Ale swoją logiczną i dramatyczną zarazem koncepcją koncertu f-moll przekonał mnie, że stać go i na prostotę dużych napięć emocjonalnych. Ostatecznie wtedy skapitulowałam przed całokształtem jego interpretacji." Podobnie ma się sprawa z sylwetką artystyczną Japonki Tanaka, która również wyróżniła się spośród wykonawców oryginalnością swej interpretacji Chopina. Wyżej cytowana autorka tak o niej pisze: „Kiyoko Tanaka opiera swoją interpretację na wydobyciu mistrzowstwa konstrukcyjnego utworu. Czyni to, uplastyczniając ogromnie każdy najdrobniejszy szczegół, nadając mu nowy sens i znaczenie. W jej wykonaniu niesposób nie prześledzić każdej nutki. Jest to interpretacja sugestywna a przy tym całkowicie ‚odbanalizowana'." Te pewne nieuchwytne dla matematyki elementy zbiera powyższa autorka o obu pianistach w sposób następujący: „Ringeisen i Tanak wnieśli, każdy na swój sposób, najwięcej nowatorstwa do interpretacji Chopina. Byli największymi rewolucjonistami konkursu."

O ile wyniki konkursu odnoszą się do całokształtu wykonania, to trzeba stwierdzić, że niektóre produkcje pojedyńczych utworów były szczytowymi wykonaniami konkursu i jakkolwiek ich ocena przyczyniła się do ostatecznej punktacji, jednak również nie znajduje odzwierciedlenia w tabliczce wyników. Co prawda na końcu zostali wynagrodzeni pianiści za pewne utwory, ale odnosiło się to tylko do tych pianistów, którzy nie uzyskali pierwszych miejsc ani wyróżnień, a jednak dali pewne mistrzowskie interpretacje. Spośród zdobywców pierwszych miejsc należy również wymienić niektórych za to, że wnieśli do swych wykonań wyży-

nę doskonałości sztuki. Do takich utworów, które pozostawiły niezatarte dla słuchaczy wrażenie było wykonanie sonaty b-moll przez Sijałową, polonezu Fis-moll Niny Lelczuk, Polonez — Fantazja Francoise le Gonidac, ballada f-moll Papierny, etiudy Aszkenazego i dalsze. W tych szczytowych wykonaniach nie widnieje nazwisko Harasiewicza, który jednak ogólnym poziomem górował nad wszystkimi a to najważniejsze!

Pewną niespodzianką jest przyznanie specjalnej nagrody za wykonanie mazurków, nie-Polakowi ani nawet Rosjaninowi, którzy mają najwięcej zrozumienia dla szczególnie trudnej interpretacji Chopina ale Chińczykowi. (Mój przygodny nauczyciel fortepianu w Cieszynie, wiedeński pianista Göllner zwrócił się na jednej z lekcji do mnie z prośbą, abym go wprowadził w zrozumienie mazurków Chopina, ponieważ mimo usilnych starań nie może w ogóle znaleźć do nich podejścia.) To, że Chińczyk potrafił do tego stopnia wczuć się w kompozycje, w których to, co polskie w muzyce w najistotniejszy sposób dochodzi do głosu, i potrafił w ich wykonaniu prześcignąć Polaków, jest wprost czymś niezrozumiałym i w swej istocie fenomenalnym.

Dla niewtajemniczonych pozostaje także zagadką i rebusem niezrozumiałym, jak polski niewidomy pianista E. Kowalik mógł zająć zaszczytne miejsce pośród wyróżnionych. Swego czasu, na drugim konkursie chopinowskim niewidomy pianista węgierski, I. Ungar, który obecnie zasiadał w jury, emocjonował słuchaczy swą cudowną grą i zdobył II miejsce. Jak jest to możliwe pyta przeciętny czytelnik? Problem ten nie jest tak skomplikowany jak się wydaje. Niewidomych muzyków mamy dość dużo, albowiem człowiek pozbawiony wzroku zostaje zazwyczaj wynagrodzony przez naturę szczególną bystrością słuchu. Jeżeli do tego dołą-



Adam Harasiewicz, czołowy lauerat Konkursu Chopinowskiego w r. 1955

czy się muzykalność i fizjologiczne warunki, to niewidomy pianista może osiągnąć nieprzeciętny poziom swej gry. Taki pianista przyswaja sobie repertuar przy pomocy specjalnych nut wypukłych sporządzanych dla niewidomych muzyków. Przy opanowywaniu utworu zazwyczaj najpierw ćwiczy on jedną ręką dotykając nut ręką drugą. Po takim opanowywaniu utworu przez poszczególne ręce łączy je w swej wyobraźni i pamięci razem. Jest to metoda zalecana zresztą przez pewne kierunki metodyczne i dla pianistów o dobrym wzroku. Opanowanie każdej ręki w grze z osobna daje gwarancję dokładnego przyswojenia sobie utworu.

Przebrzmiały emocjonujące wiadomości z konkursu, rozjechali się młodzi pianiści bogatsi o nowe odznaczenia i doświadczenia do swych krajów rodzinnych, ucichły dźwięki nieśmiertelnej muzyki, ale echa konkursu i jego owoce trwają. Konkurs Chopinowski jest nie tylko olimpijskim wyścigiem pianistów o wieniec laurowy, ale w biegu tym zostają wytworzone takie nowe wartości,

które posiadają trwałe znaczenie. Najlepiej ujął ten fakt przewodniczący Komitetu Konkursu, znany poeta i pisarz a równocześnie świetny muzyk Jarosław Iwaszkiewicz (kuzyn wielkiego kompozytora Stanisława Szymanowskiego) w swoim przemówieniu na zakończenie konkursu tuż przed ogłoszeniem wyników: „Młodzi pianiści z kilkudziesięciu krajów, zjednoczeni miłością do sztuki i nieśmiertelnej muzyki Chopina, mogli się w Warszawie poznać i pokochać. I w tym leży właśnie doniosłe znaczenie Konkursu, który jeszcze długo będzie promieniować na cały świat muzyką naszego największego artysty — Fryderyka Chopina."

KAROL HŁAWICZKA

WŁADYSŁAW SIKORA

Szczęście

Szczęśliwym być,
to znaczy wierzyć w życie,
Szczęśliwym być,
to znaczy kochać świat,
Prawdziwy świat, prawdziwe życie.

* * *

Gdy ruszy wiatr,
gdy spojrzysz po błękicie . . .
Nie sam, nie sam!
Zawołaj koło siebie —
Odpowie świat
i ludzie odpowiedzą,
Każdy twój brat,
i łąki dają łono,
Płomieniem tęczy
w południe dni utoną.

* * *

Szczęśliwym być,
to znaczy wierzyć w życie,
to znaczy kochać świat,
Prawdziwy świat, prawdziwe życie.

WŁADYSŁAW SIKORA

GUSTAW FOLWARCZNY

Socjalizacja wsi cieszyńskiej

Spoglądając na nasze wsie i pola ze szczytu Goduli, Jaworowego, Kozubowej czy też innego grzbietu Beskidów, mimo woli powtarzamy za Mickiewiczem: ... „do tych pól malowanych zbożem rozmaitym, wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem ... A wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą ..."

To skojarzenie myśli może nam się nasunąć li tylko na wyżynach górskich w czasie niedzielnej wędrówki. Aby poznać szczegółowo z bliska życie naszej wsi cieszyńskiej, trzeba zejść do doliny, trzeba się bez pomocy lornetki przypatrzeć ludziom, posłuchać ich rozmów i wsłuchać się w ich codzienne troski.

Chodź więc miły czytelniku ze mną i pozwól, będę dla ciebie przewodnikiem. Chodź i przypatrz się. Porozmawiaj z ludźmi i słuchaj i wnioskuj.

Przepiękny krajobraz Śląska Cieszyńskiego zmienia swój wygląd nie tylko w ciągu poszczególnych pór roku, ale i w ciągu ostatnich lat. Jeżeli w miasteczkach tętni ruch, wre praca w zakładach, to i cieszyńska wieś nie odpoczywa. Można by nawet twierdzić, że puls życia naszej wsi jest stale szybszy, żywszy i głośniejszy.

Dziesięcioletni powojenny okres, przeżywała nasza wieś w stałych większych czy mniejszych przeobrażeniach. Z roku na rok piętrzyły się problemy, zagadnienia, kwestie.

Triumf na długo sławił konserwatyzm naszego rolnika. Wdrożony do zwyczajów i sposobów pracy swoich ojców, nie mógł od razu zrozumieć, dlaczego wskazywana jest mu nowa droga. Nie mogąc się momentalnie dopatrzeć tutaj korzyści, nie dostrzegał od razu tych wszelkich udogodnień, które przynosi dla niego to nowe, w przeciwieństwie do starego, stąd u niego ta wstrzemięźliwość do zalecanych mu nowych sposobów pracy i do wspólnoty.

Pomimo tych przeszkód rzucona myśl spółdzielczości nie upadła wszędzie na jałowiznę. Tu i ówdzie znalazła żyzną glebę, na której nie tylko zakiełkowała, ale rozwinęła się i zakwitła, aby prędzej czy później wydać owoc.

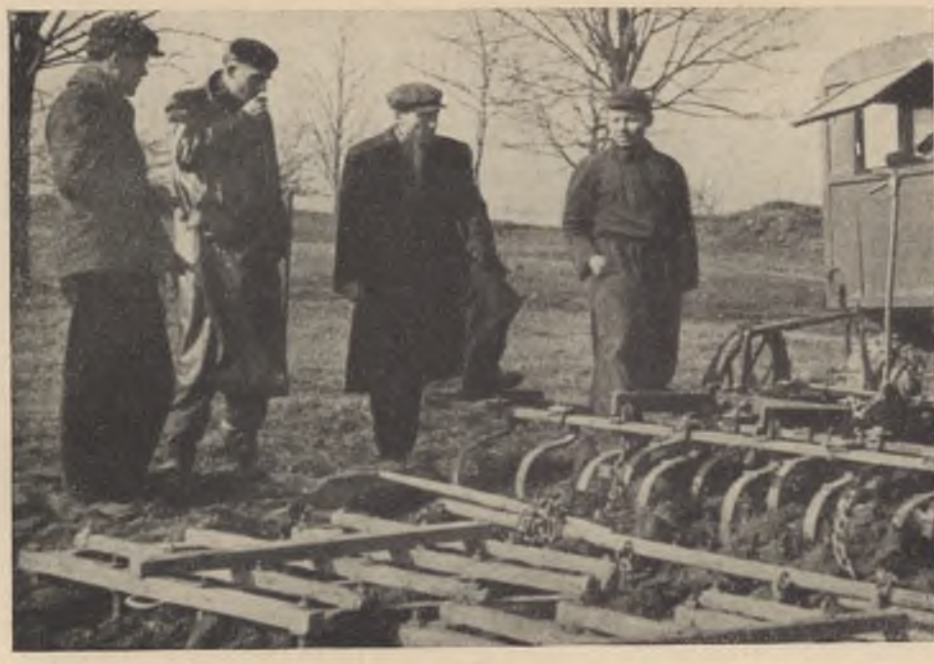
Plon jest dotychczas niebogaty, ale tym bardziej zacny. W trzynastu gminach powiatu czesko-cieszyńskiego a w sześciu w powiecie Karwina, założono i rozbudowano Rolnicze Spółdzielnie Produkcyjne. Wiele stron trzeba by zapisać, zanim zdołalibyśmy wyliczyć ten pierwszy okres pracy. Spółdzielnie borykały się i borykają dotychczas z licznymi trudnościami. Spółdzielcy i dzisiaj jeszcze postawieni są przed pewne problemy, których nie umieją rozwiązać. Wprawdzie chodzi tu o zagadnienia wymagające pewnego czasu na swą „krystalizację", ale za to gwarantujące dalsze osiągnięcia. Dlatego też spółdzielcy nie zwieszają bezradnie rąk, ale usiłują o szybkie usprawnienie pracy spółdzielczej, bo wiedzą, że właśnie to osiągnięcie to dla nich lepsza przyszłość. Spółdzielnie były nieporadnymi organizatorami w swoich najpierwszych początkach. Ich wspólną cechą był chaos organizacyjny. Nie dziwmy się temu wcale. Przecież na czele spółdzielni nie stali i nie stoją wykwalifikowani organizatorzy, jak to ma miejsce np. w Państwowych Gospodarstwach Rolnych. Przecież zarząd RSP posiadał wprawdzie stosy instrukcji i wskazówek, ale nie potrafił tychże „wprowadzić" w życie. Grupa chłopów, która na swych indywidualnych poletkach gospodarowała wcale nieźle, nie umie ująć steru wspólnej łodzi, na którą wstąpiła. Do tych trudności organizacyjnych przyłączyła się dalsza „przeszkoda", — planowanie.



Na spółdzielczych łanach

Współczesnej gospodarki socjalistycznej nie można sobie wyobrazić jako przedsięwzięcia bez planu. A więc ani RSP nie mogą się obejść bez dokładnie obmyślonego planu gospodarczego. Trudności polegają na tym, że jednak trzeba opracować plan na cały rok, i że ponadto należy się w planie liczyć z wpływami atmosferycznymi. Każde gospodarstwo rolne narażone jest w swojej czynności na pewne ryzyko. Jest więc sprawą umiejętności zarządu RSP obniżenie tego ryzyka do minimum. W grę wchodzi tutaj t. zw. przewidywanie, czyli zdrowy rozsądek, rzut perspektywiczny na przyszłość. Tego ostatniego nie znajdzie się w żadnym podręczniku, ani nie zdobędziemy go na żadnym kursie. Tę zdolność zyskuje się po długich, często drogo okupionych doświadczeniach. Warunkiem zdobycia umiejętności właściwego przewidywania jest dokładne opanowanie organizacji pracy, znajomość warunków produkcyjnych oraz zdolność kierowania pracą człowieka, pracą spółdzielców.

Możemy od razu przytoczyć przykłady o doniosłości właściwego kierowania pracą spółdzielców. W RSP panuje, jak dotychczas, niekorzystny stosunek ilości członków do wielkości uprawianej gleby. Z tego więc powodu RSP zmuszone są korzystać z brygad roboczych w każdym sezonie podczas spiętrzenia robót polnych. Doświadczenia wykazały, że najlepszym pracownikiem jest miejscowa siła robocza — i to z kilku przyczyn. Za pierwsze, posiada odpowiednie kwalifikacje, dzięki czemu można ją włączyć do każdej pracy. Za drugie, posiada wrodzone zamiłowanie do uprawy ziemi i poczucie jakościowego wykonania każdego zadania. Miejscowa siła robocza może całkowicie wykorzystać czas pracy na wykonanie powierzonych jej zadań. Tego wszystkiego nie oczekujmy od brygad pozamiejscowych, przybywających przeważnie z miast.



Spółdzielnia Produkcyjna w Kojkowicach — wiosna 1955 roku.
Dyrektor POMu tow. M. Oujezdský omawia z brygadzistą Bardoniem i traktorzystą J. Stonawskim sprawę działania zespołu sprzętu (kultywator i brona). Zespoły maszyn rolniczych pozwalają przyśpieszyć pracę i wykorzystać siłę ciągnika.

Z pewnością i wśród tych ostatnich znajdą się ludzie, którzy odpowiadają wymaganiom, ale większość przeleci przez sita kwalifikacyjne.

Z tych doświadczeń widzimy, że zdobycie sił roboczych w czasie potrzeby wpływa znakomicie na wyniki gospodarowania RSP. Elementarnym przykładem mogą tutaj być dwie spółdzielnie: Leszna Dolna i Gnojnik. W Lesznej Dolnej dzięki umiejętności kierownika produkcji roślinnej, tow. Jana Ciencialy, oraz przewodniczącego RSP ob. Wacławika, sprawa sił roboczych nie nastręcza specjalnych trudności. Można powiedzieć, wprost odwrotnie, że miejscowa ludność chętnie pomaga spółdzielcom w pełnieniu ich zadań. I w Gnojniku nie było inaczej. Miejscowych sił roboczych było pod dostatkiem, chociaż pozyskanie ich do pracy wymagało codziennego przekonywania ze strony członków zarządu RSP. Umiejętnością podejścia do ludzi potrafili zawsze zorganizować potrzebną ilość rąk do pracy. Lecz już w innych RSP borykają się z tymi trudnościami i nie mogą sobie zapewnić fachowych sił roboczych ze swej miejscowości. Brygady pozamiejscowe kalkulują się podwójnie drogo.

Jest jeszcze inna droga pozwalająca stosunkowo szybko i składnie dojść do celu. Ludzkie siły robocze zastępuje się maszynami. Powyższe zdanie przestało być od dawna frazesem i stało się najwłaściwszym i przekonywającym sprawdzianem dla spółdzielczej gospodarki rolnej. Jeszcze do niedawna takie twierdzenie przyjmowano w gronie fachowców rolniczych z pobłażliwym uśmie-



Właściwe stosowanie agrotechniki, dobre rozmieszczenie poszczególnych kultur roślin uprawnych to podstawowe zagadnienie, decydujące o plonie. Tow. K. Chasák, instruktor Heczko i agronom rejonowy POM-u K. Kuś omawiają wprost na miejscu pracy te ważne problemy.

chem. „Gada sobie, gada, bo mu za to płacą" — mawiali słuchający. Jak już zaznaczyliśmy, mechanizacja to czynnik bardzo doniosły i dlatego sprawie tej poświęcimy więcej uwagi.

Sucha wiadomość informowała w 1948 roku o uchwale Rządu dotyczącej założenia Państwowych Ośrodków Maszynowych. W tych czasach mało kto uświadamiał sobie znaczenie tej uchwały. Prądem ciekły do miast, do przemysłu zdrowe siły ludzkie ze wsi. Huta trzyniecka, kopalnie Zagłębia pochłaniały dziesiątki i setki wiejskich sił roboczych. Opuszczali wsie nie tylko mężczyźni, ale przede wszystkim młodzież obojga płci. Pozostawała niebezpieczna luka, którą było trzeba zapełnić. Powstawały również Rolnicze Spółdzielnie Produkcyjne. Na skomasowanych wielkich połaciach roli- największe zastosowanie znalazł ciągnik.

Do pomocy rolnikom i nowopowstałym RSP stanął POM. Zbyt nikłe wyposażenie w pierwszych dwóch latach istnienia POM-u nie mogło zdecydowanie zaważyć na losach rozwoju RSP. Praca środkami mechanicznymi ograniczała się do orki, oraz do uprawy przedsiewnej. Było to zbyt mało, ale dalsze lata przyniosły na tym odcinku zasadnicze zmiany.

Park mechaniczny POM-u zaczął się rozwijać nie tylko pod względem ilości. Rozrastał się sortyment maszyn i narzędzi rolniczych. Podnosiła się jakość dostarczonych maszyn. Obniżały się ceny za usługi POM-u. Ciężkie roboty ręczne, jak nawożenie obornika, sadzenie ziemniaków, uprawa międzyrządkowa i inne, spółdzielcy zmuszeni byli wykonywać stale o własnych siłach.

W roku 1952 wprowadzono po raz pierwszy na pola spółdzielcze maszy-

nę do nawożenia i rozrzucania obornika. Największy bodaj wysiłek w rolnictwie został zmechanizowany. Wydajność dzienna roztrząsarki obornika waha się od 0,60—1,20 ha. Przyśpieszono w ten sposób znacznie wynawożenie gleby i równocześnie cały szereg innych robót polnych, nawiązujących na ten zabieg agrotechniczny. Dziś tamte trudności wydają się bardzo błahe, bo POM dysponuje już nawet ładowarkami obornika. Do dyspozycji stoją sadzarki ziemniaków i kopaczki mechaniczne do sprzętu bulw ziemniaczanych. Jeszcze jedna luka pozostała w uprawie okopowych: pielęgnacja międzyrzędowa.

Cechą charakterystyczną okopowych, od której pochodzi ich nazwa, to wymagania dotyczące spulchnienia gleby. Pomagano sobie konnymi obsypnikami i opielaczami. Zbyt mało jednak było środków i czasu do przeprowadzania jakościowej pielęgnacji międzyrządkowej. Wynik odpowiadał stosowanej pielęgnacji: 80, 100—120 q z hektara.

Mechanizatorzy podali — już po raz niewiadomo który — pomocną dłoń spółdzielcom. W roku 1954, a zwłaszcza w 1955, wprowadzono nowy sprzęt mechaniczny, opielacz — obsypnik ciągnikowy. Do uprawy międzyrządkowej przy pomocy mechanicznego opielacza zastosowano nowy typ ciągnika kultywacyjnego: Zetor 25 K, z urządzeniem hydraulicznym i z wąskimi projektorami opon.

Luka została wypełniona. Uprawa okopowych stała się sprawą mechanizatorów. Wszystkie roboty zostały zupełnie zmechanizowane. Ciągniki POM przeprowadzają podorywkę, wynawożenie obornika, zaoranie obornika, uprawę i siew nawozów sztucznych. Przy pomocy sadzarek dostają się ziemniaki do gleby. Opielaczami ciągnikowymi walczą traktorzyści z chwastami a przy pomocy ciągników obsypników spulchniają międzyrzędzia. Nareszcie, kiedy następuje zbiór plonów, kopaczki ciągnikowe zatroszczą się o wydobycie ziemniaków z gleby.

Zastosowanie mechanicznej uprawy międzyrzędowej okopowych pozwala na rychłe i dokładne odchwaszczenie i spulchnienie gleby. Jeżeli zaś zważymy, że chwasty obniżają w zależności od nasilenia plony okopowych od 20—65%, to znaczenie mechanicznej pielęgnacji międzyrzędowej okopowych posiada swą właściwą wymowę.

W krótkim artykule chciałem zaznajomić czytelników w fragmentarycznym jedynie zarysie o zapoczątkowanym na terenie Śląska czechosłowakiego procesie przeobrażeniowym naszej wsi cieszyńskiej, narodzinach jej socjalizacji w ostatnim okresie dziesięciolecia. W procesie tym, zmieniającym stare oblicze wsi cieszyńskiej na nowe, coraz większą rolę odgrywa nie „harujący człowiek", lecz wykonywująca ciężką pracę za spółdzielców — maszyna. I właśnie dzięki coraz nowszym maszynom, coraz pełniejszej mechanizacji w rolnictwie, socjalizacja wsi cieszyńskiej osiąga z roku na rok coraz piękniejsze wyniki, opowiada się za nią coraz więcej rolników.

GUSTAW FOLWARCZNY

ADOLF KUBECZKA

Organizacja Pioniera i jej praca społeczno-wychowawcza u nas



Straż honorowa pionierów w czasie pogrzebu prezydenta Klementa Gottwalda

Bardzo często słyszymy utyskiwania i narzekania na młodzież. Ze wszystkich stron słychać skargi na jej zachowanie, brak poszanowania starszych, lekkomyślność, dorywczość i niedbalstwo w pracy. Zbyt rzadko natomiast słyszymy, aby ci sami krytycy młodzieży zastanawiali się nad przyczynami takiego stanu. Jeszcze rzadziej spotykamy się z tym, aby ci, którzy krytykują i potępiają, pomogli usuwać zło. Młodzież nie jest zła. Jest taka, jaką ją wychowa rodzina, szkoła i społeczeństwo. Zło polega na tym, że cała odpowiedzialność za wychowanie młodego pokolenia zwala się na barki szkoły i rodziny. Społeczeństwo natomiast najczęściej ogranicza się tylko do krytyki, zgryźliwych uwag, ale nie pomaga w wychowaniu. Ileż to razy widzimy np. jak obywatele obojętnie przechodzą koło dzieci niszczących majątek narodowy.

Organizacja pionierska jest jednym z tych czynników, który chce i powinien zainteresować problemem wychowania młodego pokolenia najszersze rzesze naszego społeczeństwa. W tej pracy wychodzi ona z założenia, że przygniatająca większość wszelkich wybryków młodzieży wypływa z nadmiaru energii i braku odpowiedniego zajęcia.

Dlatego też OP troszczy się o to, aby wciągnąć młodzież do pożytecznej i interesującej ją pracy oraz godziwej zabawy czy rozrywki. Stara się przy tym, aby dzieci (OP troszczy się o dzieci od lat 9—14) same sobie wybierały zadania i same kontrolowały ich realizację. Wiemy wszyscy, że dzieci przejawiają często dużo własnej inicjatywy i energii, że są stale czynne, że chcą wszystko wiedzieć, wszystko zbadać.

Idzie więc o to, aby tę energię i ciekawość młodzieży ująć w wychowawcze „karby" i skierować na właściwe tory. Dlatego też w OP plan pracy powinien być odpowiednio przygotowany, aby pionierzy mogli wypowiedzieć swoje życzenia, aby w planie znalazły się takie zadania i takie zajęcia, które są zdolne zainteresować i pociągnąć dzieci. Mamy już takie drużyny pionierskie, którym się to udaje. Trzeba więc przy organizowaniu poszczególnych akcji w szkołach, jak uroczystościach Dziadka Mroza, Międzynarodowego Dnia Kobiet, różnych ważnych rocznic itp. pamiętać o tym, że imprezy te mobilizowały i aktywizowały pionierów.

Porównując początki ruchu pionierskiego w naszych szkołach na Śląsku czechosłowackim ze stanem dzisiejszym musimy stwierdzić wielki postęp. W początkach ruchu

pionierskiego (t. zn. przed 6 laty) wiele było formalizmu, a mało takiej treści, która by młodzież pociągała i zadomowiała w szeregach organizacji. Uważano np., że akt przyjęcia do OP połączony z przyrzeczeniem pionierskim, powinien odbywać się publicznie z jak największą pompą, z uroczystym przemówieniem wszystkich możliwych przedstawicieli. Pono że to miało pozostawić trwałe i niezatarte wrażenia. Twierdzenie takie nie jest pozbawione słuszności, ale nieraz zdarzało się, że przemówienia nudziły dzieci swą niezrozumiałością i rozwlekłością, nie pozostawiając w umysłach ani w sercach trwalszych wrażeń. Dlatego dziś przyrzeczenie odbywa się w ściślejszym gronie drużyny a nawet zastępu — jest mniej uroczyste, ale za to posiada swój właściwy charakter wychowania społecznego.

Poważne błędy popełniano także (i nieraz jeszcze dziś się popełnia) w prowadzeniu zebrań pionierskich.

Dla niewtajemniczonych podaję strukturę organizacyjną Pioniera: W szkole istnieje drużyna z przewodnikiem drużyny na czele i radą drużyny. Rada drużyny wybierana jest na zebraniu wszystkich pionierów szkoły. Wchodzą do niej najlepsi pionierzy. Do rady drużyny wchodzi również dyrektor szkoły lub jego zastępca oraz przewodnik drużyny. Drużyna dzieli się na zastępy zazwyczaj według klas. Zastęp prowadzi przewodnik zastępu i rada zastępu, wybierana podobnie jak rada drużyny na wspólnym zebraniu całego zastępu. Doradcą przewodnika i rady zastępu powinien być wychowawca klasy. Większe zastępy dzielą się na ogniwa, liczące po 5—10 pionierów o pokrewnych zainteresowaniach. Ogniwo wybiera ze swego grona jednego pioniera, który jest odpowiedzialny za to, aby wszyscy członkowie ogniwa spełniali sumiennie swoje obowiązki jako uczniowie i jako pionierzy.

W prowadzeniu zebrań i zbiórek pionierskich notujemy popełnianie pewnych błędów, które można zasadniczo podzielić na trzy grupy:

1. Naśladowanie lekcji szkolnej, przerabianie na zbiórce materiału przerabianego w szkole.

2. Naśladowanie politycznych zebrań dorosłych z trudnymi i niezrozumiałymi dla dzieci referatami czy pogadankami.

3. Przeciwieństwo 2 poprzednich form, jednostronne stosowanie zabawy u chłopców — najczęściej gry w piłkę nożną.

Żadna z tych form stosowana przez dłuższy okres czasu nie może młodzieży pociągnąć i zainteresować pracą Pioniera.

Praca ta jest owocna i pociąga uczniów szkolnych wtedy, gdy stale zmieniane są jej formy, gdy się przeplata poważne zajęcia zajęciami rozrywkowymi. Gdy przez urządzanie przez OP wycieczek do różnych przedsiębiorstw, warsztatów, gospodarstw rolnych młodzież zdobywa również naukę. Wielką rolę odgrywa tutaj wyświetlanie filmów popularno-naukowych z przystępnym i zajmującym wykładem, organizowanie wspólnych udziałów w przedstawieniach filmowych w kinie i w przedstawieniach teatralnych. Później omawianie na zbiórkach oglądanych filmów i sztuk teatralnych z podkreśleniem ich momentów wychowawczych.

Ważnym działem pracy pioniera to jego pomoc dla gospodarki narodowej przez organizowanie zbiorów ziół leczniczych, surowców, przez organizowanie brygad i pracę w kółkach miczurinowskich i kółkach młodych techników. W ten sposób młodzież uczy się posługiwać różnymi narzędziami, poznaje pracę fizyczną i uczy się pracę tę należycie oceniać.

We wspólnej pracy i przy wspólnej zabawie pionierzy uczą się życia w kolektywie, uczą się dyscypliny i podporządkowania własnych interesów interesom całości. Potrzebne jest to dla nich w ich późniejszym życiu. Potrzebne to jest także w szkole i w rodzinie, gdzie samolub, egoista jest



Pionierzy 8-letniej Szkoły Średniej Karwina-Kopalnie po egzaminie końcowym

utrapieniem i źródłem stałych zgryzot i kłopotów. Dobrze prowadzona praca pionierska wyrabia dodatnie cechy charakteru. Jednostkom aktywniejszym, zdolniejszym i energiczniejszym daje szerokie pole do popisu. Ogranicza jednak nadmierny indywidualizm, ponieważ jedną z podstawowych zasad pracy Organizacji Pionierskiej jest zasada kolektywności. Natomiast dzieci nieśmiałe, mniej zdolne, praca w OP uczy samodzielności i wiary we własne siły. Dzieje się to dzięki temu, że w OP obowiązuje wszystkich członków czynny udział w pracy: każdy pionier musi spełniać zadania, które mu drużyna, zastęp czy ogniwo przydzielił. Przy tym prawo pionierskie wymaga, aby każdy pionier był wzorowym uczniem, t. zn. aby sumiennie spełniał swe obowiązki w szkole. Uczniów niedbałych, leniwych i złośliwych krytykuje się na zbiórkach i zebraniach. Krytyka kolegów często jest o wiele skuteczniejsza, niż napomnienia nauczyciela czy rodziców. W ten sposób OP pomaga szkole do wyrobienia w uczniach świadomej dyscypliny, t. zn. dyscypliny nie wymuszonej karami czy groźbami, ale dyscypliny wypływającej ze zrozumienia, że wspólna praca wymaga przestrzegania pewnych zasad postępowania współżycia.

Powie ktoś, że to wszystko, o czym tu mowa, to piękna teoria. W praktyce że wygląda to o wiele gorzej. Będzie miał częściowo słuszność. W wielu naszych szkołach OP nie pracuje jeszcze tak, jak pracować powinna. Nie jest pomocnikiem szkoły, lecz sama wymaga pomocy. Dlaczego tak jest? Przyczyn jest wiele — są różne w różnych szkołach. Dwie z nich jednak są najczęstsze i najważniejsze: brak odpowiednich przewodników i pozostawienie pionierów samym sobie, brak zainteresowania ich pracą, brak rady i pomocy starszych: nauczycieli, SRPSz.

Drużyny i zastępy pionierskie powinni prowadzić młodzieżowcy, członkowie Czechosłowackiego Związku Młodzieży. W praktyce są przewodnikami studenci — uczniowie naj-

wyższych klas szkół jedenastoletnich lub szkół zawodowych. Młodzieżowców z zakładów pracy trudno pozyskać jako przewodnika, ponieważ praca zawodowa uniemożliwia im regularne przychodzenie na zbiórki. Często prowadzą zastępy uczniowie i uczennice ósmej klasy, przewodnikami drużyn są zaś nauczyciele. Najlepiej właśnie pracują te drużyny, które posiadają płatnych przewodników (tylko w największych szkołach) albo gdzie tymi przewodnikami są nauczyciele. Jednak i wśród studentów (i naturalnie studentek) jest wielu dobrych przewodników, zwłaszcza jeżeli swoją funkcję pełnią przez dwa lub trzy lata.

Bardzo ważna w pracy Pioniera jest pomoc i poparcie nauczycieli i Stowarzyszenia Rodziców i Przyjaciół Szkoły. Ta ostatnia ma bardzo wielkie znaczenie w zwalczaniu uprzedzeń niektórych rodziców do OP. Z wypadkami takimi spotykamy się coraz rzadziej, ale jeszcze zdarza się, że rodzice zabraniają swemu dziecku — pilnemu i grzecznemu uczniowi — uczęszczać na zbiórki lub składać przyrzeczenie. Dziecko takie czuje się w klasie osamotnione i czuje do rodziców słuszny żal. OP zatacza bowiem coraz szersze kręgi i skupia dziś około 60% uczniów naszych szkół. Zdążamy do tego, aby wszyscy uczniowie 4—8 klasy szkoły ogólnokształcącej należeli do Pioniera i aby wszyscy uczniowie stali się wzorowymi i sumiennymi uczniami. W ten sposób najlepiej przygotują się do przyszłej swej pracy w naszej socjalistycznej ojczyźnie.

ADOLF KUBECZKA



Cieszyński krajobraz

JAN KASZTURA

Najnowsze osiągnięcia twórczości literacko-artystycznej na Śląsku czechosłowackim

Obraz pełnego życia społecznego polskiej ludności w Czechosłowacji nie byłby dokładny, gdybyśmy w nim pominęli lub wyeliminowali z jego całokształtu te wszystkie osiągnięcia jakie notujemy w dziedzinie twórczości literackiej lub artystyczno-malarskiej czy też w dziedzinie kompozycji muzycznej. Chcąc zarejestrować te osiągnięcia za czas ostatni, trzeba przede wszystkim w dziedzinie twórczości literackiej powiedzieć kilka słów o wyniku Drugiego Konkursu Literackiego PZKO, który został ogłoszony w miesiącu grudniu 1954. Konkursy literackie PZKO są ogłaszane co dwa lata, trzeci z tych konkursów został rozpisany z terminem do dnia 30 września 1956. Na razie pozostaje nam do omówienia plon drugiego konkursu literackiego PZKO. Trzeba powiedzieć, że każdy autor biorący udział w konkursie narażony jest na pewnego rodzaju ryzyko. Ryzyko to polega na tym właśnie, że nie wiadomo czy utwór przesłany na konkurs zostanie nagrodzony, czy wyróżniony, czy też w ogóle odrzucony. Jednakże regulatorem współzawodnictwa konkursowego są jego sędziowie, jego lektorzy i krytycy. Jeśli utwór nie jest napisany „pod poziom", jeśli autor dysponujący talentem, starał się swój utwór napisać jak najlepiej, z pełnym poczuciem odpowiedzialności za swą pracę, którą cechuje rzetelny wysiłek twórczy, to zawsze taki autor może liczyć na odniesienie większego czy mniejszego sukcesu, na mniej więcej właściwą ocenę swej pracy.

Na Drugi Konkurs Literacki PZKO nadesłano kilkadziesiąt prac. Szereg z tych prac zostało nagrodzonych bądź wyróżnionych. Ale wśród prac nadesłanych na wspomniany konkurs znalazły się i prace o nierównej wartości. Często — a mamy tu na myśli zbiorki wierszy — znalazł się w tych zbiorkach jeden lub dwa utwory zasługujące na baczniejszą uwagę sądu konkursowego. Nieraz było można odcyfrować, że autorem tego lub innego utworu jest człowiek pracy, górnik lub hutnik lub też młodociany zupełnie początkujący autor — samouk. Doceniając tę pracę i ten wysiłek a zarazem chcąc tych właśnie autorów zachęcić do dalszej pracy nad sobą, nad swym trudnym początkiem pisarstwa, postanowiliśmy wydrukować w Kalendarzu „Zwrotu" kilka takich utworów pod nadesłanym na konkurs godłem. Leży oto przed nami cienki zeszycik „Wierszy wybranych", z których wybieramy jeden z jego utworów:

Godło: Górnik

RODAKOM

O czym tu pisać, kiedy myśl myśl goni?
To i to było już w księgach pisane.
O lasach? kwiatach? o cichej ustroni? . . .
Wszystko to stare i wszystko to znane . . .
Lecz choć i to jest Wam znane, Rodacy,
Piszę o życiu tu naszym i pracy.
Dla śląskiej ziemi — dla dzieci jej części
Piszę ochotnie znów dzisiaj piosenki,
Starej są wprawdzie, lecz świeżej wciąż treści
I w świeżych hymnów ubrane są dźwięki;
Są na tle naszych wyczynów osnute
I nastrojone na ludową nutę.
Mój chleb nie pióro, lecz kilof — łopata!
Nimi mistrzowsko a nie piórem władam,
I gdy po pracy swej mój duch ulata
W kraje poezji i z piórem usiadam,
Nie po to piszę, by się okryć chwałą,
Lecz — by i po mnie coś przyszłym zostało.
Pisać dla ludu, z którego wyrosłem
Jest moim celem, pragnieniem — ideą —
I ja z nim kiedyś brzemię cierpień niosłem,
Z nim ducha karmił swobody nadzieją . . .



Kurs szkoleniowy SLA na Kozubowej, lipiec 1955

Dla ludu przeto z serca pieśni leję,
A gdyby przyszło i zdrój krwi wyleję!
Przyjmcie me pieśni przychylnie w swe progi
I w skarbiec śląskiej włóżcie je kultury!
Wielki dar daje, gdy daje ubogi
Grosz dla ludowej sztuki wzniosłe mury...
Dar mój tym większy, że ma każda strofa,
Pisana ręką twardą od kilofa!
Wiem, że Wam cenne dają pieśni w darze
(W których opiewan jest nasz lud i ziemia)
Wielcy — uczeni — fachowi pieśniarze,
Nie prości jak ja, co robią w podziemiach...
Lecz chociaż w pieśniach mych sztuki mało,
Chcę, żeby po mnie coś przyszłym zostało.

Ileż w tym wierszu lektury z „Pana Tadeusza"? Jest w nim nie tylko dużo własnego oczytania autora. A owa klasyczna forma utworu czyż nie jest świadectwem bardzo wymownym dla zainteresowań literackich naszych czytelników?

Wręcz odmienny splot odnajdujemy w innym nie nagrodzonym i nie wyróżnionym zbiorku konkursowym. Zacytujmy z tego zbiorku p. t. „Mój kraj" dwa jego najlepsze utwory:

Godło: Marysia

WIOSNA

Już piękna wiosna łany szerokie
Zielenią radosną okryła.
Łanów tych pięknych nie obejmiesz okiem.
Piękniejszaś wiele niż mi się śniłaś
Wiosno w mym kraju!

Wiosna i młodość. Ale tej samej młodej autorki czy autora przeczytamy jeszcze jeden utwór:

WIERSZ PRZEDOSTATNI

Wiersz przedostatni na papier się toczy,
Chce on powiedzieć czego nie potrafi...
Chce jasną przyszłość kraju mego dostrzec
Chce ją opisać, lecz nie ma odwagi.
„Te piękne miasta...
Te kopalnie, huty.
Te parki zieleni,
Ci nowi ludzie.



Kwartet smyczkowy ROH (Huta im. Mołotowa w Trzyńcu), który na ogólnopaństwowym KTL 1955 w Pradze został odznaczony za swą pracę artystyczną Złotym medalem. Od lewej: kompozytor Paweł Kaleta, Štivar, (prelegent Stebel), Rykała i Myrdacz

Ta radość z życia.
Jak świat się zmienił!"
Zaczynam pisać i kończę zarazem.
Lecz, że nie jestem jakimś głuchym głazem,
Że serce, rozum, czuje i rozumie,
Że nie podoła temu co nie umie,
Już ostatniego wiersza nie napiszę,
Boć on potężny, nie ujmą go słowa.
Te kilka wierszy? Ach gdzież tam połowa!
Jego muzykę najwyraźniej słyszę,
On twardą pracą w historii się pisze.

Trzy powyższe utwory wyjęte są z niewyróżnionych tomików wierszy, jakie przesłano na wspomniany konkurs literacki i dają zaledwie skromne pojęcie o początkowej drodze pisarzy samorodnych.

Utwory nagrodzone i niektóre z utworów wyróżnionych na wspomnianym konkursie ukażą się w wydaniach książkowych. Wyjdzie więc powieść Pawła Kubisza p. t. **„Czas ludzkiej krzywdy"** (II nagroda), zbiorek wierszy Henryka Jasiczka p. t. „Zbójnickie śpiewki" (w wydaniu książkowym tytuł uległ zmianie na **„Obuszkiem ciosane"** (III nagroda) — dalej ukażą się w jednym tomie **„Opowiadania i wspomnienie"** czterech autorów, a mianowicie Bogumiła Goja („Niedziela w Ravensbrück") (IV nagroda), opowiadania Józefa Pasza (IV nagroda), wspomnienie Marii Węglarzowej (wyróżnienie) i opowiadanie Karola Piegzy (wyróżnione w pionie folklorystycznym). Prócz tego wyjdzie zbiorowy tomik wierszy trzech wyróżnionych autorów: Józefa Krzywonia, Władysława Sikory i Gustawa Przeczka oraz wyróżnione w dziale folklorystycznym „Legendy śląskie" Józefa Ondrusza.

W powyższej kolejności książki te zostaną wydane w IV kwartale 1955 i w pierwszych dwóch kwartałach 1956 roku.

Tak przedstawia się sprawa z publikacjami Sekcji Literacko-Artystycznej PZKO (SLA), która niezależnie od organizowania konkursów literackich, wieczorów literackich, działalności publikacyjnej, szkoleń, organizuje także wystawy malarskie. Zespół członków SLA liczy już dzisiaj przeszło 30 ludzi. W zespole tym reprezentowane są trzy dziedziny twórczości artystycznej a mianowicie: literacka, plastyczna i muzyczna. Najliczniejszy zastęp członków SLA posiada zainteresowanie artystyczno-malarskie, mniej już jest tutaj literatów a najmniej muzyków twórczych. SLA posiada ich zaledwie dwóch. Wypada nam tutaj dodać, że do SLA należą nie tylko literaci, malarze i muzycy, którzy równocześnie są członkami ogólnopaństwowego Związku Literatów, Plastyków lub



Gustaw Fierla — Odwilż na Obrokach
Praca nagrodzona na konkursie malarskim SLA —1955

Kompozytorów, ale do SLA należy także poważny procent młodych twórców samorodnych. Wspomniałem, że SLA organizuje swe wystawy malarskie połączone z konkursem malarskim (co dwa lata).

Ze względu na Wystawę Śląska Cieszyńskiego, która odbywała się w lipcu 1955 roku w Cz. Cieszynie, SLA przesunęło termin swej wystawy z roku 1954 na rok 1955. Ta wystawa malarska SLA odbyła się w ramach Wystawy Śląska Cieszyńskiego i była w tym roku połączona z ogłoszeniem drugiego już konkursu na najlepsze prace malarskie.

Wystawa i konkurs malarski SLA w roku 1955 cieszyły się w danych warunkach nie mniejszym powodzeniem. Brak było jednakże na tej wystawie obrazów dwóch z czołówki malarskiej SLA, jakimi są Franciszek Świder i Rudolf Żebrok, których obrazy pojawiają się coraz częściej na ogólnopaństwowych czechosłowackich wystawach malarskich.

Na wspomnianej wystawie malarskiej SLA odnieśli tym razem poważny sukces przeważnie malarze samorodni a także w pomniejszej mierze malarze niezrzeszeni w ogólnopaństwowym Związku Plastyków.

Wprawdzie pierwszą nagrodę na wspomnianym konkursie otrzymał członek Związku Plastyków — Gustaw Nowak, ale wszystkie dalsze nagrody i wyróżnienia otrzymali — podajemy nazwiska według kolejności przyznanych nagród i wyróżnień — Stanisław Kraus, Władysław Cejnar, Bogumił Swoboda, Władysław Pasz, Gustaw Fierla, Karol Piegza, Józef Słowik, Rudolf Kobiela, Leon Świder, Maria Gattnarowa, Józef Siedloczek, Dominik Figurny i Jan Morawiec.

W jury konkursu malarskiego SLA 1955 zasiadali również dwaj członkowie ogólnopaństwowego Związku Plastyków Czechosłowackich z Ostrawy, podobnie jak sędziami drugiego konkursu literackego SLA-PZKO byli m. i. dwaj przedstawiciele Związku Literatów Polskich — Aleksander Baumgarten i Wojciech Natanson.

W roku 1956 postanowiono nie urządzać zbiorowej wystawy prac malarskich członków SLA, lecz urządzić wystawę malarską, poświęconą wyłącznie pracy artystycznej prof. Gustawa Fierli z okazji jego 60-letnich urodzin. Prof. Gustaw Fierla przyczynił się poprzez swą pracę w znacznym stopniu do rozwoju życia artystyczno-malarskiego u nas na Śląsku czechosłowackim.

„Najsłabszym" działem SLA, biorąc pod uwagę liczebność jego członków — to dziedzina muzyki twórczej. W zespole SLA jest tylko dwóch jej przedstawicieli. Ale wystarczy wymienić nazwisko jednego z nich, aby powiedzieć, że właśnie kompozytor Paweł Kaleta może się pochlubić niejednym swym pięknym dziełem. W przedłożonym rejestrze swych utworów wykazuje on ponad 200 tytułów swych kompozycyj. Szereg jego drobnych utworów posiada już nagrania na płyty, często z fal radia czechosłowackiego jak również i polskiego słuchamy jego utworów muzycznych. Prócz tego Paweł Kaleta jest także twórcą znanego kwartetu smyczkowego klubu ROH huty im. Mołotowa w Trzyńcu. Kwartet ten w ogólnopaństwowych popisach KTL w Pradze w roku 1955 został odznaczony jako laureat zaszczytną nagrodą, zdobywając złoty medal. A takie odznaczenie przyznawane jest nie za muzyczną kulturę odtwórczą, tylko za wybitną pracę twórczą!

Kończąc swój krótki, zaledwie pobieżnie-sprawozdawczy artykuł na temat osiągnięć twórczych w dziedzinie literatury, malarstwa i muzyki na Śląsku czechosłowackim w czasie ostatniego roku, wypadałoby tylko życzyć tym wszystkim starszym, młodym i najmłodszym twórcom, pełnego powodzenia i dalszego, jeszcze piękniejszego rozwoju w procesie stwarzania nowych wartości kultury i sztuki; dokumentu, który zawsze jest sprawdzianem żywotności każdego społeczeństwa.

JAN KASŻTURA



Władysław Pasz — Studium portretowe (Praća nagrodzona na Konkursie Malarskim SLA —1955)

JERZY JANOWSKI

Bilans czwartego roku

(Rozważania trzeźwe nad pracą Sceny Polskiej)

„Grzesznicy bez winy", A. Ostrowski
„Intryga i miłość", Fr. Schiller
„Imieniny pana dyrektora", Słotwiński i Skowroński
„Dudziarz ze Strakonic", J. K. Tyl
„Hallo, tu międzymiastowa ...!", K. Isajew i A. Galicz

*

Każda rzecz po swym zrodzeniu, po okresie swego niemowlęctwa, musi przejść swój czas rośnięcia, dojrzewania, doskonalenia się, by dojść wreszcie do wymaganej granicy doskonałości, do takiej doskonałości, aby w jej klasyfikacji nie mogły później powstać rozbieżności zadań i poglądów.

To samo można dosłownie powiedzieć i o Scenie Polskiej o jej dochodzeniu do owej doskonałości.

Zespół aktorski SP rósł, można by nawet powiedzieć, sam o własnych siłach, samowolnie i samorzutnie, zyskując swe doskonalenie tylko przez własne doświadczenia. Doskonaliły się jednostki, ucząc się na własnych błędach, na błędach wzajemnych i dochodząc powoli do zrozumienia sztuki, do zrozumienia zadań, jakie w związku z tym spoczęły na nim.

Ten kolektyw, u którego przy jego powstaniu było tylko: c h c i e ć, wzbogacił się przez własne doświadczenie i pracę na tyle, że teraz już wie: j a k c h c i e ć. Posiadł już arkana sztuki. O ile w początkach kierował się tylko samym zapałem, swym sercem, to teraz, nie tylko to wszystko mu pozostało, lecz dołączyła się jeszcze do tego — umiejętność.

Taki zespół wymaga, aby to co już w nim jest nabyte, umieć przetworzyć i wydać ze siebie. Punktem zwrotnym w tym wypadku było dla Sceny Polskiej wystawienie „Grzeszników bez winy" A. Ostrowskiego w reżyserii W. Wasiliewa. Umiał on wykorzystać szczerość uczucia kolektywu, pokazał temu kolektywowi jakie są jego wartości, aby je dać widzowi w formie niefałszowanej, nieskażonej „rzemiosłem aktorskim", w formie przecież scenicznej a jednak prawdziwej. Wyszło z tego przedstawienie co porwało nie tylko aktora, ale i widza, który okazał swą wdzięczność wobec Sceny Polskiej za owe przedstawienie, zapełniając po brzegi sale.

To był punkt zwrotny.

Chodziło teraz o to, aby to co zdobyto, utrzymać. Kolektyw już był; chodzi tylko o repertuar i ... reżyserów. Bo przecież idzie o to, by przekonać i laików i speców, że przedstawienie „Grzeszników" nie było dziełem przypadku, że nie na tym się skończyło, lecz na odwrót, że właśnie od tego się zaczęło.

Spójrzmy więc teraz na przyszły repertuar Sceny Polskiej, jaki się przed nią zarysował. Spójrzmy na przyszłe zadania tego kolektywu, który zdobył sobie już uznanie.

Była to więc w pierwszym rzędzie sztuka Fr. Schillera — „Intryga i miłość" w reżyserii Fr. Michalika.

Były zdania różne, mówiło się nawet: „Schiller, to nie Ostrowskiego „Grzesznicy" ... czyli, że była sposobność „wyłamania sobie świeżo wyrośniętych zębów". Po „piątce" była sposobność na „dwóję".

Była. Kolektyw to na pewno rozumiał i sumiennie pracował a my .. czekaliśmy, aby się doczekać.

Dziś z odstępu czasu możemy powiedzieć, że po egzaminie dojrzałości, jaki zdała Scena Polska w „Grzesznikach", uzyskała ona w „Intrydze i miłości" dyplom sprawności może nawet i doskonałości. Sukces tym



Fragment z sztuki radzieckiej „Hallo, tu międzymiastowa", którą z wielkim powodzeniem odegrał zawodowy zespół Sceny Polskiej w Cz. Cieszynie.

cenniejszy, że uzyskany własnymi siłami.

A więc „Grzesznicy" nie byli dziełem przypadku, kolektyw Sceny Polskiej nie był więc „hurra" drużyną prowincjonalnego zespołu, lecz stał się zespołem zawodowym i to w pełnym tego słowa znaczeniu. Co do wykonawców, to podkreślić tu trzeba koniecznie artystyczne wykonanie niektórych ról, jak Miller (A. Mołdrzyk), Luiza (Spinczanka, Bobkowa), Wurm (J. Bobek), Kalb (Urbański).

Po tym dyplomowym przedstawieniu przyszła dalsza próba. Była nią komedia satyryczna „Imieniny pana dyrektora" Słotwińskiego i Skowrońskiego w reżyserii Wł. Niedoby.

Próba o tyle, że Scena Polska nie posiadała jeszcze doświadczenia z satyrą, jeżeli zaś zważymy krytyczne artykuły prasy polskiej pod adresem artystycznych teatrów polskich, już przecież „ostrzelanych" w tej dziedzinie, jeżeli dobrze zastanowimy się nad wymaganiami stawianymi odtwórczości satyry, to jednak...

Lecz spójrzmy na wynik.

A więc teren. Satyra nie tylko była nieznaną Scenie Polskiej, lecz także terenowi. I... co się okazało?

Okazało się, że satyra ta, chociaż nie wyszlifowana scenicznie do każdego szczególiku (o czym później) „chwyciła" doskonale. Teren zrozumiał o co chodzi, zrozumiał i zaśmiewał się do łez. Ujrzał na scenie niejednego z owych dyrektorów „terenowych", lecz nie tylko dyrektorów. Boć „Imieniny", to jakby kolekcja „typów" do wszystkoizmu, można znaleźć wśród niej niejednego „typka" nam znanego. Widz więc śmiał się, piętnując swym śmiechem tych wszystkich, którzy „także dążą do socjalizmu", lecz nie, jak wszyscy uczciwi ludzie, własną zasługą i zasługą własnej pracy, lecz jak ten truteń żerujący na pracy i wysiłku, zaufaniu czy naiwności innych. — Widz nie tylko, że zrozumiał i poznał, lecz

poznawszy, zaczął trzeźwym okiem patrzeć wokół siebie i przeróżne te „typki" wyśmiewać, piętnować i palcem z ukradka wskazywać.

„Imieniny" miały jednak obok blasków — (postacie dobrze oddanych ról) dyrektor (Fr. Michalik), Magda (H. Rybicka), Dobek (R. Urbański) — i swe cienie. Dotyczy to przede wszystkim scen zbiorowych, w których odniosłem wrażenie, że postacie tam występujące były jakoś nieporadne, nieporadność zaś swoją zakrywały jakby „graniem na siłę" i to każda na swoją rękę. Nie było dyscypliny, a był chaos. A szkoda. Przedstawieniu temu nie dużo bowiem brakowało do doskonałości.

Następna premiera Sceny Polskiej to „Dudziarz ze Strakonic" J. K. Tyla w reżyserii V. Prażakowej. Tu zaraz z góry miałbym zastrzeżenie (osobiste) co do wyboru tej właśnie sztuki. Dlaczego? Powód całkiem prosty, a jest ich właściwie więcej. Pierwszy: przestrzeń. Przestrzeń, której potrzebuje nie tylko każdy aktor, lecz przede wszystkim ta właśnie sztuka. Każdy rozsądniejszy przyzna, że nie jest to sztuka dla teatru objazdowego. Nie można „robić" sztuki za każdą cenę, tym bardziej doskonałości w tym wypadku technicznej. Boć dalej, ilość odsłon, zaś z tym łącząca się doskonałość przebudowy scen (cicho, bezszelestnie i... niedługo). Ktoś może im tu zarzucić, że przecie przerwy były świetnie wypełnione muzyką. Owszem... (znowu mam swoje — ale) świetną muzyką Dobiasza, lecz wykonanie tej właśnie świetnej muzyki nie było równie świetne; wśród muzyków jest termin „grać na siłę", co w języku nas, ludzi zwykłych, znaczy: dąć i skrzypać na instrumentach tak, żeby było słychać, bo muzyków mało, zaś muzyka musi być. (Żeby nie było obrazy, podkreślam, że słowo „skrzypać" jest spokrewnione ze słowami skrzypaczka lub skrzypek a nie „skrzypieć"). A może grano dlatego głośno, żeby nie było słychać hałasu za sceną podczas przebudowy scen? Lecz to i tak nie pomogło.

I takich właśnie mniejszych niedociągnięć, gdy ich jest więcej, zaczyna widza nużyć (zwłaszcza, że przedstawienie to trwało 3 i pół godziny) w wyniku czego i dobra reżyseria i świetna gra aktorów (co do której miałem naprawdę słowa podziwu, boć przecież czeski klasyk był tutaj naprawdę czeskim, chociaż mowa była polska) była postawiona naprawdę przed trudne zadanie. I powiedzenie moje „nie porywać się z motyką na księżyc" nie będzie wcale dotyczyło aktorów, lecz tylko — możliwości inscenizacyjnych.

Następna sztuka Sceny Polskiej „Hallo, tu międzymiastowa..." Isajewa i Galicza, w reżyserii Fr. Michalika, zaskoczyła mnie podwójnie. Przede wszystkim swym tytułem. Sztukę tę znam i widziałem ją pod innym tytułem „Tu mówi Tajmyr...", lecz stwierdziłem to dopiero, gdy już siedziałem na sali i sztuka się rozpoczęła. Sztukę tę już widziałem przed paru laty, lecz ani wtedy ani później (choć starałem się) nie mogłem zrozumieć o co w niej chodziło i dlaczego była to komedia i kogokolwiek zapytałem o to, nie mógł mi tego wytłumaczyć.

I gdy tak siedziałem na przedstawieniu Sceny Polskiej patrząc na „Tajmyr" — och, przepraszam... na „Hallo, tu międzymiastowa!" przyszło drugie zaskoczenie. Tym razem miłe. Chociaż (na początku przedstawienia) byłem uprzedzony co do wartości (komediowej i w ogóle) tej sztuki, z minuty na minutę uprzedzenie się rozwiewało, nawet sobie uprzytomniłem, że się śmieję wraz z przepełnioną widownią i... że rozumiem całej akcji. Zaś po przedstawieniu, idąc do domu, zwróciłem honor autorom, przyznając, że jest to naprawdę komedia i to dobra komedia. Zacząłem „dumać", gdzie tkwi przyczyna dwu różnych przedstawień (tytuł i wykonanie). I tu uchyliłem (nie wiem już po raz który) przed

zespołem Sceny Polskiej kapelusza. Spisał się świetnie.

Kończę, choć chciałbym jeszcze dużo napisać, boć dobrze się pisze, gdy wszystko (względnie prawie wszystko) jest w porządku. Lecz redaktor Kalendarza nie czeka. Z chwilą, gdy odbędzie się premiera nowej sztuki Sceny Polskiej „Ballady i romanse", A Maliszewskiego, ukaże się mój artykuł. Dlatego z okazji wystawienia w Roku Mickiewiczowskim „Ballad i romansów" życzę zespołowi Sceny Polskiej sukcesu... lecz tego pono nie powinno się życzyć w teatrze, gdyż przynosi to pecha... a ja jednak wierzę w nowy sukces Sceny Polskiej.

JERZY JANOWSKI

P. S.

W dopisku dziękuję wszystkim tym, którzy przyczynili się do powstania mego artykułu, i których wypowiedzi (niekiedy zapisane dosłownie) przyczyniły się do fachowej oceny działalności Sceny Polskiej.

I jeszcze do aktorów Sceny Polskiej od tych właśnie widzów... prośba. A właściwie dwie: wystrzegajcie się „gry" na scenie i... zarozumiałości w życiu. J. J.



Pod nazwą „Těšínského divadla" działają w Cz. Cieszynie dwa zawodowe zespoły sceniczne — zespół czeski i zespół polski. Zespoł czeski T. D. odniósł piękny sukces przez wystawienie „Mazepy" Juliusza Słowackiego w nowym i doskonałym przekładzie Eryka Sojki.

JERZY SLIZINSKI

Z dziejów Braci Czeskich na Mazurach i na Pomorzu

Spadkobiercami oraz kontynuatorami postępowych tradycji husyckich byli Bracia Czescy, pionierzy nowych idei w życiu kulturalnym i naukowym narodu czeskiego w XVI i na początku XVII wieku. Wpłynęli oni szczególnie silnie na rozwój języka, szkolnictwa oraz literatury rodzimej. Brat Grzegorz Krajíř, uczeń myśliciela i pisarza Piotra Chelčickiego, założył w roku 1458 we wsi Kunwald pod Żamberkiem w Czechach wschodnich Jednotę czeskobraterską, w skład której wchodziły też resztki Taborytów, Waldensów, Adamitów oraz Braci Chelčickich i Morawskich.

Duchowym ojcem Jednoty był wspomniany już Piotr Chelčický (zmarł w połowie XV wieku), który



Jan Amos Komenský

w imię haseł religijnych prowadził walkę przeciwko świeckim i kościelnym feudałom. Każda walka przeciwko feudalizmowi musiała przecież w owych czasach, jak pisze Engels, „wystąpić w przebraniu religijnym".

Jednota ta, rekrutująca się z biedoty wiejskiej i miejskiej prowadziła pierwotnie w swej gminie życie w iście komunistycznej jedności. Bracia, którzy uznawali króla jako wykonawcę władzy świeckiej, odrzucali natomiast władzę papieża. Głosili bezwzględną równość wszystkich członków Jednoty, która była w pierwszym rzędzie organizacją społeczną, a dopiero na drugim planie stały sprawy religii. Stanowisko to sprecyzowano jasno już na pierwszym zjeździe Jednoty w roku 1465, na którym obecni byli delegaci wszystkich gmin czeskich i morawskich.

Bracia prowadzili życie karne, pracowite, nawet księża ich żywili się z pracy własnych rąk. Nie mogli jednak początkowo służyć w wojsku, nie zajmowali się ani handlem, ani karczmarstwem oraz nie mogli piastować żadnych urzędów gminnych lub państwowych. Zakazane były ponadto wszelkie gry i tańce. Z pokorą i cierpliwością poddali się wszelkim przeciwieństwom losu i cierpieniom. Szczególną opieką otaczano dzieci. Uczyły się one we wzorowo prowadzonych szkołach Jednoty, które słynęły poza granicami Czech.

Dla prowadzenia spraw administracji kościelnej Bracia wybierali „starszych", do których należało również kierowanie opieką nad starcami i chorymi.

Bracia od chwili, gdy się oficjalnie odłączyli od kalikstynów, odbiegających daleko już od rewolucyjnej linii taborytów, stali się przedmiotem stałych prześladowań.

Do największego nasilenia prześla-

dowania doszły po zwycięsko dla Habsburgów zakończonej wojnie szmalkaldzkiej oraz po tragicznej bitwie pod Białą Górą, która pozbawiła Czechów samodzielności państwowej na okres 298 lat.

W roku 1548 Ferdynand wymierzył ostry cios Jednocie, godzącej w system feudalnej nierówności stanowego podziału społeczeństwa na klasę panów i klasę wyzyskiwanych chłopów i biedoty miejskiej. Bracia, zamieszkali na terenach, należących bezpośrednio do króla, musieli opuścić ziemię ojców. Wtedy wygnanym Czechom — było ich około 800 — Polska podała bratnią dłoń, udzielając im azylu.

Część emigrantów zatrzymała się w Wielkopolsce w posiadłości Rafała Leszczyńskiego, Andrzeja Górki, Jakuba i Stanisława Ostrorogów, i in., część zaś udała się do Prus Książęcych, gdzie na dworze Albrechta przygotował grunt dla ich przyjęcia Wilhelm Křinecký, który odegrał wybitną rolę podczas rozruchów antykrólewskich w Czechach w r.1547. Po powrocie Ferdynanda do Czech udało mu się zbiec i znalazł on u Albrechta gościnne przyjęcie.

Po raz drugi przyjęła Polska emigrantów czeskich w roku 1628, w osiem lat po klęsce pod Białą Górą. W liczbie około 1700, Bracia przybyli wtedy na ziemie polskie. Osiedli oni głównie w Lesznie, Kobylinie, Skokach, w Włodawie i w Baranowie, w śląskim Brzegu oraz Toruniu. Wśród nowoprzybyłych znalazł się również i twórca nowej pedagogiki, Jan Amos Komenský, który swoje wiekopomne dzieła napisał właśnie w Polsce.

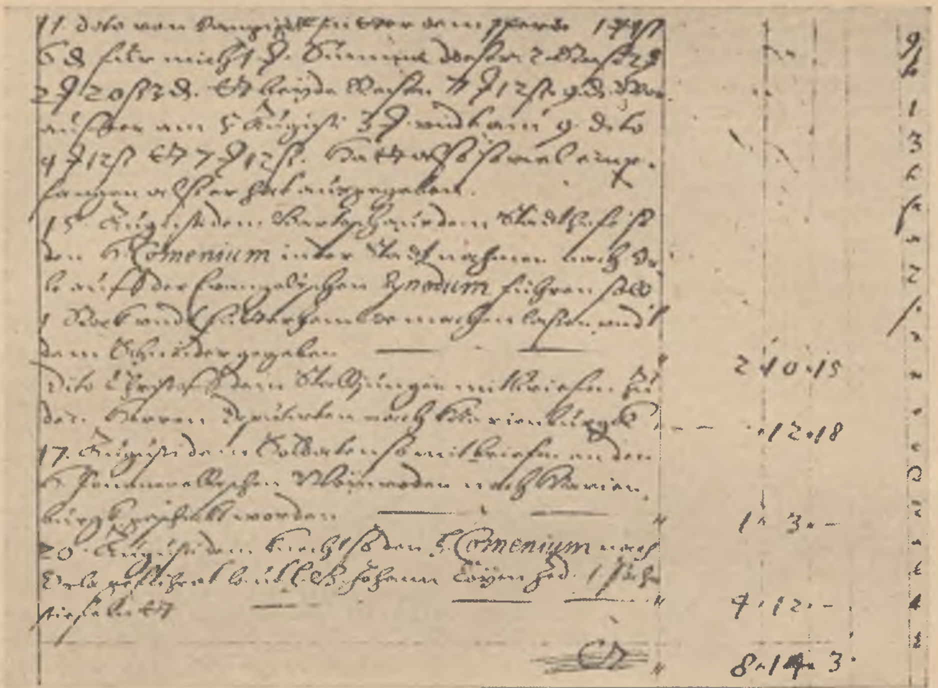
Nie tylko Braci przyjęła wtedy Polska, ale i licznych czeskich ewangelików i nowoutrakwistów, którym cesarskie mandaty, wydane dnia 31 lipca 1627 oraz 9 marca roku następnego uniemożliwiły dalszy pobyt w ojczyźnie.

Z Poznania, dokąd Bracia z pierwszej fali imigracyjnej przybywali w czerwcu 1548, część ich — około 400 — w sierpniu tegoż roku ruszyła w dalszą podróż do ziemi Albrechta, który wyraził gotowość przyjęcia ich.

Ostateczne pertraktacje przed wymarszem do nieznanej ziemi przeprowadziła delegacja Braci (składająca się z 16 osób) z Albrechtem w Morągu; tam spotkała się ona z księciem pruskim, udającym się do Krakowa, w 28 lat po zdobyciu przez Polaków założonego przez Krzyżaków miasta. Tam też dnia 6 lipca 1548 zakomunikowano Braciom ostateczną odpowiedź Albrechta na ich prośbę o udzielenie azylu. Książę oświadczył, że uważa za swój obowiązek przyjąć ludzi, prześladowanych za wiarę. Odpowiedź Albrechta zawierała jednak i przykre warunki dla Jednoty: jej duchowni mieli się podporządkować duchownym pruskim, a tylko tam, gdzie tych ostatnich nie było, Bracia mogli zatrzymać swych własnych, jednak dopiero po zatwierdzeniu ich przez prałatów pruskich. Duchowni Jednoty mogli jednak być wykorzystani jako kapłani luterańscy. W sprawach świeckich Bracia mieli obowiązek zachowywać się lojalnie jako wierni poddani.

Warunki te nie były więc zbyt dogodne, gdyż Bracia nie mieli wcale zamiaru połączyć się z luteranami. Stosunek Braci do dogmatów i praktyk ewangelików w Prusach Książęcych miał wyjaśnić ostatecznie egzamin, który odbył się w Królewcu w grudniu 1548 roku. Tam miały być też sprostowane kłamliwe wiadomości o Jednocie, które wśród teologów pruskich szerzył Wacław Mitmánek, były członek Jednoty. Utwór Jana Černego (Nigranus) p.t. „Examen" [2]) opisuje dokładny przebieg tego egzaminu i kończy na opisie oficjalnego uznania Jednoty oraz zatwierdzenia Macha Sionskiego jako jej biskupa przez biskupa pomezańskiego, Pawła Sperata, byłego duchownego ewangelickiego w mieście morawskim Jihlava, „w piątek przed dniem Świętego ducha" 1549 w Dąbrownie.

Warunki życiowe w wyznaczonych Braciom miejscowościach, o których



Pismo Zygmunta Augusta z dnia 1 marca 1556 roku

będzie mowa poniżej, były dla nich bardzo trudne. Widział w nich bowiem Albert w pierwszym rzędzie potrzebnych mu kolonizatorów, przydzielając im wioski i miasteczka, które mocno ucierpiały od długoletnich wojen. Ponadto autochtoni w niektórych miejscowościach ustosunkowali się wręcz wrogo do emigrantów, nie pozwalając im na uprawianie rzemiosła. Kobietom czeskim nie pozwolono początkowo na wypiek chleba.

Bracia, którym zależało na zachowaniu swej odrębności w sprawach religijnych, zwrócili się do Albrechta z prośbą, by im chociaż pod względem wyznaniowym zezwolił na większą swobodę i pozostawił im własnych duchownych. Będąc w sytuacji bez wyjścia, akceptowali oni „Ecclesiastica decreta'' Pawła Sperata, potwierdzone przez Albrechta dnia 19 lutego 1549 roku, które mocno ograniczyły ich swobody pod względem wyznaniowym. One to właśnie oraz rosnący nacisk luteranów przyczyniły się w głównej mierze do tego, iż gminy braterskie przetrwały w Prusach Książęcych tylko przez stosunkowo krótki okres, w przeciwieństwie do większości gmin w Wielkopolsce, które korzystały przez czas długi z pełnych swobód.

Pierwsi Bracia, zmierzający na północ, opuścili stolicę Wielkopolski w dniu 24 sierpnia 1548 roku.

Miejscem pierwszego dłuższego odpoczynku na drodze do przeznaczonych nowych siedzib było miasto Toruń, gdzie Bracia, serdecznie przyjęci przez ludność miejscową, po większej części — zwolennicy Lutra oraz przez radę miejską, przebywali aż 18 tygodni.[3])

Zyskali oni tam sobie licznych zwolenników i pozwolono im na odprawianie nabożeństwa w domach, w których zamieszkiwali. Założono tam

nawet nową gminę, a gdy ruszyli w dalszą podróż, zostawili w Toruniu za pozwoleniem magistratu jednego duchownego jako opiekuna młodej gminy. Szczególną opiekę roztoczył w Toruniu nad Braćmi (do których przyłączyli się z czasami i liczni mieszkańcy tego miasta) Jerzy Israel, późniejszy biskup Jednoty w Polsce, autor dzieła „Historia de origine et progressu ecclesiae majoris Poloniae confessionis bohemicae".

W latach późniejszych jednak kaznodzieje luterańscy, a szczególnie Antoni Bodenstein oraz Benedikt Morgenstern, sprawiali Braciom wiele trudności, tak że koło roku 1563 duchowny Jednoty został z Torunia odwołany a członków Jednoty pozostających w mieście polecono opiece duchownych ewangelickich.

Od roku 1571 widzimy w Toruniu brata Jana Gyrka młodszego jako rektora gimnazjum luterańskiego u Panny Marii.[4]) Bibliotece gimnazjalnej podarował w roku 1600 biskup Jednoty w Wielkopolsce, Szymon Teofil Turnovský, egzemplarz „Biblii Kralickiej" nazwanej tak od miejscowości, w której ukazała się w latach 1579—1593 w 6 tomach, mistrzowski przekład biblii na język czeski, przekład, który w czasach Odrodzenia Narodowego przyczynił się do stworzenia nowego literackiego języka czeskiego. Cztery tomy Biblii Kralickiej z własnoręczną dedykacją Turnovskiego zachowały się wraz z innymi utworami literackimi Braci[5]) w Książnicy Miejskiej w Toruniu, która posiada również rękopis, znaleziony w roku 1915 koło Działdowa, zawierający odpisy modlitw czeskich.

W latach dziewięćdziesiątych XVII wieku urząd sekretarza miasta piastuje Jan Rybiński, znany poeta polski, którego wiersze ogłosiła m. in. i prasa toruńska w okresie międzywojennym. Obfite materiały dotyczące działalności Jana Rybińskiego, spolonizowanego potomka emigrantów czeskich o pierwotnym nazwisku Ryba, znajdują się w toruńskim oddziale Wojewódzkiego Archiwum Państwowego. Jest tam też bogaty materiał dotyczący „Colloquium Charitativum" oraz synodu toruńskiego z 1595 roku, opracowanego m. in. przez J. Łukaszewicza, J. Bidla, J. Müllera i in.

W roku 1610 przybywa do Torunia wezwany przez radę miejską Jan Turnovský, autor rozprawy „De aeterna Dei praedestinatione", a po dalszych dwóch latach staje się on profesorem tamtejszego gimnazjum oraz seniorem Jednoty, na miejsce zmarłego Matyasza Rybińskiego. Turnovský umarł w Toruniu w roku 1629.

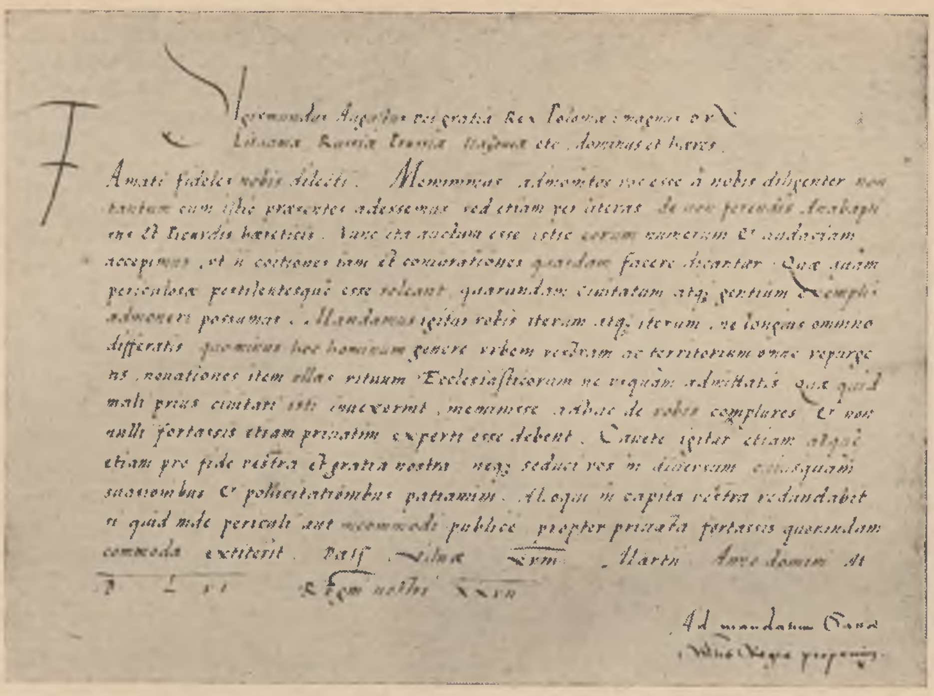
Liczni emigranci czescy przybyli do miasta Kopernika w r. 1628. Wśród nich znalazł się znany duchowny Jednoty, Adam Hartman. W dwa lata później studiował w tym mieście Jan Laetus, wnuk Jerzego Strejca. Również i Jan Amos Komenský przebywał w Toruniu kilkakrotnie: w roku 1645 uczęszczał tam na obrady „Colloquium Charitativum". Znana jest jego odpowiedź udzielona wtedy luterańskiemu teologowi D. Hülsemanowi, który zarzucał Braciom, że nie są oni tymi, którym Luter podał braterską rękę, lecz że przeszli oni do kalwinistów, a w cztery lata później odbył się w tym mieście ślub autora „Didactica Magna" z Joanną Gaiusową.

W okresie pobiałogórskim znalazł w Toruniu gościnne przyjęcie również i czeski nowoutrakwista, Paweł Stránský ze Zap, autor słynnej książki „Respublica Bohemiae"; od roku 1647 widzimy go przez 10 lat jako nauczyciela w toruńskim gimnazjum protestanckim.

Wśród wybitnych członków Jednoty działali w Toruniu w latach późniejszych Jan Chodowiecki i Jan Musonius.

Gmina Braci Czeskich w mieście Kopernika należała do tych nielicznych gmin Jednoty, które przetrwały w Polsce aż do XX wieku. Jeszcze w okresie międzywojennym było w Toruniu kilka członków Jednoty.

Duchowni Bracia pracowali rów-



Wzmianka o wyjeździe Komenskiego na synod ewangelicki w Orlej. Z akt archiwum w Elblągu

nież w niektórych wioskach luterańskich pod Toruniem. Tak np. w Grębocinie obowiązki pastora piastował w pierwszej połowie XVII wieku m. in. Paweł Paliurus oraz Jan Rybiński.

Na terenie Mazur Bracia osiedli w Dąbrownie, Działdowie, Nidzicy i Olsztynku.

W grudniu 1548 roku Bracia zamieszkali w Dąbrownie, z którym to miasteczkiem wiąże się epizod z czasów, gdy w Polsce szerzyła się nauka wielkiego czeskiego reformatora Jana Husa. W roku 1420 bowiem na rozkaz komtura aresztowano miejscowego proboszcza podejrzanego o szerzenie nauk Husa.

Miasteczko to stało się siedzibą biskupa Macha Sionskiego, zatwierdzonego tamże w dniu 7 czerwca 1549 roku przez Pawła Sporata. W tym samym miasteczku zmarł Sionský w kwietniu 1551 roku, a do niedawna zachowało się w zakrystii starego kościoła epitafium Macha, sporządzone przez Jerzego Ciklovskiego i Jana Lorenca. Chociaż w 1948 roku kościelny porąbał drewnianą deskę, na której umieszczono epitafium, na opał, to zachowała się nam jednak treść, przytoczona w artykule p. t. „Geschichte und Topographie der Stadt Gilgenburg" w „Annalen des Königreiches Preussen" z 1793 r., oraz szkicu A. Kwiatkowskiego p. t. „Die böhmischen Brüder in Gilgenburg" w „Mitteilungen der Literarischen Gesellschaft Masovia". Treść tego epitafium przytoczymy i tu w całości: „Ja sem vzkryseny i ziwot kdoz wery wme by pak y mrtew byl ziw bude: A każdey ktoz ziw gest a wery wme, ne umre naweky Jan XI.

Epitaphium Reverendi in Christo Patris D. Mathiae Sioni, pientissimi Episcopi Bohoemorum exulum propter confessionem Evangelii

Qui pro nomine gloriaque Christi
Aerumnas varias gravesque casas
Multas passus, et est acerbitates:
Mathia tumulo sub hoc sepultus
Sionius, Episcopus quiescit.
Hunc omnes lachrimis boni peremtum
Flerunt, praecipue — exules — Bohoemi,
Quos Euangelium Deique veros
Cultus, ipse fideliter docebat.
Vixit annis ciciter quinquaginta, obiit autem anno Salutatis nostrae MDLI die XVI April."

Pomocnikami Sionskiego w Dąbrownie byli Jan Strážnický oraz autor utworu „Poznamenání některých skutků božích kterak jest Pan Bůh rušil a kazil rady těch, kteříž se protivili dílu jeho" Maciej Červenka.

Ten drugi działał w Dąbrownie do roku 1533, w którym został wybrany w Přerowie biskupem Jednoty na Morawach.

Jak podaje F. Hrejsa, przebywał w małym tym miasteczku mazurskim przez krótki czas również i Jan Blahoslav (1523—1571), prócz Komenskiego najwybitniejsza postać Jednoty, autor licznych pieśni „Gramatyki czeskiej", „Muzyki", słynnej „Filipki proti misomusům", redaktor kancjonału „Písně chval božských", wydanego w Szamotułach oraz tłumacz „Nowego Zakonu" na język czeski.

Również już w grudniu 1548 roku spotykamy Braci w Działdowie i w okolicy miasta. Urząd duszpasterski sprawował tam początkowo Maciej Orel, jeden z tych, którzy w grudniu tegoż roku delegowani zostali przez Macha Sionskiego na egzamin do Królewca. W styczniu 1557 roku zetknął się w Działdowie z członkami Jednoty były nuncjusz papieski w Niemczech, Piotr Paweł Vergerius. Tam toczyły się rozmowy starszych Braci ze słynnym teologiem i polemikiem luterańskim w sprawach: nowego wydania „Konfesji", wyższych studiów członków Jednoty, stosunku Braci do Małopolan i in.

Dnia 24 lutego 1549 roku, książę Albrecht wysłał do Nidzicy, tak jak i do Dąbrowna, Działdowa, Kwidzynia i Olsztynka pismo z oświadczeniem, iż członków Jednoty, którzy „prowadzą życie poczesne i ciche" nie wolno pozbawiać praw obywatelskich.

W Nidzicy urząd kapłański sprawowali m. in. Urban Hermon, były rektor szkoły w Litomyślu i Jan Girk — również członkowie delegacji na egzamin do Królewca.

Również w Nidzicy w czerwcu 1555 r. zatrzymał się Jan Lorenc, będący w drodze z Ostrorogu do Królewca, a w tymże miesiącu bawił tam Jan Černý autor „Examenu", zaproszony jako gość przez tamtejszego starostę książęcego.

Liczniejsza grupa Braci osiadła również w Olsztynku, odległym o 17 km od Dąbrowny. Bawiący przejazdem w Olsztynku Albrecht zaprosił na zamek tamtejszy Macha Sionskiego.

O ile na terenie Mazur nie pozostało żadnych śladów po Braciach, to w Kwidzyniu mieście położonym niedaleko od Tczewa, zachodnia część nawy kościelnej do dziś dnia przez ludność miejscową nazywana jest „Kościołem czeskim".

W Kwidzyniu także dnia 13 stycznia 1549, przybyłych w grudniu poprzedniego roku Braci, przyjął oficjalnie do swojej diecezji Paweł Speratus. W Kwidzyniu osiadł m. in. wraz z rodziną Maciej Turnovský, ojciec znanego biskupa Jednoty, Simona Teofila. Licznym innym Braciom książę pruski darował albo wydzierżawił ziemie okoliczne. W Kwidzyniu zamieszkał również brat Paweł Bassat, któremu udała się ucieczka z więzienia praskiego. Kapłanem gminy kwidzyńskiej oraz pobliskiej wsi Gardeji (zupełnie opustoszałej po długotrwałych wojnach, do której skierowano 25 Braci) był Jerzy Israel. W Kwidzyniu przez czas pewien przebywał i Jan Rokyta, kolega Jana Blahoslava ze studiów w Wittemberdze.

W miejscowościach, o których wspomniano, gminy Braci jednak nie

utrzymywały się zbyt długo. Przyczynił się do tego — jak już wspomniano — ucisk pod względem wyznaniowym ze strony luteran oraz trudne warunki materialne.

Około roku 1574 odprawianie nabożeństw przez Braci zostało w Prusach Książęcych zabronione. Mimo zakazu nabożeństwa odbywały się przez pewien czas potajemnie. Jednak po roku 1578 nie spotykamy już w wymienionych powyżej miejscowościach żadnych członków Jednoty. Przenieśli się oni do Wielkopolski, albo znaleźli schronienie u protektorów Jednoty na Morawach.

Wielu Braci przybyłych z drugą falą emigracji do Polski, znalazło schronienie na ziemiach pomorskich. Widzieliśmy to już powyżej, gdy krótko omawialiśmy działalność członków Jednoty w Toruniu.

Miastem, w którym Bracia zyskali wielu zwolenników był Gdańsk. (Do jego murów w roku 1433 dotarli już Husyci). Bliskie sąsiedztwo „zarazy kacerskiej" poważnie zaniepokoiło biskupa warmińskiego, Stanisława Hozjusza, który skarżył się sekretarzowi króla polskiego, Marcinowi Kromerowi za postępy, jakie czynili „pikarci" w Prusach Książęcych. Tak więc Zygmunt August, ten sam, który na sejmie warszawskim w dniu 8 grudnia 1563 przyjął z rąk Jakuba z Ostrorogu polski przekład Konfesji Braci Czeskich, w listach z 7 marca 1556 i 18 marca tegoż roku ostrzegał senat gdański przed „kacerzami", wznawiając dawny zakaz dla anabaptystów i „pikartów" przebywania w Gdańsku.

Chociaż Bracia znaleźli azyl w położonym niezbyt daleko Kwidzyniu, to ich działalność w polskim mieście portowym rozwinąć się miała dopiero pod koniec XVI wieku, kiedy to osiadły tam liczne rodziny szkockie, wyznania reformowanego, które prosiły Braci w roku 1589 o przydzielenie im polskiego kaznodziei.

W latach 1629-50 wygłaszał swoje kazania w kościele Piotra i Pawła Albert Niclassius, pochodzący z Łobżenicy w Poznańskiem. Tam głównie a także w Lesznie uczy się w tym okresie już duża ilość gdańszczan w szkołach wzorowo prowadzonych przez Braci. W Gdańsku, w r. 1643, Jan Amos Komenský wydaje po raz pierwszy „Pansophiae diatyposis", „plan wszechmądrości", zawierający pięć części: idealia, nauka o ideach, naturalia — nauka o przyrodzie w znaczeniu najszerszym, artificialia — płody ducha ludzkiego z dziedziny sztuki, techniki i organizacji społeczeństwa, spiritualia — nauka o wierze, etyka i liturgia — dla całej społeczności chrześcijańskiej oraz aeterna — czyli zagadnienia, wiążące się z ostatecznym celem ludzkości, który Komenský widzi w osiągnięciu wiecznej szczęśliwości w zaświatach.

Od roku 1648 pracuje w Gdańsku B. Ursinius, jeden z dwóch rektorów z Leszna i w czasie jego działalności w mieście portowym spotykamy tam Komenskiego, przeprowadzającego zbiórkę na fundusz budowy kościołów Jednoty w Słowacji.

Po śmierci Ursinusa, conseniora Jednoty, w 1657 roku, sprawuje urząd duszpasterski Piotr Figulus i kazania wygłasza w języku polskim. W latach 1693—1707 działa w Gdańsku Jan Petroselinus, tłumacz „Labyrintu světa" Komenskiego na język polski. Rektorem gimnazjum gdańskiego stał się w okresie nieco późniejszym Jan Chodowiecki, przedtem rektor gimnazjum leszczyńskiego. W Gdańsku przebywał też emigrant czeski, Jan Šlerka i ponownie przygotował w roku 1762 do druku utwór brata Jana Lukáša, którego reformom Jednota zawdzięcza, że pod względem oświaty i nauki stała się awangardą w czeskim życiu kulturalnym na przełomie XV i XVI wieku. Utwór ten nosił tytuł: „O puowodu cierkwe swaté."

Liczni duchowni Jednoty działali w bliższej i dalszej okolicy Gdańska tak np. w Mokrem prowadził od r. 1657 gminę kościoła reformowanego, która się przyłączyła do Jednoty, zięć Komenskiego, Piotr Figulus. Przebywając w zasadzie w Gdańsku, dojeżdżał



Kościół w Dąbrownie, gdzie znajdowało się epitafium Macha Sionskiego

do sąsiedniej miejscowości. Jednak już w roku następnym wyjechał wraz ze swym teściem do Amsterdamu, gdzie przebywał dwa lata.

Po Figulusie działalność swą rozwijali w Mokrem m. in. Jerzy Vetter, późniejszy consenior Jednoty, Gilbert Wach i in. Reformowana gmina w Mokrem aż do roku 1709 należała do Jednoty.

W Malborku działał około roku 1642 Morawianin Jan Episcopius, syn conseniora Jana Episcopiusa. W Sztumie przebywał Julian Poniatowski i w tamtejszej posiadłości pani Guldenstern pełnił rolę kaznodziei Czech, Daniel Kopecký. Również i w pobliskich Jordankach spotykamy aż do drugiej połowy XVII wieku duchownych Jednoty.

Liczni banici z drugiej fali emigracyjnej osiedli w Elblągu a w latach 1642—1648 przebywał tam Jan Amos Komenský z rodziną. Pracował on tam nad swoją „Pansofią" oraz nad podręcznikami dla szkół szwedzkich. W zbiorach Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Gdańsku znajduje się „Matricula Gimnasii Elbingensis". Rektorem gimnazjum tamtejszego był w latach 1598—1629 Morawianin M. Johannes Mylius Iglaviensis, a następnie w latach 1630 do 1652 — jego syn Michał. W księdze tej, w zapisie z roku 1643 figuruje nazwisko „Johannes Cominius". Urząd duszpasterski piastowali Bracia również i w niektórych miejscowościach kaszubskich (m. in. Charbrowie i w Zwartowie), aż do lat trzydziestych XVIII stulecia.

Jak widać z powyższego, Bracia — dzięki którym poziom nauki zwłaszcza w szkołach wielkopolskich podniósł się znacznie — przyczynili się też do rozkwitu szkolnictwa na Pomorzu. Dotychczas fakt ten nie był należycie oceniany.

Z szeregu członków Jednoty wyrośli pisarze i poeci, których utwory wzbogaciły piśmiennictwo polskie, a na ziemiach pomorskich powstało i wydane zostało dzieło Komenskiego, które zyskało rozgłos w całej Europie.

Liczni Bracia, którzy się spolonizowali i zamieszkali na terenach pomorskich, stali się współtwórcami postępowej polskiej kultury narodowej. Pobyt Braci Czeskich na ziemiach polskich — to jedna z najpiękniejszych kart historii wiekowej przyjaźni polsko-czeskiej.

JERZY SLIZINSKI

---

1) K. Marx — F. Engels: Dzieła wybrane, Warszawa, 1949, t. II, str. 94.

2) Utwór ten, w oryginale czeskim wraz z tłumaczeniem na język polski przygotowany jest do wydania.

3) Por. J. Bidlo: „Jednota bratrská v prvním vyhnanství (1548-61), t. I, Praha, 1900, str. 47.

4) Gyrk zmarł w Lesznie w r. 1605.

5) Por. Slizinski: „Śladami Braci Czeskich w Wielkopolsce, Warmii i na Mazurach", Pamiętnik Literacki, 1954, z. 2. i inne.

WŁADYSŁAW MOST

W koszęcińskim zamku

O Państwowym Zespole Ludowym Pieśni i Tańca — „Śląsk"

Ktoś określił Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca „Śląsk" jako rewelację. Znana pisarka, Helena Bobińska w liście, pisanym do jednego z pisarzy śląskich pod wpływem wrażeń, jakich zaznała na występie, nazwała „Śląsk" — objawieniem. Jest rzeczą pewną, nie podlegającą dyskusji, że „Śląsk" odsłonił, po raz chyba pierwszy, piękno ziemi śląskiej, pokazał niezwykłość jej przebogatego folkloru, jest więc w pewnej mierze zjawiskiem o charakterze odkrywczym.

Pomysł stworzenia Zespołu nie jest stary. Zrodził się chyba nie wcześniej jak przed trzema laty, kiedy to powierzono Stanisławowi Hadynie jego organizację. Początki były trudne. Trzeba było przezwyciężać opory, przede wszystkim te, które wypływały z niewiary w powodzenie tak olbrzymiego przedsięwzięcia. Szczególnie wiele trudu organizatorskiego wymagało wyłowienie spośród 12 tysięcy kandydatek i kandydatów do Zespołu 200 młodych ludzi. Eliminacje zabrały sporo czasu, ale o cóż chodziło? Czy o wyszkolony już głosowo element ludzki lub o tancerzy o wyrobionym poziomie artystycznym? Nie. Chodziło o ludzi, reprezentujących wprawdzie walory głosowe, talent choreograficzny, lecz — to było ważne — nie zmanierowanych szkolarskim rutynizmem. Zespół miał być ludowy: a to oznacza szczerość, prostotę i głębokie odczucie folklorystycznego tła regionu. Eliminacje przeprowadzone pod okiem Stanisława Hadyny, rodowitego „gorola" z Wisły, którego ojciec jako nauczyciel muzyki działał długie lata w Karpętnej na Śląsku czechosłowackim, nie miały więc nic w sobie z mechaniki egzaminów wstępnych. Były to lustracje, przegląd twórczych możliwości kandydatek i kandydatów, przy czym walory głosowe czy taneczne nie zawsze stanowiły wyłączny warunek przyjęcia do Zespołu. Powodowano się raczej wyczuciem, intuicją. Decydowano o losie młodzieży, która zjechała na swój wielki artystyczny egzamin, nie: schematycznie, nie: biurokratycznie, lecz zwyczajnie: po ludzku, szczerze, serdecznie. Bo myślano także o tych, którzy zostaną zawiedzeni, mniej szczęśliwi od innych. Tej młodzieży, pełnej zapału nie wolno zniechęcić. Odprawiono ją ze szczerym słowem zachęty do dalszej pracy.

Jeśli dziś cała Polska podziwia „Śląsk" i chlubi się nim wobec zagranicy, to nie zapominajmy, że Zespół ten nie zrodził się z głowy Feniksa. U podstaw jego narodzenia leżała ugorna, twarda ziemia, którą trzeba było przeorać i spulchnić. W ciągu roku zdołano z niewyrobionego artystycznie elementu ludzkiego stworzyć Zespół, który po półrocznym, dodatkowym szlifie objawił się krajowi w całej krasie nieposkromionego, ludowego piękna. Pierwszy występ, jaki odbył się jesienią 1954 roku w Stalinogrodzie ukazał „Śląsk" jako zespół dojrzały artystycznie, choć — rzecz jasna — przy narodzeniu eksperymentu w tak wielkiej skali nie można było uniknąć drobnych niedociągnięć. Były to jednak tylko blade cienie na tle miliona blasków.

Od tego czasu artystyczna kariera „Śląska" jest wręcz zawrotna. Zdobywa wstępnym bojem Warszawę, której po raz pierwszy pojawił się kulturalny krajobraz Śląska w całym blasku folklorystycznego bogactwa. Przyjęcie, jakie zgotowała „Śląskowi" stolica było wydarzeniem nieco-

dziennym. Urok pieśni i tańca śląskiego oczarował dziesiątki tysięcy ludzi, czego wyrazem stały się także entuzjastyczne głosy prasy. Warto niektóre z nich odnotować, stanowią one bowiem odbicie nastrojów publiczności, są dowodem, że prawdziwa sztuka nie potrzebuje dekoratorskiej szminki, że walor szczerości i świeżości stanowi wielką siłę, przyciągającą masy ludzkie. Pisząc w superlatywach o występach „Śląska", organ CRZZ „Głos Pracy" dodaje... „a przecież warszawskich ludzi, ‚zepsutych' występami mającego już światową sławę „Mazowsza", niełatwo zachwycić...". Jeszcze cieplej o „Śląsku" po jego pierwszych występach w Warszawie pisała „Trybuna Ludu" z dnia 11. XI. 1954 roku, podkreślając, że „wydobył na światło dzienne ukryte piękno swojej ojczyzny". Chwaląc koncert, poszczególne punkty programu, Leszek Goliński szczególnie podnosi walor pieśni i tańca beskidzkiego. „Śląsk" zastanawia — pisze autor artykułu — pełną brzmienia, ciekawą interpretacją utworów, sprawnością artystyczną, finezją wykonania."

Rzecz charakterystyczna: najcieplej, najserdeczniej „Śląsk" przyjmowany był nie w Stalinogrodzie, ale w Warszawie i Krakowie. Oba te miasta podniosły Zespół do rangi reprezentacyjnego, a prasa tak warszawska, jak i krakowska potwierdziła zgodnie tę opinię, zrodzoną nie w ferworze akademickich dyskusji, lecz tam, gdzie entuzjazm widowni jest najlepszym sprawdzianem wartości artystycznej i społecznej Zespołu. Od tego czasu „Śląsk" dał już po dziś dzień ponad 50 występów, które oglądało około 200 tysięcy ludzi. Największy sukces artystyczny odniósł jednak w stolicy, prezentując śląski folklor górniczy i góralski na koncercie, zorganizowanym dla uczestników konferencji warszawskiej. Były to duże przeżycia nie tylko dla zagranicznych gości, ale także i dla młodego zespołu, stojącego na progu swojej wielkiej kariery artystycznej.

Nie sposób w ramach krótkiego stosunkowo artykułu wyczerpać bogactwa tematu, związanego z powstaniem i rozwojem „Śląska". Wszak Zespół ten poza celami artystycznymi spełnia i doniosłą rolę szerzyciela prawdy o Śląsku. On to przeorywuje twardzizny nierozumienia Śląska, on dodaje plastyczności i barw obrazowi ziemi przez wieki oderwanej od macierzystego pnia. W tym jego niejako narodowym posłannicwie tkwi wielka wartość. Tej jego roli nie wolno nie doceniać, nie rozumieć. Wiąże się z tym potrzeba powołania do życia czegoś w rodzaju „przyczółków folklorystycznych" w regionach tak typowych jak: Beskidy Śląskie, Opolszczyzna i Górnośląskie Zagłębie Węglowe. Folklor jest bowiem odbiciem historii ludu śląskiego. Wydobycie na wierzch prawdy folklorystycznej jest równoznaczne z wydobywaniem na światło poznania prawd historycznych i prawd postępowej tradycji. Warto tu przytoczyć to, co na ten temat pisał Gorki: „...prawdziwej historii pracującego ludu nie można poznać, nie znając ustnej twórczości ludowej...". „Od głębokiej starożytności folklor nieodłącznie i swoiście towarzyszy historii." „Śląsk" winien mieć przeto stały dopływ „świeżej krwi" i stale poszerzać swój repertuar, oparty o najlepsze, najgłębiej odczute wzory piękna ludowego. Nie może być oderwany od treści, stanowiących o jego ludowości. Folklor nie jest bowiem zjawiskiem statycznym. Sięga głęboko korzeniami w przeszłość, ale wyrasta również świeżymi pędami, mieni się wszystkimi kolorami życia, stanowiąc jego naturalne odbicie. Kryje się nie tylko w pieśni, tańcu i muzyce, ale we wszystkim, co lud tworzy, co stanowi spuściznę postępowej dawności. Przejawia się to więc zarówno w pieśniarstwie, tanecznych tematach, ale także w gwarze, w gawędzie, baśni, opowieści, w przyśpiewkach i strojach, w mimice i geście, wreszcie w sztuce plastycznej, blisko spokrewnionej z pojęciem folklorystycznego piękna. „Śląsk" o-



Taniec beskidzki „Piłki" w wykonaniu Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk" w Karwinie 1955

powiada przeszłość, choćby w takiej przepięknej pieśni jak o zbójniku Ondraszku, które ktoś nazwał „suplikacjami zbójnickimi". Solo Maryli Waleckiej oddaje tło folklorystyczne w idealnym brzmieniu intonacyjnym. Układ melodyczny Stanisława Hadyny prostuje człowieka, na chwilę dławi, na chwilę zapiera dech, by końcowym szeroko grającym echem ponieść wieść o zwycięstwie. Piękno artystyczne, pozłota stylizacyjna dziwnie splotły się tu z legendą, która jest zarazem prawdą dawnych dni. Ta dawność kipi w melodycznych wątkach, domaga się udziału intelektu w pojmowaniu artystycznych treści. Wydaje się, że najtrudniejszą rzeczą jest spleść dawne z tym co nowe, co dopiero wschodzi, co jest jednak tęczowe i bliskie. Wypracowanie tego właśnie repertuaru nie może być wynikiem takich czy innych narzutów, wskazań i dopominań. Wszelkie nieprzemyślane krytyki osłabiają siłę kiełkowania Zespołu, który dojrzewa, który dopracowuje się najwyższej rangi artystycznej.

Nowe folklorystyczne treści rosną wraz z życiem, narastają powoli, tkwią często korzeniami w twardej, niewyrobionej jeszcze uprawie. Grzeszą także ci, którzy chcą stosować w repertuarze „Śląska" geograficzny podział folklorystycznych wątków. Folklor jest zjawiskiem chybotliwym, objawia się też artyście różnie. Proces twórczych przeobrażeń, jakie przechodzi artysta w zetknięciu się z nim, nie da się mierzyć schematem z góry wyrozumowanego układu. Braki proporcji, niedosyt pewnych treści, związanych z określonym regionem są podyktowane często prawem wzrostu, prawem stałego dopełniania i uzupełniania repertuaru, który wszak nie jest żelaznym kapitałem Zespołu, lecz tylko uwerturą szerokiej bazy programowej. „Śląsk"

trzeba więcej wyczuwać niż wyrozumowywać. Jest on kompozycją całością, która porywa, która bawi i raduje i której wartość potwierdza masowy odbiorca, może nie ukształcony w dyskutanckiej perorze, ale szczery, bezpośredni, żywo reagujący na barwę, ruch, melodyjność układu. Ta masowa reakcja na ludowość Zespołu winna stanowić o jego postawie, o klimacie jego dalszego wzrastania.

Duszą „Śląska" jest jego artystyczny kierownik, Stanisław Hadyna, który wniósł ze sobą tchnienie ludowości, oddech beskidzkich „groni", przebijający tak żywo choćby w słynnym już dziś „helokaniu" pasterskim, wołaniu koniakowskich dziewcząt. Nade wszystko wniósł jednak Hadyna do Zespołu swój wielki, kompozytorski talent. Większość pieśni śpiewanych przez „Śląsk", to jego oryginalne utwory lub opracowania muzyczne na tle oryginalnej melodyki ludowej. Jego twórczej wyobraźni zawdzięczać należy niejedno wielkie przeżycie, jakiego zaznaje widz i słuchacz w jednej osobie na występach śląskiego Zespołu. Obok Hadyny dużą indywidualnością twórczą jest choreograf, Elwira Kamińska. Tańce jej układu niemniej mocno wyrażają artystyczną prawdę o Śląsku niż Hadynowe pieśni. I jedne i drugie poszerzyły regionalne treści, zamknięte dla nie-Ślązaka w twardych, umownych schematach pojęciowych. Podkreślić przy tym chcę jeszcze raz, że „Śląsk" jest w stanie twórczym, wciąż poszukuje nowych rozwiązań, wciąż czerpie naukę od mas i od — nie zawsze subtelnych w odczuciu prawdy folklorystycznej — krytyków.

Tańce „Śląska" mają w sobie coś co działa na zmysły w sposób niecodzienny, coś co wzrusza i niepokoi, wywołując nastrój radosnego, rozpromieniającego podniecenia. Obok waloszków zagłębiowskich pełnych porywu i melodycznego ciepła, odbijają ostrą nutą i szorstkim, kanciastym kształtem, zawrotne beskidzkie kołomajki. Najbardziej jednak porywa taniec „piłki", czyli szybki, w którym wszystko się mieni, drga i dygoce, a świat wydaje się jakby utkany z barw i ruchu. W Krakowie „piłki" wywołał istny szał na widowni i musiał być powtarzany aż trzykrotnie.

Przyjrzyjmy się na koniec samej młodzieży. Odsłońmy te wartości, których nie dostrzega krytyk muzyczny, których często nie widzi sprawozdawca prasowy. Awszak postawie tej młodzieży, jej pilności, pracowitości i talentowi zawdzięcza Zespół w dużej mierze swą wysoką artystycznie hierarchię. W Koszęcinie, gdzie w przebudowanym zamku byłego potentata węglowego Hohenloego mieści się siedziba „Śląska", dojrzewa ona nie tylko pod względem artystycznym i intelektualnym, ale także i etycznym. Troszczy się o to kierownictwo, wychodzące z założenia, że treść artystyczna nie może być oderwana od moralnej postawy członków zespołu. Kto nie potrafi spełniać tych warunków, musi pożegnać się z ośrodkiem koszęcińskim, gdzie stworzono młodzieży idealne możliwości szkoleniowe i wychowawcze. Interesującym jest też zjawiskiem — warto było by się pokusić o studium socjologiczne — jak ta młodzież zżywa się z sobą, jak zaokrągla się kształt jedności, wspólnej myśli i wzajemnego zrozumienia. Ta atmosfera nie byłaby do pomyślenia bez umiejętności prowadzenia tej młodzieży, bez wskazywania jej właściwego kierunku. Pozakulisowe osiągnięcia, niepozorne, nieuchwytne często dla oka, są równie ważne, jak te, które odnotowuje się na scenie. Różnorodność charakterów i środowiska pochodzenia nie tylko nie mąci klimatu zgodnej współpracy, ale wpływa nawet na powstawanie nowych, dodatkowych wartości wychowawczych, występujących w postaci, mówiąc językiem psychologów, procesów naśladowczych. Młodzież Opolszczyzny i Górnego Śląska uczy się od tych, którzy przybyli do Koszęcina z poza etnograficznych granic Śląska — lekkości, swobody, bezpo-

średniości. I na odwrót: ci, którzy przybyli na ziemie śląskie z głębi Polski kształcą się w docenianiu drobnego, racjonalnego wysiłku, w precyzji i systematyczności, cechach, wypielęgnowanych w człowieku śląskim przez wieki.

Radosna jest ta koszęcińska młodzież, pełna zapału, śmiało patrząca w świat. Pogłębia ona swą wiedzę, kończąc tu w Koszęcinie studia średnie, ogólnokształcące, które podbudowuje pracą samokształceniową i samowychowawczą. Istnieje tu wiele kółek, w których wyżywa się twórczo, w których pogłębia swe bardzo często oryginalne zainteresowania. Zdaje sobie sprawę, że pobyt w Zespole nie potrwa wieki. To barwne, słoneczne życie, jak wszystko, co w życiu piękne, trwa krótko. Kierownictwu Zespołu chodzi o to, aby lata spędzone w „Śląsku" nie pozostały tylko radosnym wspomnieniem. Ci, którzy opuszczą „Śląsk" poniosą z sobą w życie radosny ślad umiłowania wielkiej sztuki. Pracować z nich wielu będzie na stanowiskach instruktorów artystycznych w świetlicach, bądź w innych zespołach artystycznych. Niechżeż to, co sami posiedli pracując w Zespole, a więc zarówno wiedzę teoretyczną, jak i praktyczną znajomość sztuki śpiewu czy tańca, a przede wszystkim umiłowanie folkloru przeniosą się w masy, kształcąc je i wychowując zgodnie z postępem kulturalnym. Wszak nawet, gdyby warunki życia oderwały ich od artystycznych warsztatów pracy zawsze oddziaływać będą mogli na swoje środowisko: twórczo, pobudzająco. Z kimkolwiek spośród młodzieży „Śląska" o tym rozmawiać, zawsze z wywodu wykwita jasna nadziejna myśl, układająca się w wielką prawdę: uczynić człowieka lepszym, to znaczy uczynić go wrażliwszym na sztukę. Tak myśli Helena Czorny, córka górnika z Pszowa, która poza swoimi zajęciami zawodowymi żywo interesuje się... językoznawstwem. Te same myśli kłębią się w porywczych planach Bolesława Skorupy z Rybnika, bardzo rozgarniętego młodego człowieka, którego talent organizatorski przejawia się w wielu akcjach społecznych, podejmowanych wraz z innymi kolegami na terenie Zespołu.

Przedziwne są czasem koleje życia młodzieży „Śląska". Jej życiorysy powypisywane zostały często twardym i koślawym losem. Jest to naprawdę żywe archiwum tematów psychologicznych. Maria Matthias jest córką emigrantki. Bo wróciła do rodzinnej Częstochowy po utracie ojca. Mówi jak człowiek dojrzały. Zdaje mi się, że „Śląsk" przywrócił jej blaski młodości. Podobnie Wiesia Bista, wspaniała solistka, wychowująca się dotąd w Domu Sierot odnalazła w gronie kolegów i koleżanek to wszystko, czego poskąpiła jej dotąd sieroca dola. A Tadeusz Kozielec? Miły chłopiec. Jeszcze do niedawna występował ze swą partnerką Marysią Kobiesówną w Powiatowym Domu Kultury w Bielsku. Dziś raduje się bardzo, że jest członkiem reprezentacyjnego Zespołu. Umie ocenić ten awans i wyważyć jego społeczny sens. Życie tych dwojga nie było zasłane kwiatami. Podziwiać należy upór tych młodych ludzi w przezwyciężaniu trudności. Sztuka w ich życiu stanowi poważny element, jest barwą i zapachem, smakiem i odczuciem jego głębokich treści.

Gdy z Krysią Oczko, pochodzącą spod beskidzkich Kęt rozmawiałem o folklorze, zadziwiła mnie jej „filozoficzna" dojrzałość. Patrzy ona na sztukę ludową okiem człowieka, który dobrze wyrozumiał jej społeczną wartość, jej znaczenie dla kształtowania oblicza człowieka przyszłości. Nie szkolarskie to myśli, nie wydukane, wyuczone proroctwa. Te myśli przeżyła, przetrawiła w licznych dyskusjach, wytorowane zostały wśród kolein twórczego namysłu.

Opowiadano mi jak młodzież „Śląska" przedzierała się przez twardzizny społecznego awansu, jak pracowała nad sobą, jak wzajemnie sobie pomagała w nauce. Są w „Śląsku" mło-

dzi chłopcy, którzy wprost z dna kopalń, z hal fabrycznych wywędrowali na swój słoneczny szlak. Są dziewczęta, które opuściły ciche wioski, pegerowskie pola, by w tańcu i piosence wyszumieć swojskość, by wyśpiewać całą radość swojego młodego życia, to wszystko, co wiąże się z pojęciem ludowości. Ale obok tej młodzieży do „Śląska" zawitała i inna. Są wśród niej młodzi ludzie, którzy przerwali wyższe studia, są maturzyści, studenci, młodzież pracująca na różnych stanowiskach: w urzędach, biurach, sklepach, magazynach. Zdradzili swoje warsztaty pracy, lecz była to zdrada najszlachetniejszego gatunku: zdrada dla sztuki.

WŁADYSŁAW MOST



Dwieście lat Wolfganga Amadeusza Mozarta.

(1756—1791)



Wolfgang Amadeusz Mozart

W roku bieżącym obchodzi cały świat kulturalny dwusetną rocznicę narodzin jednego z największych geniuszów muzycznych — Wolfganga Amadeusza (Bogumiła) Mozarta.

Mozart urodził się 27 stycznia 1756 w Salzburgu jako syn wybitnego kompozytora i pedagoga skrzypiec Leopolda Mozarta. Krótko żył Mozart, bo zaledwie 35 lat. Jak gwiazda zajaśniał on niezwykłym blaskiem swego wyjątkowego, o nienotowanym natężeniu talentu i szybko zgasnął, pozostawiwszy światu dzieła muzyczne, które swym czarem melodyki i głębią ludzkiego wyczucia posiadają niezniszczalne wartości. Mozart był cudownym dzieckiem i jako cudowny chłopiec święcił prawdziwe tryumfy. W wieku 4 lat próbuje kompozycji, w 5 roku po raz pierwszy występuje, a potem już razem ze swą siostrą koncertuje po wszystkich większych miastach Europy, obsypywany zaszczytami i uwielbieniem przez dwory panujące. Jako 10-letni chłopiec komponuje swoje pierwsze oratorium, po 12 roku swoją pierwszą operę, a jako 13-letni młodzieniec obejmuje stanowisko koncertmistrza u arcybiskupa salzburskiego. Włosi wystawiają opery tego chłopca, mianują go członkiem filharmonicznej akademii w Bolonii, papież obdarza orderem złotej ostrogi.

Lecz kiedy Mozart dojrzał i zaczął pisać swe najpiękniejsze i najgłębsze dzieła odwraca się od niego uśmiech fortuny. Jest zmuszony opuścić stanowisko u niemuzykalnego arcybiskupa w Salzburgu, przenosi się na stałe do Wiednia i prawie bezustannie walczy z nędzą. Wierny stolicy Austrii i rządom swej ojczyzny odtrąca nęcącą ofertę króla pruskiego i znosi oprócz trudności finansowych także niepowodzenia artystyczne. Jego opery „Wesele Figara" i „Flet zaczarowany" zostają początkowo zimno przyjęte we Wiedniu, za to w Pradze gorąco. Dlatego też dla Pragi pisze swego „Don Juana".

I oto jeden z największych geniuszów świata umiera na suchoty z wycieńczenia i nędzy, zadłużony i pogrzebany w wspólnym grobie dla ubogich. Ponieważ w czasie pogrzebu była niepogoda, przyjaciele odprowadzający go na cmentarz zawrócili z drogi, tak że nie było świadka jego pogrzebania. Pomnik Mozarta na cmentarzu wiedeńskim stoi nad pustym grobem.

Tak zeszedł ze świata geniusz muzyczny, któremu trudno postawić kogoś po boku.

Mozart tworzył z największą łatwością swe kompozycje muzyczne; doskonałe, wykończone płynęły bez-

ustannym strumieniem spod jego pióra. O ile Beethoven musiał każdą myśl muzyczną poddawać ciągłym poprawkom i poczyniać zmiany, to Mozart z łatwością tworzy arcydzieła jedno po drugim, z pomiędzy których chcemy wymienić choćby tylko kilka (prócz oper), a mianowicie: — symfonię C-dur (Jowisza), Es-dur, g-moll, Requiem, koncerty fortepianowe i skrzypcowe, kwartety smyczkowe, mała serenada nocna („Eine kleine Nachtmusik"), sonaty fortepianowe i fantazje itd. Nie było pola kompozycji, którego by Mozart nie wzbogacił swymi arcydziełami. Ryszard Wagner tak pisał o tym cudownym muzyku: „Więcej wzruszającego i wznioślejszego (a zarazem czystego) zjawiska nie zna żadna historia sztuki". A jeden z jego biografów mówi: „Muzyka pozostanie tak jak plastyka grecka i obrazy Rafaela — wiecznym, niezastąpionym wzorem, jak to, co duchowe może zostać wyrażone w czysto zmysłowym, to, co skończone — w skończonym". W Mozarcie ucieleśniło się klasyczne, skończone piękno melodyki włoskiej z głębią narodowego wyczucia, wstrząśniętego najdramatyczniejszymi przeżyciami i wtajemniczonego w najboleśniejsze ciosy tragizmu życiowego.

K. H.



Wład. Pasz: Aleja dębowa

JÓZEF ONDRUSZ

„Zolyty i wiesieli" na Śląsku Cieszyńskim w świetle powiarek ludowych

Nie ma na Śląsku Cieszyńskim jednego chociażby momentu w życiu człowieka, nie ma obrzędu, zjawiska, obiektu, przedmiotu martwego czy istoty żywej, związanych z życiem tego człowieka, z którymi nie łączyłyby się ciekawe przesądy ludowe, stworzone w przeciągu wielu stuleci przez twórczą fantazję naszych przodków.

Jednym z najbogatszych w te przesądy obrzędów ludu śląskiego — to wesele, poprzedzone przez niemniej bogate pod tym względem zaloty i narzeczeństwo.

Te wszystkie starodawne przesądy i praktyki prostego ludu, mające w odległych czasach niewątpliwie swój sens obrzędowy czy magiczny, błąkają się zaledwie w niedobitkach po chatach śląskich, z roku na rok idą w niepamięć, zanikają i wymierają. Fantazja ludu je tworzyła, tradycja przekazywała z pokolenia na pokolenie, przodkowie nasi kierowali się nimi w swym życiu, a nam przypadło w udziale już nie wierzyć w te przesądy, ale je skrzętnie pozbierać, ażeby nie uronić ani jednej z tych nielicznych okruszynek, jakie przetrwały jeszcze z tego ogromnego bochna starodawnego folkloru śląskiego.

I to właśnie jest celem niniejszej pracy.

* * *

„ZOLYTY"

Młodym ludziom żyjącym w jednej i tej samej wsi nadarzało się wiele sposobności do wzajemnego zapoznania się z sobą. A właściwie młodzież ta znała się już nawzajem z ławy szkolnej, widywała się często z sobą i spotykała w swej wsi przy wielu okazjach.

Pozamiejscowi nawiązywali z sobą znajomość przy okazjach „bardziej uroczystych"; były nimi zazwyczaj odpusty, targi, jarmarki czy zabawy taneczne, na które schodziła się młodzież i z dalszych okolic.

Dziewczęta po przekroczeniu osiemnastego roku życia zaczynały się na poważnie rozglądać za przyszłym mężem. Tę granicę wiekową ustaliło zresztą doświadczenie ludu i utrwaliła tradycja w przysłowiu śląskim: „Do szternostego roku czesz, do osiymnostego roku strzeż, a potym przipłoć kómu, żeby ci wzión diabła z dómu." Inne przysłowie twierdzi, iż z dziewczyną to tak jak z ciastem, że „jak dziywce minie osiymnost roków, to trzeba z nióm uciekać, jak z kołoczym do pieca" — (aby — jak dopowiadają niektórzy żartownisie — „dziywka sie nie przeruszała" lub co gorsza — ale tak już mówią złośliwcy — „nie skwaśniała i nie została na ocet").

Dziewczęta w tym wieku wielką wagę przypisywały białym plamkom pojawiającym się na ich paznokciach; kiedy mianowicie „zakwitnął paznokieć na małym palcu lewej lub prawej ręki, to taka szczęśliwa dziewczyna uważała to za nieomylny znak początku jej wielkiej miłości. Większość młodych dziewcząt zaczynała „poglóndać za synkami, bo sie im syncy podobajóm", zaczynała „zawracać synkóm głowy". Wśród takich zalotnych dziewcząt prym prowadziły posiadaczki „rzodkich zębów", bo one „strasznie rade cyganiły synków". Okazji do tego było sporo. Jedną z takich najczęstszych była wiejska zabawa taneczna — „muzyka". W wirze tanecznym najłatwiej zawiązywała się znajomość pomiędzy dwoma młodymi, znajomość, która z reguły doprowadzała do małżeństwa. Oczywiście, że spo-



śród sporej gromady dziewcząt największe wzięcie miały dobre tancerki. Nie dziwota więc, iż dziewczęta, wybierając się na zabawę, sypały do swego obuwia suche kłoski „tańculki" albo „trzynsulki", czyli drżączki (Briza media L.).

Wtedy każda taka zapobiegliwa tańczyła „jedna radość" i miała u „pachołków" powodzenie. Jeszcze większe powodzenie u chłopców zapewniało dziewczynom liście lubczyka lekarskiego (Levisticum officinale), zerwane, zaplecione do warkoczy i noszone w przeddzień Jana Chrzciciela (24 czerwca).

Po wzajemnym zapoznaniu się dwojga młodych następował okres budzenia miłości w cośkolwiek może obojętniejszym partnerze, bo nie zawsze u obu wybuchała miłość od pierwszego wejrzenia. Drogi do serca tego drugiego było trzeba szukać niejednokrotnie przy pomocy tradycyjnych praktyk, jakich sporo wytworzyła bujna fantazja ludu.

Najczęściej ułamano z miotły kominiarza „kąsek próntka", który niepostrzeżenie włożono „przy muzyce" swej sympatii do kieszeni. To zapewniało wzajemność w miłości.

Miłość kochanego chłopca zdobywała dziewczyna w ten sposób, iż swój własny włos owinęła koło jego guzika od surduta i zawiązała na węzeł. „Taki synek dycki już potym za niom głupnół."

Ażeby być kochanym przez swą sympatię, było się jej trzeba dotknąć rękami zanurzonymi poprzednio w soku bluszczu polnego (Hedera helix L.).

Gdy chłopiec chciał zdobyć wzajemność swej wybranki, musiał potajemnie zaszyć do jakiejkolwiek części jej odzieży korzeń kukułki (Orchis militaris L.). Wtedy dziewczyna wyszła za mąż tylko za niego.

Często szukano w lesie buka rosnącego tuż przy jodle. Z miejsca, w którym drzewa ocierały się o siebie podczas wiatru, zeskrobano trochę kory, spalono, a popiół potajemnie wsypano do piwa czy innego napoju tej osobie, której miłość chciało się pozyskać.

Do piwa lub wódki wlewały też dziewczęta swym chłopcom odwar wspomnianego już lubczyka lekarskiego, co wzbudzało w nich wielką i trwałą miłość.

W dawnych, dawnych czasach, kiedy wilki nie były u nas rzadkością, sporządzano pomadkę ze szpiku lewej nogi wilka z domieszką sproszkowanej gałązki cyprysu zwanego też „klosztornóm chojkóm" (Jeniperus sabina L.). Kiedy kochana osoba pomadkę tę powąchała, przywiązywała się do tej drugiej „aż do grobowej deski".

„Na Łucyje swobodne dziołchy dowały do wody gałązki trześni (Prunus avium), aby zakwitły." Która dziewczyna dała swemu chłopcu na jutrzni chociażby jeden taki kwiatek niespostrzeżenie do kieszeni, to do roku się pobrali.

Niektóre dziewczęta liczyły białe konie. Jednego i tego samego konia można było liczyć za każdym jego ponownym zobaczeniem. Gdy w ten sposób naliczyły 99 białych koni, starały się zobaczyć swego miłego, a wówczas każde ich w głębi serca skryte życzenie wkrótce się wypełniało. Liczenie białych koni trwało niekiedy nawet kilka miesięcy, trud jednakowoż się opłacał, bo życzeniem dziewcząt był przecie ślub z ukochanym.

W czarach dziewcząt wzbudzających w chłopcach uczucie miłości poczesne miejsce zajmowała również zielona żabka (Hyla arborea). Było ją trzeba złapać podczas przybywającego księżyca przed świętym Jerzym przez kawałek dotąd nie używanego płótna. Następnie był dziewczynie potrzebny gliniany garnek, z którego nikt jeszcze nie pił, ani w którym nikt jeszcze nie gotował. Do takiego garnka włożyła żywą zieloną żabkę, otwór garnka owinęła nowym, nie używanym płótnem, w którym zrobiła niewielką dziureczkę. Potem w południe dziewczyna poleciała z tym garnkiem do lasu i zagrzebała go w

mrowisku. W drodze do lasu i z powrotem nie wolno jej było z nikim przemówić. Po zagrzebaniu garnka dziewczyna zatkała sobie uszy, żeby nie słyszeć pisku żabki uwięzionej w garnku, bo to spowodowałoby nieuleczalną głuchotę dziewczyny. Po czterech tygodniach dziewczyna pobiegła znów do lasu i wygrzebała z mrowiska ów garnek, w którym znajdowały się już tylko dokładnie oczyszczone przez mrówki kostki żabki. Teraz wyszukała kostkę posiadającą kształt haczyka. Jeżeli nią dotkła swego ukochanego, to ten zakochał się w dziewczynie niezapamiętale. Na wszelki wypadek dziewczyna wyszukała sobie również kostkę posiadającą kształt widełek. Korzystała z niej w wypadku, gdy miłość chłopca już się jej sprzykrzyła. Wystarczyło go takimi widełkami dotknąć i pomyśleć: „Nie chcym cie już, nie chodź za mnóm!", a zapamiętanie miłosne chłopca prysło i dziewczyna mogła się rozejrzeć za innym.

„Pachołek" starał się często dziewczynę oczarować „przi muzyce". Potajemnie wykręcił chustkę przesiąkniętą potem do piwa, którego dał następnie popić swej sympatii. Gdy ona chłopca lubiła, to nie zważała na czary i piła z nim z jednego kufla. Gorzej było, gdy się jej „synek" nie podobał. Wtedy nie chciała pić pierwsza, żądając, żeby on pierwszy skosztował piwa. On oczywiście nie chciał swych czarów wypić i dochodziło do kłótni. Jeżeli jeszcze na zabawie znajdował się jakiś cichy wielbiciel owej dziewczyny, to kłótnia taka kończyła się zwykle bijatyką pomiędzy tamtym pierwszym natrętem i owym drugim obrońcą.

Nawiązanie znajomości pomiędzy dwojga młodymi ludźmi nazywano „namówinami", zaś ich wzajemny stosunek do siebie określano powszechnie zwrotem „óni sie majóm ku sobie".

Odtąd w życiu młodych rozpoczynał się okres „zolyt", niedługo po ujawnieniu przez chłopca dziewczynie jego poważnych zamiarów przechodzący w okres „galaniynio".

Na zolyty zjawił się pachołek pierwszy raz w Poniedziałek Wielkanocny. Wcześnie rano przyszedł do swej miłej „po śmierguście", od której za „wyśmiergustowani" otrzymał kawał „szołdry" zwanej też „murzynem" (jest to zapiekane w białym cieście wędzone mięso lub kiełbasa) oraz kilka „malowanych wajuszek". Potem powracał do domu. Z pierwszą oficjalną „nowiydzkóm" przyszedł dopiero po południu. Moment ten był w domu dziewczyny ważnym wydarzeniem, nic więc dziwnego, że tradycja ludowa związała z nim niejedną ciekawą powiarkę.

Jak tylko pachołek przyszedł do domu, to matka dziewczyny poszła zaraz do komory i tam mocnym sznurkiem związała łopatę do pieczenia chleba i „ciosk z maśniczki". Przedmioty te pozostawiła związane tak długo, aż się młodzi pobrali. Rozwiązała je dopiero po weselu.

„Zolytnika" ugoszczono, bo tak nakazywała tradycyjna gościnność śląska. Wystrzegano się jednak pewnych potraw, których podanie spowodowałoby później zerwanie narzeczeństwa.

Do takich zakazanych dań należał ser, „bo by sie wiesieli rozkruszyło jak syr" lub „wajeczyna", która spowodowałały, że do wesela by nie doszło.

W niektórych okolicach podanie zolytnikowi sera z masłem oznaczało wręcz odmowę; był to niewątpliwy znak, że „z tej mąki kołoczy nie bydzie", i że w ogóle szkoda drugi raz przychodzić. Nie wolno było również dziewczynie poczęstować kawalera papierosami, bo „jakby mu dała co zakurzić, to by sie galaństwo też rozkurziło".

Na zolyty można było przychodzić we wszystkie dni tygodnia z wyjątkiem piątku, „bo w pióntki chodzóm usmarkani". Również sobota była takim dniem „zakazanym"; a dlaczego — o tym informuje nas fragment jednej rubasznej śląskiej pieśni ludodowej: „Nie chodź mi tu w sobote, bo

móm pilnóm robote!" Za to w niedzielę po południu były odwiedziny chłopca nie tylko mile widziane, ale i niecierpliwie wyczekiwane.

Oczywiście, że i „galan" z niecierpliwością wypatrywał niedzieli, tym więcej, że dziewczęta miały nawet sposoby na spotęgowanie w swym ukochanym uczucia tęsknoty. Zwykle po zachodzie słońca sypały na rozżarzony węgiel po trosze mirry i mówiły: „Abyś nimóg być beze mnie, jak jo nimogym być bez ciebie."

Ogół o takich dwojga mówił, że „chodzą społym", że „ón ku ni chodzi", że „mówióm ze sebóm", jednym słowem, że „óni sie galanióm".

Poważne zamiary dwojga kochających się młodych ludzi starali się często pokrzyżować źli ludzie. Dawniej posądzano o to przede wszystkim „czarownice", które różnymi sposobami zdążały do rozbicia narzeczeństwa. Można się jednak było zabezpieczyć przed ich czarami. Młodym wystarczyło nosić stale przy sobie „kozłowe ziele" (Valeriana), które paraliżowało szkodzenie czarownicy.

Szczęście w miłości zapewniały również kości bociana noszone zawsze i wszędzie przez narzeczonych.

O stałości swych uczuć młodzi mogli się nawzajem przekonać.

Jeżeli jeden drugiemu kciukiem oraz palcem serdecznym objął rękę w przegubie, to był to nieomylny znak, że „jedyn mo rod drugigo".

Dziewczyna zerwała „wolski oko" (w Marklowicach Dolnych — złocień — Chrysanthemum segetum L.) albo „byczy oczy" (w Suchej Średniej — kaczyniec — Caltha palustris L.) i powiedziała po cichu: „Mój galan mie nosi . . ." — po czym zrywała po jednym płatku i za każdym mówiła: „. . . w myśli, w głowie, w sercu, w rz . . .". Najlepiej było, gdy na wynik wyszło serce, zaś o ostatniej możliwości szkoda nawet wspominać.

W podobny sposób dziewczyna wróżyła sobie swój przyszły los, obrywając po jednym płatki stokrótki (Bellis perennis L.) i mówiąc: „Kocha, lubi, szanuje, nie dba, nie chce, żartuje, oświadczyny, zarynczyny, ślub, staro panna, zakónnica, grób."

„Kiedy synek mioł rod dziołche", to jej w ostatnim dniu kwietnia, późną nocą postawił albo zasadził przed chałupą „moja".

„Tam, kaj stoji piyrszy moj,
tam je dziywka na wydoj" —

mówili ludzie we wsi, ale byli również tacy złośliwcy, którzy twierdzili, że „kaj sóm maje, tam sóm szmaje".

„Moj" sporządzony był z długiej na kilkanaście metrów żerdzi (ołupanej z kory) oraz zielonego „mojiczka", czyli niedużej jodełki przystrojonej w białe piórka i białe wstążki z papieru.

Chłopiec musiał potem takiego „moja" pilnować, bo inni wiejscy „wybijokna" starali się go ukraść i zanieść innej dziewczynie. Strata „moja" nie wróżyła dziewczynie nic dobrego. Jeszcze gorzej było, kiedy jakiś złośliwiec zakradł się do „moja" i przewiercił żerdź na wylot lub ją przebił gwoździem. Wróżyło to dziewczynie na nieślubne dziecko. „Nikiedy syncy zrobili dziołsze na paszliwość i zamiast moja postawili ji straszoka albo zamiast mojiczka powiesili na żerdzi stare galaty." Ta okrutna wzgarda w razie wykrycia sprawców kończyła się często nawet w sądzie.

„Galan" ofiarował swej nadobnej z okazji jej urodzin czy imienin jakiś podarunek. W żadnym wypadku nie powinien był jej dać takich upominków, jak krzyżyka na szyję, bo „dziołcha miałaby przi nim cały żywot krziż" albo „brożki i czegosi co dziubie, bo sie hneda ze sobóm podziubióm (pokłócą) i rozyńdóm".

Nieraz się zdarzyło, iż pomiędzy narzeczonymi doszło do nieporozumień i rozłąki, chociaż brożka nie była tego powodem. Po prostu „zjedli se cosi między sobóm i już tu były fuki, i jedyn boczył sie na drugigo". Żeby odzyskać serce kochanka, dziewczyna przez trzy pełnie księżyca nosiła na prawym ramieniu

zaszyty „nawrotnik" (przywrotnik pospolity — Alchemilla vulgaris), którego siła spowodowała nawrócenie się kochanka do opuszczonej dziewczyny.

W razie długotrwałej oziębłości kochanego dziewczyna uciekała się do wróżby. Urwała gdzieś na łące sześć mietlic (Agrostis), potem je ścisła w ręce i z zamkniętymi oczyma wiązała zawsze dwa źdźbła z sobą. Podobnie związała źdźbła przy samym wierzchołku. Jeżeli po związaniu źdźbła utworzyły wianek, to galan na pewno nawrócił się do dziewczyny i „na isto sie zebrali"; jeżeli się tak nie stało, to potem „było sie już trzeba z galanym przeżegnać".

Niejedna zdradzona kochanka umiała się zemścić na fałszywym chłopcu za wyrządzoną jej krzywdę. Postarała się o przestęp (Bryonia alba), korzeń znany z praktyk czarownic i smażyła go ze słoniną, do której najpierw wepchnęła siedem nowych igieł. Podczas smażenia chłopak odczuwał okropne bóle na całym ciele. Gdy dziewczyna przerwała smażenie, chłopcu natychmiast ulżało.

Fałszywe kochanki, które bez powodu i tylko dla własnego widzimisię porzuciły kochanka, musiały swą zdradę odpokutować po śmierci. Szczególnie górale opowiadają o takich pokutujących „helach". Ich zdaniem pokutnica taka tułała się po groniach i śpiewała, nigdy nie kończąc, znaną pieśń pasterską:

„Helo, helo, helo, jako ci sie pasie?
Mie sie dobrze pasie, a tobie jak zasie?..."

Rębacze leśni, ledwie tylko posłyszeli ową pieśń pokutującej „heli", nakrywali twarz łubami, bo hela, jeżeli głowy nie widziała, nie miała do człowieka prawa. Owczarz, chcąc się przed nią zabezpieczyć, musiał na sobie poprzebierać wszystko na ręby.



Mamamaciej i Jura na Święcie Góralskim w Jabłonkowie w r. 1955

„WIESIELI"

Ustalenie terminu wesela nie było sprawą łatwą. Tradycja ludowa ustaliła pewne jak gdyby zasady, których koniecznie należy przestrzegać, ażeby małżeństwo było szczęśliwe. „Wiesielo nimo sie robić w moju, bo sie potym kierysi z nowożyńców roznimoże na lónzok i umrze". Ostrzeżenie to weszło nawet w przysłowie występujące na terenie Śląska Cieszyńskiego w kilku wariantach: „Ślub w moju — do roka pogrzyb" (Marklowice Dolne), „Ślub mojowy —grób gotowy" (Darków, Śmiłowice), „Mojowy ślub — gotowy grób" (Sucha Górna). Miesiąc maj był więc uważany za miesiąc feralny prawie na całym Śląsku Cieszyńskim. Tylko Kamienity (Łomna Dolna) stanowi tu wyjątek. Gaździnki tamtejsze właśnie zalecają

odbycie wesela w maju, „bo sie na świecie wszystko rozwijo i to wróży młodym szczęści”. W niektórych okolicach radzą urządzać wesele przed zimą, „bo sie młodzi ku sobie prziciskajóm”.

W ustaleniu daty ślubu kierowano się jeszcze dalszymi powiarkami. „Wiesieli sie mo robić, jak miesiónczek idzie do góry, aby w chałupie młodych nie było szwobów.” „Wiesieli najlepszy robić, jak miesiónczka przibywo, to młodzi bydóm mieli dostatek, to bydóm mieli wszystkigo dość.” „Wiesieli robić jyny na pełni, żeby młodzi mieli wszystkigo pełno.”

Kiedy narzeczeni wspólnie ze swymi rodzicami ustalili termin ślubu, „było trzeba dać wywołać ogłoszki”. Ogłoszki, czyli zapowiedzi ogłaszano w kościele przez trzy niedziele z rzędu, w czasie których młodzi zazwyczaj na nabożeństwa nie chodzili, bo by ich pożycie małżeńskie nie było szczęśliwe. „Młodzi nimajóm swoich ogłoszek słyszeć i zbyte!” W niektórych okolicach opuszczano tylko pierwszą zapowiedź, bo znające się na tradycji ludowej kobiety twierdziły, że „młodzi w drugóm ogłoszke mogóm już iść do kościoła.”

Bardzo rzadko wprawdzie, ale zdarzały się wypadki, że wskutek jakiegoś nieszczęścia lub niespodziewanej choroby zmarła dziewczyna w okresie, „jak ji wołali ogłoszki”. Po śmierci taka nieszczęśliwa zamieniała się w nocznicę. Lud wyobrażał sobie nocznice, jako silnie zbudowane, o długich włosach dziewczyny. Tułały się one nocami po świecie. Kiedy napotkały pachołka, od razu porywały go w taniec i tak długo z nim wywijały, że ten zdarł nogi do kolan i z takiego tańca umierał.

Po wywołaniu wszystkich trzech zapowiedzi, czyli jak mówią na Śląsku Cieszyńskim — „kiedy młodzi spadli z kazalnice” — następował najbardziej uroczysty moment w życiu młodych ludzi — wesele.

Samo „wiesieli” poprzedzał długi okres przygotowań przedweselnych. Matka młoduchy szykowała córce „wybawe” — na którą składały się zazwyczaj dwie pierzyny i cztery „zogłowki”, czyli poduszki. „Chowała” również sporo sztuk drobiu, aby „wiesielników” było czym ugościć. Również i młoducha, czyli panna młoda, miała niemało przedweselnych kłopotów, z których najpoważniejszym było „uszyci ślubnych szot”. Przecie na ślub „przilecóm ludzie na wyblyszczki, to trzeba mieć wszystko piekne”, to też szwaczka musiała być prawdziwą mistrzynią, żeby dogodzić wszystkim zachciankom młoduchy.

Ślubne szaty musiały być wygodne i „przestrónne”, żeby niewiasta miała się zawsze dobrze i żeby miała przestronne i wygodne mieszkanie.

Również buty do ślubu musiały być wygodne. „Kierego z żynichów bóty uciskały przi ślubie, tego potym cały żywot uciskoł.”

Kiedy szwaczka podczas szycia sukni ślubnej ukłuła się niechcący w palec, że wyszła krew, to młoducha potem w owej sukni „strasznie sie wszystkim podobała”.

Suknia ślubna była często również przedmiotem czarodziejskich praktyk. Wierzono, że jeśli szwaczka zaszyje „w obrymbie ślubnych szot” włos którejś swobodnej dziewczyny, to w przeciągu roku na pewno ta dziewczyna wyjdzie za mąż.

Na kilka dni przed weselem pieczono w domu młoduchy kołacze. Kołacze były przecie potrzebne na gościnę weselną, a prócz tego było trzeba obdarować nimi sąsiadów, znajomych i krewnych. „Przed wiesielym matka niewiasty nimo być łakómo, ale mo dać sómsiadóm aspóń kołocza na skosztowani, aby młodzi mieli dycki dość wszystkigo i aby ich wszyscy pieknie spóminali.” Do pieczenia kołaczy matka młoduchy zapraszała kilka chętnych pomocnic ze sąsiedztwa lub krewniaczek, którymi kierowała kucharka. Młoducha nie powinna była pomagać przy pieczeniu kołaczy, „bo by była dycki zmazano”. Zazwyczaj jednak młoducha zapominała o tej przestrodze i pomagała, gdzie było trzeba, wystrzegając się

jednak smarowania kołaczy jajkiem lub masłem, bo by miała usmarkane dzieci. Również nie wolno jej było robić z mięsem, bo by niedobrze żyła z mężem.

Wiele uwagi poświęcano pierwszemu kołaczowi. Jeżeli ów kołacz był naprawdę „pierwszy", to znaczy, że był pierwszy nabierany, pierwszy zawijany, pierwszy wsadzany do pieca i pierwszy wydobyty stamtąd, to kiedy go zjadła swobodna dziewczyna, na pewno w przeciągu roku wyszła za mąż. Ażeby nie doszło do ewentualnej pomyłki, dlatego do owego pierwszego kołacza dawano i ser, i mak, i powidła, a dla pewności oznaczano go kołeczkiem. Taka szczęśliwa dziewczyna, z góry już przez kobiety upatrzona i zwykle biorąca udział w pieczeniu kołaczy, zasiadała na krześle i uroczyście zjadała ów pierwszy kołacz, słuchając życzliwych pogwarek obecnych kobiet i marząc na pewno o swym przyszłym mężu, którego szczęśliwym zrządzeniem losu i dzięki sile czarodziejskiej owego pierwszego kołacza w przeciągu najbliższego roku otrzyma.

W przeddzień wesela młoducha „chodziła po sómsiadach, przocielach i znajómych z kołoczami". Obdarowani odwzajemniali się młodusze zazwyczaj jakimś upominkiem.

Dzień weselny był w życiu młodej pary pewnego rodzaju kamieniem granicznym, oddzielającym etap „swobodziczki" od życia pełnego obowiązków i nieraz wielkich kłopotów małżeńskich. Już sama pogoda panująca w tym dniu była zapowiedzią atmosfery tego rozpoczynającego się pożycia małżeńskiego. Kiedy dopisała słoneczna pogoda, to młodzi byli zadowoleni, ponieważ słońce, czyste niebo i spokój w przyrodzie wróżyły spokojne i pogodne życie małżeńskie. Gorzej było, jeżeli padał deszcz, a już zupełnie źle, kiedy w dniu wesela rozszalała się burza. „Jak we wiesieli padze, to nowożeńcy bydóm źle ze sobóm żyli" — twierdzono w Śmiłowicach, przysądzając równocześnie winę za niepogodę samej pannie młodej, która to deszczowe nieszczęście ściągnęła sama na siebie; wierzono bowiem, że „kierej dziywce we wiesieli padze, to tako musiała za swobody oblizować rogule". Gdzie indziej jednak (np. Kamienity, Sucha) deszcz był zapowiedzią przyszłego dostatku, bo tradycja miejscowa twierdziła, że „kómu w wiesieli padze, tyn bydzie bogaty. Wiela kropli — tela dukatów". „Jak we wiesieli przez pół dnia wieje wiatr, to jedyn z młodych bydzie fuczoł", tzn. będzie nieraz gderał z niezadowolenia, a „jak wieje wiater przez cały dziyń, to bydóm fuczeć obadwa". Burza w przyrodzie zapowiadała często burze w pożyciu małżeńskim, bo „jak we wiesieli grzmi, to bydóm dóma burze".

Panna młoda powinna w dniu wesela wstać jak najwcześniej rano, „aby była dycki wczaśno i czyrstwo".

Zaraz po śniadaniu do domu młoduchy przychodziły „drużki", które sporządzały „wióneczki" do ślubu. Kiedyś bowiem pierścienie były nieznane; ślub brano na owe wióneczki. „To sie musiało ogióńć próntek ze słodki jabłónie, aby był żywot słodki, a próntek owinóć zielónym jedwobiym." Gdzieniegdzie wióneczek sporządzała dla siebie i żynicha sama młoducha.

Później wżył się u nas powoli zwyczaj brania ślubu na pierścienie metalowe — srebrne lub złote — do których jednak lud wiejski nie miał jakoś zaufania. Ślad tej nieufności przetrwał do dziś dnia w powiarce, że „kiedy niewiasta idzie do ślubu, to nimo mieć na ręce żodnego pierścionka, bo by miała potym ciężki poród".

Drużki pomagają również ubrać się młodusze do ślubu. W niektórych okolicach ściśle przestrzegano, żeby młoducha nie wzięła na siebie do ślubu czegoś wypożyczonego, ponieważ stale prześladowałaby ją bieda. Gdzie indziej znowu młoduchy naumyślnie wypożyczały sobie do ślubu jakiejś części garderoby, bo „potym, jak nie bydzie kiedy czego miała, to ji dycki ludzie pojczajóm".

Podczas ubierania się młoducha pamiętała o pewnych drobiazgach, które tradycja ludowa nakazywała jej zabrać do ślubu. Jeżeli za roznoszone przed weselem kołacze otrzymała od kogoś zamiast podarunku pieniądze, to powinna była wziąć przynajmniej jeden pieniążek z sobą, „bo sie ji bydóm pinióndze dzierżeć przez cały żywot”. Oprócz pieniążka musiała również zabrać kawałeczek chleba, ażeby go zawsze miała pod dostatkiem. Na szyi zawiesiła kilka jedwabnych nici, ażeby miała zawsze „jedwobny żywot”. Ażeby jej życie małżeńskie było zawsze słodkie, musiała zabrać także kostkę cukru.

Ubrana do ślubu młoducha musiała pozostać na jednym miejscu. Drużki przynosiły jej krzesło i nie pozwoliły chodzić młodusze po pokoju z miejsca na miejsce, „bo by sie potym musiała fórt przekludzać”. „Drużki, które już też były na wydoj, pilnowały, kiedy młoducha stanie ze stołka. Bo kiero swobodno dziołcha ciapła hónym na tyn stołek, jeszcze na ciepłe miejsce, ta sie do roku wydała.”

„Po wystrojyniu młoduchy drużki wyglóndały żynicha.” Żynichowi nie wolno było jechać do młoduchy prawie w południe. „Gdyby żynichowi na ceście zadzwóniło połednie, to by mu też wartko oddzwónili na dobrze” (pogrzeb).

Drużki alarmowały młoduchę o przyjeździe żynicha. Momentu tego nie wolno jej było przegapić. Młoducha musiała przecie pierwsza zobaczyć żynicha, jemu zaś nie wolno było jej dostrzec. Młoducha zwykle „zazyzowała na swojigo roztomiłego” przez okienko komórki lub choćby przez jakąś szparkę. Zapewniało jej to, że przez całe życie tylko ona, i to zawsze pierwsza, będzie nań patrzała i że go zawsze będzie miała na oku. „Młoducha poukryjómku pogroziła też żynichowi warzechóm, aby dycki miała nad nim przewage.”

Po długich żartobliwych przemówieniach i przekomarzaniach starostów żynich nareszcie zobaczył się z niewiastą. Kiedy otrzymał od niej „wóniónczke” uwitą z trzech gałązek mirtu, oznaczających wiarę, nadzieję i miłość, powinien był tę wóniączkę pocałować i potrzeć się nią po twarzy, ażeby być już na zawsze szczęśliwym w małżeństwie. Za otrzymaną wóniónczkę żynich składał na talerz jakiś „większy pinióndz”. Pieniądze te powinna była młoducha schować i „kupić za nie cosi do gospodarki, aby sie im gospodarka dycki darziła”.

Przed wyjazdem do ślubu „żyniszy” prosili rodziców o błogosławieństwo. Do błogosławieństwa musieli przyklęknąć w ten sposób, żeby byli zwróceni twarzami do środka izby. „Gdyby sie dziwali ku dwiyrzóm, to by sie za niedługo rozeszli”.

Po odbyciu wszystkich przedślubnych ceremonii domowych wsiadano do „kolos” i ruszano do ślubu.

Przy wsiadaniu do kolasy młoducha uważała, ażeby nie rozerwać ślubnej sukni, „bo by sie miała źle przy chłopie”. Zwracała również uwagę na to, ażeby nie wsiąść do kolasy, w zaprzęgu której znajdował się biały koń. Wróżyło to bowiem przedwczesną śmierć tego z młodych, który siedział po stronie białego konia.

Bliską śmierć któregoś z młodych wróżył również pogrzeb spotkany przez orszak weselny w drodze do ślubu. W najkrótszym czasie umierał ponoć ten z młodych, jakiego rodzaju był nieboszczyk; kiedy miała pogrzeb kobieta — umierała młoducha, kiedy mężczyzna — wtedy żynich w żaden sposób nie wycyganił się bliskiej śmierci.

Takie samo nieszczęście sprowadzał na nowożeńców nieboszczyk leżący w dniu ślubu na marach w którymś domu w tej samej wsi.

Pomyślną wróżbą było spotkanie przez orszak weselny „krztu”. Młodzi w takim wypadku bardzo się cieszyli, bo spotkanie to zapowiadało, że „bydóm mieli szczęści na dziecka”.

Również spotkanie się z piekarzem wróżyło młodym szczęście i dostatek w małżeństwie.

Spotkanie się orszaku weselnego z

furą drzewa przepowiadało młodym zdrowie w małżeństwie, zaś spotkanie z furą gnoju sprowadzało na nich stałe nieszczęścia.

Kiedy orszak weselny kroczył do ołtarza, to młoducha miała się dotknąć „pilyrza", czyli kolumny podpierającej pawłacze. Jeżeli tak uczyniła, miała pewność, że chłop nie będzie jej bijał.

Który z nowożeńców przyklęknął przed ołtarzem pierwszy, ten już przez całe życie był uległy temu drugiemu.

Kiedy już obydwaj młodzi klęczeli przed ołtarzem, to „młoducha miała sie ciść na żynicha, aby troche ustąpił, co by też potym w życiu ustępowoł". Miała też „prziklynknóć żynichowi nogawice, aby go miała dycki pod pantoflym". Młodzi przed ołtarzem mieli się przyciskać do siebie; „nie śmiało być między nimi szpary, aby sie nie rozeszli".

Jeżeli podczas ślubu świece na ołtarzu mrugały, był to znak, że ten z młodych, który klęczał po stronie mrugających świec, był gorszy. Gorzej było, jeżeli świeca na ołtarzu zgasła. Oznaczało to rychłą śmierć tego, po której stronie tak się stało.

Kiedy po ślubie szli młodzi „na ofiare", to młoducha pociągnęła drużkę i inne swobodne dziewczyny za fartuch lub za rękę, ażeby i one w przeciągu roku wyszły za mąż. Zwyczaj ten dochował się do czasów dzisiejszych. Swobodne dziewczyny, pragnące w jak najkrótszym czasie wyjść za mąż, przystawają zwykle podczas ślubu w pobliżu kruchty, „aby choć gabnóć młodusze na welón", kiedy młodzi idą na ofiarę. „Swobodno dziołcha wydo sie też naisto wtedy, jeśli w dzień ślubu urwie młodusze kąsek merty."

Również za ołtarzem żynich „sóm od siebie" powinien był dać młodusze pieniądze na ofiarę. Według wierzenia ludu był to ważny moment. Kiedy tak żynich uczynił, to już potem zawsze bez sprzeciwu oddawał żonie wszystkie wypłaty. Gdy jej pieniędzy nie dał lub ona musiała się o to sama upomnieć, to i w pożyciu małżeńskim tak już pozostało.

„Gdo po ślubie piyrszy z nowożyńców przemówił, tyn już potym przez cały żywot po każdej zwadzie doł dycki piyrsze słowo do zgody, tyn dycki był ustępliwy."

Często młodzi byli uparci, bo każdy z nich chciał, żeby ten drugi odezwał się pierwszy. I nieraz się zdarzało, że młodzi po powrocie od ślubu, w drodze do domu, a nawet podczas biesiady weselnej uparcie milczeli. Taki obustronny upór doprowadzał zwykle do pierwszej małżeńskiej zwady, która nie wróżyła nic dobrego, „bo jak sie młodzi we wiesieli powadzili ze sobóm, to sie już potym wadzili cały żywot".

Wracające od ślubu młode małżeństwo tradycyjnym zwyczajem witano chlebem, solą i cukrem. Wychodziło im naprzeciw małe dziecko niosące na talerzu chleb oznajmiający dostatek, sól, która zapewniała, że gospodarka będzie się młodym dycki darziła" oraz cukier będący symbolem słodkiego życia małżeńskiego. Na Kamienitym (Łomna Dolna) częstują jeszcze nowożeńców mlekiem, „aby w całym życiu mieli mlyka do wóle".

Próg domu powinna przekroczyć pierwsza niewiasta, ponieważ ona przynosi ze sobą szczęście.

Przy stole weselnym wyznaczono młodym specjalne miejsce. Sadzano ich zwykle w środku stołu tuż przy oknie, na którym bez wiedzy młodych zawieszano pantofel. Który z nowożeńców usiadł za stołem pod owym pantoflem, ten już „cały żywot był pod pantoflem".

„Na wiesielowej gościnie musiało być dość wszystkigo, aby młodzi mieli dostatek." Skromna gościna zapowiadała biedę w domu młodego małżeństwa. Rodzice młoduchy za wszelką cenę starali się „zrobić cerze bogate wiesieli", bo zdawali sobie doskonale sprawę z tego, że „krzciny, wiesieli i pogrzyb" są na wsi najdłużej i najzjadliwiej obgadywane. Często było słychać takie powiedzenie: „Ujeść, to my sie tam nie ujedli, ani upić my

sie nie upili, ale uśmioć, to my sie tak uśmioli, że nas wszystkich ze dwa tydnie pyszczyska bolały." Jeżeli obaj młodzi mieli biednych rodziców lub byli sierotami, to zapożyczali się nawet, żeby tylko mieć bogate wesele.

Ciekawe wspomnienia o weselu znajdujemy w „Żywych tekstach" — Zwrot, nr 62, str. 10: „Dłógo my sie nie namowiali, trzi tydnie to trwało. Wiesieli my mieli szumne, z muzykóm. Do kościoła my szli pieszo, też z muzykóm. To był jedyn dziyń uciechy, a piyńdziesiónt roków biydy. Wiesieli nas kosztowało sto piyńć ryńskich, kiere my potym musieli cały rok wypłocać."

Młodożeńcy powinni byli jeść wspólnie z jednego talerza, „aby sie dycki ze wszystkim dzielili". Podczas gościny weselnej musieli siedzieć przy sobie do samego wieczora, ażeby i w życiu małżeńskim jeden nie odchodził drugiego.

Kiedy żynich albo niewiasta coś przy stole rozlali, to wróżyło im to rychłe chrzciny.

Jeżeli podczas biesiady weselnej rozbił ktoś nieumyślnie jakieś naczynie, „to młodzi mieli potym szczyńści".

Ciekawym obrządkiem weselnym były czepiny. Przed włożeniem czepca na głowę młoduchy musiała któraś z kobiet zabrać niepostrzeżenie kapelusz żynicha i przynieść go do komórki, gdzie odbywało się czepienie. Tam kobiety do owego kapelusza wkładały wianek i czepek młoduchy na znak, że mąż musi przez całe życie nosić na swej głowie wszystkie kłopoty i troski swej żony.

W czasach dzisiejszych, kiedy młode pokolenie kobiet nawet w okolicach podgórskich coraz częściej zarzuca strój śląski i czepców już nie nosi, do kapelusza żynicha wkładają welon młoduchy i przez to zdawają na głowę męża „wszystki starości jego młodej babeczki".

Czepiec musiała włożyć młodusze na głowę któras z młodych mężatek, ażeby młoducha pozostała zawsze młoda. Gdyby to uczyniła stara kobieta, to młoducha szybko by się postarzała.

Po czepinach do młodej mężatki przysiadły dwie inne kobiety. Wszystkie trzy nakryto kocem lub „hacką", a następnie przywołano żynicha, który musiał wskazać swą żonę. Jeżeli odgadł zaraz za pierwszym razem, to wróżyło to na szczęśliwe pożycie małżeńskie; jeżeli tak nie było, wtedy kobiety zapowiadały młodej żonce, że jej małżonek „bydzie poglóndoł za drugimi".

Cały obrząd czepienia kończono żartobliwą przyśpiewką:

„Wylazła, wylazła spod nolypy żaba,
już sie z tej dziywczyny, już sie stała baba."

W następnym dniu po weselu odprawiano „poprowki". Kiedy goście zbierali się na obiad, a kogoś jeszcze nie było, wtedy starostowie na ochotnika brali tragacz i jechali po takiego niepunktualnego gościa. Dużo było przy tym śmiechu i przekomarzania.

Po weselu młoducha przeprowadzała się do domu swego męża. Z faktem tym związana była niejedna ciekawa powiarka.

„Jak młoducha odchodziła z dómu ku żynichowi, miała przez haszpe przi dwiyrzach ojcowskiego dómu przeciągnóć kąsek chleba i zjeść, aby nie tęskniła."

Po przybyciu do nowego domu powinna była niewiasta przekroczyć próg prawą nogą, ażeby miała w tym domu zawsze szczęście i górę nad wszystkimi.

Kiedy młoducha weszła do kuchni, było jej trzeba posypać nogi popiołym, ażeby stale trzymała się domu i nie uciekała od męża.

Młodym małżonkom nie wolno było rozpoczynać swej gospodarki od „chowanio kur", bo by one zaroz wszystko rozgrzebały, a młoducha stałaby się wkrótce „zakwuczanóm babóm". „Lepszy było zacząć od czegosi w kudłach, baji od królików albo od kozy, to sie gospodarka darziła."

Po przeprowadzeniu się młodej

małżonki do domu męża następowało codzienne życie małżeńskie, pełne trosk i kłopotów. Często kobiety zamężne wzdychały później:

„Gdybych jo to, gdybych jo to wiedziała,
nie byłabych sie jo nigdy wydała.
Byłabych se jo swobodno, mój Boże,
gdóż mi teraz, biydnej stworze, pómoże!"

Mężowie w takich wypadkach z uśmiechem dopowiadali:

„Jeszcze nigdy nie płakała, co sie wydała, jyny ta, co zustała."

JÓZEF ONDRUSZ



Gustaw Fierla — Ondraszek

JAN TACINA Rysunki Józefa Klimka

Zbior tańców ludowych Śląska Cieszyńskiego

Śląsk Cieszyński z obydwu stronami granicy politycznej zalicza się do krain najbardziej bogatych w taniec ludowy. Taniec ten idzie już dzisiaj w zapomnienie, gdyż wyszedł już całkiem z użycia, wyparty przez tańce miejskie. Zachowuje się jeszcze w pamięci nielicznych jednostek najstarszego pokolenia, dzięki którym w ciągu kilku lat poszukiwań zdołałem utrwalić w zapisach melodie taneczne i opisy ruchów tanecznych. Zbiór tańców cieszyńskich obejmuje imponującą liczbę około 500 melodii, z których przeszło 100 posiada własne ruchy taneczne.

Tańce ludowe cieszyńskie jako całość podzielić można na cztery działy: 1) tańce jednej pary, 2) tańce zespołowe, 3) tańce naśladujące i 4) zabawy.

Tańce jednej pary

Tańce jednej pary pod względem rytmu muzycznego można podzielić na dwie grupy: a) dwumiarowe i b) trójmiarowe.

a) dwumiarowe

Należą tu tańce, posiadające swoje nazwy: grożony (Szła Marysia na wodę), kośkany (Owczorzyczek nasz), diobołek (Ni mogym cie chcieć), kapusta (Zasiołech kapustym u chodnika), godziniorz (Miałach jo galana godziniorza), fazol, różyczka, hólan (Miała baba hólana), szpacyrpolka dobry taniec, bąk, rozpuszczany lender, stowano polka, gąsior, gąsiorek, fazan, lender, kroczek, sierotka (Niedaleko jeziora), kozok, świniorz (Ty świniorzu świński), zbójnik (Tańcowołbych dybych móg), grabowy (Kto pije labuje), siedmiokroczek (Żonko moja), siedmiokroczek (Jak jo chodził do szkoły), holka, szotmadziar, szustany (Szustu, szustu po tej ziymi), szołtyska, kokietka, kołomajki, kohótek (Po czym staro babo), kuczniyrz, maształka (Koło naszi maształki), czardasz.

Tańce nie posiadające swojej nazwy określane są początkowymi słowami tekstu śpiewanego: Jeśli mnie ty chcesz, Ile mamy szczęścia w świecie, Kiedy jo był mały chłapiec, Prała plenki u studzienki, Hejże chłopcy co robicie, Jo do lasa nie pojadę, Pasła Andzia pawy, Coch jo sie tam nachodził, Kiedy jo szeł przez tyn lasek, Odpadła mi szabliczka, Pognała wołki, A nie ta ptaszyna, Za naszą stodołą, Leci wróna.

Z wielkiej liczby melodii polkowych niektóre posiadają swoje nazwy: dudy, klepek, prawo lewo, jałowieczek, owczarski (Poszła dziewka), smyk (Mama łają tata łają, W tym cieszyńskim zamku, Ej dziewczyno źleś mi legła i inne), galop (Ty dziewucho nie smuć się i inne), madziar, dróciorz, margarica, tramer, tragacz, wojeński (Ja na wojnę z wojny do dom), galop, szybka polka, polka wekslowana, psik, polka szewska, koselca, szybka polka, krenolina, żniwiarska (Hola że hola), w lewo (W Jabłonkowie pod rotuzym), cygón, kalina.

Inne melodie polkowe określane są początkowymi słowami tekstu: Chociaż ja jest chłopski syn, Czyje to poleczko nie orane, Ej żal mi jest żal, Dała sobie suknie szyć, Ja do lasa nie pojadę, Myśmy chłopcy myśmy, Na tej naszej zagrodzie, Cóżbych ja nie była rychła, Kamaradzi dwa muzyka im gra, A ta nasza Marysia, Czyja rola moja rola, Gdych ja maszerował, W tej to naszej gospodzie, Jechoł siedlok do młyna, Nie chodź kole wody, Na górach deszcz pada, Przyjechali sukiennicy z Berna, Dybych jo miał starą babe i inne.

Szołtyski, kołomajki i lendry posiadają również liczne melodie.

b) trójmiarowe

Tańce o własnych nazwach: taśka-

ny (Kiej jo służył u sąsiada), oglądany, wojoczek, wolny, tyrol, stowano polka (Cztery konie we dworze), goleszowski, pachołcy, warszawianka, rosiczka (Ej rosi rosi rosiczka), cieszyniok (Czyś ty nie wiedziała), mazurka, mazurek, bodlawy, zbuj, szustany, kokotek.

Nazwy tańców od początkowych słów tekstu: Gdyby jo mioł co by jo chcioł, Gdym w olszynie, Ciecze woda z pod ogroda, Tyn wiślański mostek łogibo sie.

Wielka liczba melodyj walcowych w przeważnej ilości posiada nazwy od początkowych słów tekstu: Gdy sym szeł po rynku, Nie jedna panienka, Wczoraś była młodą panną, Wspomnisz dziewcze, Nie dbam, nie dbam itd.

Do najstarszych i najprędzej zapomnianych zalicza się taniec trójmiarowy pod nazwą „wolny". Jest to taniec reprezentowany przez bardzo wielką liczbę melodii, których jest około 150, a które zachowały się w rękopisach nutowych, zapisanych przed około 100 laty przez muzykantów ludowych Jana i Józefa Londzinów z Zabrzega. Taniec wolny posiada następujące wykonanie:

Wolny
opis tańca

Pary ustawiają się jedna za drugą. Zwrócone twarzami do kierunku, trzymają się za ręce: prawa tancerza i lewa tancerki. Ręce uchwycone są nieco wzniesione w zwyż. W czasie tańca wszyscy śpiewają.

Ruch wolnego składa się z trzech kroków w przód i trzech kroków w tył. Sześciomiarowa całość tego ruchu to:

1, 2 i 3 — kroki w przód: lewa, prawa, lewa i

1, 2 i 3 — kroki w tył: prawa, lewa, prawa.

Pary wykonujące taki ruch mogą pozostawać stale w tym samym miejscu lub mogą się nieco posuwać do przodu, co zależne jest od rozmiaru kroków. Jeżeli długość kroków do



tyłu jest równa długości kroków do przodu, wtedy pary balansują w miejscu. Zmniejszanie kroków tylnych w stosunku do rozmiaru kroków przednich daje w rezultacie posuwanie się par w przód.

Tempo wolnego jest powolne, odpowiada mniej więcej tempu poloneza.

Tańce zespołowe

Tańce zespołowe wykonywane są przez większe ilości osób. Mogą to być:

1) pary w szeregach: owczorz (Na zielonej łące), Jak jo umrę gdo będzie żył, myśliwieczek (Niejeden myśliwy), Ten kończczyński kościeliczek, wolny: Gore lipka, Siwa gołąbeczko,

2) pary w rzędach: Jedzie Polok za nim Słowiok, gołąbek, maszyna, piłka, Na zielonej łące, zwodzony (Nie chcę cię znać), rajdok,

3) trójki: koziorajki, trzasak (Piykła placki z chorej mąki), mynorz (Pewien rzemieniarz), sztandar, szandar, szatkowy, kłaniany, błogosławiony, żegnany, ostrawski, chu-

steczkowy, szwagier (Dziwejcie sie wszyscy ludzie),

4) cztery pary: ostrawiok (Jeśli mnie ty chcesz), hołomucki (Hołomuc jest piekne miasto), krzyżok wielki, krzyżok mały (Kole naszych okien, Na wysoki górze, Swoboda, swoboda, swobodziczka), kaczok (Nasza Kasia płacze), zagrodnik (Zasiali górale owies).

Łowczorz
opis tańca

Tekst do śpiewu:

Na zielonej łące
pasie łowczorz łowce,
harum barum tuć madziarum,
pasie łowczorz łowce.

Jak sie kiero ruszy,
to ją drap za uszy,
harum barum . . .

Owca sie ruszyła,
owczorza świtnęła,
harum barum . . .



Poczkej mi, ty myrcho,
wyciągnę ci mleko,
harum barum . . .

Na zielonej łące
pasie łowczorz łowce,
harum barum . . .

Wilcy przylecieli,
cztery owce wzięli,
harum barum . . .

Inny tekst do śpiewu: Gnało dziewczę krowy przez las jaworowy . . .

Taniec posiada dwie odmiany ruchowe.

Odmiana I.

Pary ustawiają się w dwu zwróconych do siebie szeregach. Pojedyncze pary trzymają się za ręce.

Fig. 1. (odpowiadająca melodii do słów:
Na zielonej łące
pasie łowczorz łowce).

W pierwszych trzech taktach muzyki szeregi posuwają się do środka i kłaniają się. W drugich trzech taktach wracają tyłem na swe poprzednie miejsca.

Fig. 2. (odpowiadająca melodii do słów:
harum barum tuć madziarum,
pasie łowczorz łowce).

Obroty kółkiem przy haczykowym chwycie ramion z tancerkami własnymi. Haczykowy chwyt ramion to chwyt za zgięte w łokciach ramiona prawe do obrotu w prawo lub lewe do obrotu w lewo.

Odmiana II.

Tańczy jedna para. Stoją naprzeciw siebie nie trzymając się, ręce założone w tyle.

Fig. 1. W trzech taktach muzyki krokiem bocznym dosuwanym rozchodzą się bokiem na zewnątrz, w drugich trzech taktach wracają z powrotem do środka. Krok boczny dosuwany wykonuje się w ten sposób, że na jedną miarę rytmu wykonuje się 1) krok w bok i 2) dosunięcie nogi przeciwnej. Miary rytmiczne są dwie w dwumiarze melodycznym.

Fig. 2. Obroty dwumiarowe w dwu krokach.

Tańce naśladujące

Przy jednej parze tańczących wykonuje się je dla następujących tańców:

1) naśladowanie zwierząt: królik,

żabiok (Tańcowała żaba z rakiem), żabi (Nie mielym, nie mielym), zajączek,

2) naśladowanie rzemiosła: szewc (Ożynił sie szewc), kowol, tkacki,

3) groteska: żyd (Szła żydówka po ulicy).

W tańcu pod nazwą „młynek" ośmiu chłopców, ustawionych w kole i trzymających się za ręce, wykonuje taniec, naśladujący pracę młyna.

Zajączek
opis tańca

Melodia dwumiarowa ośmiotaktowa. Wykonuje dwóch chłopców. Przepasani są silnymi pasami skórzanymi.

Fig. 1. (pierwsze cztery takty melodii). Jeden z chłopców, wykonawszy szeroki rozkrok, podpiera się rękami na podłodze. Drugi w czasie ośmiu taktów muzyki (powtórzenie czterotaktu) obskakuje koło niego krokiem podskokowym, polkowym lub dosuwanym.

Fig. 2. (drugie cztery takty melodii). Chłopiec obskakujący, stanąwszy przed głową podpartego, chwyciwszy się oburącz za jego pas, przewraca się ponad jego plecami (koziołkiem).



Zabawy

Można je podzielić na następujące grupy:

1) zmienne dobieranie się par: żebrok, mietlorz, dziad (Szeł żebroczek po drodze),

2) zabawa w kotka i mysz: kocurek (Nasza kociczka zdurniała),

3) zabawa w kole: łowy (Pojadymy na łów), stołkowy (Listeczku dębowy), całowany (Mam chusteczkę malowaną), bośkany (O wyszijym, wyszijym Jasinkowi koszulym),

4) zabawa obrzędowa: bioły, biołego (Zaszło już słoneczko i wiele, wiele innych melodii),

5) grupa par i dwie pary: sarocz.



Żebrok mietlorz
opis zabawy

Jeszcze inne nazwy: kijowy, dziad.
Melodia dwumiarowa. Tekst do śpiewu:

Szeł żebroczek po drodze
i stracił tam piniądze.
Gdo jich naszeł, niech jich do,
niech sie żebrok nie staro.

W zabawie bierze udział dowolna ilość par oraz jeden samotny chłopiec, pełniący rolę „żebroka", gdy chodzi z laską, lub „mietlorza", gdy chodzi z miotłą. Dziewczyny ustawiają się po jednej stronie, chłopcy po drugiej, w środku chodzi „żebrok" z laską, względnie „mietlorz" z miotłą.

Fig. 1. W środku między szeregami przechodzi się „żebrok" z laską, względnie „mietlorz", naśladując zamiatanie. W ostatnim takcie porzuca laskę względnie miotłę przed jednym z chłopców, który staje się „żebrokiem" („mietlorzem"). Pozostali dobierają się parami.

Fig. 2. Polka. Po skończeniu się polki muzyka robi pauzę i daje czas do ustawienia się jak na początku.



Kocurek
opis zabawy

Tekst do śpiewu:

Nasza kociczka zdurniała,
chyciła ptoszka pstyrnadla.

A nasz kocurek durniejszy,
chycił ptoszeczka, dwie myszy.

Uciekej myszko pod mostek,
Złapie cie kotek za chwostek.

Uciekej myszko, uciekej,
chyci cie kocur nie czakej.

Dowolna ilość par ustawia się w dwu naprzeciw stojących szeregach, stojąc blisko przy sobie. Wyznaczają przestrzeń do zabawy w kota i mysz. Kotem jest chłopiec, myszką dziewczyna.

Zabawa odbywa się, gdy gra muzyka. Myszka kryje się za szeregami, kot czatuje między szeregami. Może złapać myszkę tylko przy przechodzeniu spoza jednego szeregu wpoza drugi, czyli tylko w dwu miejscach. Gdy kot złapie myszkę, muzyka przestaje grać. Bawiąca się para wraca do szeregów, a kolejno wchodzi do środka na kota i myszkę następna para. Zabawa trwa tak długo, aż wszystkie pary przyjdą na kolej. Na zakończenie tańczą wszyscy parami polkę.



Stołkowy
opis zabawy

Melodia w rytmie walca. Tekst do śpiewu:

Listeczku dębowy,
nie wpadej do wody!
Wzięła-by cię woda,
byłoby cię szkoda,
listeczku dębowy.

Do zabawy pary ustawiają się w kole, chwytając się za ręce. W środku koła znajduje się stołek.

Gdy muzyka gra, koło posuwa się w prawo, po czym w lewo. Jedna para tańczy w środku walca. Gdy ruch koła zatrzyma się, para przestaje tańczyć. Tancerz odprowadza tancerkę do stołka, na którym ona usiada, po czym przyprowadza kolejno kilku młodzieńców do wyboru tancerce. Ta jednego spośród przyprowadzonych przyjmuje, wstaje ze stołka i tańczy z nim. Koło posuwa się. Gdy młodzieńca nie przyjmuje, odwraca się tyłem razem ze stołkiem, na którym siedzi i czeka na przyprowadzenie następnych kandydatów. Młodzieńcy, których tancerka nie przyjęła, wracają na swoje miejsca. Pierwszy tancerz wraca do tej dziewczyny, której zabrał partnera. Jego tancerka po przetańczeniu z drugim tancerzem odprowadza go do stołka, na którym on teraz usiada, po czym przyprowadza kolejno kilka dziewczyn, z których wybiera jedną. Tancerz powtarza te same sceny, co poprzednio tancerka.



Całowany
opis zabawy

Tekst do śpiewu:

Mam chusteczkę malowaną,
co ma cztery rogi,
kogo kocham, pocałuję,
dam mu ją pod nogi.

Do zabawy pary ustawiają się w kole, trzymając się za ręce. Koło posuwa się w prawo, po czym także w lewo. Jeden z chłopców pozostaje w środku koła. Rozważa on, którą dziewczynę wybrać do pocałunku. Gdy ruch koła zatrzyma się, kładzie poduszkę (względnie chusteczkę) na podłodze przed wybraną dziewczyną. Na poduszce oboje klękają i całują się. Potem wstają, zabierają poduszkę i tańczą polkę. Koło znów się posuwa. Gdy ruch koła ponownie się zatrzyma, tancerz wraca do koła, a w środku pozostaje tancerka. Przy zmianie ról odbywa się to samo, co na początku — dziewczyna wybiera chłopca do pocałunku. W dalszym ciągu odbywają się te same sceny.

Bioły
opis zabawy

Tekst do śpiewu:

Zaszło już słoneczko
za las malinowy,
straciłach jo wióneczek
rozmaryjonowy.

Nie straciłach jo go
nigdzie na ulicy,
ale jo go straciła
w kościele przy świycy.

Wołkorze, wolkorze,
coście wołki paśli,
straciłach jo wióneczek,
którzyście go naszli?

Nie naszli, nie naszli,
aleśmy widzieli,
jako płynął po wodzie
z biołymi bandlami.

Zabawę „biołego” wykonuje się na zabawie weselnej. Bawią się same kobiety zamężne i młoda pani („młoducha”). Trzymając się za ręce, tworzą koło. W środku tańczy obroty sześciomiarowe „młoducha”, wybierając gospodynie z koła. Jej obowiązkiem jest wytańczyć wszystkie kobiety z koła. Mężczyźni stoją poza kołem i czatują na stosowną chwilę, w której można przedrzeć się przez koło i uwolnić „młoduchę” od obowiązku. Zwłaszcza chodzi o to „żynichowi” (młodemu panu). Jest trudno przedostać się do środka, bo kobiety w kole dobrze uważają, aby nie wpuścić do środka intruza. Trudno jest także i z tego względu, że koło toczy się w prawo i w lewo. Mężczyzna może odbić „młoduchę” tylko wtedy, gdy ta zmienia tancerzy. Gdy „młoduchę” uwolni inny aniżeli „żynich”, wtedy ten musi ją wykupić butelką likieru. Z uwolnieniem „młoduchy” kończy się zabawa.

JAN TACINA



Józef Klimek — Szkic do cieszyńskiego tańca ludowego „Bioły“

STANISŁAW LEM

Dziesięć lat energii atomowej

I

Zagadnieniem energii atomowej może się zajmować historyk nauki, przedstawiając rozwój pojęć i narastanie faktów doświadczalnych w laboratoriach; może je badać psycholog, dociekający na tym potężnym przykładzie dróg twórczej myśli ludzkiej, ale także ekonomista, socjolog, inżynier-energetyk czy wreszcie teoretyk sztuki wojennej. O wpływie tej rozrastającej się gałęzi już nie fizyki, ale przemysłu na dziedziny swych badań mogliby mówić biologowie, chemicy, lekarze, archeologowie i botanicy — a przecież, gdyby nawet zebrać wszystkie takie, przez specjalistów napisane prace badawcze, jeszcze nie ogarnęlibyśmy całości tego ogromnego problemu, który stanowi koniec jednej i początek drugiej, nowej epoki ludzkości. Brak takich całościowych opracowań energetyki atomowej jest tym bardziej dotkliwy, że od możliwie pełnego zrozumienia jej wagi przez wszystkich żyjących zależy przyszłość świata. Artykuł mój jest oczywiście tylko pobieżnym szkicem i na każdym kroku odczuwałem brak niezbędnej wszechstronności oraz ograniczenia, płynące z niewiedzy o faktach. Dziedzina wyzwolenia energii jądrowej ukazuje z rzadką wyrazistością wzajemne uwarunkowanie, splątanie i uwikłanie geniuszu ludzkiego z tępotą, a interesów klasowych z naiwnością twórców. Jest to dramatyczny proces przeradzania się wielkiej nadziei w zagrożenie, jakiego nie znała historia. Tak bowiem ułożyły się wypadki, że energetyka atomowa, janusowy patron naszych czasów, ma dwa oblicza: Złotego Wieku — i Barbarzyństwa. Przystępując do rzeczy warto pamiętać o jednym: że — przy wszystkich swych trudnościach — mechanika atomowa ustępuje zawiłością mechanice stosunków międzyludzkich, a dalszy nasz rozwój należy od zrozumienia i opanowania obu tych dziedzin.

II

W czwartym dziesiątku lat XX wieku fizycy umieli wywoływać liczne przekształcenia jąder atomowych. Reakcje te, przeprowadzane na niezwykle drobnych ilościach pierwiastków, nie tylko nie wyzwalały energii, ale pochłaniały ją. Jedynie astronomowie znali reakcję atomową, przebiegającą z wyzwoleniem jądrowej energii, mianowicie przemianę wodoru w hel. Była to hipoteza, wysunięta przez Hansa Bethe. Sądził on, że proces ten stanowi źródło energii słońca i wszystkich gwiazd. Tym oderwanym, nieziemskim zagadnieniem niewielu się zajmowało, a nikt nie myślał nawet w owym czasie o eksperymentalnym sprawdzeniu go w pracowni — sprawa ta nie była nawet tematem powieści fantastycznych...

Na przełomie 1938 roku dwaj fizycy niemieccy Hahn i Strassmann bombardowali odrobinę uranu neutronami. Doświadczenia takie były wówczas w modzie; przeprowadzało się je, żeby wprowadzając do jąder atomów dodatkowe neutrony, uzyskać nowe, cięższe pierwiastki. Hahn i Strassmann wykryli w swym napromieniowanym uranie zamiast pierwiastka cięższego od uranu, lżejszy: bar. Wyniki swe ogłosili, niezdolni do teoretycznego ich wyjaśnienia. Dała je w styczniu 1939 roku Liza Meitner, emigrantka z Niemiec, przebywająca wraz ze swym bratankiem Frischem w kopenhaskim laboratorium słynnego Nielsa Bohra. W artykuliku zamieszczonym w „Nature" wysunęła śmiałą hipotezę, że być może, Hahn i Strassmann rozszczepili na dwoje

jądro uranu. Wieść ta rozeszła się po całym świecie i rychło prowadzone równoległe w Europie i Ameryce badania potwierdziły jej słuszność. Niebawem pracujący w USA emigrant z innego państwa faszystowskiego — Enrico Fermi z Włoch — ogłosił teorię, że pękające jądro uranu może stać się źródłem nowych neutronów, które, trafiając do nienaruszonych jąder uranu, powodować będą dalsze rozszczepienia, i że proces taki może przebiegać lawinowo, ogarniając całą bryłę uranu z wyzwoleniem olbrzymiej ilości energii: 200 milionów elektronowoltów na każdy pękający atom.

Problem ten omówili po raz pierwszy fizycy na zebraniu w Waszyngtonie, a 29 stycznia New York Times opublikował artykuł pod tytułem „Atom uranu wyzwala ogromną energię".

30 kwietnia tegoż roku to samo pismo ogłosiło wywiad z przebywającym w Ameryce Bohrem, który oświadczył: „Bombardowanie niewielkiej ilości izotopu uranu U 235 powolnymi neutronami wywoła reakcję łańcuchową, to jest wybuch atomowy tak silny, że wyleci w powietrze laboratorium wraz z wszystkim co je otacza w promieniu wielu mil."

Jak z tego widać, podstawowe fakty znane były już w połowie 1939 r. Fizycy, najlepiej orientujący się w doniosłości odkrycia, własnowolnie narzucili sobie tajność uzyskiwanych w pracy wyników, by nie przyczynić się do stworzenia przez Trzecią Rzeszę potężnego środka niszczącego. Tak się złożyły wypadki, że byli to niemal wyłącznie Europejczycy, emigranci z państw faszystowskich i ich satelitów: E. Fermi z Włoch, A. Einstein, H. Bethe, Liza Meitner z Niemiec, L. Szilard i E. Teller z Węgier.

Już w marcu 1939 roku spróbowali fizycy zainteresować rząd Stanów sprawą uranu. W tym celu zorganizowali spotkanie Fermiego z przedstawicielami parlamentu marynarki. Jednakże wojskowi nie wzięli słów uczonych serio i zbyli ich zdawkowymi grzecznościami. Wtedy Szilard i Fermi, szukając człowieka o możliwie wielkim autorytecie, zwrócili się do Einsteina, by napisał list do prezydenta Roosevelta.

Warto zatrzymać się na owym dramatycznym momencie. Niełatwo było zainteresować polityków zagadnieniem uranu. Na poparcie swych przypuszczeń nie mieli uczeni nic poza szeregiem niezrozumiałych wzorów i garścią oderwanych faktów laboratoryjnych. Reakcji łańcuchowej, przebiegającej z wyzwoleniem energii, nikt jeszcze nie obserwował, istniała ona tylko na papierze. Nawet wśród fizyków znajdowali się wątpiący w możliwość jej urzeczywistnienia. Ponadto szło o stworzenie nowego środka niszczącego. Takie zastosowanie odkrytych własności uranu narzuciło się jako pierwsze. Dlaczego? Trudno osądzić — być może spowodował to powszechny stan umysłów na progu nowej wojny. Tak więc na nieznany światu środek zagłady miał zwrócić uwagę rządu amerykańskiego Einstein — człowiek, który całym przebiegiem swego życia, wszystkimi wystąpieniami wykazywał, że jest pacyfistą i jak mało czego obawiał się ingerencji rządów i polityków w sprawy nauki. Tylko niezwykłe i groźne okoliczności mogły zmusić go do przekreślenia żywionych przekonań. Einstein wiedział, że po raz pierwszy rozszczepiono atom w Niemczech, że znajduje się tam wielu wybitnych fizyków, i że rząd Hitlera nie poskąpi niczego, by zdobyć panowanie nad światem. Einstein nie wątpił, że najświetniejsi uczeni niemieccy, tacy jak Werner Heisenberg, całą swoją wiedzą pomagać będą Hitlerowi w stworzeniu niszczącego środka. Jak mało kto rozumiał, co oznaczałby on w ręku faszystów. Drugiego sierpnia 1939 roku napisał on do prezydenta list, zaczynający się od słów: „Pewne nowe prace E. Fermiego i L. Szilarda, które przedstawiono mi w rękopisie, prowadzą mnie do przekonania, że pierwiastek uranu może w najbliż-

szej przyszłości zostać nowym, doniosłym źródłem energii..."

Prezydent odpowiedział niezwłocznie. Powstała rządowa komisja do spraw energii atomowej. Uczeni otrzymali pierwszą dotację w wysokości 6000 dolarów. Było to niewiele w porównaniu z późniejszymi miliardami. Ale był to też tylko początek.

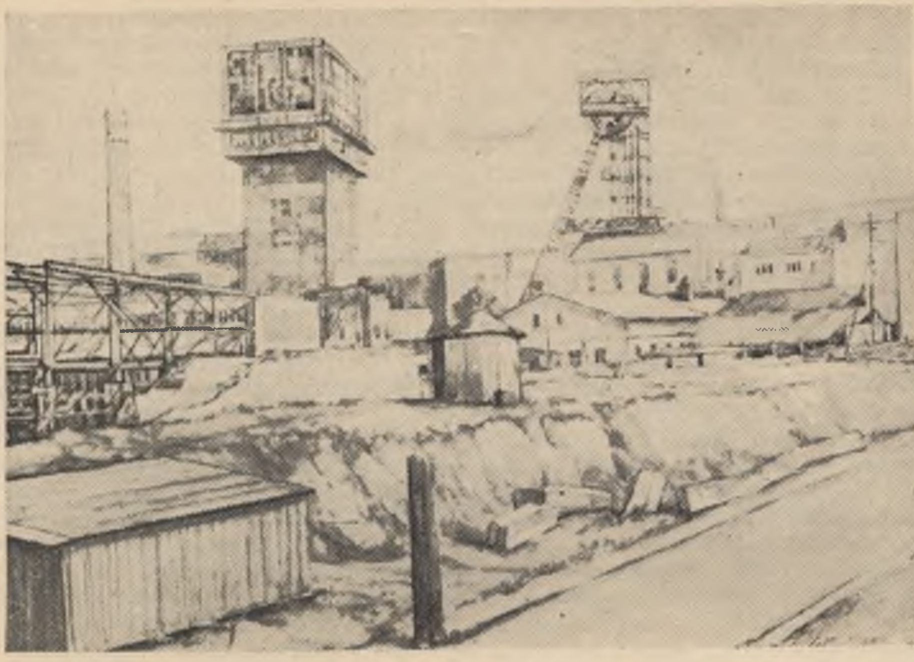
III

W 1940 roku fizycy wiedzieli, że w bryłce izotopu uranu U 235, posiadającej dostateczne rozmiary (większe od tzw. krytycznych) rozwinie się łańcuchowa reakcja rozszczepiania jąder z wydzielaniem energii promienistej i cieplnej. Praktyczna realizacja tego zjawiska miała napotkać na ogromne trudności. Uran 235 występuje w zwykłym uranie jako skąpa domieszka w ilości 0,7 procent. Jednym z głównych zadań słynnego Manhattan Project było zbudowanie gigantycznych zakładów, oddzielających na skalę przemysłową pożądany izotop U 235 od zwykłego, niewybuchowego uranu U 238. Trudność leżała w tym, że izotop U 235 własnościami chemicznymi niczym się nie różni od zwyczajnego uranu; metoda oddzielania musiała oprzeć się tylko na znikomej różnicy masy atomowej, równej masie trzech atomów wodoru.

Teoretyczne możliwe były cztery metody: dyfuzji cieplnej, gazowej, sposób elektromagnetyczny i centryfugowanie. Rozpoczęto atak na wszystkich czterech frontach; dwie metody okazały się słabsze; do końca wojny pracowano pozostałymi — dyfuzji gazowej i elektromagnetyczną.

Metoda dyfuzji polegała na kolejnym przepuszczaniu bardzo trującego i agresywnego chemicznie gazu, sześcioflourku uranu, przez porowate przegródki o otworach średnicy jednej dziesięciomilionowej cala. Po przejściu przez tysiąc przegródek porcja gazu obfituje w czysty niemal uran U 235. Proces ten rozpoczęto na wielką skalę w zakładach Oadridge, znanych podczas wojny jako „obiekt X". Zakłady te stanowiły wtedy największy obiekt przemysłowy świata pod jednym dachem: budynek kształtu litery U, o boku długości jednej mili. Budowę zakończono w r. 1944; wtedy dopiero rozpoczęła się produkcja, to jest oddzielanie izotopu U 235. Mniej więcej w ciągu roku uzyskano kilka kilogramów tego białawosrebrzystego pierwiastka, który posłużył do skonstruowania dwu bomb: pierwsza oświeciła nocnym wybuchem pustynny płaskowyż Alamogordo w czerwcu 1945 roku, druga kilka tygodni później rozbłysła nad Hiroszimą.

Istniała jeszcze druga niezależna metoda wytwarzania atomowego materiału wybuchowego, znana już w 1940 roku. Na podstawie teorii rozszczepienia jądrowego Bohra-Wheelera można było sądzić, że zwykły uran U 238 pod wpływem bombardowania neutronami przekształca się w nowy pierwiastek o masie atomowej 239. Pierwiastek ten miał się według teorii zachowywać podobnie jak U 235, to jest miał być tak samo zdolny do reakcji łańcuchowej. Jednakowoż nie było go na świecie, i to tak doskonale, że nie miał wtedy nawet nazwy. Nadano mu ją później, był to pluton. Obecnie wiadomo, że można znacznie łatwiej i szybciej produkować pluton, aniżeli oddzielać izotop U 235 od U 238. Gdy jednak Manhattan Project rozpoczął pracę, nikt takiej wiedzy nie posiadał. Oddzielanie izotopów było wprawdzie przedsięwzięciem nowym, istniała jednak w tej dziedzinie dawniejsza laboratoryjna wiedza: służący do tego samego celu spektograf mas znany był od dawna. Nikt natomiast nie produkował nigdy na przemysłową skalę nieistniejących pierwiastków i nie wiadomo było, jak ma wyglądać nadające się do tego urządzenie. Uczeni — przypominam, że byli to przeważnie emigranci z Europy — zbyt dobrze pamiętali o faszyźmie, by odważyli się zlekceważyć jakąkolwiek szansę stworzenia pierwiastka wyzwalającego energię, choćby to



Władysław Pasz — Widok z Karwiny

była jedna szansa na milion. Jednym z głównych twórców stosów atomowych, które miały produkować pluton, był Fermi. Drugiego grudnia 1942 roku w strukturze grafitu i uranu uruchomiona została pierwsza na świecie reakcja łańcuchowa o regularnym przebiegu. Następnie rozpoczęto w Hanford nad rzeką Kolumbią budowę wielkich reaktorów wytwarzających pluton. Problemy techniczne rozwiązywano w czasie samej budowy a nie, jak to dzieje się zwykle, przez budowanie tzw. zakładów „pilotujących", to jest drobnych jednostek eksperymentalnych. Prace wstępne, laboratoryjne często nie były jeszcze ukończone, gdy kładziono już podwaliny pod gmachy przyszłych reaktorów. Uczeni obawiali się niemieckich osiągnięć w dziedzinie fizyki uranu do tego stopnia, że niektórzy wysłali swoje rodziny z wielkich miast na prowincję. Sądzili, że atak atomowy Hitlera (który wciąż mówił o „nowej broni") może nastąpić każdego dnia. Zakłady w Hanford ruszyły we wrześniu 1944 roku. W sierpniu 1945 wytworzony przez nie pluton eksplodował nad Nagasaki.

Manhattan Project pochłonął dwa miliardy dolarów. Główną rolę odgrywali w nim fizycy, którzy wzięli na siebie pełną odpowiedzialność za całość przedsiębiorstwa. Specyficzne okoliczności czasu wojny niezmiernie przyśpieszyły rozwój problemu, który w warunkach pokojowych pochłonąłby na pewno dziesiątki lat. Kongres nie mieszał się do niczego, nieświadomy wcale znaczenia prowadzonych prac; wojna zjednoczyła wysiłki wojskowych i uczonych, wielcy przemysłowcy nie bruździli. Wszystko to miało się odmienić dopiero po 1945 r.

Za sprawą fizyków dowództwo amerykańskie podjęło kroki, mające sparaliżować niemiecki „projekt uranowy". W tym celu zbombardowane zostały norweskie zakłady wytwarzające ciężką wodę, materiał nie-

zbędny do budowy reaktorów. Pośpiech, z jakim Niemcy odbudowali te zakłady, zwiększył tylko niepokój uczonych. Wojska, lądujące na przyczółku normandzkim w 1944 roku zaopatrzono w specjalne aparaty do wykrywania radioaktywności, a w ślad za pierwszą linią frontu ruszyła specjalna misja wywiadu naukowego, która miała zbadać postępy niemieckie w dziedzinie produkcji broni atomowej. Jak się okazało, przypuszczenia uczonych i niepokój ich nie były uzasadnione. Hitler nigdy nie liczył na broń atomową; być może nie wiedział nawet o możliwości jej stworzenia.

IV

By zrozumieć pouczające i osobliwe koleje prac niemieckich nad energią atomową, trzeba choć z grubsza zaznajomić się ze stanem nauki niemieckiej przed wojną. Partia hitlerowska przeprowadziła około roku 1937 wielką czystkę na uniwersytetach. Ofiarą jej padło 40 procent wykładowców, usuniętych za poglądy liberalne i postępowe. Już przedtem wielu zdolnych fizyków wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych, lecz byłoby fałszywym uproszczeniem twierdzić, że to właśnie ten fakt sparaliżował twórcze możliwości nauki niemieckiej. Więcej szkody przynieśli nowi „uczeni", którzy przejęli opustoszałe katedry. Byli to przeważnie bardzo gorliwi wyznawcy doktryny narodowo-socjalistycznej. Odrzucali oni „szkodliwą fizykę żydowską", której symbolem była teoria względności, a także cały niemal zawiły aparat matematyczny teorii kwantów. Nieliczni pozostali w Niemczech fizycy z prawdziwego zdarzenia, jak von Laue, Weizsaecker czy najwybitniejszy z nich Heisenberg toczyli pyrrusowe walki o prawo wykładania na uniwersytetach potępianej „fizyki żydowskiej". Bronili jej zresztą wcale nie z pobudek humanistycznych, a tylko dlatego, że pojmowali, jakie skutki da zastąpienie rzetelnej wiedzy systemem nonsensów, który propagował w nauce pod nazwą „aryjskiej fizyki" Lenard i jemu podobni hitlerowcy. Nie miejsce tu na przedstawienie na poły humorystycznych, na poły żałosnych sposobów, których imać się musieli obrońcy fizyki teoretycznej w Trzeciej Rzeszy. Odbywały się liczne narady i zebrania z udziałem dygnitarzy partyjnych, mające na celu uzgodnienie mistycznych i mętnych wymogów doktryny z gmachu teoretycznych założeń fizyki.

Ostatecznym wynikiem tych narad był osobliwy stan, w którym elicie fizyków milcząco pozwolono na robienie, co jej się podoba, z tym wszakże, że na salach wykładowych królowała „niemiecka fizyka" Lenarda. W taki sposób odcięty został dopływ nowych sił do fizyki. Gdy wybuchła wojna, już w pierwszym jej okresie wielu młodych naukowców poległo na frontach. Na tak zwanej „Fuehrerliste", zawierającej nazwiska cennych osób, zwolnionych od służby w armii, figurowało ponad tysiąc aktorów filmowych, tancerzy, śpiewaków i astrologów, lecz ani jeden uczony.

Fizycy niemieccy w pełni docenili oczywiście odkrycie Hahna i Strassmanna. Już w kwietniu 1939 roku założyli tak zwany „Uranverein" — klub uranowy, który miał zająć się pracą nad nowym, obiecującym zagadnieniem. Dwaj jego członkowie odbyli w lecie 1939 roku podróż po Stanach Zjednoczonych, usiłując wybadać, jak postępują w tej dziedzinie prace fizyków amerykańskich. W owym czasie nic się jednak jeszcze w USA nie robiło; Fermi był nieobecny w Waszyngtonie, i łupem niemieckich fizyków stał się tylko wspomniany przez nas wyżej numer „New York Times" z sensacyjnym artykułem.

Gdy po wybuchu wojny „Uranverein" chciał wziąć się do prac na szerszą skalę, uczeni stwierdzili, że zostali uprzedzeni przez konkurentów: na znajdujących się w Niemczech zapasach uranu położył rękę, wydział naukowo-badawczy armii, a

ściślej mówiąc — jego szef, profesor Erich Schumann. Był to potomek kompozytora tegoż nazwiska, drugorzędny fizyk, który wykładał fizykę wojenną na uniwersytecie berlińskim, a jedyne jego prace naukowe dotyczyły drgania strun fortepianowych. Koledzy nazywali go „Professor der Militaermusik". Człowiek ten o małej wiedzy i olbrzymich ambicjach (połączenie bardzo częste) wziął się wraz z odpowiadającymi mu poziomem umysłowym kolegami do budowy reaktora atomowego w pracowni pod Berlinem. Wyzwolenie energii jądrowej okazało się jednak problemem trudniejszym od wyjawienia tajemnicy strun fortepianowych. Po dwu latach Schumann nie doszedłszy do żadnych rezultatów rzucił badania i zajął się kwestiami wojny bakteriologicznej.

Drugim niezależnym od Schumanna amatorem rozwiązania zagadki uranu był niejaki baron von Ardenne, dziwak, przemysłowiec, konstruktor aparatów elektrycznych i pomysłowy eksperymentator, który znał osobiście hitlerowskiego ministra poczt Ohnesorge i z funduszów ministerstwa finansował swoje badania. Przez jakiś czas był ten osobliwy człowiek czymś w rodzaju rzeczoznawcy rządowego do spraw energii jądrowej.

Gdy w roku 1942 okazało się, że wojna nie zmierza ku zwycięskiemu końcowi, a klęski na froncie wojny podwodnej i powietrznej związane z ukazaniem się na polach bitew radaru zwróciły w dotkliwy sposób uwagę rządu hitlerowskiego na konieczność popierania badań naukowych, sytuacja klubu uranowego uległa pewnej poprawie. Klubem począł się opiekować prezes biura miar w Ministerstwie Oświaty, Esau. O tym, jak dobrze orientował się w wadze zagadnienia świadczy fakt, że w sprawozdaniach do swych zwierzchników przed wynikami fizyków umieszczał na pierwszym miejscu wyniki prac swego biura.

W takiej sytuacji fizycy, mimo że zaopatrywani lepiej w niezbędne materiały, skazani byli wyłącznie na siebie. Wśród nich nie działo się zresztą dobrze. Mózgiem projektu był Werner Heisenberg, cieszący się u kolegów wielkim autorytetem — tak wielkim, że uważano go za nieomylnego. To wprowadzenie zasady wodzostwa do pracy naukowej dało opłakane rezultaty. W 1942 roku uczeni doszli do przekonania, że muszą uzyskać poważniejsze poparcie rządu. By go zainteresować swoją pracą, zorganizowali specjalne posiedzenie, na którym najświetniejsi fizycy z klubu uranowego wygłosić mieli referaty o wojennych możliwościach zastosowania energii uranu. Z zaproszonych dygnitarzy — byli nimi zastępca Hitlera Bormann, Goering, Speer, admirał Doenitz i szef sztabu Keitel — nie zjawił się ani jeden.

Dopiero z końcem wojny rosnące zainteresowanie Hitlera „nową bronią" zaraziło jego otoczenie do tego stopnia, że klubem uranowym zajął się sam minister Speer. Warunki pracy fizyków nieco się poprawiły. Było ich jednak dalej niewielu — liczba zajętych projektem nie dochodziła stu — tak że do dnia klęski nie zdołali zbudować najmniejszego nawet stosu, w którym biegłaby reakcja łańcuchowa. Co prawda byli już bliscy tego celu; można przypuszczać, że udałoby im się to w ciągu 1945 roku, gdyby nie upadek Trzeciej Rzeszy. Naturalnie od uruchomienia stosu do wytworzenia bomby było bardzo daleko. Zresztą Niemcy nie myśleli o bombie w zrozumieniu amerykańskim. Stan ich wiedzy w chwili zakończenia działań wojennych był taki: wiedzieli, że można zbudować bombę z czystego U 235, lecz separację tego izotopu z rudy uranowej uważali za niewykonalną. O użyciu zaś do bomby atomowej plutonu nigdy nie myśleli; cała idea „niemieckiej bomby atomowej", jak ją sobie przedstawiał „mózg" projektu, Heisenberg, sprowadzała się do budowy

stosu atomowego, w którym reakcja rozszczepienia miała iść coraz prędzej, aż do eksplozji. Miał to być więc właściwie wybuchowy stos atomowy, a nie bomba i można przewidzieć, że jego moc byłaby zupełnie znikoma w porównaniu z mocą właściwej bomby.

Warto zwrócić uwagę na to, że był w Niemczech pewien młody fizyk, Fritz Houtermans, który najbliżej doszedł do myśli o produkowaniu plutonu. Jeszcze w 1941 roku napisał on w tajnym raporcie, że w stosie atomowym można będzie wytworzyć pierwiastek cięższy od uranu, posiadający takie same własności wybuchowe, co izotop U 235 i że pierwiastek ów będzie można wydobyć ze stosu sposobem chemicznym. Jednakże tezy Houtermansa nie pokrywały się z twierdzeniami Heisenberga, nie należał on też do stojących najbliżej „wodza" fizyków z „Uranverein" i poszły w zapomnienie.

Z nikłymi wynikami fizyków niemieckich kontrastuje zdumiewająco niesłychanie pewny siebie ton wszystkich ich wewnętrznych referatów oraz raportów do zwierzchników (pod koniec wojny był nim „der Beauftragte des Reichsmarschalls fuer die Kernphysik"), w których stwierdzają, że osiągnięcia aliantów na polu fizyki jądrowej muszą pozostawać daleko w tyle za ich własnymi. To przekonanie zburzył dopiero wybuch bomby nad Hiroszimą.

Kończąc ten zwięzły przegląd biegu prac niemieckich nad uranem, trzeba oddać sprawiedliwość wodzom III Rzeszy: nie wszystkie gałęzie nauki traktowali oni tak po macoszemu, jak fizykę teoretyczną. Niech za dowód posłuży list kierownika „Akademii Nauk", założonej w roku 1935 przez Himmlera. W liście tym, datowanym w 1943 roku, uczony esesowiec pisze:

„Droga Panno Piffl!

Ostatnio ukazała się w prasie wiadomość, że w Ribe w Jutlandii żyje stara kobieta, posiadająca znajomość wycinania runów sposobem Wikingów.

Reichsfuehrer SS (Himmler) życzy sobie, byśmy posłali natychmiast współpracownika do Jutlandii do tej starej kobiety, by poznać owe sposoby wycinania runów.

Heil Hitler! Siewers."

V.

O północy 31 grudnia 1946 słynny Manhattan Project zakończył swe istnienie, przechodząc spod władzy wojskowej pod zarząd komisji energii atomowej, wyłonionej przez Kongres. Pracom komisji miał więc patronować parlament Stanów. Tę zasadniczą zmianę opiekuna wojskowego na cywilnego wywalczyli w dużej mierze uczeni, którzy brali udział w produkcji bomby. Ogarnięci entuzjazmem swego zwycięstwa, ożywieni najszlachetniejszymi zamiarami, chcieli odegrać doniosłą rolę w życiu ekonomicznym i politycznym nie tylko Stanów Zjednoczonych, ale całego świata. Ameryka kipiała od najbardziej optymistycznych wiadomości o rychłym zastosowaniu atomów i prasa pełna była wywiadów z fizykami, można było widzieć wszędzie: w kinie, w programach telewizyjnych, na fotografiach — jak uczeni konferują z siwowłosymi senatorami w Kapitolu. Rychło jednak okazało się, że optymizm nie był usprawiedliwiony. Uczeni chcieli, by produkcja bomb zeszła na drugi plan wobec wielkiego programu badawczego. Reaktory czasu wojny były w ich rozumieniu tylko koniecznym prowizorium; należało przystąpić do gruntownego opracowania nowych typów, z których w końcu wyłonić się miał doskonały reaktor — źródło energii. Zamiast tego budowano po prostu według starych planów coraz nowsze jednostki wytwarzające pluton do bomb.

Komisja Energii Atomowej atakowana była równocześnie z wielu stron. Główny ogień kierowały na nią czynniki wojskowe — generałowie i admirałowie, odsunięci od bez-

pośredniego nadzoru nad postępami prac atomowych. A także w Kongresie niemało było ludzi, zainteresowanych już to w zmianach personalnych na stanowiskach przewodniczącego Komisji i jego doradców, już to w samym programie prac, który przewidywał ogromne, miliardów dolarów sięgające zamówienia dla prywatnych firm. W takiej sytuacji Komisja starała się działać możliwie ostrożnie. Mimo to dość było materiału dla najrozmaitszych łowców, sensacji i szukających sławy gazetowej kongresmanów.

Przez cały rok ciągnęła się skandaliczna afera, zainicjowana przez senatora Hickenloogera. Szło o kilkagramową grudkę uranu bez jakiegokolwiek znaczenia, która zawieruszyła się w jednym z podległych Komisji laboratoriów. Akta przesłuchiwań osiągnęły niesamowite rozmiary; sprawa ta dała początek rosnącej opiece Federalnego Biura Śledczego nad pracami atomowymi. Rozpoczęły się badania prawomyślności uczonych, oskarżenia Komisji o marnowanie funduszów, o niedostateczne przyśpieszenie robót nad nowymi zakładami produkcji bomb atomowych. Wszystko to spowodowało odejście od Komisji i jej laboratoriów szeregu wybitnych uczonych. Ci, którzy nie odeszli, coraz bardziej ograniczani byli w inicjatywie twórczej i zepchnięci zostali na koniec do roli wykonawców kolejnych ulepszeń. O wielkich planach przebudowy energetycznej kraju nie było już mowy — szło o oszczędniejszą budowę samych bomb. Stosy o łącznej mocy przeszło miliona kilowatów, produkujące pluton w Hanford, ciepłem swym ogrzewały tylko chłodne wody Kolumbii. Przez sześć lat od zakończenia wojny nie zbudowano dla celów badawczych w dziedzinie energetyki ani jednego nowego reaktora. W taki sposób prace szły w kierunku rutyniarstwa, kostnienia, ograniczano się do wyzyskiwania tego, co badawcza myśl uczonych stworzyła w czasie względnej swobody — podczas wojny. Fakty te stoją w sprzeczności z publikacjami dorocznie ogłaszanymi przez Komisję. Nic w tym dziwnego, gdyż usiłowała ona wykazać się możliwie szeroką i pełną sukcesów działalnością. Prawda jednak — znamy ją z wypowiedzi uczonych, którzy kolejno opuszczali zakłady Komisji, jak Wigner czy Lapp — wyglądała całkiem inaczej. Jedną z podstawowych tez, lansowanych przez komisje i jej podwładnych była nierentowność energetyki atomowej oraz nadmierne ryzyko związane z budową siłowni atomowych. Gdy jednak w 1949 roku w głowach wojskowych z wydziału wojny podwodnej departamentu marynarki zaświtała myśl o łodzi podwodnej poruszanej silnikiem atomowym, okazało się, że odpowiednie silniki można zbudować w niedługim stosunkowo czasie. Uczeni próbowali tłumaczyć, że pierwej należy budować rozmaite lądowe prototypy silników i że obserwacja ich pracy da materiały do późniejszej budowy silników dla jednostek ruchomych, jak okręty czy łodzie podwodne. Ale nie brano tych niewątpliwie rozsądnych tez pod uwagę. Program budowy reaktora dla łodzi podwodnej opracowano w pośpiechu, jako że odpowiadał woli departamentu marynarki. Jak widzimy, ilekroć ukazała się na horyzoncie możliwość wojennego zastosowania jakiejkolwiek gałęzi badań atomowych, otwierały się od razu realne możliwości i znajdowały się fundusze. Uczeni proponowali, by zająć się budową takiej chociaż liczby elektrowni atomowych, które uczynią cały program budowy reaktorów i bomb samowystarczalnym pod względem poboru mocy elektrycznej. Ale nawet na budowę siłowni atomowych dla zaspokojenia własnych potrzeb nie przystano. Mimo że Stany odczuwały rosnący niedobór mocy, w roku 1950 uchwalono budowę nowych zakładów wytwarzających bomby, zakłady te miały pochłaniać prawie milion kilowatów energii. Kapitalny program reaktora „powielającego”, tj. przekształcają-

cego zwykły uran U 238 w pluton, ruszył na dobre z miejsca dopiero kiedy wyjaśniono odpowiednim osobom, że ma to znaczenie wojenne.

W miarę jak rosła „atomic stockpile” — zasoby bomb atomowych — pojawiały się nowe ich modele: bomba złożona z wielu segmentów wstrzeliwanych ku środkowi szeregiem ładunków wybuchowych („implozyjna”), bomba taktyczna, pociski atomowe. Na koniec w 1949 r. rozpoczęto pierwsze prace nad wytworzeniem bomby wodorowej — w oparciu o wspomnianą na wstępie reakcję Bethego. Prace te uwieńczyła eksplozja 1954 roku, kiedy to na Pacyfiku zajaśniała „momentalna gwiazda” o temperaturze wielu milionów stopni Celsjusza.

W czasie wstępnych prac nad „wodorówką” zaszedł znamienny fakt: jeden z twórców bomby atomowej, konstruktor mechanizmu wybuchowego, dr R. Oppenheimer, nauczony doświadczeniami ubiegłych lat sprzeciwił się projektowi wodorowemu. Opozycja jego trwała z górą dwa lata i zakończyła się usunięciem go ze wszystkich stanowisk w Komisji Energii Atomowej. Prześledzenie całokształtu podziemnych walk, utarczek między kongresem a finansistami, nagonek na Komisję Energii Atomowej, sporów personalnych i wszelkiego rodzaju intryg, kształtujących rozwój programu atomowego w USA, przekracza oczywiście znaczenie możliwości tego artykułu. Zadowolimy się stwierdzeniem kilku wyraźnych prawidłowości, jakie zarysowały się na przestrzeni lat w pracach atomowych Ameryki.

Pierwszym zjawiskiem godnym uwagi jest coś, co można by nazwać postępującą degeneracją tajności badań:

Tajność, jaką narzucili sobie dobrowolnie fizycy w latach wojny, tłumaczyła się chęcią utrzymania tajemnicy przed państwami faszystowskimi. Tajność tę wbrew woli wielu uczonych utrzymano i po wojnie. Opieka nad atomami przeszła przy tym z rąk uczonych w ręce „fachowców” z FBI.

Przyniosła ona nie tylko spowolnienie badań, ale co gorsza udaremniła jakąkolwiek publiczną krytykę niewłaściwych posunięć i błędów Komisji Energii Atomowej przez opinię publiczną. Takie badania, jak np. praca nad bombą wodorową, zapadają za kulisami, bez pytania o zdanie narodu, a także bez informowania chociażby kongresu. Co prawda Truman ogłosił w sprawie bomby wodorowej orędzie do narodu, lecz był to tylko dosyć rozpaczliwy manewr, mający na celu „uratować twarz” rządu, na kilka bowiem dni przedtem senator Johnson w audycji radiowej najspokojniej wypaplał cały sekret przed mikrofonem. Ponieważ tajemnica była zdradzona, prezydent uznał za właściwe odegrać wzruszający akt „szczerości wobec milionowych mas wyborców”.

Po roku 1949, kiedy było już jasne, że ZSRR posiadał tajemnicę produkcji energii atomowej, tajność badań stała się bezużyteczna — jeśli nie w odniesieniu do wszystkich ich aspektów, to na pewno w zakresie chociażby danych o praktycznej masie uranu. Produkując energię, muszą przecież fizycy radzieccy doskonale dane te znać. Tajność więc stała się celem samym w sobie, jej możliwie doskonałe zachowanie — miernikiem lojalności obywatelskiej, bez względu na szkody jakie może to przynieść rozwojowi nauki, a nawet doskonaleniu bomb atomowych...

Drugim zjawiskiem jest decydujący wpływ rozwoju broni atomowej na politykę Stanów. Uznawszy, że celem jego jest wyprodukowanie możliwie wielkiej ilości jak najpotężniejszych bomb, rząd Stanów sam sobie narzucił nieustający „wyścig atomowy”, którego nonsensowość już dawno stała się oczywista. Ci fizycy, którzy z Oppenheimerem na czele sprzeciwiali się produkcji bomb wodorowych, postępowali tak nie tyle z pobudek humanitarnych, co dlatego, że według ich opinii — na pewno

nie dyletanckiej! — USA przedstawiają dla bombardowania wodorowego cel znacznie podatniejszy od Związku Radzieckiego. Ostatnio produkowane bomby miały już moc efektowną równą tysiącowi bomb „normalnych”, typu Nagasaki. Dla bomb silniejszych nie ma już po prostu — z punktu widzenia strategicznego — żadnych celów na kuli ziemskiej. Mimo to przystąpiono do ich produkcji. Jest to niewątpliwie krok tyleż pozbawiony racjonalności przesłanek, co rozpaczliwy, a wypływający po prostu z negowania rzeczywistości, z niechęci przyznania, że obrana droga budowy „coraz większych bomb” nie prowadzi do żadnych pozytywnych rezultatów w polityce światowej.

Ostatnim wreszcie godnym uwagi zjawiskiem jest zmieniający się w ciągu minionych lat stosunek Kongresu, polityków i wojskowych do uczonych. Nieustanne oskarżenia o nielojalność, przymus podpisywania rozmaitych wiernopoddańczych deklaracji, odmowa wydania wiz zagranicznych, niedopuszczanie uczonych do udziału w zjazdach zagranicznych, wszystko to uczyniło pozycję uczonego niezbyt godną pozazdroszczenia. Dlatego daje się odczuć odpływ najzdolniejszych młodych sił od dyscyplin ścisłych, a zwłaszcza od fizyki, zjawisko to występujące jak dotąd w sposób nikły, może się z czasem spotęgować, przynosząc nieobliczalne szkody dla prawdziwej nauki.

Wymienione zjawiska: przyrodzenie się tajności badań ze środka w cel, kurczowo podtrzymywany mit „cudownej broni” oraz pogarszająca się sytuacja uczonych stanowi — w dziedzinie atomowej — objawy postępującej faszyzacji życia społecznego. W nadchodzących latach faszyzacja ta poprowadzi nie tylko do dalszego ograniczania swobód obywatelskich, ale — co nas w tej chwili najbardziej interesuje — do obniżenia poziomu pracy naukowej. Przyszłość ujrzy nowe, nieustające odkrycia — ale na pewno nie narodzą się one w zespołach naukowych rzemieślników, trzymanych w karbach żelaznymi nakazami tajności i militarnej dyscypliny. Przykład losów nauki niemieckiej w dwunastoleciu hitlerowskiego panowania niejednego może w tej dziedzinie nauczyć.

V.

Po wojnie, gdy rozwiała się częściowo tajemnica osłaniająca Manhattan Project, prasa światowa nie szczędziła pochwał amerykańskiemu geniuszowi technicznemu. Jakich jednak superlatywów trzeba dla właściwej oceny osiągnięć Związku Radzieckiego, który w ciągu kilku lat nie tylko dogonił Stany Zjednoczone w produkcji broni jądrowej, ale nawet je wyprzedził — w dziedzinie pokojowego wytwarzania energii atomowej? Niefachowcowi trudno ocenić potęgę przemysłowo-techniczną, jaka kryje się za prostym stwierdzeniem, że w parę lat po rozpoczęciu pierwszych prac Związek Radziecki może eksportować stosy atomowe o mocy pięciu tysięcy kilowatów. Amerykanie podkreślali wielokrotnie, że zagadnienie użycia energii atomowej do celów wojennych rozwiązali sami; otóż jest to nieprawda nie tylko dlatego, że, jak wskazaliśmy wyżej, pierwsi podjęli prace nad uranem uczeni z Europy, ale także dlatego, że w trakcie postępowania prac całe zespoły fizyków angielskich wyjeżdżały podczas wojny do USA, aby brać w nich udział. W zespołach tych znajdowali się najznakomitsi fizycy Wielkiej Brytanii, tacy jak Oliphant czy Peierls.

Nie chodzi tu o wykazanie dominującej roli Europejczyków, ale o wyjaśnienie, że energetyka atomowa jest dziedziną zbyt wielką, by mogły ją ogarniać najgenialniejsze nawet jednostki; posuwać naprzód może ją tylko praca wielkich zespołów. Dość powiedzieć, że samo zagadnienie budowy reaktorów wymaga współdziałania setek rozmaitych specjalistów. Przystępując do dzieła, Amerykanie

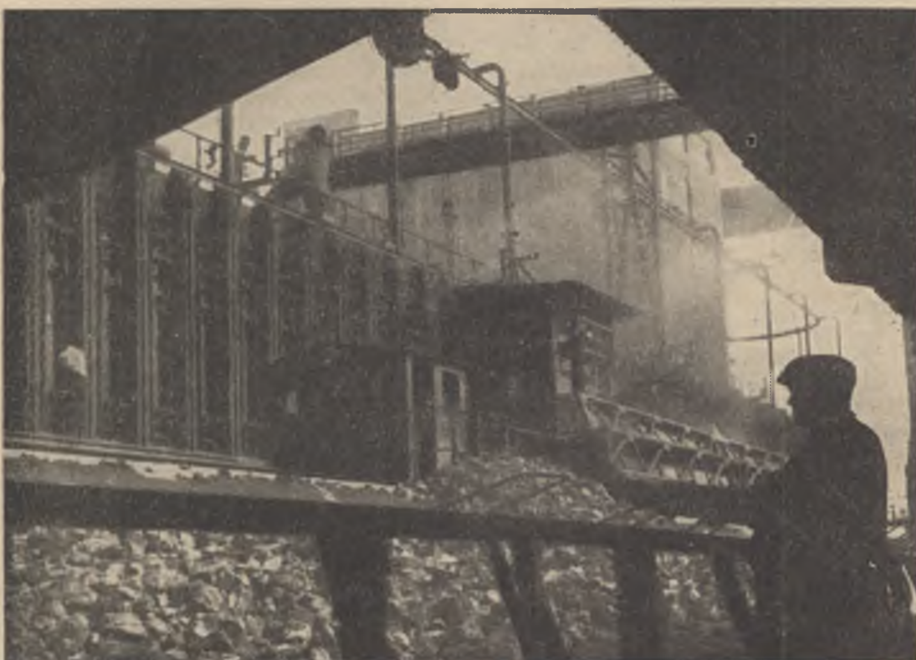
dysponowali czołówką fizyki światowej, olbrzymimi elektrowniami i przemysłem, który nie znał szkód wojennych oraz zapasami najlepszej rudy uranowej obu Ameryk i Afryki. Uczeni radzieccy rozpoczęli analogiczne prace w kraju straszliwie zniszczonym wojną, bez jakiejkolwiek pomocy obcych i prowadzili je w czasie, kiedy ich kraj dźwigał się z ruin. Odbudowa pochłaniała miliony ton stali, miliony metrów sześciennych betonu i miliardy kilowatów mocy elektrycznej — a tego samego, poza koncentracją pierwszorzędnych kadr naukowo-technicznych, wymaga realizacja prac atomowych. Przedsięwzięcie, mające na celu wznoszenie z gruzów całych miast, kopalń i fabryk i podnoszenie stopy życiowej narodu z równoczesnym tworzeniem wielkiego przemysłu atomowego wydawało się niemożliwością specjalistom zachodnim. Wiedząc, że największe laboratoria jądrowe ZSRR, jak charkowskie, leżały w 1945 r. w ruinach, że wielkie elektrownie Ukrainy i zachodniej RSFRR nie dawały prądu, przewidywali, iż Ameryka zachowa monopol atomowy co najmniej do 1952—1954 roku. Tymczasem niemożliwe zostało zrealizowane.

Uruchomienie pierwszej radzieckiej elektrowni atomowej w 1954 roku było osiągnięciem tym większym, że miało zasadniczy wpływ na projekty atomowe Amerykanów i Anglików. Często nie zwraca się uwagi na tę pośrednią, lecz niesłychanie doniosłą rolę ZSRR, który polityką swoją zmusza rządy państw kapitalistycznych do rozmaitych „szlachetnych" pociągnięć. I tak Amerykanie ogłosili plan (obliczony na sto lat) pomocy innym krajom, który ma być atomowym odpowiednikiem planu Marshalla. Finansowany przez prywatną firmę General Atomic Corporation, przewiduje budowę reaktorów w rozmaitych częściach świata, uwzględniając nawet budowę specjalnych stosów składanych w rejonach trudno dostępnych. Plan ten jest imponujący, ale jego realizacja napotyka na wielkie trudności. Cena sprzedażna jednego kilowata mocy zainstalowanej reaktorów amerykańskich ma wynosić 250 dolarów. Nie wiadomo, z jakich funduszów będą płacić Stanom Zjednoczonym państwa nieuprzemysłowione. Ponadto poważnym szkopułem będzie uzależnienie każdego kontrahenta projektu amerykańskiego od trustów, posiadających koncesje eksploatacji złóż uranu. Plany Anglików przewidują budowę elektrowni atomowej o mocy dwu milionów kilowatów do roku 1965 oraz eksport stosów, który ma się jednak rozpocząć w nieokreślonej bliżej przyszłości. W przeciwieństwie do obu tych projektów Związek Radziecki międzynarodową swą działalnością w dziedzinie pokojowego wykorzystania energii atomowej rozpoczął od konkretnych czynów: od oferty dostarczenia stosów atomowych szeregowi państw, z tym, że akcją tą mogą zostać objęte także państwa nie wymienione w pierwszym komunikacie. Na zachodzie przypuszczają, że Indie i Jugosławia zainteresują się propozycjami radzieckimi. Równocześnie Związek Radziecki zamierza opublikować szczegółowe sprawozdanie z pracy pierwszej elektrowni atomowej (wg TASS). Przyczyni się to do rozwiania tajności wokół badań atomowych i udaremni próby prywatnych monopoli utrzymania praw patentowych w dziedzinie produkcji przemysłowej reaktorów. Stosy, które ZSRR będzie eksportował, posiadają moc cieplną stosunkowo niewielką, należy jednak wiedzieć, że są to jednostki eksperymentalne, mające służyć głównie kształceniu kadr naukowo-technicznych i produkcji izotopów, ale nie wytwarzaniu przemysłowej energi elektrycznej. Miernikiem rzeczywistego stanu energetyki atomowej w ZSRR jest jeden z ostatnich modeli reaktorów radzieckich, rozwijający przy rozmiarach samochodu moc dwu milionów kilowatów.

Obraz przenikania atomistyki do

wszystkich gałęzi techniki, nauki produkcji przedstawić powinni specjaliści i niewątpliwie niebawem poczną ukazywać się odpowiednie ich publikacje. Ze swojej strony nie chciałbym zakończyć tych uwag peanem na cześć nowego odkrycia. Jest to niewątpliwie wyrosłe z gleby nauki ogromne, wspaniałe drzewo. Niech nam jednak to drzewo nie przesłania lasu zagadnień, które z wytężeniem wszystkich sił musimy opanować, żeby jego owoce przyniosły ludzkości nie śmierć, ale życie.

STANISŁAW LEM



ANNA ZAWADZKA



Było mu dziewięć lat, kiedy przeprowadzili się do nowego osiedla.

W dniu przeprowadzki od samego rana nie zjawił się w domu. Wszyscy domownicy zajęci byli pakowaniem gratów i krzątaniną koło przeprowadzki, a on poszedł sobie na swoje ulubione miejsce — do bunkra. Ten bunkier odkryli kiedyś jego starsi koledzy podczas wałęsania się po lesie. Odtąd stał się dla nich celem wszystkich wypraw, obiektem wszystkich zabaw. Była to dosyć spora dziura wykopana w ziemi na głębokość wzrostu małego chłopca. Sklepienie i boczne ściany podtrzymywały niezbyt grube, nieociosane belki, trochę już zmurszałe, nad bunkrem zaś usypany był nie wielki kopiec ziemi porośnięty trawą i zielskiem. Cały ten przybytek ukryty był w gęstych zaroślach, jedynie wejście wychodziło na przestrzeń trochę wolniejszą. Chłopcy opowiadali między sobą, że w bunkrze tym mieszkali kiedyś partyzanci i wymyślali najrozmaitsze historie, w których aż się roiło od bohaterskich czynów, dokonanych przez tych właśnie partyzantów. W rzeczywistości jednak, była to pozostałość po niemieckich żołnierzach, którzy pod koniec wojny widocznie zamyślali tutaj zrobić jakiś punkt obronny.

Kiedy tata wspomniał kilka dni temu o przeprowadzce, w Edkowi ścisnęło się serce na myśl, że będzie musiał rozstać się ze swoim bunkrem. Nie umiał sobie wyobrazić, jak to jego życie tam w osiedlu będzie wyglądało. Przecież tam nic innego nie widać, tylko dom koło domu. Ani jednego drzewa, ani krzaczka; jak się tam będą bawić na złodziei albo partyzantów, kiedy nie będzie się gdzie ukryć. Można by się wprawdzie kryć po sieniach, ale sam był kiedyś świadkiem będąc w odwiedzinach u ciotki, jak jakaś baba wypadła z gębą na grupę chłopców bawiących się na korytarzu, między którymi i on był. Chłopcy robili sierdzącej się kobiecie miny, a kiedy wypadła na nich z trzepakiem, czmychnęli czym prędzej na pole, pozostawiając go najmniejszego na pastwę rozgniewanej kobiety. Cała jej złość wyładowała się na wąskich, chudych plecach Edka, który wtedy przecież nie był niczemu winien.

Od tego czasu nigdy już nie chciał, żeby go mama zabrała z sobą do osiedla, bo na samo pomyślenie wzdrygała nim niechęć.

A teraz nastąpił ten czas, że sami mają się tam przeprowadzić. Edek za mały był jeszcze, żeby zdać sobie sprawę, iż dom, a raczej chałupa w której dotąd mieszkali, może im się jednego razu zwalić na głowy. Wydawało mu się, że ten ktoś, kto dał nakaz przeprowadzki, wyrządza im okrutną krzywdę i dziwił się, że cała rodzina przyjęła to milczkiem i nawet cieszy się z tego.

— Ja do osiedla nie pójdę — rzekł rano czupurnie do matki, gdy kazała mu wyłazić z łóżka, bo się trzeba pakować.

— No, to se tu giździe siedź, na rękach cię nie poniesym — burknęła opryskliwie, ściągając z niego lichą pierzynę i pakując ją razem z innymi w prześcieradło.

Chłopiec wygramolił się z łóżka i stanął bezradny na środku izby.

— Wynoś się gdzieś a nie zawadzaj! — krzyknęła na niego starsza siostra, dźwigając jakiś tobół.

Ba, dobrze mówić: — wynoś się. On sam chciałby jak najprędzej precz stąd, ale gdzie tu jakie portki i reszta ubrania. Całe mieszkanie do góry nogami, jakże tu coś znajdziesz? Próbował kilkakrotnie zaczepić Monikę, ale go odpędziła — taka dziś ważna przy tej przeprowadzce. Mama też ogromnie zajęta, ofuknęła go, gdy się do niej zwrócił. Samemu wreszcie udało się wyciągnąć z toboła wymięte, stare porcięta i kurtkę też udało się znaleźć. Ubrał się pośpiesznie, wymógł od mamy coś do zjedzenia i zapominając o porannej toalecie wymknął się z domu.

— Edek, te, Eda! — ozwało się wołanie.

Na progu domu stała Monika trzymając za rękę najmłodszego brata. — Kaj zaś idziesz chwancie zatracóny? zaopiekuj się Karliczkiem, bo go tu jeszcze możemy zadeptać w tym harmidrze...

— Figa! — burknął do siebie Edek i nie oglądając się wcale pobiegł ile sił starczyło w dół, w stronę lasu.

— Wracaj, bo zawołam mamę — usłyszał jeszcze piskliwy głos siostry, ale nie zwracał na to uwagi. Dopadł pierwszych zarośli i nie zatrzymując się, posunął się między rzadkimi drzewami dalej w dół, w kierunku toru kolejowego.

— Tu mnie już nie znajdą — wytchnął z ulgą, gdy znalazł się wśród gęstniejących zarośli po drugiej stronie toru.

Bunkier znajdował się właśnie w tej części lasu. Władek zaczął się wspinać pod górę. Droga szła stromo między gęstą tarninę i splotem gałązek najróżnorodniejszych krzewów, rosnących tutaj dziko. Całe zbocze okryte już było delikatnym obłoczkiem wiosennej zieleni. Na gałązkach drżały leciutko drobniutkie listeczki, muskane dotykiem ciepłego wietrzyka. Chłopiec przedzierając się przez zarośla zmoczył sobie twarz i ubranie od rosy, ale nawet o tym nie wiedział, tak samo jak nie zdawał sobie sprawy z piękna, które w tym zakątku nie skąpiło swego bogactwa. Wiedział tylko, że jest mu tutaj o każdej porze strasznie dobrze i miło. Ileż razy znajdował tu schronienie, kiedy nabroił coś tam i groziło mu bicie. Ile razy uciekał tutaj, kiedy Monika, której mama odchodząc gdzieś, kazała pilnować małego braciszka chciała go zmusić do podporządkowania. Tutaj wymykał się z domu, kiedy tata — w wypłatę zazwyczaj to bywało — przychodził do domu zawiany i zaczął „biylić" chałupę... Tutaj rodziły się w jego głowie najróżnorodniejsze historie, w których on dokonuje wielu bohaterskich czynów. — A oto opuścić ma to urocze miejsce, zrzec się najprzyjemniejszych zabaw?

Małe serduszko urwisa ścisnęło się żalem, coś wewnątrz dusiło, pod powiekami paliły łzy. Przecież nikt go nie „sparzył", nikt mu nie wyrządził krzywdy, a jednak tak mu było, jakby go okrutnie skrzywdzono. Czuł niechęć do mamy, do taty, do Moniki, do całego świata. W małej głowie aż



się roiło od fantastycznych planów... że sobie w bunkrze urządzi mieszkanie i będzie tu mieszkał, i robił co mu się tylko spodoba. Kupi sobie strzelbę, a jakby komu przyszło do głowy wygonić go stąd, to będzie strzelał i nie da się... Potem przyszło mu na myśl, że bunkier odwiedzają również koledzy. Są starsi i silniejsi od niego i nie pozwolą mu rościć sobie prawa wzajemnego locum... Już wie, zaproponuje im, że on będzie stróżem bunkra i będzie tutaj mieszkał, a oni mogą przychodzić w dzień i urządzać sobie swe zwykłe zabawy... Potem przyszło mu na myśl, że musiałby tu nocować. Ciarki go przeszły na myśl, jak wieczorem koledzy opuszczą go, a on pozostaje w lesie sam... Co innego hasać tutaj o zmroku z innymi chłopcami, a co innego wśród ciemnej nocy samemu... Raz zakładał się wprawdzie z Eryczkiem Urbańczykiem, że przenocuje w bunkrze zupełnie sam, ale stawka była wysoka — album ze znaczkami za 34 korony. Wiedział, że Eryczek nigdy tego nie zdobędzie, dlatego on swego zobowiązania nie musi spełnić. Udawał jednak zawsze gotowość nocowania w bunkrze, tak że mu w końcu nawet starsi koledzy uwierzyli — i wydawało mu się, że go odtąd zaczęli jakoś więcej poważać i liczyć się z nim. Tak mu było dobrze z nimi, chociaż czasem brał od nich cięgi — a teraz opuścić ma to wszystko i szukać sobie nowych kolegów gdzieś w osiedlu?

— Nie, ani mi się śni — myślał. — Ja tu będę do nich przychodził nawet stamtąd, chociaż to daleko — postanowił, spoglądając miękkim spojrzeniem na bunkier — i z tym postanowieniem popędził w stronę domu.

*

Już w pierwszych dniach pobytu w osiedlu, Edek przekonał się, że tu nie będzie mu jednakowoż tak źle, jak przypuszczał. Okazało się, że jest tutaj dosyć miejsca do urządzania zabaw. Prawie koło każdego bloku było pełno wybojów, kopców gliny, najrozmaitszych dziur, a najważniejsze, że tuż za blokiem do którego wprowadzili się rodzice Edka, ciągnie się las, mniejszy wprawdzie od tego, w którym spędzał dotychczas większość swojego wolnego czasu, ale za to więcej dziki, o gęstszym podszyciu. W

tym lesie będzie się można doskonale bawić zdala przed okiem starszych. Edek przekonał się również, że jest tu więcej chłopców o takich samych jak i on zamiłowaniach do wagarów. Zapoznał się z nimi szybko i w dwa tygodnie po przeprowadzce nie myślał już o powrocie do swojego bunkra — ale też wcale o nim nie zapomniał. W głowie jego zrodził się plan, z którym prędko zwierzył się swym nowym kolegom.

Wybudujemy sobie w najodleglejszym zakątku lasu bunkier jeszcze lepszy od „tifbalskiego" — zaproponował raz chłopcom, gdy ci dosyć nasłuchali się już opowiadań o tym Władkowym cudownym bunkrze.

Chłopcy przyjęli propozycję z zachwytem. Było ich na razie sześciu. Zaczęli potajemnie znosić do lasu kloce, gwoździe, kawałki żelaza, które mogły się na coś przydać.

Jeden i drugi nie znajdując potrzebnych rekwizytów koło domu, penetrował piwnice rodziców, a gdy tam nie znajdował co potrzeba, zaczęto zaglądać do piwnic sąsiadów. Upatrzywszy jakąś deskę, kawał drutu lub siekierę, wsuwało się rękę przez szerokie szczeliny drzwi i próbowało się upatrzoną rzecz wydostać. Jeśli nie udało się, zwoływano kolegów i próbowano ostrożnie, aby nikt tego nie spostrzegł wleźć do piwnicy. Rozstawiano w całej piwnicy i po sieniach straże i czujki, które zawczasu ostrzegały o niebezpieczeństwie.

Chłopcy zdawali sobie sprawę, że robią źle, ale równocześnie taki sposób zabawy miał dla nich jakiś niecodzienny urok.

Gdy według ich zdania, materiału do budowy bunkra mieli już dosyć, długonogi Janek przyszedł z propozycją, żeby założyć bandę i tylko jej członkowie będą mieli dozwolony wstęp do bunkra, gdzie będzie ich siedziba. Wybiorą sobie naczelnika, którego wszyscy będą słuchać. Będą urządzali wypady na zagony PGR-u na karpiele, a później, jesienią wybiorą się nawet gdzieś na gruszki.

— Będziemy „kowbojami" — krzyknął zachwycony Edek, któremu przypomniało się opowiadanie o jakichś opryszkach uzbrojonych w pistolety i lassa, którzy uganiali po stepach (nie wiedział dokładnie za czym), strzelali i rzucali na siebie lassami.

— Co to jest „kowboje"? — zapytał najmniejszy z nich Franuś, który raz po raz pociągał nosem nie mogąc żadnymi siłami zmusić nieposłusznej „świeczki", żeby przestała zjeżdżać po górnej wardze.

— To się dowiesz usmarkańcu, aż ich jeden raz na własne oczy zobaczysz w osiedlu — rzekł tonem wyższości Janek, wypinając dumnie pierś, któremu projekt Władka bardzo przypadł do gustu.

Okazało się, że więcej chłopcom w osiedlu zapodobała się nowa zabawa w „kowbojów". Niektórzy z nich zaczęli się zaczytywać w sensacyjnych przedwojennych „Rodokapsach" i innych „kowbojkach" wyszperanych w domowych rupieciach, lub też potajemnie wyciąganych z szafy, gdzie je tata pieczołowicie przechowywał. Lektura ta, w której aż się roiło od fantastycznych przygód, miała decydujący wpływ na psychikę chłopców. Niekontrolowani przez rodziców wałęsali się po osiedlu i z czasem niewinna zabawa przemieniła się w złośliwe wybryki.

Kiedy łobuzy tu i tam spsocili coś, splądrowali pegerowskie plantacje buraków, wytłukli komuś szybę w oknie, sprawa doniosła się do szkoły. Koledzy Edka poskarżyli w klasie, że i on należy do „kowbojów". Nauczycielka zaprowadziła go w czasie przerwy do dyrektora, opowiadając całą sprawę.

Edek stał przed dyrektorem ze spuszczoną głową i na wszystkie zadane mu pytania uparcie milczał. Dyrektor niecierpliwił się, podnosił głos, a Edek mówił sobie w duchu:

— Jeśli mnie uderzy, to już za nic w świecie nie przyjdę do szkoły... będę polował.

Dyrektor nie uderzył go, kazał na-

tomiast napisać do książeczki uczniowskiej, aby matka lub ojciec przyszli do szkoły.

Edek skrzywił lekceważąco usta patrząc na ten groźny na pozór wyrok i medytował chytrze:

— Pokażę to tylko mamie, bo tata, chociaż po zalaniu „chroboka" wyzywa na panoczków razem z nauczycielami, to jednak za każde przewinienie rżnie paskiem — mógłby go za coś takiego sprać — a mama do szkoły na pewno nie pójdzie. Wszak nie jest głupi — wie, że mama, starsza siostra a nawet tata odnoszą się do szkoły z lekceważeniem. Przykazywali się uczyć, to prawda, ale poza tym szkołę mieli gdzieś i niezbyt silno zareagowali na to, że on tu i tam oberwał jakąś piątkę.

A Edek jakoś coraz więcej tracił chęć do uczenia, poza tym jakoś nie podobało mu się w nowej szkole, chociaż była tak piękna, że niektórym dzieciom nawet w marzeniach daleko do takiej.

Zaraz w pierwszych dniach wyczuł, że nie podoba się nauczycielce. Był chłopcem dosyć bystrym, materiał wykładany pojmował dobrze, ale był niedbaluchem. Pisał brzydko, rzeczy nie utrzymywał w porządku i nauczycielka od pierwszych dni jego pojawienia się w szkole karciła go za to. Z początku było mu przykro, postanowił, że się poprawi, — bo chciał przed kolegami uchodzić za bohatera, a z powodu tego karcenia wszyscy na niego patrzeli z drwinami — ale nie wiedział jak zacząć. Spróbował od pisania. Kilka wyrazów udało mu się nawet z wielkim wysiłkiem napisać jako tako, ale ręka nie chciała go jakoś słuchać. On chciał powoli, ale cóż, rękę jakby coś popychało, jakby nią szarpało i litery znów wychodziły niezupełnie tak jak chciał.

Gdy już miał zadanie gotowe, odsunął trochę zeszyt od siebie i przekrzywiając głowę, próbował przyjrzeć się krytycznie swemu dziełu — i nawet był zadowolony. Spojrzał na poprzednie zadania i porównał z dzisiejszym. Tam trzy plamy — jedna większa i dwie mniejsze, dwa razy przekreślane — a dzisiaj bez plam i bez błędu, tylko te litery jeszcze krzywe. Ale na drugi raz spróbuję jeszcze ładniej...

Nauczycielka ogląda zadania.

— Czy zauważy, że ja mam dziś zadanie ładniej napisane niż wczoraj? — myśli Edek gorączkowo, gdy przyszła kolej na niego.

Nauczycielka czyta ze zmarszczonymi brwiami.

— Szkaradniej już nie potrafiłeś? — powiedziała, patrząc na niego chmurno...

Edek chce oponować — przecież wczoraj było gorzej napisane, a nie dziś — myśli w duchu i coś się w nim buntuje. Do końca lekcji siedzi w klasie z taką chmurą w sercu, jaką widział na czole nauczycielki podczas oglądania jego zeszytu.

Pewnego razu nauczycielka zachorowała i na zastępstwo przyszła inna. Edek przyjął to zdarzenie obojętnie. Wykiełkowało już w nim uprzedzenie do wszystkich nauczycielek, do dyrektora i w ogóle do szkoły. Do swej nauczycielki ustosunkował się w taki sposób, który dawał mu pewnego rodzaju satysfakcję. Z góry wiedział, kiedy będzie upomniany i zawczasu wywoływał w sobie odpór na jej złośliwe uwagi. Kiedy nauczycielka karciła go za błędy lub za brak zadania, na zewnątrz nie okazywał niczego. Spuszczał oczy i wydawać by się mogło, że się wstydzi ale w duchu urągał nauczycielce od kóz, małp... mam cię gdzieś — i to mu sprawiało przyjemność.

Teraz, kiedy ta nowa nauczycielka brała do ręki jego zeszyt, w którym znów brak było zadania, już cisły mu się na myśl te wszystkie własne przezwiska, do których wciąż wymyślał nowe, ale cóż to? — ta nie patrzy na niego chmurnie i nie robi złośliwych uwag. Edek nie spuszcza oczy, bo spojrzenie nauczycielki nie pozwala na to.

— Jak ci na imię? — pyta.

Edek wyczuwa w jej głosie jakąś



miękką nutę, chociaż nauczycielka ma zupełnie poważną minę.

— Edek — odpowiada chłopiec cicho.

— Ładne imię, — i chłopiec wygląda na zucha — dodaje lustrując go spojrzeniem.

— Nie mogę uwierzyć, żeby taki zuch zapomniał napisać zadanie.

Edek tym razem zapomniał powtarzać w myślach wyzwisk i brzydkich wyrazów. Skłonił głowę i poczuł... prawdziwy wstyd.

— Proszę towarzyszki nauczycielki — wyrwała się Irka z pierwszej ławki, najlepsza uczennica w klasie — on często przychodzi bez zadania, to jest łobuz...

Edek skłania głowę jeszcze niżej, a równocześnie rodzi się w nim złość na Irkę, że pierwszy raz „nowa", a ona już mu przed nią urabia opinię.

Nauczycielka każe mu siadać, idzie do stołu, ale nie każe wyciągać książek. Rozgląda się po klasie, zatrzymuje na nim trochę dłużej swój wzrok i zaczyna opowiadać. Króciuchna była ta historyjka, w której scharakteryzowała i łobuza, i skarżypytę i resztę dzieci w klasie, które tak długo czuwały nad łobuzem, tłumaczyły mu, otaczały opieką i pomagały w nauce, aż go przyprowadziły na dobrą drogę.

— Skarżenie jest tchórzostwem — powiedziała na koniec — bo niczego nie robi się z taką łatwością, jak właśnie skarżyć.

Edek przez cały ten tydzień, co jego klasę uczyła nowa nauczycielka, nie przyszedł do szkoły ani razu bez zadania, ale za tydzień wróciła ich opiekunka klasowa — i z Edkiem zaczęła się znów ta sama historia.

Chłopiec, który dotychczas miał jeszcze czasem jakieś skrupuły, odczuwał czasem jakąś niechęć do siebie, stawał się coraz bardziej szorstki, zuchwały. Nie spuszczał już oczu, gdy go karcono, lecz patrzył hardo, nieraz drwiąco.

Do szkoły dochodziły słuchy, że u Karczmarków coraz częściej dochodzi do awantur. Tata „pijał" już nie tylko w wypłatę, ale prawie że codziennie, a mama znalazła sobie jakiegoś gacha i jak tylko stary poszedł na szychtę, ona zaraz wynosiła się na cały pół dnia, zostawiając obu chłopców pod opieką Moniki. Monika ma jednak w głowie co innego, niż dom i dzieci. Ma czternaście lat, podobają się jej już chłopcy i jak tylko może, wymyka się z domu spędzając całe godziny koło internatów górniczych, gdzie upatrzyła sobie już swoją sympatię.

Edek nie lubił tak samo domu, jak szkoły. Rozumiał coś niecoś z tego co się u nich w domu dzieje. Teraz jednak nie odczuwał już takiej przykrości, gdy doszło do jakiejś awantury, jak dawniej. Wrażliwość jego uzbroiła się w skorupę, która broniła dostępu wszelkim szlachetniejszym uczuciom. Rozwijała się w nim natomiast coraz silniejsza żądza przygód. Myśl niczym nie krępowana rozwija przed nim najfantastyczniejsze obrazy, w których zawsze on był bohaterem. Raz widział siebie dowódcą karawany na bezludnej pustyni, innym razem na czele partyzantów wycinał w pień całe oddziały hitlerowskie, to znów przewodził bandzie zbójców i wodził za nos całe szwadrony policji.

Cóż więc dziwnego, że fantazje takie wprowadzał w czyn przy pomocy organizowanych zabaw?

Z towarzyszami swej dawnej „kowbojskiej" organizacji nie przestał się spotykać, robił to tylko z większą ostrożnością. Obmyślali jeszcze zuchwalsze wyczyny niż dawniej. Późnymi wieczorami straszyli osiedle strzelaniem z kapslówek, a raz ktoś z nich wpadł na pomysł, że jeszcze lepiej niż z kapslówek, można strzelać z kluczy, takich co to u dołu mają dziurkę. Dziurkę zapychało się szczelnie główkami zapałek i kluczem uwiązanym dla pewności na długim sznurku uderzało się co sił o ścianę domu. Tę część klucza, w której znajdowała się dziurka, rozrywało wtedy z ogromnym hukiem, a chłopczyska aż skakali z radości nie zdając sobie sprawy, że grozi im to kalectwem.

Kluczy z dziurkami zabrakło jednak wkrótce w osiedlu. Wychodziło na to, że będzie trzeba skończyć z tym rodzajem zabawy, ale na szczęście czy nieszczęście, długonogi Janek stwierdził pewnego dnia, że w jego szkole w stróżówce znajduje się wielka tablica nabita gwoździami, na której tercjan wiesza klucze z całej szkoły. Klucze te w większej części posiadają właśnie dziurki. Teraz chodzi o to, jak się do tej tablicy dobrać.

Chłopcy wyśledzili, iż wieczorem, kiedy sprzątaczki przychodzą sprzątać szkołę, brama zostaje otwarta. Nic łatwiejszego, jak wślizgnąć się niespostrzeżenie wykorzystując chwilę, kiedy sprzątaczki rozejdą się do klas, pozdejmować klucze — i znów kilka dni uciechy.

Postanowiono — zrobiono.

Nazajutrz w szkole nowa awantura. Chłopcy nie umieli utrzymać języka za zębami i zaraz się wydało, kto był sprawcą wyczynu.

Edek Karczmarczyk znów stał przed dyrektorem. Pogróżkę, że sprawa zostanie przekazana do rąk milicji, przyjął bez większego wrażenia. Milicja orzekła, że o zajściu powinno się zawiadomić sąd dla nieletnich.

W następnym dniu przyszedł urzędnik sądowy, spisał protokół poinformował się o warunkach domowych każdego z chłopców i orzekł, że owszem, trzeba ich ukarać w myśl regulaminu szkolnego, ale chłopcom tym trzeba poświęcić więcej indywidualnej uwagi — roztoczyć nad nimi opiekę.

Tak więc Edek znalazł się pod opieką. Wiedziano o każdym jego kroku, karcono jeszcze więcej niż przed tym, zadania odrabiał codziennie po

nauce pod dozorem nauczycielki.

Po jakimś czasie tej opieki wydawało się na pozór, że Edkowi wyszły z głowy awanturnicze przygody, ale jakie marzenia roiły się w głowie chłopca, tego nikt nie wiedział.

Może, gdyby tak podejść do niego serdeczniej i przemówić bez cienia złośliwości, starać się zdobyć jego zaufanie, nie zważać na to, że chłopiec patrzy wilkiem — może zwierzyłby się chłopak ze swych marzeń. Można by wtedy przy odrobinie umiejętności pokierować jego namiętnościami tak, aby mu wyszły na pożytek. Ale kto by się obcym dzieckiem aż tak interesował, do tego jeszcze, kiedy ma własnych rodziców? Szkoła robiła, co do niej według przepisów należało, to inne nie wchodziło już w zakres jej obowiązków.

Kiedy Edek w przeciągu sześciu miesięcy niczego nie zbroił, myślano w szkole, że ta opieka pomogła. Na konferencji nauczycielskiej opiekunka czwartej klasy zakomunikowała radosną wieść, że może będzie z niego „człowiek", bo i do nauki lepiej się już zabiera, bez zadania już tak często nie przychodzi — i w ogóle, widać poprawę. Edek Karczmarczyk, któremu groziło przepadnięcie, przeszedł do klasy piątej.

Pewnego jesiennego poranka osiedlem przeszła nowa elektryzująca wieść: okradziono sklep spożywczy, a sprawcami byli trzej mali chłopcy: Edek Karczmarczyk ze swym małym bratem i długonogi Janek.

Dyrekcja szkoły po tym wszystkim nosiła się z zamiarem przekazania chłopca do domu poprawy.

Sąd dla nieletnich orzekł jednak inaczej. Dom rodzinny tego chłopca nie wychowa — to pewne — szkoła nie ma czasu, żeby się tylko z nim użerać — to zrozumiałe — ale trzeba wypróbować jeszcze innego sposobu.

W kilka dni po wykryciu złodziejstwa, Edka wracającego ze szkoły zaczepił jakiś człowiek na motocyklu.

— Słuchaj mały, nie wiesz ty przypadkiem, gdzie tu mieszka górnik Józef Karczmarczyk? Szukałem go w Karwinie, ale tam mi powiedzieli, że się przeprowadził do tego osiedla.

Edek spojrzał na niego spode łba. W głowie błyskawicznie zrodziło się jakieś podejrzenie i już chciał czmychnąć, ale coś zatrzymało go w miejscu.

— Jeżeli chcecie wiedzieć — odezwał się z udaną obojętnością — to mój tata też się nazywa Karczmarczyk, ale go niema w domu, a mamy też niema — uprzedził nieznajomego skwapliwie na wypadek, że ten zapytać mógłby i o mamę.

— A gdzie są twoi rodzice?

— Tata na szychcie, a mama... mama jest... — tu się Edek zaciął, nie wiedząc co na prędce odpowiedzieć...

— Mama pojechała do ciotki...

— Ojej, jaka szkoda, muszę koniecznie z nimi porozmawiać. Nie wiesz kiedy wrócą?

Skąd mógł mu to Edek powiedzieć, kiedy wcale nie interesował się tym, dokąd rodzice się udali. Obcy człowiek wiedział to jednak lepiej od niego, zdążył już wszystko stwierdzić. Celowo czekał na chłopca, aby móc nawiązać z nim znajomość.

— Ja muszę koniecznie na kogoś z rodziców zaczekać. Muszę z nimi porozmawiać o czymś ogromnie ważnym. Przyjechałem z daleka i nie chciałbym wracać do domu z niczym. Może zaprowadzisz mnie do domu?

Edek łamał sobie głowę, co to mogą być za sprawy i w ogóle, co to może być za człowiek? A może przyszedł poskarżyć coś na niego?... Ale w takim wypadku nie uśmiechałby się do niego tak przyjacielsko — i w ogóle, nic mu przecież nie zbroił, bo go widzi dopiero pierwszy raz.

Zlustrował szybko sylwetkę nieznajomego, zatrzymał trochę dłużej wzrok na pięknym, czerwonym motocyklu i szepnął do siebie z uznaniem:

— Fajna Jawa, to się musi jeździć!...

Nieznajomy odgadnął widocznie myśli chłopca, bo uśmiechnął się kącikami ust i powiedział wesoło:

— No co? Nie zaprosisz mnie do domu? Siadaj na tylne siedzenie, jedziemy...

Edek nie miał zamiaru zapraszać obcego do domu, ale chęć przewiezienia się na motocyklu była silniejsza. Wyskoczył zręcznie na tylne siedzenie i wskazał blok, w którym zamieszkiwał.

— Szkoda, że to tak blisko — pomyślał z żalem.

Zatrzymali się przed domem. Edek zlazł z motocykla, gdy wtem nieznajomy przypomniał sobie coś.

— Słuchaj chłopcze, jak daleko stąd do „Mototechny"? Wiesz, to jest taki sklep z rowerami, motocyklami i częściami do motocykli. Nawala mi tylne koło, zdaje się, że muszę wymienić kulkowe łożysko. Mógłbym czekając na twych rodziców kupić go i naprawić mój motocykl, aby nie marnować czasu.

Edek udzielił wskazówek nieznajomemu, wskazał gdzie trzeba iść do „Mototechny", ale nieznajomy nie mógł się jakoś zorientować i poprosił Edka, żeby mu dokładnie wskazał drogę.

Edek rzucił teczkę z książkami w kąt za drzwi sieni i zaraz gotów był pojechać.

— Ej, Edku, czy ty tam zawsze chowasz swoje książki? — zapytał poważnie nieznajomy.

Chłopiec zawstydził się i nie zwrócił nawet uwagi na to, że ten człowiek, choć go niby wcale nie zna, wie jak mu na imię.

Zanieś książki do domu, a ja tu zaczekam. Potem pojedziemy do „Mototechny".

— Ale kiedy w domu niema nikogo, a ja nie mam klucza — odezwał się nieśmiało Edek.

— No, to siadaj na motocykl i trzymaj teczkę przed sobą.

Pojechali do „Mototechny", zakupili potrzebne części i na polnej dróżce, z dala od osiedla i ludzi zaczęli naprawiać maszynę. Niezajomy odmontował tylne koło i zaczął szukać uszkodzenia, nie zwracając pozornie na chłopca uwagi. Gdyby jednak Edek mniej intersował się motocyklem, zauważyłby może, że wzrok tego człowieka ślizga się po nim badawczo, że jest pod baczną obserwacją.

Edek ani się nie spostrzegł, jak wdał się z nieznajomym w poufną rozmowę. Człowiek ten dowiedział się od niego wszystkiego, co chciał wiedzieć.

— Twój tata też chyba ma motocykl, kiedy ty tak dobrze maszynie rozumiesz — powiedział w pewnej chwili z odrobiną celowego pochlebstwa w głosie obcy.

— Nie ma — zawołał chłopiec z żalem — ale mógłby mieć, gdyby tyle pieniędzy nie przepijał.

— Och, to tata pije? — udawał zdziwiony właściciel motocykla.

Edek zorientował się, że powiedział za dużo i umilkł.

— A lubisz jeździć na motocyklu?

— Też ci pytanie! Który chłopiec nie lubi! — Edek przytaknął tylko i oczy mu się zaiskrzyły.

— No, to jak kiedyś innym razem przyjadę, to cię zabiorę na dłuższą przejażdżkę. Ale jeden warunek, zgoda?

Oczy chłopca zawisły na nim pytająco.

— Że już nigdy nie zostawisz teczki za drzwiami sieni.

Edek przytaknął skwapliwie.

Nieznajomy spojrzał na zegarek.

— Cóż to? już trzecia godzina? A ja mam być na czwartą w Ostrawie. Teraz już nie mogę się zobaczyć z twoimi rodzicami, ale przyjadę w najbliższym czasie. Zaczekam znów na ciebie przy szkole, zgoda?

— Zgoda — powiedział Edek, któremu na myśl nie przyszło dociekać nawet w jakiej sprawie ten człowiek chce rozmawiać z rodzicami. Gdyby wiedział, że był to tylko pretekst!

— A nie zapomnij coś mi przyrzekł — zawołał nieznajomy puszczając w ruch maszynę.

— Nie! — krzyknął za nim Edek i pognał szczęśliwy do domu.

W ten sposób rozpoczęła się znajomość małego Karczmarczyka z jego urzędowym opiekunem.

Pan Harok czuwał nad Edkiem i kierował umiejętnie zainteresowaniami chłopca. Zapraszał go często do siebie w domu, gdzie żona poświęcała mu nie mniej uwagi, niż on sam. Pomagali mu w lekcjach, zabierali na wycieczki, wybierali stosowną lekturę, a wszystko to robili ostrożnie, aby chłopiec nie wyczuwał, jaki cel ma ta opieka. Zajęli się tak serdecznie Edkiem, gdyż obywatela Haroka przeznaczył do tego urząd, a prócz tego ob. Harok znany był z tego, iż kochał młodzież, bolał nad jej wykolejaniem się i szukał właściwych środków zaradczych, aby pomagać — wierzył w dobroć każdego człowieka.

Że mały Karczmarczyk nie był zepsutym człowiekiem do gruntu, jak brzmiała opinia w protokołach, poznał ob. Harok przy pierwszym widzeniu się z chłopcem. Twierdził, że brakło tylko ręki, która by właściwie poprowadziła tę trochę skomplikowaną narowistą naturę chłopca.

— Takie warunki domowe, w jakich chłopiec żyje, wypaczyłyby nawet szczerozłoty charakter — usprawiedliwiał opiekun chłopca przed dyrektorem. Nie zawsze jedyną drogą wychowania takich jak Edek, musi być dom poprawy. Wychowaniem dzieci takich jak on, powinno się zająć przede wszystkim społeczeństwo. Trzeba każdemu patrzeć na nie, jak na swe własne. Kiedy zrozumiemy, że odpowiedzialność za losy wszystkich dzieci ciąży na całym społeczeństwie, że sprawa ich wychowania jest naszą osobistą i bardzo żywotną sprawą, wtedy z wszystkich takich Edków Karczmarczyków wyrosną porządni ludzie — twierdził gorąco.

Dyrektor przyznał mu rację, miał jednak obawę, że skoro minie termin opieki urzędowej, młody Karczmarczyk znów się może dostać w złe towarzystwo i znów będzie tak samo jak przedtem.

— Dla mnie termin urzędowej opieki nie istnieje. Przestał być urzędowym terminem po pierwszym widzeniu się z Edkiem. Termin moralnej opieki będzie jednak trwał tak długo, dopóki Edek będzie tego potrzebował.

ANNA ZAWADZKA

JÓZEF PASZ

Skrupuły

Samochód mija most na Olzie i zakręcając na prawo przydaje gazu. Z głuchym łoskotem toczy się po ulicach miasta. Mknie obok domów. Od jednego skoku przebywa przestrzeń dzielącą go od rynku. Z hukiem wpada na jego środek. Zatrzymuje się.

Mieszkańcy wychylają głowy z okien. Zobaczywszy wysypujących się z samochodu umundurowanych ludzi, ukrywają się jednak natychmiast.

— Znów ich tu diabli nadali, — szepnęli blednąc i cofając się w głąb pokojów.

Z wnętrza samochodu zdołało tymczasem wyjść kilkunastu od stóp do głów uzbrojonych żołnierzy w zielonkawych mundurach. Biegiem potoczyli się w dzielnicę leżącą nad Olzą. Żołnierze otaczają ją natychmiast i zablokowawszy wyloty ulic, dobijają się do domów.

— Raus, raus, — krzyczą na osłupiałych i nie wiedzących co począć mieszkańców. Odrywają ich od zajęć, wydobywają z domów, wyrzucają na ulicę. Ustawiają w bezładne kupy. Segregują.

— Männer links, Frauen rechts, Kinder in die Mitte.

Wśród krzyku, płaczu, przekleństw, potrąceń karabinami, zebrała się w ten sposób na ulicy pokaźna ilość ludzi.

Gdy dowodzący oficer stwierdził, że ma ich już dosyć, dał znak gwizdkiem.

Wylatują z domów żołnierze, gromadzą się, popychając przed sobą ostatnich wyrwanych z mieszkań ludzi i według płci i wieku wpychają ich następnie do ustawionych już grup.

Trzy gromady ludzi tłoczą się na ulicy. Wystraszone oczy wpatrują się w oficera . . . Obstępują ich żołnierze, zagradzają drogę, zabierają myśl o ucieczce.

Gdy w ten sposób wykonano pierwszą część zadania, oficer wolnym krokiem podchodzi do kobiet i ku zdumieniu wszystkich poleca im rozejść się. Donośnie brzmi jego: abtretten und nach Hause, aber im Laufschritt, dass ich euch nicht mehr sehe. Nehmet auch die Kinder mit. (Rozejść się i do domu, ale biegiem. Precz mi z oczu. Zabierzcie również dzieci z sobą.)

Następnie każe mężczyznom stanąć w jednym szeregu i odliczywszy dwudziestu z brzegu, przepędza resztę w ten sam sposób, jak poprzednio kobiety i dzieci.

Nie rozeszli się jednak wszyscy. Większość ich stanąwszy opodal, z niepokojem śledzi dalszy przebieg wypadków.

Dwudziestu wydzielonych z ich grona ludzi dotychczas nie wie, czy to sen, czy jawa, tak nagle i niespodziewanie to na nich spadło.

Lecz oficer wydzielił, nie wiedząc o tym, zamiast dwudziestu ludzi, o jednego więcej, może przez pomyłkę, może też ten dwudziesty pierwszy sądził, że jest dwudziestym, albo tak zdrętwiał z przerażenia, że nie mógł ruszyć z miejsca i opuścić grupy. Nie można było ustalić jak było naprawdę.

Na komendę „rechts um und marsch" grupa pomaszerowała na rynek, gdzie ją zatrzymano i ustawiono pod ścianą.

Każąc opróżnić z mieszkańców dom, przed którym stanęli — man darf nicht das Leben anderer Menschen aufs Spiel setzen (nie wolno nikogo narażać) — mówiąc, oficer wydobył z zanadrza jakiś skrypt i zwracając się do ludzi stojących pod ścianą, ale również do tłumu — widzów spektaklu — zaczął odczytywać przy-

gotowaną w tym celu „Kundmachung” rozplakatowaną poprzednio po mieście.

— Dziś rano na drodze prowadzącej z Jabłonkowa do Nawsia, niedaleko mostu w pobliżu zajazdu, padł z rąk nikczemnych polskich bandytów, gnieżdżących się w tej części miasta, niemiecki żołnierz i z tego powodu dla przykładu i dla odstraszenia z dzielnicy tej wybrałem z rozkazu moich władz przełożonych dwudziestu ludzi, którzy teraz będą rozstrzelani. Sądzę, że to wystarczy, aby tym podobne wypadki się już nie powtórzyły.

Odczytawszy głośno odezwę, oficer zwraca się zaraz potem do feldfebla i dając mu znak ręką, krzyknie:

— Los, tut eure Schuldigkeit, aber schnell und gruendlich.

(Wio, czyńcie waszą powinność, a teraz szybko i dokładnie.)

Podoficer chciał coś zauważyć, ale nie zdobywszy się na odpowiedź, zwłaszcza, że porucznik już się był odwrócił, wziął oddział żołnierzy pod swoją komendę, utworzył z nich jedną linię i zaraz potem na jego rozkaz przyłożyli grenadierzy karabiny do lica i niezwłocznie — znów na komendę — dali kilka salw do stojących pod ścianą ludzi.

Wszystko to odegrało się z błyskawiczną szybkością. Gdyby ktoś z zegarkiem w ręku sprawdzał czas od chwili pojawienia się samochodu na rynku do wykrzyknięcia rozkazu „Feuer”, stwierdził by, że wszystko to nie trwało dłużej aniżeli piętnaście minut.

Pod ścianą walają się ciała zabitych ofiar. Obficie spłynęła krwią ziemia. Na ścianie domu wystąpił rząd oczodołów; jakby przebudzone z letargu patrzą czyjeś wystraszone oczy na rynek.

— Die Leichen werden sofort weggeschafft, verstanden? (Trupy natychmiast uprzątnąć, zrozumiano?) — zwraca się oficer do ludzi płaczących albo przypatrujących się temu wszystkiemu w ponurym milczeniu. — Dafür mache ich die Stadt verantwortlich. (Za wykonanie tego rozkazu czynię odpowiedzialnym miasto.)

— So, wir wären fertig. (Tak, jesteśmy gotowi), — zauważa potem do żołnierzy i wsuwa reskrypt z powrotem do zanadrza.

Lecz gdy chce wezwać oddział, by się przygotował do odjazdu, zwraca się doń podoficer z zafrasowaną miną:

— Mir scheint, wir haben einen zuviel umgebracht.

— Wie, was? Was sagen sie da? Bitte nachzuzählen.

(— Wydaje mi się, żeśmy o jednego więcej wysłali na tamten świat.

(— Co takiego, co pan mówi, proszę sprawdzić.)

Sam potem zaczął liczyć. Inni mu pomagali i za każdym razem naliczyli nie dwudziestu zabitych, lecz dwudziestu i jednego.

— Przeklęta robota. Jak się usprawiedliwimy?

Mówiąc to, stoją bezradnie nad dwudziestym pierwszym trupem. Rozkładają ręce. „Das kann uns teuer zu stehen kommen.”

— Tak, to zawsze bywa tak, jeżeli się coś robi na gorąco.

— Co nagle, to po diable, — dodaje sentencjonalnie feldfebel.

— Co tu zrobić? — A może żyje — pyta z iskierką nadziei.

— Nein, nein, der ist mausetot. Ein Schuss ins Herz.

(— Nie, nie, ten nie żyje. Kula przeszyła serce.)

Oficer zafrasował się. Krew napłynęła mu do serca. Zbladł.

— Wie werden wir das verantworten? (— Jak to usprawiedliwimy.)

— Żeby go tak przypisać?

— To niemożliwe, wszyscy wiedzą, że ma ich być dwudziestu.

Obwieszczenia rozplakatowano w mieście.

Milczą. Patrzą na trupa. — Co tu zrobić? — Pyta się każdy. Ale nikt nie znajduje odpowiedzi.

— Da gibts nichts zu lachen. —

(Czego się śmiejecie?) Oficer zwraca się do otaczającego go tłumu, nie mogącego zrozumieć jego skrupułów. — Er ist doch ganz unschuldig dazu gekommen. (Przecież zginął zupełnie niewinnie.)

— Jednego mniej albo więcej, — pada drwiące pytanie.

— Nie można w ten sposób traktować sprawy.

— No, a co do reszty, to pan Leutnant nie ma wątpliwości? Ci byli schuldig? — pyta natarczywie ten sam głos. Oficer milczy. Może go nawet nie słyszał.

Potem nastąpiło coś, czego nikt z tłumu nie mógł zrozumieć, tak było niespodziane.

— Ci inni są przecież winni, no naturalnie, winni — mówi raczej do siebie oficer. — Ale ten? Nie, ten nie jest winny. — Brzmi to jak odpowiedź na poprzednie pytanie.

— Postąpiłem ściśle według rozkazu, — szepce. — Dwudziestu za jednego. Tak brzmiał Befehl. Ale ten tu. Nie. Ten jeden?

Nikt z tłumu nie rozumie tych słów. Coś niezrozumiałego, dziwnego dzieje się z tym człowiekiem.

Przerażenie i przygnębienie oficera udzieliło się oddziałowi. W osłupieniu patrzą grenadierzy na tego jednego ponad normę zabitego człowieka.

— Jak uczynić niebyłym to, co się stało?

— Nie mogę przejść do porządku nad moim postępkiem.

— Ach, co ja zrobię?

— Czy nie ma wyjścia z tego?

Na czoło oficera wystąpił pot.

— Czy nie ma wyjścia z tego, — powtarza. Z oczu jego patrzy obłęd.

Oficer patrzy przed siebie. Potem się rozgląda. Rozszerzają mu się oczy. Stają kołem. Z czoła padają krople potu.

Szyderczy śmiech, który dał się słyszeć poprzednio tu i ówdzie, zamarł. Nie odzywa się już nikt. W osłupieniu patrzy tłum na oficera.

Ciężko oddychają ludzie. Nie mogą zrozumieć, co się dzieje w sercu oficera.

Potem oficer wyrywa pistolet zza pasa. Rozgląda się wokoło. Wzdycha. Przykłada go do skroni. Nikt się już nie dziwi, gdy pociąga za spust.

Ciało jego spada na dwudziestego pierwszego z grupy zabitych. Krew jego miesza się z jego krwią.

Westchnął tłum.

— Ein aufrechter Charakter.

— Ein aufrechter Mann.

— Ein ehrenvoller Tod.

— Krótko mówiąc, postąpił honorowo, — streszcza wywody swoich ludzi feldfebel. — Cześć jego pamięci.

JÓZEF PASZ

GUSTAW PRZECZEK

Radosny dzień Hanki

(Opowiadanie)

Siedziała skromna i taka niepozorna, że może w innym wypadku nikt by jej nie zauważył, ale dziś niemal wszyscy w sali patrzą w jej stronę z zaciekawieniem, co ją jeszcze więcej onieśmiela i wywołuje na twarzy żywsze rumieńce.

Sala jest pełna. Głowa przy głowie. Są nawet ci, którzy dotychczas nie są członkami spółdzielni. Przyszli z ciekawości, ponieważ w ostatnich czasach coraz więcej we wsi mówi się o tej spółdzielni, o której wyrażano się zawsze z odcieniem pogardy, względnie co najmniej z odcieniem nieufności, w rodzaju: — Namawiacie do spółdzielni, a patrzcie, jakie są wyniki... Mówicie o dobrobycie, a wszyscy dziadują... lub: — Do bani, do bani z tym wszystkim, lepiej nie zawracać głowy. Sami przecież widzicie co i jak... Nam łba nie oszołomi byle czym, byle obiecanką, nam trzeba widzieć wszystko jak na dłoni... tutaj — pokazywali swe spracowane dłonie, na których mozoły jak guzy świeciły i oskarżały ustrój kapitalistyczny... a przecież ustrój ten byli gotowi chwalić, zaślepieni i niewidomi, nie dostrzegający zmian, jakie zaszły wszędzie dookoła nich i jakie wciąż zachodzą.

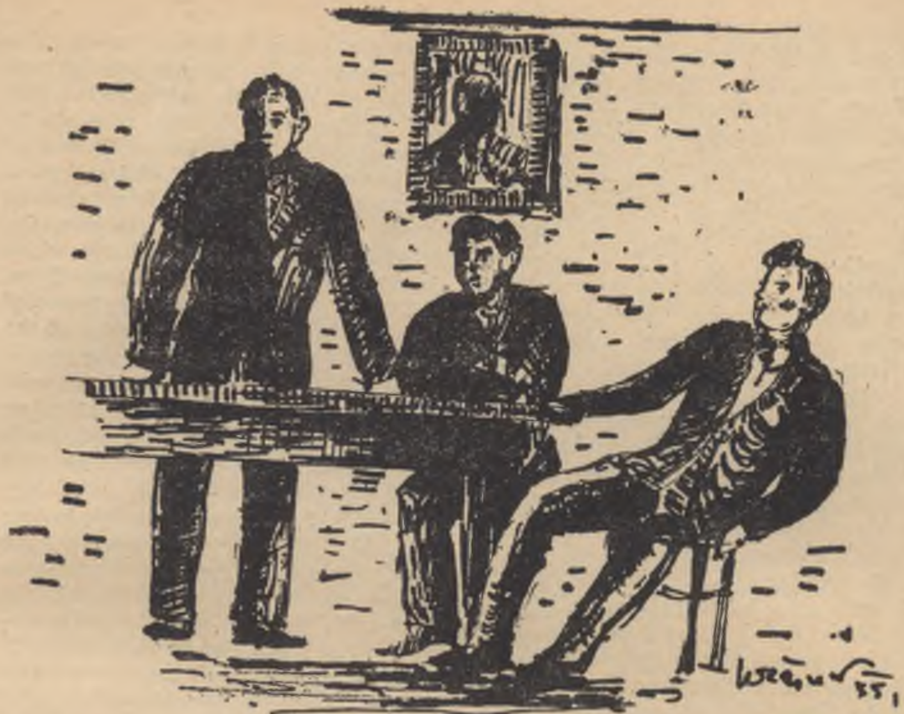
To wszystko dostrzegł i zrozumiał młody jeszcze, bo trzydziestkę co dopiero przekroczył, Józef Kobielusz. Miał on dobrze we łbie — jak mawiano — i dlatego wybrano go na przewodniczącego miejscowej organizacji partyjnej. Cieszył się ogólnym zaufaniem i poważaniem. Pomimo swego młodzieńczego jeszcze wieku poznał już życie na wskroś, z obu stron. Na własnej skórze poznał tę bolesną prawdę. Życie rzadko lubi uśmiechy w kraju, gdzie władzę trzymają bogacze. Poznał niejeden raz upokorzenie zmieszane z palącym bólem uderzenia, którego nie szczędził niezadowolony gospodarz. I dlatego Józek zrozumiał pierwszy, dlaczego spółdzielnia w wiosce nie cieszy się zaufaniem i dlatego nie rozwija się pomyślnie. Widział jak na dłoni robotę bogaczy. Ho-ho! umieją oni okręcić koło palca parobków i dziewki. Dużo by one mogły opowiedzieć o swym życiu... a najwięcej bodaj taka Hanka Sobocikówna.

Siedziała sobie skromnie na brzegu stołu prezydialnego, onieśmielona jakaś całym dzisiejszym otoczeniem. Wpatrywała się w stół, a kiedy podniosła głowę, oczy jej spotkały się z oczyma Józka, który równał kartki napisanego referatu i uśmiechnęła się.

Na pewno wyparłaby się, że to nie do niego uśmiech ten należał. Jest tylko bardzo szczęśliwa, a do Józka — czuje wdzięczność za to, że wskazał jej nową, piękniejszą drogę i pomógł jej na tę drogę wejść. Zawsze pragnęła być prawdziwym człowiekiem, czuć się potrzebną i użyteczną... To urzeczywistniało się, stało się realne i prawdziwe! I właśnie dzisiaj wszystko to przeżywa głęboko i świadomość tego daje jej pełne szczęście.

Patrzała z ufnością na salę. Natrafiła na spojrzenia jasne i szczere. Inne kryły się przed jej wzrokiem. Niejeden skrzywdził ją za ten rok pracy w spółdzielni, dziś za to wstydzi się i pragnąłby podejść do niej i przeprosić ją. Wszyscy patrzą na nią z wdzięcznością. To jej zasługa, że dzisiejszy bilans rocznej pracy spółdzielni jest radosny.

Sala była pięknie ozdobiona. Na frontowej ścianie widniało hasło wypisane dużymi literami koloru dojrzałych wiśni, głosząc, iż podstawą dobrobytu na wsi jest spółdzielnia produkcyjna, a ponad hasłem były portrety. Całość jakby ujmowały w



naręcz garście złocistych kłosów z lewej i z prawej strony. Boczne ściany przyozdobione były fotografiami przedstawiającymi pracę rolnika w różnych porach roku, a największy obraz przedstawiał entuzjastyczny skup zboża. Długi szereg aut i furmanek, ozdobionych flagami, obrazami wodzów proletariatu i hasłami, czekał na kolejkę, by oddać swe bogactwo na wspólny stół narodu. Na twarzach ludzi gościł uśmiech radości i dumy z wykonanego zadania.

Bogate są dzieje dwu lat spółdzielni.

Wtedy, przed dwoma laty, kilku zaledwie zapaleńców przystąpiło do wspólnej pracy.

Pierwsze kroki spółdzielni jak kroki małego dziecka, które nie umie jeszcze dobrze chodzić, były nieśmiałe i niezdarne zarazem.

Nie wszystko szło od razu dobrze jakby z bicza strzelił, nie wszystko się podobało... Często rodził się sprzeciw, dlaczego to, a dlaczego tamto... Mądrych było dużo, lecz dobrych rad skąpo. Dlatego rychło dochodziło do niezadowolenia, ostrej wymiany zdań, zarzutów i oskarżeń.

W tym ogólnym kwasie jak w dzieży chlebowej rodził się nowy pogląd na świat, nowe pojęcie pracy na wsi. Argumenty zaczęły trafiać do przekonania rolników. Zaczęli zastanawiać się, potem nieśmiało dyskutować, potem coraz głośniej, aż rozjaśniło się w ich głowach. Zaczęli pojmować i rozumieć, obliczać i wysuwać wnioski, które ostatecznie na głowę pobiły dotychczasowe stare zapatrywania i pojęcia.

— Opłaca się — powtarzali i kiwali głowami. Na spółdzielczym lepiej obrodzi zboże, więcej zbierze się ziemniaków, dochody będą większe.

Sala huczała jak rojny ul. Była przepełniona. Od ściany do ściany, jak rzeka grożąca wylewem dosięgając już wysokich brzegów, falowała różnobarwnym tłumem. Niektórzy niecierpliwili się już przydługim czekaniem.

Za prezydialnym stołem siedział

zarząd spółdzielni, Hanka i Józek. Przewodniczący, stary komornik, którego twarz przeorana biedą i nędzą, wyglądała obecnie jak orka wiosenna, ozłocona uśmiechem wiosennego słońca, wstał i głosem spokojnym zagaił zebranie. Mówił o radosnym dniu dzisiejszym, który będzie początkiem nowego okresu rozkwitu spółdzielni. Mówił przekonywająco.

Sala uciszyła się. Przerwano rozmowy. Oczy zebranych utkwiły w sylwetce przewodniczącego.

Potem przemawiał Józek Kobielusz. Mówił zrazu przyciszonym głosem, potem zapalał się coraz bardziej. Mówił o biedzie, o nędzy, o okropnym położeniu ludzi na wsi dawnej, w okresie panowania bogaczy wiejskich i wielkoobszarników.

W mocnym i przekonywających słowach oskarżał ustrój kapitalistyczny. Mówił o najcięższym okresie okupacji, wyzwoleniu, a potem dotknął się tego co najbardziej wszystkich bolało. Nie gładził słów, ale w szorstkich słowach prawdy opowiedział o losach wsi od wyzwolenia do dnia dzisiejszego.

Wszyscy słuchali z zapartym tchem. Wielu z obecnych podczas przemówienia przeżywało własne życie, od dziecka do pastuszka gęsi; potem kiedy stał się pasterzem, parobkiem i wyrobnikiem u bogatych gospodarzy.

Słuchała i Hanka. Józek porywał słowami, zniewalał, kazał pójść torami swoich myśli, przekonywał. Opowiadał o poniżeniu człowieka, który posiadał tylko dwoje uczciwych rąk. I swoją zapłakaną dolę.

Przed oczyma Hanki zatarła się rzeczywistość. Wydawało się jej, że Józek opowiada o jej życiu, o jej upodleniu, zanim właśnie on jej nie wydarł z ciemności i nie wskazał piękniejszego życia.

* * *

Hanka widzi się znów dziewczynką, nieletnią jeszcze. Ma nie więcej jak sześć lat. Przecież to już dawno, wszystko jakby to było wczoraj. Ojca nie znała wcale, nie pamięta go, nie wrócił z pierwszej wojny światowej, tak bardzo dawno, lecz pamięta to a kiedy odchodził liczyła nie dużo więcej ponad rok życia. Matka często opowiadała jej o ojcu. Wierzyła, że wróci. Przecież często zdarzało się, że ktoś wracał, brudny, chudy, zbiedzony, witany jakby z tamtego świata. Tylko w domu Hanki było wciąż smutno. Na próżno czekali. Matka pracowała od świtu do zmierzchu u bogatych gospodarzy, a kiedy Hanka już na tyle podrosła, że potrafiła bez niczyjej pomocy dobrze biegać, pasła gęsi i kaczki. Tak bardzo zawsze troskała się, by jej nie weszły w szkodę, ponieważ gospodarz bardzo się potem gniewał i obiecywał jej porcję bicia szerokim błyszczącym pasem, którym podpasywał swój wysadzisty jak beczułka brzuch zawinięty w białą koszulę, która groziła, że lada moment wysunie się z obsuwających się z pochyłości brzucha spodni.

Wszystko to dobrze pamięta. Czasem zwracała się do matki z natrętnymi pytaniami, dlaczego oni są biedni i nic nie posiadają. Ona nawet bucików nie posiada, o których zawsze tyle marzyła, gdy tymczasem gospodarz posiadał wszystko, a jego Maryla miała nawet kilka par bucików, nawet takie czerwone, które tak lśniły, że Hanka musiała mrużyć oczka, kiedy na nie patrzała.

Potem przyszła ta czarna jesień, deszczowa, słotna i nieprzyjemna. Wcześnie spadł śnieg i chociaż stajał po kilku dniach, niebo pozostało zaciągnięte burymi, ciężkimi chmurzyskami, z których często padał przejmujący zimny deszcz, dął lodowaty, przewiewający liche gałgany ubrań do kości wiatr północny. Wczesny śnieg przypadał resztę ziemniaków i wszystkie buraki. Nie można było czekać na lepszą pogodę. Gospodarz naglił, kazał pracować od świtu do nocy. Znośnie było przyzwoicie ubranym, ale matka nie miała ciepłego przyodziewku. Na próżno starała się zagrzać pracując zapamiętale jak

potrafiła najlepiej. Po kilku dniach przyszła gorączka, lecz gospodarz ani słyszeć nie chciał o chorobie. — Na chorobę czas w zimie, kiedy wszystko będzie pod dachem — mawiał. — A do lekarza? Lekarz nie jest dla biedoty... Póki możesz, pracuj, kiedy nie możesz już, umieraj. Na twoje miejsce przyjdą inni, którzy tak samo będą pracować i umierać.

Tego dnia matka Hanki nie wytrzymała do wieczora. Musiano ją odprowadzić do domu. Położono ją w zimnej komorze. Wiatr hulał przez szpary koło nieszczelnych okien i spróchniałego poszycia między belkami.

Hanka umyła się sama i położyła koło matki. Nie zasnęła wcale. Matka mówiła przez sen, żaliła się, potem wzywała Hankę, a kiedy Hanka trzęsąca się na całym ciele przytuliła się do niej i zapytała:

— Co chcecie, matusiu?... — nic jej nie odpowiadała. Po chwili wszystko powtarzało się na nowo.

Hanka bała się okropnie. Za oknami szalał wicher, deszcz tłukł o szyby, na strychu coś skrzypiało. Wcisnęła się więc do poduszek, żeby tylko móc oddychać... Bała się czarnej nocy, która straszyła ją koszmarnymi cieniami.

Wreszcie nad ranem matka uciszyła się. Może zasnęła. Hanka zmęczona i całkiem wyczerpana bezsennym czuwaniem i strachem zasnęła. Kiedy zbudziła się, zobaczyła pełną komorę bab, które pochlipywały, a niektóre klękały koło łóżka i żegnały się szerokim krzyżem, a kiedy usiadła w łóżku, głaskały ją po główce i mówiły do niej: „Sierotko". Nie rozumiała tego. Pojęcie sieroty znała tylko z baśni o sierotkach, o których jej czasem opowiadała matka.

Na pogrzebie płakała jak wszyscy, lecz nie uświadamiała sobie co ją czeka. Wszystkiego nauczyło ją życie, twarde i bezwzględne.

Po pogrzebie zabrał ją do siebie bogaty gospodarz, u którego pracowała jej matka. Tak usądziły kumoszki, które znały jej matkę i umiały się tylko nad nią litować.

Kazano jej spać samej w małej komórce koło kuchni. Bała się bardzo. Przez całą noc płakała. Kiedy rano wstała z napuchniętymi oczyma, gospodyni karciła ją i o mało nie zbiła. Nie skarżyła się odtąd nigdy.

W domu gospodyni pracowała ponad siły. Do szkoły chodziła rzadko i tylko w zimie. Kiedy miała trzynaście lat, skończyła się dla niej szkoła. Nie dla biednych ona. Podpisać się umie, śpiewać z modlitewnika również, niczego jej więcej umieć nie potrzeba. Dla takich jak Hanka jest praca, dom i chlew, żeby tylko wszystko było w porządku, to i do nieba może się dostać. Musi być tylko posłuszna i pracowita.

Tak upływały miesiące i lata. Hanka żyła atmosferą obejścia gospodarskiego i ciągłej pracy, a najczęściej zrzędzenia gospodyni, która starała się ze wszystkiego być niezadowolona, by nie wykazać odrobiny serca, bo to nieszczęście pofolgować służącej, jak mawiała do sąsiadek. Hanka nie interesowała się niczym, rzadko wychodziła, ponieważ nie miała się w co ubrać, a w miarę jak wyrastała, umiała dostrzec potrzebę nowej sukienki. Przyjemnie jej było, kiedy dostrzegała, że podoba się komuś. Ale rzadko spotykała ją ta przyjemność, ponieważ tylko czasem chodziła do kościoła. Gospodyni lubiła dzieci, co pogłębiało samotność domu. Hanka jednak nie czuła się samotna. Pochłaniała ją całkiem praca, którą kochała. Raz tylko nietaktownie podszedł do niej gospodarz i był względem niej natrętny. Wtedy raczej przestraszyła się. W jego oczach wyczytała coś, czego nie umiała nazwać, jakieś dzikie pożądanie, które kazało jej krzyczeć... Gospodarz wtedy dał spokój i uciekł, syknąwszy tylko: „Nie krzycz, głupia kozo, kiedy cię ze skóry nie obdzierają..." Odtąd dał jej spokój, ale często czuła jego spojrzenie świdrujące ją na wskroś.

Hanka stała się ładną dziewczyną. Skromna sukienka nie mogła przy-

tłumić jej wdzięków dziewczęcych. Jej ciemne duże oczy, wysokie czoło, które od góry przysłaniała figlarna grzywka kruczych włosów, czyniły z niej istotę głęboko myślącą. Obfite sploty falistych włosów spływały jej aż na ramiona. Podwiązywała je czerwoną wstążeczką, wypłowiałą już i szarą, lecz kolor jej znaczył się mile dla oka od ciemnego koloru włosów.

Nie skarżyła się nigdy na swój ciężki los. Przyzwyczaiła się do tego trybu życia. A może nawet źle by się czuła, gdyby ją wyrwano z tego środowiska.

Jedynie z kościoła wracała czasem rozgoryczona. Nie mogła pogodzić się z słowami księdza, który kazał z ambony, iż należy wszystko pokornie znosić, przebaczać cicho i sumiennie pracować, a po śmierci przyjdzie nagroda za wszystkie cierpienia na ziemi w postaci zbawienia duszy. Ale zbawieni mieli być w pierwszym rzędzie najbogatsi, którzy na kościół największe składali dary, a ona dotychczas nic dać nie mogła, ponieważ nic nie posiadała. Pieniędzy jej gospodyni do rąk nie dała, ponieważ — jak mawiała — były jej niepotrzebne, bo wszystko, co jej było do życia potrzebne, otrzymywała. Czuła podświadomie, że w tym jest coś nie w porządku. Straciła wiarę w to, co mówi ksiądz. Zaczęła się buntować w sobie. Nie mówiła tego nikomu, ale do kościoła przestała chodzić.

Pewnego razu byli u gospodarzy goście. Dużo jedli i pili. W życiu tyle wszystkiego nie widziała. Wtedy jeden młody pan, który miał twarz białą niemal jak kreda i szeroko podkrążone oczy, chwiejąc się na nogach wywijał rękami i w pijaństwie zaczął wyzywać — aż się Hanka przelękła.

— Pozamykać, powywieszać bandę... żeby im się odechciało strajkować i burd wyprawiać.

Inni dorzucali swoje trzy grosze jak drew do ognia, by rozszerzyć pożar nienawiści do tamtych znienawidzonych ludzi.

— Hołota...



— Nie chce im się pracować.

— Wiadomo, że dziady, darmozjady...

— Zamiast palce lizać z wdzięczności swym pracodawcom, jakichś buntów się im zachciewa. Raz muszą zrozumieć, że są robotnikami i obowiązkiem ich jest milczeć i posłusznie pracować — krzyczał na całe gardło ów nieznajomy.

— Rząd powinien pokazać swą moc i tych najgorszych — tu pokazał ruch zarzucenia sznura na kark i zawiśnięcia.

Hanka zaczęła się nad tym wszystkim zastanawiać. W jej świadomości ścierały się różne zasłyszane poglądy. Nie rozumiała tych spraw. Po omacku szukała rozwiązania. Rozumowała tak, że jeśli buntowali się, musieli mieć jakiś powód. Nie było by tego, gdyby im się powodziło dobrze. Ale zaraz stawiała sobie sama pytanie, a dlaczego ona się nie buntuje, przecież jej nie jest dobrze, jest biedna,

na własne oczy widziała jak inni żyją; ona na same dno życia została zepchnięta, miałaby więc chyba równe prawo buntować się, ale tu została bezradna, jak? co? Niechaj spróbuje, gospodyni wyrzuci ją na zbity łeb i co zrobi... chyba trawę jeść będzie.

Potem przyszła wojna, przyszli Niemcy, zabierali ludzi, zamykali ich w jakichś obozach za drutami, potem często po wsi krążyły słuchy, że ten i tamten zginął w tych obozach, które musiały być straszne... Do gospodyni uczęszczali gestapowcy, ale nie przetrząsali domu jak u innych, lecz siadali w dużym pokoju, razem z gospodarzem i gospodynią, jedli i pili, bawili się i wyprawiali głupstwa.

Wszystko zmieniło się, kiedy zimowym rankiem słychać było nagle potężne strzały armatnie, aż dudniało szeroko po zaśnieżonych przestrzeniach.

Gospodarze stali się niespokojni, a Niemcy i ci różni panowie, którzy u Grabców gościli, zniknęli bez śladu.

Tymczasem kanonada zbliżała się raptownie, na drogach pełno było żołnierzy niemieckich, aut, armat, wozów, wszędzie pełno krzyku, wszystko to uciekało na zachód.

Gospodyni stała się dla Hanki słodka jak cukierek, nie napędzała jej do pracy, nie krzyczała, chodziła jak koło malowanego jajka. Ale Hanka stała się już mechanicznym robotem, więc nie było jej trzeba nigdy napędzać. Wykonywała swą pracę jakby odmierzał maszyną.

Wreszcie Niemcy uciekli i przyszła Armia Czerwona. Do domu gospodyni codziennie schodzili się wieczorami co najbogatsi gospodarze ze wsi i długo do nocy naradzali się.

Minęło kilka miesięcy. Wszystko uspokoiło się. Gospodyni z każdym dniem stawała się pewniejszą siebie i wreszcie powróciła do starych narowów pańskich. Hanka zaczęła buntować się, ale w końcu ponownie uległa gospodyni. Znów niżej pochyliła głowę i z zaciśniętymi ustami pracowała od świtu do nocy.

A potem nadszedł ten dzień. To już było kilka lat po wojnie. We wsi założono spółdzielnię produkcyjną, do której wstąpili przeważnie małorolni, potem nagle zaczęli zgłaszać się najwięksi gospodarze, lecz na to nie zgodził się Józef Kobielusz. We wsi Cicha, położonej w malowniczej dolinie Olzy, rozpoczęła się zażarta walka. Biedota podnosiła Józka Kobielusza pod niebiosy, bogacze robili z niego rogatego diabła, przed którym trzeba strzec się jak przed zarazą.

Hanka nie widziała Józka, ale według słów gospodyni wyobrażała go sobie jako potwornego mężczyznę, o przebrzydłej gębie, z której sączy się jad komunizmu.

Był piękny dzień jesienny, gdy Grabcowa zawołała głosem, wyrażającym i złość, i nienawiść, i przestrach zarazem.

— Pochować wszystko, bo ten Antychryst idzie...

Hankę ciarki przechodziły po grzbiecie, kiedy usłyszała w swej komórce po małej chwili podniesione głosy w pokoju, a potem wypowiedziane swe imię. Wypowiedział je męski głos o bardzo dźwięcznym zabarwieniu. Wreszcie rozwścieczona gospodyni zawołała Hankę.

— Opowiedz temu panu, jak ci się u nas powodzi — rzuciła wściekle, szybko dodając jakby chciała uprzedzić co powie Hanka: — Chyba smażonych języczków ptasich jej brak tylko, bo tych nie mam, ale poza tym lepiej się nigdzie mieć nie może jak u nas...

Józek uśmiechnął sie do Hanki. która stała koło drzwi onieśmielona. Głos jego był miękki i spokojny, raczej łagodny. Nie, takiego głosu nie ma chyba Antychryst — przeleciała jej przez głowę naiwna myśl.

Przed nią stał młody mężczyzna o słabym zaroście na brodzie, może nie o nadzwyczajnej urodzie, ale w jego szczupłej twarzy czaiła się dobroć i współczucie, nie wiadomo do kogo obecnie skierowane...

Hanka milczała.

— Proszę powiedzieć, ale szczerze, jak się czujecie w tym domu i czy

naprawdę opływacie w te wszystkie wygody, o których przed chwilą słyszałem.

Gospodyni skrzywiła twarz grymasem.

Hanka po raz pierwszy spojrzała w jego oczy. Były spokojne i mądre.

— Nie wiem jakby to powiedzieć... — wahała się jakby nie wiedziała co ma powiedzieć. — Jeść mam co, to prawda . . .

— Razem z gospodarzami jecie?

— Nie — odpowiedziała ze zdziwieniem. Przecież ona jest służącą, gdzie ona mogła by razem z gospodarzami. Tego nigdy nie było . . .

Wyczytał jej zdziwienie z oczu i zrozumiał. Pytał dalej.

— Co otrzymujecie za swą pracę u gospodyni?

— Ubranie i jedzenie . . . a potem mam otrzymać . . .

— Układamy jej na książeczkę do kasy, żeby miała na stare lata — przerwała sama gospodyni.

— Jakie to są te ubrania, które otrzymujecie — zapytał dalej przy czym spojrzał na jej więcej niż nędzną sukienkę.

— Mam jeszcze jedną — zarumieniła się jak dziewczyna szesnastoletnia chociaż już dawno było jej po trzydziestce.

Zrozumiał. Obecnie zwrócił się wprost do gospodyni.

— Ile ma na książeczce tych . . . oszczędności? — mocno zaakcentował ostatni wyraz.

Gospodyni zmieszała się.

— Nie wiem, to tam stary mo kansi . . .

— Przynieście . . .

Na gospodynię wyszły zimne poty. Przecież nie ma żadnej książeczki.

— Przecież Hanka jest u nas jak córka . . .

— W szmaty ubierana, do krów wyłącznie przeznaczona, która w komorze sypia obok chlewa, w sieni jada . . .

Nie miała na to gospodyni odpowiedzi. Nie oczekiwał jej nawet Józek. Widział wszystko doskonale, postanowił więc szybko sprawę załatwić.

— Postanowiliśmy zaproponować towarzysce Hance Sobocik wstąpienie do spółdzielni i objęcie kierownictwa hodowli bydła.

Gospodyni chciała oponować, ale nie zdobyła się na żadne słowo.

— Potrzebujemy w spółdzielni dobrą i sumienną pracownicę . . .

Spojrzał na nią. Była oszołomiona. Czyż mogła o tym kiedykolwiek pomyśleć, by odeszła od gospodyni, bo i któż by ją przyjął do pracy, biedną sierotę, nieobytą w świecie, niezaradną . . . A potem bała się wszystkiego co nowe, czego nie znała, bała się jeszcze gorszego losu, przyzwyczajona jak koń do chomąta.

— Za służbę zapłacicie jej od czternastego roku życia, — rzucił na pożegnanie Józek — od czasu kiedy stała się u was służącą do wszystkiego. Aby was zbytnio nie zaciążać rachunkami, należność wyliczymy sami i zawiadomimy za pośrednictwem sądu ludowego.

Gospodyni stała jak słup, blada, z szeroko otwartymi oczyma i z rozdziawioną gębą.

— Więc żebraków z nas chcecie zrobić?

I zaczęła rwać włosy z głowy i lamentować. Hance żal się jej zrobiło, ale głos Józka był stanowczy.

— Proszę, towarzyszko, zabierzcie swoje rzeczy, ruszamy. Macie już przygotowany pokoik, a pojutrze wyjeżdżacie na kurs hodowli bydła, potrzebujemy kwalifikowaną siłę.

To wszystko przyszło tak gwałtownie i nieoczekiwanie, że posłusznie zgodziła się na wszystko. Nie potrafiła się sprzeciwić. Wydawało się jej, że śni i za chwilę obudzi się, a potem odpokutuje za to wszystko. Gospodyni nie daruje jej tego.

Za kilka chwil z węzełkiem w ręce stanęła przed nim jak niedoświadczona i bezradna dziewczynka, którą trzeba chwycić za rękę i poprowadzić, bo sama się lęka pójść naprzód.

Po drodze dużo opowiadał jej o nowym życiu, lecz ona nic nie słyszała

i nic nie rozumiała. Za dużo przeżywała naraz wrażeń. Jedno tylko zrozumiała, że i ona ma prawo do szczęścia...

Przez kilka dni chodziła jak nieprzytomna. Nie mogła pojąć tych zmian, które zaszły w jej życiu. Nikt nie popychał jej, nikt nie krzyczał, nie słyszała urągliwych i uszczypliwych słów pod swym adresem. Kupiono jej nową sukienkę, płaszcz, trzewiki, bieliznę, wszystko co potrzebowała. Potem zwróci wszystko, kiedy otrzyma wynagrodzenie za swą pracę i za wieloletnią służbę u gospodyni. Kupili jej książki i zeszyty, kazali czytać gazety.

Kiedy wzięła do ręki ołówek i pióro, stanęła przed nią nowa trudność. Z wszelkimi pracami dawała sobie radę, ale ołówek i pióro... Z uporem zabrała się do pracy. Przez całe dwa dni pisała, przypomniała sobie, czego się nauczyła przez te kilka zim w szkole. Wrodzone zdolności pomogły jej. A Józek ciepłym słowem dodawał jej nowych sił i wiary.

Do kursu poszła z lekkim drżeniem serca, ale z wiarą, że potrafi, kurs ukończy i będzie pomocą dla spółdzielni, z którą zaznajomiła się już pobieżnie.

Potem przyszła praca w kursie. Nie była łatwa. Trudności nauczyły ją hartu i uporu. Nie może ulec! Jaki by to był wstyd, gdyby zawiodła tych, którzy wyciągnęli do niej pomocną rękę, aby ją nauczyć lepszego i piękniejszego życia!

Kurs ukończyła z pochwałą. Do spółdzielni powróciła pełna sił i otuchy.

Ciężkie były pierwsze miesiące pracy w spółdzielni. Zła gospodarka w ubiegłym roku nagromadziła w ludziach tyle, tyle złości, że aż kipiała. Szczególnie bolesne było dla niej pierwsze posiedzenie spółdzielni.

Z sali patrzyły na nią spojrzenia złe, nieprzychylne i nieufne, gniewne i nieprzyjazne, jakby chciały mówić: „Wiemy co chcecie z nas zrobić — dziadów i nic więcej. Gdzie są te obiecane dochody. Macie je gdzieś..."

Wtedy słyszała przemawiać po raz pierwszy Józka. Spokojnie i konkretnie wykazał, w czym spółdzielnia błądziła, co robiła źle i naszkicował plan, który wytyczyła sobie spółdzielnia, by zło naprawić. Za mało Spółdzielnia wysyłała ludzi na kurs hodowli żywca, a przecież to bardzo ważne. Spółdzielnia wysłała na kurs hodowli tow. Hankę Sobocikównę, która fachowo zabierze się do rzeczy według wzorów radzieckich, a za rok zobaczymy...

Po sali przeleciał wtedy niewyraźny pomruk.

Dla Hanki rozpoczęła się prawdziwa gehenna. Gdzie ruszyła się, towarzyszyły jej docinki, przykre, nieznośne, natrętne ubliżające i krzywdzące. Nie zrażała się. Uczyła się hartu od Józka, który na wszystko znalazł radę i uczył spółdzielców jak mają iść naprzód. Był wszędzie, gdzie najbardziej był potrzebny. A wrogowie przeklinali go i życzyli połamania nóg i skręcenia karku.

Hanka z wielkim trudem zorganizowała brygadę kobiet i dziewcząt. Nie wierzyły w powodzenie, zgodziły się raczej z ciekawości.

— Zobaczymy co to będzie i jak to będzie z tymi nowymi metodami? — Ale po kilku miesiącach wszystko zaczęło się zmieniać na lepsze. I dziś są świadkami pierwszego sukcesu, który tak bardzo cieszy. Dodaje nowych skrzydeł do lotu. Zapala uśmiech na twarzy.

Sala słuchała uważnie przemówienia Józka Kobielusza. Mówił obszernie i uzasadniał w jaki sposób spółdzielnia osiągnęła w roku ubiegłym tak dobre wyniki.

— Tajemnica jest prosta. Trzeba krowy otoczyć troskliwą opieką, trzeba je racjonalnie karmić, trzeba umieć doić, jak nas uczy Malininowa, a wieprze trzeba odpowiednio karmić najwydatniejszą karmą. Trzeba wiedzieć dokładnie — czego i ile. Z ołówkiem w ręku. Nie tak jak dawniej, na chybił trafił. A wtedy i dojki rekordową ilość mleka dają, jak np. Pstrokatka, która daje nam 2500 l

rocznie, a świniarka Jewka Bielczykowa pod kierownictwem Hanki osiąga największy przyrost dziennej wagi u wieprzów.

Oto tajemnica naszych sukcesów i zadowolenia nas wszystkich, ponieważ lepsze wyniki naszej pracy zapewniają spółdzielcom większe dochody i lepsze warunki życia.

Słuchacze patrzą z szacunkiem na drobną postać Hanki. Zna ją cała wieś, zwłaszcza od czasu kiedy w prasie pojawiła się fotografia i dłuższy artykuł o pracy Hanki. Nikt we wsi wtedy o niczym innym nie mówił jak tylko na temat jej wyróżnienia. Jest najlepszą pracownicą spółdzielni w okręgu, najlepsze dotychczas osiągnęła wyniki. Otrzyma nagrodę...

— Należy jej się słusznie — przytakiwali wszyscy...

Józek kończył swe przemówienie.

— Obywatele! Celowo naszkicowałem przed wami dzieje ostatnich lat, by na przykładzie najbliższych nam wszystkim, najbardziej zrozumiałym wykazać, że idziemy dobrą drogą, że przed nami jest radośniejsza przyszłość.

Nie zaraz było dobrze. Sami byliście tego świadkami. Ale człowiek nie może ulegać, ale musi walczyć i zwyciężać, szukać przyczyn i usuwać je.

Nam się to udało. A wynik? Dziś odczujemy to szczególnie radośnie, kiedy każdy z nas otrzyma dopłatę za cały rok pracy. A będze tego dosyć, by zakupić wszystko potrzebne, a w niejednym wypadku uprzyjemnić sobie życie... Przytoczę tylko kilka przykładów: Karol Dzięgiel z rodziną otrzyma osiemnaście tysięcy koron dopłaty, wdowa Pinkasowa otrzyma sama przeszło siedem tysięcy... Tak moglibyśmy wyszczególniać wszystkich pracowników naszej spółdzielni...

Pozwólcie, że na zakończenie podziękuję w szczególności pracownicy naszej, która w największej mierze przyczyniła się do tego, że tak radośnie możemy dziś bilansować naszą pracę.

Najszczersze nasze podziękowanie należy się naszej Hance Sobocikównie, która ukończywszy kurs hodowli bydła potrafiła usunąć niedomagania, podniosła hodowlę świń, podniosła mleczność naszych krów dzięki umiejętnemu zastosowaniu metody Malininowej... Właśnie hodowla żywca przyniosła nam najwięcej dochodów. Po tej drodze pójdziemy dalej, a nasza Hanka, która okazała się zdolną kierowniczką naszej produkcji zwierzęcej, na pewno sięgnie po dalsze sukcesy, by to dawne życie, które miało dla niej tylko poniewierkę, nigdy nie wróciło.

Dziękuję jej za pracę i życzę dużo sił i zapału, by w dalszym roku osiągnęła jeszcze lepsze wyniki...

Żywiołowe oklaski, które uderzyły w niski strop sali, należały do niej, do Hanki, która potrafiła sobie zdobyć swą sumienną pracą serca wszystkich spółdzielców. Oczy wszystkich szukały jej drobnej postaci, siedzącej na brzegu stołu prezydialnego.

Atmosfera na sali stała się ciepła i serdeczna.

Hanka czuła się onieśmielona a zarazem szczęśliwa. Dziwny spokój zapełnił jej duszę a zarazem wielka ufność w życie, w tych ludzi, którzy ją darzą zaufaniem i dziękują jej oklaskami za jej pracę...

Coś zmusiło ją do powstania i zgłoszenia się do słowa, coś czego by nazwać nie umiała. Musi wypowiedzieć tę wielką myśl, która utkwiła w jej głowie, musi wyrazić to wielkie uczucie, które jak wysoki płomień buzuje w jej sercu.

Sala ucichła jakby makiem zasiał. W oczach skierowanych do niej czytać można radość i przyjaźń, szczerość i dobroć... Może dlatego właśnie stoi taka odważna, śmiała, a jej drobna postać wyrasta jakby w górę i potężnieje.

— Dzień dzisiejszy jest w moim przeszło trzydziestoletnim życiu dniem najpiękniejszym, którego nie zapomnę nigdy. Każdy człowiek ma w życiu takie dni, które stanowią przełom w jego dotychczasowym życiu.

Dziś potrafię sobie jasno uświadomić, że trzydzieści lat życia utraciłam i dopiero niedawno zaczęłam żyć. Ten ostatni rok był dla mnie szkołą, a dzień dzisiejszy dniem, w którym otrzymuję promocję po pomyślnie zdanym egzaminie. Przeżywam radosny dzień, który wywalczyłam dla siebie przy waszej pomocy.

Pragnąc więc podziękować tym wszystkim, którym zawdzięczam swe nowe urodziny, to radosne życie, które przeżywam, którym zawdzięczam to, że stałam się z kopciuszka i popychadła, człowiekiem; ja, która nie znałam nic prócz obory i swej komory, pragnę podziękować naszej władzy ludowej, partii i wam wszystkim, którzy mi pomagaliście i okazaliście tyle serca, pragnę podziękować przede wszystkim towarzyszowi Józkowi Kobieluszowi, który mnie wydarł z tego starego świata zła, poniżenia, kłamstwa i fałszu i wprowadził mnie do nowego życia, którego przed tym nie znałam . . . Życie jest takie piękne, tylko my czasem nie umiemy dostrzec jego piękna.

W oczach zebranych zalśniały perliste łzy . . .

Kiedy skończyła, długo jeszcze panowała niczym niezakłócona cisza. Ludzie z przejęcia zapomnieli o oklaskach.

Hanka odwróciła się w stronę Józka. W jej spojrzeniu igrał uśmiech szczęścia.

GUSTAW PRZECZEK



Józef Ondrusz

z Śląskich opowieści ludowych

Ondraszek w Czornym Lesie

W Czornym Lesie przi Wrysztocie siedzioł roz na pniu Óndraszek. A tu siedzioł roz na pniu Óndraszek. A tu Wrysztota na jermak. Óndraszek sie ji pyto:

— Każ idziecie, babeczko?

— Na, do Wrysztota na jermak.

— A cóż tam słychać o Óndraszku?

— Na tóż, dobry je z niego człowiek, bo bogoczóm biere, a biydokóm dowo.

— A cóż bydziecie kupować na tym jermaku?

— Na, chłopu na galaty, dzieckóm na jakisi szacióntka, a sobie na każdo na kabot.

— Tak poczkejcie! — prawi Óndraszek. I namierził babce tela najroztomańtszego płótna i sukna, że tego ani uniyść nie poradziła.

Zaroz potym szła przez las jakosi drugo baba. Zaś sie ji Óndraszek pyto:



— Każ idziecie, babko?

— Na, do Wrysztota na jermak.

— A cóż tam słychać o Óndraszku?

— Óndraszek? To je taki zbujnik stodiosi, zły człowiek z piekła rodym!

— A cóż bydziecie kupować na tym jermaku?

— Na, chłopu móm kupić ćwiynczków, bo mój chłop je szewcym.

— Tak mi tych ćwiynczków na tym jermaku przikupcie — prawił Óndraszek i doł babie ryńszczok.

Baba poszła na jermak.

Kiedy wracała, Óndraszek już tam na nióm czakoł.

— Ćwiynczki mocie? — pyto sie Óndraszek.

— Oto sóm!

— Tak ty ćwiynczki teraz porachujymy!

I Óndraszek broł ćwiynczek po ćwiynczku, układoł na pniu czopkami na dół, a ostrymi kóńcami do góry, i rachowoł. A potym powiedzioł babie:

— Tak, babo, to mocie za to, że Óndraszek je z piekła rodym! — i porwoł babe, i posadził jóm na tych ćwiynczkach. — To mocie na pamióntke od Óndraszka!

Baba przeokropnie wrzaskła, a potym popydliła przez las ku chałupie, aż sie za nióm kurziło.

Tak sie Óndraszek umioł odwdziynczyć ludzióm dobrym i złym. Dobrym za dobre, złym za złe.

Ubogi i bogaty

Roz prziszeł biydny chłop do bogocza, a tyn prowie rachowoł pinióndze. Chłop se siednół przi bogoczu i dziwoł sie mu. Bogocz sie go pyto:

— Chciołbyś ty pinióndze?

— Na toć bych chcioł! — prawi chłop.

Tak mi opowiydz cosik takigo, co bych tymu nie uwierził, a wtedy ty pinióndze bydóm twoji.

Chłop se rozmyślo i prawi:

— Tak mój nieboszczyk tata mioł taki wielki woły, że niż jaskółki przeleciały z jednego roga na drugi, to miały trzi razy młode. Może to być prowda?

— Na toć, że może! — prawi bogocz.

Chłop zaś rozmyślo, rozmyślo i prawi:

— Mój ujec był tesorzym i budowoł takóm wielkóm wieże. Roz, jak był na samym wiyrchu, to mu siykiyra spadła, i niż doleciała na ziym, to piyńć razy toporzisko zgniło i zaś sie nowe nabiło. Wierzicie tymu, czy ni?

— To sie wiy, że wierzym! — prawi bogocz.

Chłopu już było ciepło, bo mu o ty pinióndze szło, tóż prawi:

— Roz zaś padoł deszcz. Szełech do lasa. A tak strasznie lolo, żech szeł na ślepo, boch na krok nie widzioł przed siebie. I prziszełech na takóm



wielkóm łónke, a tam sie pasło stado świń. Wlezym pómiyndzy ty świnie, a tu wóm siedzi taki stary, fusaty

pastyrz pod strasznie wielkim strzechoczym. Podziwóm sie mu lepszy, i wierzcie mi albo ni, ale byliście to wy, panoczku . . .

— Co to? Jo, taki bogocz, joch pos świnie?

— Aha, teraz was móm! — prawi chłop. — Dowejcie mi zaroz ty piniondze!

Bogocz otworził gymbe, bo sie dziepro teraz spamiyntoł, że przegroł, a chłop pozbiyroł piniondze i szeł wiesioło ku chałupie.

O jednym cygónie

Roz przriszeł cygón do jednej baby. Miała óna prowie gyńś na piekoczu w trómbie. Nie było ji w izbie, tóż cygón łap gyńś do torby, a na piekocz doł swój stary kyrpiec. Baba przileciała do izby. Cygón sie ji pyto:

— Gaździnko, znaliście starego Gónsiora na Piekarowicach?

A Gaździnka chciała sie cygóna pozbyć, tóż prawi:

— Znałach, chłopeczku, znałach!

— Już go tam nima! — prawi cygón. — Teraz tam je Charbolista, a stary Gónsior poszeł do Tornistrowic.

Baba pokiwała głowóm, że już bezma o tym słyszała, dała jeszcze cosik cygónowi i prawiła mu potym, że nimo moc czasu, tóż cygón poszeł. Dziepro nieskorzi, jak zazdrzyła do trómby, poznała, o czym cygón mówił. Poleciała za nim, ale po cygónie nie było słychu-dychu.

JÓZEF ONDRUSZ



ADAM WAWROSZ

Nieczysto siła



Miesiączek wykuloł sie z poza Girowej, kiedy Chraścina doszmatłoł sie i z koziskym aż do Karpętnej. Chodnik z Jabłónkowa zdoł sie mu dzisio djoselnie dłógi, a to isto tymu, że mu w czepani brniało po samogónie, kieróm go ciotka poczęstowała, a po kierej oczy sie mu zamgliły, nożyska stwierdły, szolątając chłopym od szkarpy do szkarpy.

Chraścina byłby sie isto szczęśliwie domackoł do chałupy, gdyby nie ta przegrzeszóno karczma, kiero stoła akurat przi samej cieście, a od kierej ciągnył sie słodkawy zoduch piwa. Chraścine cosi, połechtało w hyrtóniu, że tyn wólki nie wólki musioł koze uwiązać przi płocie i wlyść do szynku.

— Nalejóm mi też tam achtliczek! — siod na ławie, naprosto obrazu wypasiónego cysorza Francka Jozefa. Chciwym okym przelecioł po półce, na kierej stoły flaszki z Wojkowską, Fazalówką, Błogocicką i inszymi lepszymi kwitami kiere popijali lepsi ludzie.

Prowie o tym czasie, kiedy Chraścina truł chroboka i osłodzoł se tyn gorski żywot, siedym jego głodnych latorośli wyzyzowało przez okno na pole i niecierpliwie czakało na kózke. Nejstarsi dwo już od rana sie ujodali. Jónek prawił, że koza beje szuto, Jędrysek zaś tuplowoł że rogato. Prowie zakłodali sie o stare jarganki kiedy Chraścinka zawołała.

— Dziecka do barłoga! Nogi myć, porzykać a spać; taty sie już isto nie doczkómy bo zaś beje w karczmie siedzioł, — westchnęła jakosi żałośnie i ułożyła dzieci do spanio. Nejmłodszych wpakowała do jednego łóżka ze słómóm, kiere wyglądało jak corek na zimnioki; Jędrysowi kiery fórt jakosi pokuckowoł posłała na ciepłej nolepie, zaś nejstarszy Jónek poszeł do kumory i na trokach zagrzeboł sie do starych łącisków.

Zgasło mdłe światło lampki i noc rozloła sie po szarych ścianach goralskij izbeczki. Na polu wiaterek cicho pomrukowoł we smyrekach swoji wieczorne pieśniczki a nikiedy rozlyg sie po gróniu wrzask sowy. Z poza Jaworowego prziwłóczyły sie ciężki chmurska i swymi cielskami zakryły miesiączek kiery przez szparki zoglądoł do Chraścinowej drzewiónki.

Chałupa Chraściny była mało i podobno do rozczapiónej kury na gnioździe, przylepiónym do grónia i

ogrodzónym do koła lasym. Pod chałupóm kyrczył sie lyn na zogónach, i zielyniła sie nociónka, pod kieróm rodziły sie drobne zimnioczki. Wedla zogónów z roku na rok rosło grómadzisko skolo, kiere było jakby przeklyństwym wyoranym z jałowej ziymi. Deszcz przez rok zlizowoł z grapy gline i niechowoł na zogónach jyny skoli, pod kierym rodziła sie biyda.

Chraścinowie żyli na odludziu, kaj je początek wody a kóniec chleba, abo jak to sie śmieją; kaj djoboł prawi „dobra noc". — W lichej, szędziołami krytej chałupie biydy było aż piszczało. Nie żeby Chraścina był lyniwy, to ni. Robił w lesie i jakisi tyn grejcar zarobił. Jednóm ale chorobe mioł i to szkarednóm, kiero go gryzła jak rak, a to była niepohamowano chęć do kwitu. Jak go to utypiło, to aji o północy gnoł chłapca z flaszeczką do karczmy. Dziwne mioł to swoji notursko. Jak był krzyźby to ze żodnym ani słowa nieprzerządził. Chodził stulóny jak nimocny pies. Jak sie ale dorwoł ku gorzołce to mu rady nie było. Śpiywoł, holofił i radowoł sie jak głodne dziecko kiedy dostanie bułeczke z pieknej mąki. Ludzie o nim mówili, że nimo wszystkich dóma. Stare babki repeciły o nim, że sie już taki podciep urodził. Już snoci w pierzince dycki powrzaskowoł tak dłógo aż mu musieli dać waczek zamoczany w kwicie. Dyć starymu Chraścinie jak już na starość na kwit nie starczyło to sie brynu chycił. We swej szczodrości ani dziecków nie lutowoł dać choćby polizać . . .

— Jaki ojciec, taki syn! — powiadali ludzie i po cichu lutowali młodóm Chraścinke i te drobne dzieci, kierych przibywało jako w przisłowiu „co rok to prorok".

Chraścince żol było dzieci kiere były tak chudziutki, że na jejich zioberkach móg by grać jak na ksylofónie. Chocioż od chłopa nimógła wybrnieć ani grejcara, jednak uzięła sie kupić koze, aby mlykym choć kapke wygładzić im te zapadłe lica. Cały rok przędła wełne i plytła wieczorami ludzióm kopytka, abo nogowki. Tak uściskała sztyry ryński na koze, kieróm ji ciotka w Jabłónkowie sprzedać obiecała.

Dłógo sie baba dzisio obracała w łóżku. Jakosi radość i niepokój szarpoł ji serce i wyganioł spani. W oczach malowała sie ji jutrzejszo misa ze zimniokami polotymi kozim mlykym. Słyszała mlaskani dzieci, kierych dziynnym jodłym była kapusta i ziymnioczki z chudaczkóm. Jakisi dziwne poczuci łechtało ją po sercu. Czuła że wypowiedziała wojne biydzie kiero usiedliła sie w jejich chałupie.

Jedynoście pizło na godzinach, kiedy Chraścina wyszeł z gospody. Zaczyno prowie ślępieć i gęsto ćma na dobrze połknyła chłopa. Szeł jakby ze zawiązanymi oczami ku płotu, kaj po dłógim nuchcyniu namacoł koze. Procno rozszypłoł porwózek z płotu i poszeł przed siebie ze śpiywym, kiery rozlygoł sie po polach jak wrzask puhacza.

Koza tyrckała za nim cicho i potulnie. Gdyby nie bioły brzuch to by ani chłopisko nie widzioł czy kludzi koze abo jyny porwózek. W Karpęckim lesie kozisko sie popszniło. Musiało sie ji nie podobać to holofiyni czy szmatłani po całej cešcie. Jednak po dłógim mordowisku dowlykli sie szczęśliwie do swoji dziedziny.

Na marowni prowie biła północ. — Lechki odpoczynek racz im dać Panie! — Póć koziczko, już nie dłógo a bejesz mieć suchy chlyweczek. — wymamroł chłop pocichu i skulił sie jeszcze bardży, bo deszcz już szczurkym ściykoł mu po grzbiecie.

Chraścinka fórt nimógła i nimógła usnyć. Posłóchała jak deszcz giszy z rynny, aż naroz usłyszała ręplowani po oknie i ożrały głos: — Zuzeczko, babko moja, stowej, oto koza twoja!

Porwała na siebie hacke i z latarnią w ręce stanyła przed pociynkym.

— Tak chłopeczku kaj mosz te koziczke? — odezwała sie trzęsącym głosem, bo serce w ni pytlowało z radości i wzruszynio.

— Oto sie bieli, nie widzisz? tu

mosz porwózek i poświyć lepi... Czyś je ślepo?!

Chraścinka wziyna porwózek, dźwigła latarke i o mało nie kopyrtła. Drugi kóniec porwózka był zamotany do szczotoka a na jego suchych karkoszkach bieliła sie stargano babsko koszula.

— Jędrysmaryną, chłopie, cóżeś to przismyczył za djobelstwo? — z płaczym zajowejczała baba.

— Na każ mosz te koze?

Chraścine aż zaciyno. Chwile nimóg ze siebie ani słowa wystękać. Oczy mu wylazły na wyrch i włosiska zjeżyły sie mu na głowie. Zaczón sie bić w piersi i bulczeć jak bez rozumu o czarach, kierchowie i jakisi nieczystej sile. Chraścinka kiero była isto że ji chłop piniądze przepił, srómotnie sie rozpajedziła. Popadła chłopa jak jastrząb kure i zasmyczyła do chlywka.

— Tyś je ta nieczysto siła, pijoku przegrzeszóny! Tu se leż a rano sie z tobóm sporządzym. — Trzasła dwiyrzami na rygiel i poszła do łóżka.

— Za co mie jyny tak Ponbóczek korze? — zaskumlała z płaczym po cichu. Dziepro ku ranu sen osuszył ji łzy i ukolyboł tyn serdeczny żol. Biyda stanyła nad jejim łóżkym, wyszczyrzyła szpetne swe zębska i zacharczała z tryumfym:

— Jo tu je paniom ni ty! Mie sie nie pozbejesz nigdy, tak jak twój chłop nigdy nie przestanie pić gorzołki!

Kiedy piyrszy prómyczki rannego słónka mucły wyrch Jaworowego, obudzili sie chłapcy Chraściny. Jónek piyrszy wygramuloł sie z troków, zebroł Jędrysa i cichutko jak ciynie wytracili sie z izbeczki. Zamierzyli prosto ku chlywku, aby obezdrzyć koze. Kiedy odewrzili chlywek to im ze strachu aż nogi stwierdły, bo z chlywka zamiast kozy wyszkroboł sie po piesku ich tata.

W chałupie wszyscy jakosi pomarkotnieli. Chraścinka ze żodnym nie przerządziła ani słowa, jyny co chwila fiąkła do fortucha i ucyrała se oczy. Dzieci po kątach tuliły sie do siebie i pglądały na tate, kiery całego półdnia siedzioł na ławie jak krupami zbity. Z jego połoranego czoła było widać, że o czymsi strasznie rozmyślo. A Chraścina naprowde rozmyśloł i czuł sie jak sagi w pokrziwach. W uszach mu dzwóniły godziny na marowni. Północ, czas duchów... Nieczysto siła, strach nim fórt trzepoł.

— To zato żeś pił ni za swoji piniądze — hóczało mu w uszach.

Kiedy siedli w połednie ku jednej misce z kierej wóń kwaków rozlywała sie po izbie, Chraścinowi fórt jeszcze sie ręce trzęsły, że ani łyżki nimóg udzierżeć. Każdy łyk zdoł sie mu gorski. Sumiyni zaczynało dopiykać i fórt słyszoł tyn plugawy głos.

— Dziecka wyjodosz. Nima cie gańba! Z djobłamiś sie spiknył widzisz, zato zdybali ci koze. Bedóm mlyko pić w piekle djobły ale nie twoji boroczki głodne, łato spolóno! — Ciche strzebani przerwoł ciyniutki głos małego Jurka.

— Tatulku, kany je koziczka? — Wszyscy podziwali sie na tate, jakoby czakali odpowiedzi. Chraścinowi łyżka wypadła z ręki jakby go spolała. Podziwoł sie nieśmiało na Jurka kierego mioł nejraczy, na jego pożółkłe liczka, do jego wielkich zametowych oczy w kierych poczuł żol i skarge. Poczuł w sobie jakisi wyrzuty, cosi jakoby go popadło pod hyło i dusiło, a cosi ciepłego poczuł w oczach. Precz od stołu, precz od tych dziecięcych oczy. Jak dziki wyskoczył od stołu i polecioł do lasa, tam strzelił sobą do gąszczo i rozbeczoł sie jak smarkocz.

Od tego czasu stała sie z Chraściną wielko zmiana. Na kwit sie już ani nie podziwoł. Harowoł od rana do nocy a całóm swoją krwawo zarobiónóm wypłate oddowoł Zuzce, kiero za jakisi czas kupiła w Łądrzichowicach młodóm kózke, a ta była jakoby jutrzynkóm lepszych czasów w ich rodzinie.

W to rano kiedy dzieci Chraściny naszły w chlywku tate zamiast kozy, akurat wtedy gospodzko na Karpęt-

nej wyszła przed chałupe, aby zebrać z płotu koszule kieróm na noc zapómniała ze sznóry skludzić. Jaki było jeji zdziwiyni, kiedy zamiast koszule naszła na sztachetach powieszónóm koze, kiero była już zimno. Aby też to nie były jaki czary-mary, kiere by mógły zaszkodzić jejimu bydełku, tak pocichu zagrzebała ją na sąsiadowym polu. Kaj podziała sie koszula i skąd wziyła sie koza na jejich płocie, tego sie już gospodzko nigdy nie dowiedziała.

*

Rok za rokym przelatowoł jak wiater i tracił sie w morzu wieczności. Dwa razy zakrążyły zielazne ptoki nad Chrościnowóm chaupóm. Dwie wojny jak kupy nieszczęścio przewaliły sie przez śląski kraj. Wszyscy synowie Chraściny odchowali sie i rozlyźli z gorolskigo gniozda kansi na dół do hawiyrnie i fabryk. Jedyny tyn nejmłodszy Jurek ze zametowymi oczami zakochoł sie do gróni i zostoł im wierny. Już od dziecka rod posłóchoł szczyrkani źródełka, szumu lasów i ptoszków śpiywanio. Zakochoł sie do pastyrskij piszczołki na kierej letnimi wieczorami wygrywoł przed chaupóm jakisi dziwne aryje, kierych isto okróm jelyni, sarnów i inszej leśnej gowiedzi żodyn nie posłóchoł.

Jurek zostoł łowczorzym i dali wygrowoł owieczkóm, wygrowoł i do wiatru kiery często jak urwisz zdziarowoł po sałaszu, gził sie po lesie i wyprawioł swe karkołómne tańce zbujecki we wyrszczkach starych jodeł na gróniu.

Była niedziela. Chraścina wyszeł z loseczką przed chałupe, usiod na gnotku i niechoł sie głoskać prómyczkami jesiynnego słónka. Starość pochyliła go ku ziymi i pobiyliła jego włosy, kiere były podobne do strzybnych nitek babigo lata błąkającego sie w powietrzu. W ogrodzie zablinkoł dzwónek na karku Jurkowej krówki. Chraścina wspómnioł se na kózke, ich piyrszą żywicielke. Po dłógich rokach zrozumioł, że tą nieczystą siłą była biyda i kwicisko kiere robiło z niego utropka.

Chraścina zadziwoł sie na starą dudławą gruszke kieróm zeszłej nocy wiater obalił. Poczuł, że i jymu czas zamróżyć oczy i pońść za Zuzkóm na kierchów. Jakisi żol popod go za serce, że beje trzeba umiyrać kiedy rodzi sie świat lepszy i piekniejszy. Wspómnioł na synów kierzi w mieście robią i żyją se jak kiejsi panowie. Miyszkają w izbach słónecznych kaj nie roztopiyrzo sie już biyda, ani błechi ich nie dojóm.

Wiaterek zaszumioł w bukach i jakoby z figli porwoł pęk czyrwiónych liści, pozwyrtoł nimi i ciepnył Chrościnie ku nogóm. Z chałupy przyszuloł sie ku niymu mały wnuczek Jasiek z krętymi włoskami i po tatowi ze zametowymi oczkami i usiod na jego kolanach.

Blim, blim, dźwięczoł fórt zwónek krowce na karku a w jego tónie poczuł Chraścina radość. Przytulił do swej chudej piersi wnuka, pogłoskoł go po skrątkach na główce. Szczęśliwo młodość — zaszeptoł i ciepło łza skulała mu sie po zwiędłym licu. Nie była to jednak łza żalu, ale łza szczęścio.

ADAM WAWROSZ

KAROL PIEGZA

Cieszyński bojki

Jak cygón wyfikoł jednego chłopa

To był wóm roz w Jabłónkowie jarmark a ludzi sie zjechało kupa. A to wiycie, jako przy jarmarku — jedni kupowali, drudzy sprzedowali, ubijali, krzyczeli a niekierzy sie i pod karki chytali. No jako przy jarmaku a jeszcze w Jabłónkowie.

Na tyn jarmak, jak to zaobyczoj bywo, przyszli i cygóni z kóniami i jedyn z nich, jyny kole tych bud chodził, a dziwoł sie, kajby mógł prziść ku nowym butóm, bo był boso a w nogi go oziómbało, że hruza.

Jak tak chodził po tym rynku a nogami przedeptowoł, uwidzioł jednego chłopa z Piosku jak se kupuje taki piekne cholewioki. Cygónowi aż mrowce zaczły po plecach chodzić, jak widzioł tego chłopa ty cholewioki obuwać i zaroz zaczón szpekulyrować, jakby go z tych butów wyzuć.

Jak było już ku wieczorowi a chłop se zabiyroł z gospody od Buławy ku chałupie, tak nie czakoł już dali, jyny nogi na ramióna a hajdy przez las ku Piosku. Jak prziszeł za tyn wielki las, kaj mo Kluz piłe, stanół se za stróm a czakoł, aż tyn chłop pójdzie z tymi butami. Dość długo musioł czakać, bo już i miesiączek na niebie wyświycił, kiej z daleka uwidzioł chłopa. Hónym se legnął na podorówke, nogi dźwignół do góry, obrócił na miesiączek, no i leżoł po cichu. Jak chłop prziszeł ku nimu, zóstoł stoć i dziwo sie, co tyn cygón na tej podorówce robi. Potym wyjón fajke z gymby i prawi:

— Na, cóż to robisz cygónie za głupoty — dyć zmarzniesz!

Ale cygón sie jyny uśmiychoł i prawi:

— Ja gazdoszku, to wy ani nie wiycie, co jo se za dobrote robiym, jo se opalujym na szłapach skóre, aby mi stwierdła.

— Na, na co? — prawi chłop.

— No, aby mie nie oziómbało i abych mógł w zimie chodzić bez butów. Człowiek musi szporować!

— A idzie to tak cygónie zrobić,



aby człowiek nie musioł w zimie butów nosić — pyto sie chłop.

— Na tóż, że idzie, co by nie szło! Jyny spróbujcie a uwidzicie, że was i bez butów nie bydzie oziómbało.

Z chłopa była wielko sknyra i tóż se nie doł dwa razy powiedzieć. Zezuł nowe buty, legnół na podorówce a nogi też tak dźwignół do góry jak cygón.

Cygón jyny na to czakoł. Stanół na ziymie a prawi:

— No, jo już tóm skóre móm twardą, mogym już skóńczyć. Ale wy tu tak długo leżcie, aż wóm zacznie w piętach łupać. Potym już możecie iść do chałupy. Jyny drugim o tym nic nie mówicie, boby potym musieli wszyscy szewcy od głodu poumiyrać a szkoda ludzi. — Jeszcze sie na chwile kole tego chłopa potoczył, buty po cichu zebroł, styrczył pod kabot i maszyrowoł ku lasu. Chłop se przychycił rękami nogi pod kolanami i czakoł, aż go zacznie w tych piętach łupać. Isto byłby tam do rana leżoł i na to łupani czakoł, gdyby nie jego sómsiod kiery z furą z jarmaku jechoł i miłego chłopa widzioł na podorówce leżeć. Zebroł go napoły zmarzłego na wóz i zawiózł do chałupy.

Czy mu ta skóra na tych szłapach stwierdła, tego już nie wiym, — ale na plecach to isto, bo on mioł babe dość noglą, a ta mu isto tych nowych butów nie podarowała. Yhm!

Zawieszóne je, ale do rana sie wybiere!

To roz ku wieczoru, siedzioł jedyn gazda przed chałupóm, kurzył fajke a strasznie sie dziwoł do nieba. Idzie cygón — zóstanie stoć i pyto sie:

— Na gazdoszku, co tak sie dziwocie do tego nieba, czy tam co widzicie?

— Na co bych tam widzioł — dyć tam nic nima, jyny troche tych chmurek.

— Tóż czymu sie tam dziwocie — prawi cygón.

— Czymu? . . . Na chcioł bych wiedzieć czy jutro bedzie pogoda. Móm jeszcze siano na polu a nie wiym czy go dzisio skludzać czy też jutro!

— Ja — prawi cygón — to je ciężko prorokować jako jutro bedzie. Jo tam troche umiym prorokować ale



tobych musioł wylyść wyszy bo z ziymie to nie idzie.

— Tak se oto wylyź po drabince na dach — prawi gazda. — Ale cygón głowóm pokręcił, na dach sie podziwoł i prawi:

— To je za wysoko gazdo. Niejlepszy by sie mi prorokowało z góry, bo tam dobrze widać przez kóminiorzowe okiynko. Gdybyście mie gazdo puścili samego na góre, tobych wóm tóm pogode wyprorokowoł na betón.

Gazda był rod, że sie dowiy jako bydzie na drugi dziyń pogoda i tóż miłego cygóna puścił samego na góre. Cygón jak wyloz na góre, wszycko se pieknie pooglądoł — gor kaj mo gazda powieszaną wędzónóm szpyrke i mięso, potym sloz pómalutku na dół, otrzepoł proch z galot i prawi:

Tóż gazdoszku, powiym wóm jedno. Nima to taki złe z tóm pogodóm. Zawieszóne je, ale do rana sie wybiere.

Gazda był rod, że nie musi w tyn dziyń siana skludzać, bo sie mu też nie chciało i tóż tymu cygónowi kozoł dać za to dobrą wieczerze.

Na drugi dziyń rano, gazda stanie z łóżka, podziwo sie do okna a tu leje jak z kónwie. A ledwa se tak solidnie zahrómowoł na cygóna, tu wóm leci gaździno po schodach z góry i krzyczy:

— Stary, stowej hónym, dyć nóm ktosik z góry wszycką szpyrke i mięso ukrod!

To wiycie jak było gazdowi na sumiyniu jak to słyszoł. Hnet se przipómnioł co mu cygón prorokowoł: — „Zawieszóne je, ale do rana sie wybiere!” I tóż sie wybrało, ale nie pogoda, jyny szpyrka i mięso z góry.

Jak jedyn cygón chodził siedlokowi na gruszki

To był jedyn siedlok w Goiczkach a mioł pieknóm zogrode. Roz w jesiyni zaczón mu na gruszki chodzić cygón. Prawie wtedy jeździli cygóni z bruskym po kolóniji i brusili ludzióm noże i nożyce, abo też sprawowali stare paryzole. A tóż tymu siedlokowi szło strasznie o te gruszki, bo to były te nejwiększe i nejlepsze. I tóż se na tego cygóna roz w nocy



poczkoł. A mioł szczęści, bo prawie w tóm noc, tyn cygón na te gruszki przyszeł. Jak już tyn cygón mioł tych gruszek dość natarganych, tak chcioł przeskoczyć przez płot i uciyc. Ale prawie przy tym przeskakowaniu go tyn siedlok pieknie ze zadku chycił za krawatel i już sie gotowoł, że go krziwakym porządnie wypłaci. Ale tyn cygón klęknół na kolana i zaczón go strasznie pytać, aby mu to darowoł. Ale tyn siedlok nie chcioł o żodnym darowaniu słyszeć, bo mu o te gruszki strasznie szło. Cygón widzioł, że mu to pytani nic nie pomoże, tak zaczón z inszej beczki. —

— Gospodorziczku — prawi — jo wiym żech źle robił i że sie na świecie kraść nieśmi. Tak zróbcie symnóm co chcecie. Ale o jedno was proszym, nie ciepejcie symnóm przez płot, bo by sie mi już do śmierci na świecie nie darziło.

Gospodarz posłucho, posłucho a myśli se:

Teraz wiym cygónie, jak ci niejlepszy dojechać, abyś więcy nie chodził kraść. Chycił cygóna ze zadku za galaty i za krawatel i z całej siły ciepnół ś nim przez płot. Cygón jyny na to czakoł. Jak spod na ziymie, tak chónym wyskoczył na nogi, poprawił se galaty i prawi:

— Jo myśłoł gospodorczyku, żeście są móndrzejsi, ale z was je wielko trómba. — Potym rznół se piętami o zadek i uganioł ku lasu aż sie za nim kurziło. Tak tyn cygón wyfikoł tego siedloka.

Jak cygón mioł insze oczy!

To opowiadała moja nieboszczka starka, że roz sie żynił cygón a broł se strasznie szpatnóm cygónke — wiycie takigo brzydoka, że strach sie było na to podziwać. I tóż ludzie sie tymu bardzo dziwili, bo cygón był dość szykowny i pytali sie go, czymu se takóm szpatnóm cygónke biere, kiedy sóm piekniejsze. Ale cygón sie jyny uśmiychoł, głowóm pokiwoł i prawi:

— Ja ludkowie, to je tak, gdybyście mieli te oczy co jo móm, to by sie wóm też podobała.

I mówcie potem z cygónym!



Tatulku, wyście se wziyni mamulke!

W jednej dziedzinie kole Cieszyna mieli jedni gazdowie syna, ale takigo strasznego bułe. Już mioł przez trzicet rokóf a nie chcioł sie żynić, bo sie strasznie dziouch boł. O zolytach nie chcioł ani słyszeć, a jak mu kto spómnioł o dzieuchach to hnet uciekoł do chlywa. Ojców to strasznie mierziało, bo już byli starzy i chcieli iść na wymowe. I tóż roz w niedziele popołedniu, puścił sie tyn tata do tego syna i zaczón mu tóm żyniaczke strasznie chwolić. Synek to pieknie wszycko wyposłóchoł a jak tata skóńczył, tak sie rozpłakoł i prawi: — Ja, wóm je dobrze tatulku o żyniaczce mówić, boście se wziyni mamulke, ale mi kazujecie cudzóm!



Jak to tata usłyszoł wyskoczył spoza stołu, rznół ze złości dwiyrzami i uciyk za stodołe.

Jak gorol jechoł do Chin

To było jeszcze za Austryje, jak tyn tramwaj zaczón jeździć z Karwinej do Ostrawy. To roz jechoł jedyn gorol z Orłowej do Ostrawy. Siednół se na ławce i posłóchoł co ludzie mówióm. Naroz przyszeł konduktor, poklepoł go po ramiyniu i prawi:

— Wohin foter, wohin?

Tyn gorol głowe obrócił, podziwo sie tak pieknie na niego i prawi:

— Na kaj też tam panoczku do Chin, dyć jyny do Ostrawy jadym, bo tam móm syna co na Salmie robi.

Ón tyn gorol myśloł, że sie go pyto, czy jedzie do Chin!



Jak downi wybiyrali w Jabłónkowie fojta

Ja, downi to sie inaczy wybiyrało fojta jak dzisio. Dzisio to zoleży od ludzi kierego se wybieróm, ale downi to nikandzi wybiyrały i zwiyrzóntka. Baj w tym Jabłónkowie to wybiyrały wszy. A było to tak. Jak umrził stary fojt to sie zeszli starzi Jabłónkowianie na rynku, tam kaj dzisio je ta



czyszczarnia, postawili tam wielki stół a każdy wyłożył na stół przed siebie wole. Potym ta niejhrubszo jabłónkowianka położyła do postrzodka wielkóm wesz a na czyji wole ta wesz wlazła, to tego wybiyrali fojtym. Wy sie tymu śmiejecie, a jo wóm powiym, że to było dobre, bo taki małe zwiyrzóntko też je móndre i wiy u kierego człowieka sie bydzie miało dobrze.

Jak downi fojtowie sądzili

To za downych czasów jinaczy ludzi sądzili jak dzisio, to nie było takich sądów. Jak kto co wywiód, to go smyczyli do fojta a tyn to zaroz rozsądził a było wszycko w porządku.

Tak roz przylecioł do jednego fojta jedyn gazda i prawi:

— Fojtoszku poradźcie, bo nie wiym co móm robić, móm dziywke Hanke z Milikowa a nie chce nic robić, jyny by cały dziyń siedziała, jadła i nic nie robiła.

Stary fojt sie chwile namyśloł, palcami po stole klepoł i prawi:

— Na poszlij mi ją jutro Pawle na wyćwike. Już jo ją nauczę robić!

Gazda pieknie podziękowoł, bo rod był, że sie dziywki pozbydzie i poszeł ku chałupie.

Na drugi dziyń wczas rano, prziszła Hanka do fojta na słóżbe. Dziywczacko było zdrowe, silne, żeby koły mógła łómać. Noga każdo jak słup pod piekło. Stanóła we dwiyrzach i prawi:

— Tóżech fojcie prziszła do was na słóżbe!

— To mie cieszy! — prawi fojt. — Tóż se oto Hanko siednij ku piecu, boś je isto zmordowano. — Potym kozoł gaździnie dać ji śniodani. Hanka już śniodała u tego piyrszego gazdy, ale nie prawiła nic. Jak dają, trzeba brać. Pómalutku pośniodała, aż sie zapociła, a potym sie przez obyczoj pyto tego fojta:



— Fojcie? na co móm robić?

— Nic . . . — prawi fojt — dość żeś sie już narobiła, tak se musisz spocząć.

Hanka nic nie prawiła, jyny głową kiwała, bo była rada, że nie musi robić. Prziszło połednie a fojt prawi do gaździnej:

— Gaździno! Dej tam Hance porządny obiod, bo sie już borok tela narobiła. Hanka od gańby aż oczy spuściła pod stół, ale obiod zjadła. Po obiedzie zaś przez obyczoj prawi:

— Fojcie?... Co móm robić?

— Nic!... — prawi fojt — dość żeś sie już Haneczko przi tym obiedzie spociła, tak musisz odpocząć. Siedź przi piecu a ani sie nie ruszej!

Hanke już troche zadek bolоł, ale co miała robić. Pojeść dostała a roboty żodnej. Tóż musiała dali siedzieć przy piecu. Prziszła wieczerza i zaś to samo. Pojeść dostała, przi piecu posiedziała i szła z drugimi do stodoły spać. I tak to trwało przez trzy dni. Hanka już nimógła usiedzieć i na smiłowani fojta pytała, aby mógła co robić, ale fojt nie doł. Hanke jyny lutowoł, że sie już tela w życiu narobiła i że musi odpocząć. Dziepro na czworty dziyń, sie doł upytać i robote ji przidzielił. A nie uwierzycie, że to potym była u tego fojta ta niejrobotniejszo dziywka. Dziesiyńć roków tam służyła a potym sie wydała.

Dobro wieczerza

Szeł roz chłop wieczór z gospody do chałupy a mioł godnie w czubie. Kupił se na wieczerze harynka, takigo lagramenckiego jikrzoka, i niós se go w plewni zatoczónego w papiórze. A jak tak idzie i wiesioło pośpiywuje, kopnół do kamiynia i chlas pyszczyskym do przykopy. To wiycie że to lygani szło dość wartko, ale z tym stowanim była biyda. Ledwa że se tak z wielkim namoganim postawił na nogi, pomaco sie po kapsie a tu harynka nima. Kansik mu przi tym kopyrtaniu z kapsy wypod. Chłopowi zabyło strasznie luto tego harynka, bo se go chcioł w occie i cebuli zamargirować i tóż zaczón go poomacku na ziymi hledać. To wiycie, że co



chwila nosym dziubnół o ziym, ale sie uwzión, że tego harynka musi nóńść. I tóż jak uż tak dłógo hledoł, tak naroz chycił cosik mazglatego do rynki i myślоł se, że to je tyn harynek, ale była to żaba, tako ta kościasto.

Zaczło sie mu to w rynce ruszać a ón myśloł, że mu tyn harynek zaś chce uciyc, tak chycił żabe za zadni nogi, zazwyrtoł w lufcie i chcioł ją tak jak harynka od ocasa na połówke rozerwać. To wiycie, że żabe to zabolało i zaczła piszczeć. Ale chłop nie popuścił:

— Wrzeszcz nie wrzeszcz, jak żech cie kupił, to cie zjeść muszym. — Szkubnół lepszy i rozerwoł żabe na połówke.

Czy ją potym całóm zjod i z tym jikrym tego już nie wiym. Ale myślym, że moc z ni nie zostało, bo chłop mioł pyszczysko wypolóne od kwitu i nie wiedzioł co jy.

Staro ty mosz hruby warkocz

Było to w jednej dziedzinie pod górami, ale w kierej to już wóm nimogym powiedzieć, boch to zapómnioł. Przriszeł roz jedyn gazda w nocy do chałupy, a że mioł godnie pod czopkóm, tak zamiast dc chałupy wloz do chlywa i legnół se wedle krowy. Jakosik nad ranym sie obudził i zaczón rynkóm hledać kole siebie. A że było ćma, tak nie widzioł kaj leży i tóm rynkóm natrefił na krowski ocas. Zaczón go rynkóm głoskać a prawi:

— Nale staro, to już dwacet rokóf z tobóm spowóm a toch nie wiedzioł, że mosz taki hruby warkocz. — A jak wóm to dopowiedzioł, to go ta krowa tym ocasym tak przez gębe chlasła, że sie hnet spamiyntoł kaj je i też hnet rukowoł ku chałupie.

KAROL PIEGZA



KALENDARZ „ZWROTU" na rok 1956
Rocznik III

Redaktor: PAWEŁ KUBISZ
Komitet redakcyjny: Bogumił Goj, Henryk Jasiczek, Józef Mrózek
Okładkę wykonał Franciszek Szołtys
Ilustracje tekstowe: Władysław Cejnar i Józef Klimek
Nagłówki do kalendarium: Inż. Leopold Wałoszek
Zdjęcia: Vl. Čudka i archiw „Zwrotu"
Kalendarium opracował prof. dr Karol Kozieł

Tłoczono w drukarni „Ostravské tiskárny", przedsiębiorstwo narodowe,
oddział 08 w Českém Těšíně, Nr 43. 992/55/SV I
T 40354

Cena 11 Kčs
